

# Zabawa w Boga



# ZABAWA W BOGA

Antologia  
Sekcji Literackiej  
Śląskiego Klubu Fantastyki



Śląski Klub Fantastyki  
Katowice 2017

ZABAWA W BOGA – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki  
© 2017 Śląski Klub Fantastyki

**Redakcja i korekta:**

Alicja Tempłowicz  
Anna Askaldowicz  
Anna Kańtoch  
Krzysztof Wójcikiewicz

**Tłumaczenie i redakcja opowiadań Benjamina Rosenbauma:**

Magdalena Grajcar i Piotr Zawada

Teksty Benjamina Rosenbauma „Pomarańcza” oraz „Przyjmujący Nowe” zostały przetłumaczone i opublikowane za zgodą autora. Oryginały znajdują się na jego oficjalnej stronie: <http://www.benjaminrosenbaum.com>.

**Ilustracje:**

Alicja Tempłowicz

**Okładka:**

Gabriela Palicka

**Skład i łamanie:**

Michał Dagajew

**Wydawca:**

Śląski Klub Fantastyki  
ul. A. Górnika 5  
40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

## Spis Treści

<b>WSTĘP</b> <i>Anna Kańtoch</i> .....	<b>4</b>
<b>PRZYJMUJĄCY NOWE</b> <i>Benjamin Rosenbaum</i> .....	<b>6</b>
<b>CHIRURG</b> <i>Anna Hrycyszyn</i> .....	<b>18</b>
<b>KARY I ŻYWIÓŁY</b> <i>Jesion Kowal</i> .....	<b>40</b>
<b>KORONA PÓŁNOCY</b> <i>Anna Askaldowicz</i> .....	<b>66</b>
<b>KOT Z PUDEŁKA</b> <i>Łukasz Marek Fiema</i> .....	<b>80</b>
<b>LEK</b> <i>Marta Potocka</i> .....	<b>98</b>
<b>MARZENIE ROTH</b> <i>Małgorzata Binkowska</i> .....	<b>120</b>
<b>MROK ZABIJE WIELORYBA</b> <i>Olga Niziołek</i> .....	<b>136</b>
<b>MY ETER</b> <i>Alicja Tempłowicz</i> .....	<b>162</b>
<b>ORDAN</b> <i>Magdalena Czarnecka</i> .....	<b>190</b>
<b>SERCE VANN</b> <i>Karolina Fedyk</i> .....	<b>222</b>
<b>WARUNEK POCZĄTKOWY</b> <i>Krystyna Chodorowska</i> .....	<b>250</b>
<b>WYLICZANKA</b> <i>Agnieszka Zapart</i> .....	<b>284</b>
<b>POMARAŃCZA</b> <i>Benjamin Rosenbaum</i> .....	<b>308</b>
<b>NA ZAKOŃCZENIE</b> <i>Piotr Zawada</i> .....	<b>310</b>

# Anna Kańtoch

## WSTĘP

Zastanawiałam się, od czego zacząć i wyszło mi, że chyba powinnam od początku.

A więc sekcja literacka istnieje od kilkunastu lat... Nie, nie bójcie, nie zamierzam tu opowiadać całej naszej historii, chcę tylko zwrócić uwagę, że działamy już od dłuższego czasu, bo od roku 2005. Przewinęło się przez sekcję kilkudziesięciu aspirujących pisarzy i pisarek, część została z nami, część poszła własną drogą, znaleźli się też tacy, których książki trafiły na półki księgarń – a zasługa w tym nie tylko dobrze piszących autorów, ale też poniekąd i sekcji właśnie. Cóż, nie chwaląc się, gdyby pewnego dnia przypadkiem nie wpadł do nas pewien młody człowiek, Michał Cholewa, polska fantastyka byłaby dziś uboższa o nagrodzoną Zajdlem „Fortę”, nie mówiąc już o całym świetnym cyklu „Algorytmy wojny”.

Mamy w tej chwili w sekcji sześcioro autorów, którzy wydali już książki, i kilkunastu takich, których opowiadania znacie z Esensji, Smokopolitana, Nowej Fantastyki czy Szortala – a patrząc na teksty, które przewijają się przez forum, zarówno jednych jak i drugich wkrótce będzie jeszcze więcej. Mamy...

Owszem, właściwie to próbuję napisać, że jesteśmy wspaniali.

A bardziej poważnie – po prostu uznaliśmy, że to pora, by wypłynąć na szerokie wody i pokazać się jako grupa. Stąd ta antologia, zawierająca dwanaście najlepszych opowiadań, wyłonionych w drodze konkursu. Opowiadań, moim zdaniem, ciekawych, niebanalnych, pokazujących, jak bardzo różnie podchodzimy do tematu „Zabawa w Boga”, a jednocześnie jak dobrze nasi autorzy potrafią pisać. Zresztą sprawdźcie sami i jeśli antologia się Wam spodoba, polećcie ją znajomym.

A na deser dorzuciliśmy dwa teksty wielokrotnie nagradzanego Benjamina Rosenbauma – warto sprawdzić, jak na tle zagranicznego pisarza wypadają sekcijni autorzy.

*Anna Kańtoch*

**Benjamin Rosenbaum** – amerykański autor opowiadań SF i fantasy. Jego teksty były nominowane do Hugo, Nebuli (za opowiadanie „Przyjmujący Nowe”), Theodore Sturgeon Award, World Fantasy Award i BSFA Award. Z wykształcenia jest informatykiem, projektował oprogramowanie dla amerykańskiego rządu. Jest jednym z założycieli Digital Addiction (firmy, która stworzyła grę online Sanctum). Obecnie mieszka w Waszyngtonie z żoną i dwójką dzieci.

# Benjamin Rosenbaum

## PRZYJMUJĄCY NOWE

*Przełożyła Magdalena Grajcar*

Słońce prażyło, wóz skrzypiał i trząsał. Vru przykucnął blisko baldachimu swego pana. Futro ociekało mu potem. Jego Ghennungi pełzały pośród włosów w poszukiwaniu cienia. Za każdym razem, gdy jeden z nich odrywał się od skóry, Vru czuł nagłą utratę wspomnień, jakby wyrwano mu kończynę.

Nie po raz pierwszy Vru zmuszony był roztrząsać swoje ubóstwo. Miał zaledwie pięć Ghennungów. Trzy były z nim od urodzenia, jednego nosił wcześniej jego ojciec, a najstarszego także dziadek. Raz jeden, gdy obydwie starsze Ghennungi oderwały od niego kły, by przemieścić się po jego brzuchu, na chwilę zniknęło sześćdziesiąt lat wspomnień – pracy z kamieniem, uprawiania miłości z babką i matką, zmartwień o terminowanie i pojedynków. Doświadczył wtedy dziwnego, przyprawiającego o zawrót głowy uczucia, że zna zaledwie dwadzieścia lat życia swojego własnego ciała.

– Plugawy dzień – rzekł Khancriterquee. Wiekowy rzeźbiarz bogów, spoczywający bezładnie na stercie futer pod baldachimem, przywołał go gestem pazura. – Plugawe słońce. Chłopcze! W karmazynowej flaszce jest chłodzący olejek. Rozsmaruj mi go trochę, ale uważaj, żeby ani odrobiny nie rozlać.

Vru odnalazł olejek i rozsmarował go po przedwiecznej skórze swojego pana. Khancriterquee był rozdęty, a pośród futra prześwitowały mu wyłysiałe placki. Śmierdział jak gnijące w słońcu martwe bestie. Chwytnie ręce Vru wzdragały się przed dotykiem. Pan

umierał, a kiedy umrze, wraz z nim zniknie pewność Vru co do swojego miejsca na ziemi.

Na skórzanych rzemykach wokół szyi Khancriterquee i Vru nosili Rozkosznie Piękną – pulchną, gładką i roześmianą – boginię z dwudziestoma siedmioma Ghennungami tańczącymi na jej ciele, wyrzeźbioną w twardym, szarym kamieniu. To Khancriterquee wykonał obie kopie. Jakie to dziwne, że bogini piękna zdecydowała dać się stworzyć tak brzydkiemu i napuchniętemu cielsku!

Khancriterquee otworzył przekrwione oczy.

– Nie jesteś rzeźbiarzem bogów – zachrypiał.

Vru trwał nieruchomo. Co zrobił źle? Pan był próżny – czyżby dostrzegł jego obrzydzenie? Czy Khancriterquee odesła go w hańbie z powrotem do domu jego ojca, do zaganiań świnowców, gdzie nigdy się nie ożeni, a kiedy jego ciało stanie się już niedołążne, będzie musiał poszukać jakiegoś siostrzeńca, który z litości przyjmie kilka jego wspomnień?

– Czy wiesz, dlaczego zagarnęliśmy te tereny? – zapytał pan. Odsuwając kotarę, wskazał na jałowe, czerwone granie, widoczne wokół nich za burtą wozu.

– Pokonaliśmy Bezbożnych w bitwie, ponieważ sprzyjają nam bogowie, mój panie – wyrecytował Vru.

Khancriterquee parsknął.

– To nie tak, że bogowie nam sprzyjają. To my sprzyjamy im.

Vru nie zrozumiał. Pochylił się zatem, by rozmasować ciało pana. Khancriterquee odepchnął jego chwytne ręce pazurem i usiadł, dysząc. Wpatrywał się we Vru ze wstrętem.

Vru uświadomił sobie, że stuka o siebie pazurami, więc zmusił się, by przestać. Pan go obserwował – zapamiętując każde wzdrknięcie Vru w Ghennungach, które niebawem nosić będą czeladnicy.

Vru wyprostował się.

– Panie, jest coś, czego nigdy nie zrozumiałem.

Oczy Khancriterquee’ego rozbłysły zainteresowaniem, czy może podejrzliwością.

– Jak Bezbożni mogą naprawdę być bezbożni?

Pan zasepił się.

– Mam na myśli... Jak ktoś bez żadnego boga może nie popaść w szaleństwo, przyjmując nowe Ghennungi? – Vru pamiętał dzień, w którym przyjął Rozkosznie Piękną jako swoją boginię, cel swojego



życia i oddania. Kiedy medycy delikatnie oddzielali Ghennungi od stygnących zwłok ojca w wielkiej sali poniżej, on chciał kurczowo trzymać się dzieciństwa, poczekać z wyborem boga. Kapłan udzielił mu jednak surowego pouczenia – ponieważ bez boga osoba jest jedynie zmiennym zbiorem wspomnień. Lojalność, pragnienia i przekonania poszczególnych jego Ghennungów walczyłyby ze sobą, a on sam miotałby się niczym łódka podczas stuletniego sztormu.

– Och, mój uczeń jest ambitny – wyszeptał Khancriterquee. – Pan jest stary i słaby. Może to uczeń powinien uczestniczyć w moim imieniu w wysokiej radzie wojennej. Może powinien poznać tajemnice naszej wojny przeciwko Bezbożnym...

– Panie, nie miałem na myśli...

– Bezbożni nie wymieniają się Ghennungami – rzekł Khancriterquee.

– Co?

– Może robią to, gdy są bardzo młodzi – stwierdził Khancriterquee, machając chwytnymi rękami – albo wymieniają się konkretnymi umiejętnościami, bez innych wspomnień, używając do tego Ghennungów okaleczonych w jakiś sposób. Nie jesteśmy pewni. Ale zwykle, kiedy umierają – zamilkł, obserwując reakcję Vru – ich Ghennungi zostają zniszczone. Właśnie dlatego wygrywamy bitwy. Ich najlepszy żołnierz jest zaledwie tak stary jak jego ciało.

Vru nagle poczuł, że robi mu się niedobrze. Gorzkie, piekące płyny z jego żołądka przelały mu się do gardła. Bezbożni celowo mordowali się, gdy umierały ich ciała!

– A teraz powiem ci, dlaczego nie jesteś rzeźbiarzem bogów, jeśli mój ambitny uczeń ma czas posłuchać – oznajmił Khancriterquee. Postukał pazurem w Rozkosznie Piękną na szyi Vru. – Rzeźbienie kopii, by ludzie nie zapomnieli swoich bogów i zachowali zdrowe zmysły, nic nie znaczy. Czas, byś wyrzeźbił nowego boga, tak jak ja wyrzeźbiłem Nieustraszenie Sprawiedliwego, a mój dziad Rozkosznie Piękną. – Na powrót opadł na futra i zamknął oczy. – Monument zostanie odsłonięty na Festiwalu Hrsh. Użyjesz tego nowego, zielonego kamienia.

Vru w milczeniu obserwował, jak jego pan śpi. Słyszał bicie własnego serca.

Żaden z czeladników Khancriterquee'ego nie otrzymał pozwolenia na stworzenie boga, nawet Turmca. Czemu miałyby pozwolić na to uczniowi? By zawstydzić i zakpić z czeladników – by ukarać ich za niecierpliwe wyczekiwanie na jego śmierć? Czy też pan uznał, że Vru ma tak wielki talent?

\*\*\*

Odarci pracowali w nowych kopalniach, wycinając ze ściany klifu zielony kamień. Futro ogolono im z powodu gorąca. Wielu z nich miało zakrwawione, uszkodzone na kamieniu pazury. Vru próbował odwrócić wzrok. Rzadko widywał tak wielu Odartych naraz. Ich ciała były umięśnione, silne... i pozbawione Ghennungów. To było potworne, a jednak coś w tych pustych przestrzeniach skóry przemawiało do niego, niczym połąć nienaruszonego śniegu.

Zielony kamień błyszczał w otoczeniu szarej skały. Khancriterquee cały dzień wrzeszczał na zarządców. Po co używać tych zidiociałych Odartych? Rozumieli wystarczająco wiele, by byli przydatni w starszych kopalniach, przy zwykłym, szarym kamieniu. Ale ten cudowny, nowy, zielony kamień, w którym będzie można wyrzeźbić tak wiele szczegółów – kamień idealny dla bogów, wyrwany Bezbożnym – był trudny do wydobycia, a oni nie byli w stanie się tego nauczyć. Jak dotąd zniszczyli każdy większy kawałek.

– Są bezużyteczni! Bezużyteczni! – krzyczał na zarządcę Khancriterquee. – Dlaczego nie sprowadzisz prawdziwych ludzi?

– To wydobywanie kamienia – odpowiedział uparcie zarządca. – Prawdziwi ludzie tego nie zrobią, o świętobliwy.

– Vru! Bezużyteczny chłopcze! Ty też stoisz jak jakiś Odarty! – W oczach pana pobłytkiwała nienawiść. – Przyrowadź mi tamtego – rzekł, wskazując na wielkiego Odartego, ryjącego monotonicznie w pobliskim kamieniu, każdym uderzeniem pazurów rozłupującego na dwoje drogocenne kawałki kruszcu.

Vru przyprowadził go do pana. Odarty był uległy – wystarczyło tylko dotknąć pazurami jego dziwnej, gołej skóry. Idąc, nieco dyszał. Pazury miał poszarpane i wyglądał na głodnego. Vru pragnął objąć jego mocne ciało chwytnymi rękami, wyszeptać mu do ucha uspokajające słowa – i próbował ignorować te szalone, głupie myśli.

– Pochyl tu jego głowę – zachrypiał Khancriterquee.

Vru popchnął Odartego w dół, by ten uklęknął obok jego pana. Czy pan miał zamiar coś mu wyszeptać? Jak to miało pomóc?

Zarządca stał niedaleko, ze złości przestępując z nogi na nogę, a Khancriterquee przesunął swymi wiekowymi pazurami po miękkim meszku na szyi Odartego. Ten w odpowiedzi spojrzął z powagą i strachem. Khancriterquee zacisnął pazury, z wysiłkiem i stękaniami przebijając nimi skórę. Odarty szarpnął się, zadrżał i wydał z siebie przejmujący krzyk. Zarządca z przekleństwem rzucił się do przodu. A potem rozległ się trzask i głowa Odartego stoczyła się z ciała, ono zaś osunęło się na ziemię. Na Khancriterquee'ego trysnęła krew.

– Oszalałeś? – wrzasnął zarządca, zapominając się. Chwilę później na jego oblicze wypłynęła zgroza, a on sam padł na ziemię, zanurzając twarz w pył. – Uświęcony, błagam... – zajęczał.

Pan zachichotał, zapewne zadowolony, że jego stare pazury nadal potrafią nieść śmierć. Zastukał nimi o siebie. Krew była czarna.

– Sprowadź do pracy w tej kopalni prawdziwych ludzi – rzekł z niezadowolaniem. – Te obrzydlistwa do niczego się nie nadają.

Vru zwymiotował w pył.

– Na twój monument potrzebujesz kamienia w całości! – oznajmił pan. – Głupi chłopak. A teraz mnie oczyść.

\*\*\*

Zielony kamień stanowił cud. Pewnego spokojnego, błękitnego dnia miesiąc później, pośród kłębow mgły pełznących przy ziemi i ulatujących w niebo, Vru stanął w wyrobisku do rzeźbienia w siedlisku Khancriterquee'ego, naprzeciw monolitu z kopalni. Rzeźbienie w nim było niczym sen o potędze. Kamień śpiewał mu pod pazurami oraz młotem i pilnikiem w jego chwytnych rękach.

Przez ostatnie tygodnie Vru wracał do sali sypialnej jedynie na wieczorny posiłek i sen. Ta praca bardzo różniła się od wykonywania kopii bogów. Khancriterquee miał rację – dotąd Vru nie był rzeźbiarzem bogów, a jedynie kopistą. Teraz pod jego pazurami nabierał kształtu nowy bóg.

Gdy Vru na niego spojrzął, poczuł się, jakby posiadał tysiąc Ghennungów o wspomnieniach tak starych jak Ghennungi Wyrocni. On sam, dziewiąty syn biednego budowniczego zamków, nigdy nie odważyłby się wykonać czegoś tak szokująco prawdziwego. Był pewien, że to jakieś bóstwo działa poprzez niego, choć nie

była to Rozkosznie Piękna, ale nowy bóg, którego znał tylko on, który korzystał z jego pazurów, by pomóc sobie narodzić się z zielonego kamienia.

Vru zdecydował, że bóg ten nosi miano Przyjmujący Nowe. Był to cudowny i straszny posąg. Przedstawiał osobę pozbawioną Ghennungów jak jeden z Odartych albo wygnany przestępca, pochylającą się, by delikatnie i z czułością dotknąć pazurem Ghennunga na ziemi. Vru wiedział, że w kolejnej chwili osoba uniesie Ghennunga swymi chwytnymi rękoma i przycisnie go do piersi. Następnie Ghennung zatopi kły, odnajdując żyły i nerwy. Słodka masa wspomnień odcisnie się na świadomości osoby: pierwsze myśli, nowa tożsamość.

Vru spojrzał w dół na swe chwytnie ręce. Drżały. Nie czuł się zmęczony. Chciał śpiewać. Nie odpoczywał jednak od dwudziestu dziewięciu godzin. Nie mógł pozwolić sobie na pomyłkę.

Zakrył boga płachtą i ruszył ścieżką do sali sypialnej. Kiedy wychodził z wyrobiska do rzeźbienia, uścisk boga zelżał, a w jego kończynie wlało się zmęczenie. Ledwie miał siłę unieść pazury.

Cień przemknął przed nim, kiedy przechodził przez pusty, wiosenny pawilon. Zatrzymał się. W ciemności słyszał nierówny oddech.

– Kto tam jest? – zapytał.

Czeladnik Turmca wyszedł na światło dzienne.

Vru rozluźnił się.

– Przestraszyłeś mnie, Turmca! – oznajmił. Już wymawiając te słowa zauważył, że Turmca nie nosił na szyi Rozkosznie Pięknej, tylko Nieustraszenie Sprawiedliwego, boga-żołnierza. – Dlaczego...?

Czeladnik zrobił niepewny krok w jego stronę. Jego oczy były dziwnie puste. Może był pijany?

– Jak leci, Vru? – zapytał. – Jak tam twoja praca? – Zaklekotał o siebie pazurami i wzdrygnął się, jakby zaskoczony swoim własnym gestem.

– Dobrze się czujesz, Turmca? – zapytał Vru, robiąc krok w tył.

– Miło, że pytasz – odrzekł Turmca, ruszając chwiejnie do przodu. Vru cofał się przez płacyk pawilonu. Turmca był od niego mniejszy, ale za to dobrze odżywiony, o mięśniach ukształtowanych latami rzeźbienia bogów.

– Chciałbym cię o coś zapytać – odezwał się Vru. – Turmca, kiedy pan... odejdzie, czy rozważyłbyś przyjęcie mnie? Byłbym wdzięczny, gdybyś...

Turmca wybuchnął głośnym, histerycznym śmiechem. Pochylił się i uniósł pazury do oczu, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki. Potem spojrzął na Vru.

– Wszystkie trafią do ciebie – powiedział.

Vru zamrugał.

– Khancriterquee powiedział tak Panu Singerowi. Podśluchałem ich. Będziesz nosił wszystkie jego Ghennungi. Nie chce, by jego wspomnienia osłabły przez rozdzielenie ich pomiędzy czeladników, a przynajmniej, wedle jego słów, nie tego chce Rozkosznie Piękna.

– Turmca, to szaleństwo. Nie mam talentu..

Turmca rozwarł pazury. Świeżo wyczyszczone i naostrzone, błysnęły wyraźnie.

– Talentu! Ty głupcze! Nie wybrał cię dla twojego talentu! Wybrał cię z powodu twoich ledwie pięciu Ghennungów i słabej, uległej natury. Chce dalej trwać jako on sam! Twoje wspomnienia nie sprawią mu żadnych trudności!

Turmca wysunął do tyłu prawą stopę, chwytne ręce uniósł, by osłonić Ghennungi na swojej piersi. Vru widział już taką postawę, gdy jego brat, Viruarg, ćwiczył musztrę. Była to postawa żołnierza.

– Turmca..

Vru rzucił się w tył, kiedy Turmca zaatakował, ale zrobił to za wolno – czubki pazurów rozdarły mu bok. Vru nie brał udziału w walce od czasu, gdy był dzieckiem, kiedy grał w thakkę na piaszczystym poletku. Pochylił się nisko i zaszarżował do przodu, uważając na pazury wroga i próbując uderzyć go całym ciałem. Turmca zrobił jednak unik, a jego chwytne ręce wystrzeliły, by sięgnąć uszu przeciwnika. Pod Vru ugięły się nogi i padł na ziemię zalany bólem.

Turmca nie walczył jak amator. Musiał pożyczyc albo wynająć Ghennungi od żołnierza. Nie był też pijany. Jego szklisty wzrok należał do kogoś, kto nie połączył w jedno swych Ghennungów i toczył wojnę w głębi duszy. Dla jego pragnienia zabicia Vru wystarczyło i tyle zjednoczenia.

– Wstawaj, Vru – zawarczał Turmca głosem żołnierza, głosem wyznawcy Nieustraszenie Sprawiedliwego, który chciał zabić z honorem. A potem odezwał się łagodniej, jak czeladnik instruujący młodego ucznia: – Zrobię to szybko.

Vru czuł, jak w jego mięśniach śpiewa wszechogarniające wycierpanie. Wiedział, że jeśli zawoła o pomoc, Turmca zabije go

i oddali się, zanim jakakolwiek nadejdzie. Słyszał ostrożne kroki, gdy ten, szurając, zbliżał się do miejsca, gdzie Vru leżał na piasku. Bogini, pomóż mi, modlił się.

Ale to nie Rozkosznie Piękna mu pomogła. To musiał być ten nowy bóg, który pragnął zostać wyrzeźbiony – Przyjmujący Nowe. Bowiem zrobił coś, czego Vru nie zrobiłby nigdy. Przyjmujący Nowe uniósł ciało Vru i zaatakował, a jego pazury wystrzeliły i przecięły rzemyk, na którym Turmca nosił na szyi Nieustraszenie Sprawiedliwego. Turmca, w tym momencie bezbożny, wrzasnął. Vru złapał spadającego boga i cisnął nim w ciemność pawilonu. Turmca sięgnął pazurami w stronę Vru, ale jego ciało odwróciło się i rzuciło za swoim bogiem. Vru pobiegł do siedliska pana.

\*\*\*

Po tygodniu postu Vru powrócił prosto na Festiwal Hrsh. Był słaby, ale czuł się oczyszczony i gotowy wykonać swe zadanie. Kiedy Przyjmujący Nowe zostanie odsłonięty, Vru wreszcie przyniesie zaszczyt swojej rodzinie.

Siedział na scenie obok Khancriterquee'ego. Przed nimi stał zakryty płachtą monument. Vru tęsknił za widokiem Przyjmującego Nowe, ale musiał poczekać na ujawnienie boga. Nagle zaczął zastanawiać się, co ujrzą pozostali. Odartego albo przestępcę jako boga, sięgającego po zakazanego Ghennunga? Gdyby ten bóg nie wyrzeźbił się jego własnymi rękami, sam byłby zbulwersowany. Zadrzał. A co, jeśli nie zobaczą w tym boskiej ręki? Co, jeśli wyrzeźbił herezję? Próbował skupić się na Rozkosznie Pięknej, by pozwolić jej kształtować się niczym garncarz formujący glinę na kole garncarskim, ale jego głowa pełna była obrazów. Silni i piękni Odarci, pracujący przy zielonym kamieniu. Okrwawiona głowa tocząca się w kopalnianym pyłu. Bezbożni i ich dziwne, złe zwyczaje. Wyobraził sobie, jak Odarty z jego posągu sięga, by ich powitać. Siedział tak sztywno, z głową pełną dziwnych myśli, aż nadszedł czas.

Wzywał go kapłan. Vru zerwał się na nogi i chwiejnie przeszedł przez scenę. Zgromadzony wokół tłum pochylił się do przodu. Kilkoro ludzi uciszyło dzieci, potem wszystko zamarło. Sięgnął i szarpnął płótno na Przyjmującym Nowe, a z tłumy wyrwał się krzyk.

Ale to nie był Przyjmujący Nowe.

Kształt pozostał podobny. Był to ten sam zielony kamień, w którym z taką miłością rzeźbił, ale na skórze posągu wyrzeźbiono wyraźne wybrzuszenia Ghennungów. Siedemnaście, jak numer nowego boga. Sięgający pazur już nie muskał upadłego Ghennunga. Zamiast tego płonął i miażdżył malutkiego żołnierza Bezbożnych.

W kamieniu widać było odważne, gładkie ciosy ręki pana.

Ludzie bili brawo. Vru odwrócił się, by spojrzeć na Khancriterquee'ego.

Szczęki pana rozciągały się w pełnym satysfakcji uśmiechu zadowolenia. Dodałem to, o czym zapomniałeś, mówiły jego oczy. To nie było złe dzieło, ale przekaz był niewłaściwy. Naprawiłem to.

A jakie to ma znaczenie, powiedział Khancriterquee w wyobraźni Vru. Jakie to ma znaczenie? Patrzył na Vru, zadowolony z siebie. Okazałeś się mnie warty. Już niedługo to ciało upadnie, a ty poniesiesz moje Ghennungi. Wszystkie moje wspomnienia, całą moją potęgę. Staniemy się jednym. A wtedy będziemy rzeźbić tak, jak Rozkosznie Piękna poprowadzi naszą dłoń.

Z miejsca w którym stał, Vru prawie wyczuwał odór rozkładu, jaki wydzielała skóra Khancriterquee'ego. Pan umierał, lecz pan nie umrze. Nawet niewiele się zmieni. Vru wiedział, że jego pięć słabych Ghennungów nie mogło równać się z szesnastoma, którymi dysponował Khancriterquee. Jego własne wspomnienia były niczym niewyraźne szept na tle ryku. Któreś z nich zostaną pewnie wyłuskane, jako że dwadzieścia jeden to za dużo nawet dla tak młodego ciała. Może coś pozostanie – może jego pracowitość, może uwielbienie dla kamiennych powierzchni; ale kiedy pomyśli o tym, jak Khancriterquee urzywał głowę Odartemu w kopalniach, będzie to szesnaście głośnych i zadowolonych głosów przeciwko może trzem cichym i przerażonym.

Powinien być szczęśliwy. Jego boginią była Rozkosznie Piękna. Dlaczego nie cieszył się, że największy rzeźbiarz bogów będzie tworzył majestat, pracując za pomocą jego rąk, jego pazurów? Jakie to miało znaczenie, że jego wspomnienia się rozwiewą? Pamiętał widok siebie jako gaworzącego dziecka w chwytnych ramionach Matki. Dziewiąty, niechciany syn. Pamiętał głaskanie Matki po czole, gdy ta trzymała niemowlę.

– Nie otrzyma dziedzictwa – powiedziała.

– Coś dla niego znajdziemy – odpowiedział. – Może kapłaństwo. Będzie miał jednego z moich Ghennungów.

– Dwa – odrzekła Matka.

Spojrzał gniewnie na płaczące, mizerne dziecko. Dwa? – pomyślał. – Ten cherlak?

Vru przetrwał oklaski i wrócił się, by ponownie usiąść obok Khancriterquee'ego. Odór był nie do zniesienia.

Wolę zostać Bezbożnym, uświadomił sobie Vru. Wolę umrzeć raz na zawsze, niż stać się Khancriterquee'em.

\*\*\*

– Niech wszyscy usłyszą decyzję Wyroczeni – zakrzyknął herold. – Winny zdrady, herezji i próby dezercji na stronę wroga. Ciało jest niewinne i zostanie oszczędzone, ale jest niezdolne do dźwigania wspomnień. Niech zostanie wygnane w dzicz. Wspaniałomyślna jest Wyroczenia.

Przytrzymywali go, ale Vru się nie szarpał. Był wiotki i spocyny. Spojrzał na swoją pierś. Dziwnie było zobaczyć tam Rozkosznie Piękną. Znowu poczuł się jak dziecko.

Ciągle widział Przyjmującego Nowe takim, jakim go pozostawił – z odłupanymi Ghennungami. Czy zabił boga? Ale to był fałszywy bóg, potworność!

Medycy oderwali Ghennunga od jego skóry. Patrzył, jak ten skręca się i płonie. Wydaje z siebie dziwny, syczący dźwięk. Strach wypełnił mu trzewia niczym napełniany powietrzem balon. Oderwali kolejnego Ghennunga, tego należącego do jego dziadka. Jak wyglądała jego babka? Potrafił przypomnieć ją sobie tylko jako staruszkę. Smutno, jakże smutno. Za młodu musiała być piękna. Czyż często tak nie mawiał?

Zabrali kolejnego. Potrzebował boga, który by go kształtował, ale nie był w stanie myśleć o Rozkosznie Pięknej. Zdradził ją. Pomyślał o Przyjmującym Nowe, tym prawdziwym, odartej postaci sięgającej po nadzieję. O tak, pomyślał. Zabrali następnego Ghennunga. Czernienie i skręcanie się w ogniu. Vru, pomyślał. Mam na imię Vru. Sięgnęli po ostatniego Ghennunga. Przyjmujący Nowe, pomyślał, ciało z zielonego kamienia. Pamiętaj.



Bestia stała na dziedzińcu. Wiatr był chłodny, a las pachniał wiosną. Będzie na co polować. Przytrzymywali ją inni. Pachnieli jak jego klan, więc ich nie atakowała. Puścili ją.

Rozejrzała się. Był tam jeden paskudny starzec, który cuchnął i wyglądał na złego czy smutnego. Inni wymachiwali pazurami i krzyczeli. Zasyczała w odpowiedzi i zamachała własnymi. Było ich jednak zbyt wielu, by walczyć. Pobieгла.

Skierowała się w stronę pachnącego wiosną lasu. Będzie na co polować.

**Anna Hrycyszyn** - rocznik 1978, gliwiczanka, z wykształcenia tyflopedagog. Szczur lądowy beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach, a do tego wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Echa tych fascynacji pojawiają się w jej tekstach. Moderator na forum Literka. Publikowała w drugim tomie „Fantazji Zielonogórskich”, antologii „Geniusze fantastyki”, a także na Szortalu. W tym roku nakładem wydawnictwa Genius Creations ukazała się jej debiutancka powieść „Zatopić »Niezatapialną«”.

Anna Hrycyszyn

**CHIRURG**



**K**obieta leży na wyszlizganym blacie. Szeroko otwarte oczy w kolorze butelkowej zieleni wpatrują się w twarz mężczyzny, który stoi pochylony nad rynienką pełną pieczołowicie ułożonych narzędzi. Za jego plecami inny mężczyzna przed chwilą odkręcił buteleczkę z eterem i teraz ostrożnie wylewa płyn na bawełnianą chustkę. Słodki zapach wypełnia pomieszczenie. Ręce chirurga drżą.

To już, myśli i robi krok w kierunku stołu. Podeszwy jego butów ślizgają się miękko po lśniącej czystością podłodze. Chwyta dłoń kobiety w tym samym momencie, w którym niewprawy asystent przykłada jej do nosa wilgotną chustkę.

Pacjentka wciąga potężny haust powietrza. Chirurg wstrzymuje oddech. Ich spojrzenia krzyżują się na ułamek sekundy i czas staje.

Przez chwilę mężczyzna czuje tylko powoli ulatniające się ciepło kobiecej dłoni. Potem atakują go obrazy.

Wyblakli aniołowie fruną ponad chmurami. Rozkołysany dzwon pokazuje serce. Sypią się pióra. Błysk złota, ciężki oddech, rumieniec. Śmiech wisi w powietrzu – zagęszcza je do konsystencji karmelu.

Czas nadal stoi, zastygły i przezroczysty niczym chłodne szkło. Ciało chirurga mięknie i rozlewa się wzdłuż wydrążonych w nim koryt. Wstecz. W przód. Bocznyimi odnogami. W górę i w dół. Wszędzie.

Jest sobą i jest leżącą na stole kobietą. Wspomina ją, jak się wspomina siebie, widzi radości i lęki, pragnienia i przyczyny.

Przede wszystkim jednak zna źródło zagrożenia. Nie szuka go – po prostu wie, więc wyciąga ku niemu ręce. Jest czarne i gładkie. Śliskie i gorące. Wije się pod jego palcami, a on trzyma mocno, mimo że płoną mu dłonie.

W końcu czas wyrzuwa się z otępienia i wściekły rusza do przodu. Chirurg oddycha płytko. Krople potu rosą jego czoło. Największa z nich poddaje się grawitacji, spływając wzdłuż skrzydełka nosa wprost na wybrzuszenie górnej wargi. Mężczyzna sięga do niej językiem. Dopiero ten odruch osadza go z powrotem w rzeczywistości, może więc spojrzeć na swoje ręce. Niepozorna grudka bladorożowych tkanek nie wygląda groźnie, ale lekarz wie, że wystarczyłoby kilka miesięcy i nowotwór zabiłby śpiącą na stole kobietę. Przez

kilka sekund przygląda się pacjentce, a potem wyrzuca zlepek zbędnych komórek i myje ręce.

Nietknięte narzędzia zdają się zerkać na niego z wyrzutem.

\*\*\*

Ignacy Sznajder przemierzał słabo oświetlony korytarz więzienia i myślał o żonie.

Miarowe kroki odbijały się echem od przybrudzonych ścian, przypięte u pasa klucze podzwaniały delikatnie, a przedmioty niesione przez mężczyznę na przechylonej niedbale tacy powoli zsuwały się ku krawędzi.

Nie sposób określić, czy to zmiana ciężaru, czy zwykłe szczęście kazało Sznajderowi spojrzeć w dół, zanim blaszana miska wypełniona gorącą wodą zdołała spaść na podłogę; grunt, że w ostatniej chwili funkcjonariusz wypoziomował tacę. Jego gwałtowny ruch wywołał niewielką lokalną katastrofę – woda chlupnęła z miski, mocząc mydło, brzytwę, okrągłe lusterko i dłoni mężczyzny.

– Niech to! – Sznajder zdusił cisnące się na wargi przekleństwo. Obiecał żonie panować nad językiem, tak jak obiecał jej ograniczyć ilość piwa spożywanego w sobotnie wieczory w browarnianej kantynie. To pierwsze, o dziwo, okazało się znacznie trudniejsze od drugiego.

Mężczyzna poczekał chwilę, aż woda się ustoi, i krytycznie ocenił ilość pozostającą w misce. Na szczęście nie musiał zauracać, ryzykując tym samym, iż doktor Witwicki spóźni się na rozprawę. Że miałby na nią dotrzeć nieogolony – tego Sznajder nie brał pod uwagę. Znacznie ostrożniej przemierzał ostatnie metry korytarza dzielące go od celi. Tu, balansując tacą trzymaną teraz w jednej ręce, sięgnął po przypięty do pasa pęk kluczy. Dłuższą chwilę szukał w nim właściwego. Wreszcie znalazł, a wówczas od ścian odbiło się echo przeciągłego metalicznego zgrzytu. Twarz funkcjonariusza wykrzywił na wpół uświadomiony grymas, a przez jego głowę przemknęło pytanie o sens nieoliwienia więziennych zamków i zawiasów. Nie zdziwiłby się, gdyby naczelnik uznał za zasadne zmuszanie oczekujących na rozprawy nieszczęśników do słuchania tych ponurych dźwięków – podobnie jak uznał, że każdy z nich w sądzie winien stawić się ogolony.

Wnętrze celi było ciasne i ciemne. Światło ledwie docierało do pomieszczenia przez wysoko umieszczone okienko, a jedyną jaśniejszą plamę stanowiła biała – choć przybrudzona – koszula siedzącego z podkulonymi kolanami na pryczy mężczyzny, który teraz spoglądał na funkcjonariusza z obawą. W jego bladoniebieskich, jakby spranych oczach Sznajder dopatrywał się niewyartykułowanego pytania.

– Mówią, że trzeba się panu ogolić, doktorze – rzekł, wchodząc w głąb celi. – Nie wypada, żeby pan stawał przed sądem zarośnięty jak nieboskie stworzenie – dodał wyjaśniająco, gdy więzień zamrugał, najwyraźniej nie rozumiejąc. – No i przyniosłem laudanum.

Witwicki podniósł dłoń do policzka i skinął głową. Kłatkę pierśiową chirurga uniósł głębszy oddech, a jego wzrok powędrował za Ignacym, który odłożywszy tacę na pryczę, stanowiącą jedyny oprócz wiadra na nieczystości mebel w celi, odwrócił się, by zamknąć drzwi od środka.

Witwicki nie zdawał sobie sprawy, iż funkcjonariusz łamie w tym momencie panujące w zakładzie zasady – nie powinien odwracać się do aresztanta plecami. Ignacy Sznajder uczynił to, gdyż tak nakazało mu przyzwyczajenie silniejsze niż wpojone więzienne procedury. Nie miał wszak żadnych podstaw, by obawiać się doktora.

Zaalarmował go głuchy brzęk. Ręka Witwickiego drżała zbyt silnie, by mężczyzna był w stanie zrealizować swój nagły zamiar w ciszy. Sznajder skoczył w stronę pryczy, a upuszczone przez niego klucze huknęły o podłogę. Chwytał nadgarstek niedoszłego samobójcy i wykręcił silnie – ostrze zdołało przeciąć jedynie materiał spodni. Witwicki jęknął, rozwierając palce. Brzytwa wysunęła się z nich powoli.

– Tak byłoby szybciej i taniej, Ignacy. – Jego schrypnięty głos z trudem przebił się do uszu Sznajdera. – Jedno cięcie wzdłuż tętnicy udowej i wykrawiłbym się w mgnieniu oka. W miarę czysto. Nie tak makabrycznie, jak na szafocie.

Sznajder oddychał ciężko, zgięty w pół. Mimo chłodu panującego w celi czuł pot występujący na czoło. Nie puszczał ręki Witwickiego i palce doktora stały się białe i zimne.

– Tak nie wolno. Nie panu o tym decydować – odezwał się przez zaciśnięte zęby. – Tylko Bóg...

– Bóg? – Witwicki spojrzał w poczerwieniałe oblicze funkcjonariusza. – Nie sędzia Nowakowski?

– Nie wie pan przecież, jak zadecyduje sędzia. Nic jeszcze nie przesądzone. – Sznajder mówił powoli, jednocześnie sięgając po brzytwę i puszczając nadgarstek chirurga. Wyprostował się, przesuwał wierzchem dłoni po czole. – Po to jest sąd. Świadkowie. Przecież...

– Ona nie żyje, Ignacy. Cóż tu zmienia świadkowie?

Strażnik skrzywił się, potrząsnął głową, a potem zdecydowanym ruchem sięgnął po mydło.

– Ogołę pana, zanim woda wystygnie.

Witwicki uśmiechnął się blade.

Podobnie uśmiechnął się miesiąc wcześniej, gdy patrzył na swoje odbicie w okiennej szybie, a do jego uszu dotarło skrzywienie schodów prowadzących na poddasze, służące mu naraz za gabinet i za mieszkanie.

Zegar wybił pół do dziewiątej. Doktor poczuł suchość w ustach. Drżały mu ręce wilgotne od potu, więc wytarł je wyciągniętą z kieszeni chustką, a potem sięgnął po szklankę z rżniętego szkła wypełnioną w jednej czwartej koniakiem i w kropił do niej zawartość przygotowanej wcześniej pipety. Opróżnił naczynie jednym haustem w chwili, w której jego goście mijali na półpiętrze Ignacego Sznajdera. Zmierzający do pracy mężczyzna ukłonił się uprzejmie i usunął na bok, by przepuścić elegancką parę. Ta krótka chwila na wąskim półpiętrze miała już niedługo stanowić dla niego źródło nieposłusznym głosowi rozsądku wyrzutów sumienia. Gdyby tylko w jakiś sposób mógł przewidzieć, jakie następstwa będzie miała ta – skądinąd zupełnie zwyczajna – wizyta, z całą pewnością by jej zapobiegł. A przynajmniej starałby się to zrobić. Jednak o poranku tamtego dnia nie mógł mieć żadnych podejrzeń, choć zimne, niemal wrogie spojrzenie, którym obrzucił go idący przodem mężczyzna, na zawsze miało utkwic mu w pamięci. Postępująca z tyłu kobieta z wysiłkiem stawiała kroki. Drobną dłoń w skórkowej rękawiczce zaciskała kurczowo na poręczy, a na jej szczupłej twarzy wyraźnie odznaczały się ceglaste rumieńce. Taki widok już dawno przestał zaskakiwać mieszkańców kamienicy przy ulicy Odrzańskiej, a jeśli Sznajder czemuś się dziwił, to tylko temu, że chora, miast być niesioną przez swego towarzysza, zmuszona jest pokonywać kolejne kondygnacje o własnych siłach.

Funkcjonariusz nie ruszył w dół od razu po tym, jak nieznamomi wyminęli go w swej wspinaczce na poddasze. Przyglądał im się na

tyle długo, by zauważyć, że mężczyzna nie obejrzał się nawet wtedy, gdy kobieta przystanąła na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. Ignacy stłumił w sobie chęć udzielenia jej pomocy – nie należało się wtrącać w sprawy obcych ludzi.

Mimo starań woźnych tłum wypełniający salę rozpraw brzęczał. Niezbyt głośno, lecz stale, a z jednostajnego szumu od czasu do czasu dało się nawet wychwycić pojedyncze frazy.

- ...musiało tak skończyć...
- ...diabelskie... mówię... na stos... ale teraz...
- ...dobry człowiek, każdego...
- Niepotrzebnie Bogu w drogę wchodzi!

Ten ostatni okrzyk sprawił, że ramiona oskarżonego drgnęły silnie. Doktor Witwicki zacisnął dłonie w pięści i wyprostował plecy, jakby mierzył się z zarzutem. Sędzia Nowakowski chwycił młotek i uderzył nim w blat swego biurka.

– Cisza! Przywołuję zgromadzonych do porządku! W każdej chwili możecie państwo opuścić salę!

Słowa te nie do końca były zgodne z prawdą. Sprawa – pierwsza prowadzona w tutejszym sądzie wedle nowoczesnych zasad – zbyt mocno dotykała opinii publicznej, by Nowakowski mógł sobie pozwolić na uczynienie z niej tajemnicy. Na szczęście groźba poskutkowała. Tłum powoli zaczął się wyciszać i zajmujący miejsce dla świadków Adrian Miler mógł wreszcie odpowiedzieć na pytanie prokuratora.

– A z jakiego powodu idzie się do lekarza? Żona niedomagala. Dręczyły ją gorączki. Nie mogła jeść. Chodziłem z nią od Annasza do Kajfasza, aż w końcu dotarłem i do Witwickiego, choć to przecież chirurg. – Pod wpływem płaskiego głosu Milera ostatni z szepczących milkli. – Ale skoro nikt nie potrafił stwierdzić, co jej dolega... Chwyciłem się myśli o tym cudotwórcy, jak go nazywają w towarzystwie, i w końcu, choć niechętnie, umówiłem sesję. Nie wybaczę sobie tego błędu.

Doktor Witwicki otworzył drzwi, nie czekając, aż rozlegnie się pukanie. Obserwował gości, gdy pokonywali ostatnie stopnie, a potem skinął głową i gestem zaprosił ich do środka. Przystanęli w przedpokoju, niezdecydowani. Kobieta – nieco w tyle – patrzyła na Hieronima spod opuszczonych rzęs. Z twarzy mężczyzny ani przez



chwilę nie znikał wyraz irytacji. Na zaciśniętej szczęce drgały mięśnie, gdy rozglądał się wokoło w oczekiwaniu.

Witwicki poczuł się rozbawiony.

– Będą państwo łaskawi zdjąć płaszcz – powiedział i zrobił krok ku pacjentce, by jej pomóc. Adrian Miler musiał radzić sobie sam; Hieronim nie zatrudniał lokaja. – Wieszak stoi w kącie za panem – wyjaśnił doktor, czekając, aż chora rozepnie guziki, zdejmie szal, którym okryła włosy, i zsunie rękawiczki. Wtedy wyminął jej męża, wciąż tkwiącego w bezruchu, zdjął okrycie z wątlých ramion, odwiesił i rzekł: – Pozwola państwo za mną. Przejdziemy do gabinetu.

Ruszył przodem, a po chwili za jego plecami padło tonem rozkazu:

– Idź, Katarzyno!

Witwicki otworzył drzwi i zatrzymał się z ręką na klamce. Katarzyna Miler podniosła na niego błyszczące gorączką oczy. Wydały się doktorowi jeszcze większe niż wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, a grymas, w którym wygięła usta, był jedynie mizerną namiastką uśmiechu, jakim go wtedy obdarzyła.

– Proszę, niech pani wejdzie. Tam za parawanem może się pani rozebrać. Nie mam niestety nikogo do pomocy... Może mąż pani...?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Poradzę sobie, doktorze.

– Czy to absolutnie konieczne? – Adrian Miler pozbył się w końcu płaszcz a i teraz dołączył do Witwickiego w progu gabinetu.

Katarzyna zatrzymała się w pół kroku. Czekwała.

– Obawiam się, że tak. – Chirurg potarł czoło. Palce znów miał wilgotne. – Jak przy operacji. Stosuję nieco inne metody, owszem, ale materiał sukni to taka sama przeszkoda dla moich rąk, jak dla skalpela. Oczywiście pani Miler nie będzie leżała na stole naga. Wystarczy odsłonić miejsce, w którym załęgła się choroba. Za parawanem znajdzie pani...

– A jeśli nie wiemy, gdzie się załęgła? – Miler uniósł rękę, jakby uciszał niesforne go ucznia.

Wdowa Plausch wypełniała miejsce dla świadków po brzegi. Można było odnieść wrażenie, że jeszcze chwila, a masywna barierka puści i kobieta rozleje się po sali niczym wzburzone morze. Ciemnobłękitna suknia kotwiczyła skojarzenie, które wbiło się w umysł sędziego i na krótki moment zablokowało odbiór wszelkich innych wrażeń.

– Rozmawialiśmy na przyjęciu wydanym przez magistrat zeszłego lata, tym u von Gaschinów. Doktor był tam jednym z honorowych gości. Wcześniej nie miałam okazji go spotkać. Rozumie pan – żelazne zdrowie! Nigdy żaden lekarz nie był mi potrzebny. A to zawsze przyjemność rozmawiać z kimś tak eleganckim! Musiałam potem sto razy powtarzać, co mówił i jak. Panie z kółka dobroczynnego nie dawały mi spokoju.

Nowakowski wiedział, że powinien przerwać wdowie. Mitygowanie świadków było jego prawem. Nie znalazł w sobie jednak potrzebnej po temu siły.

– Człowiek o złotym sercu. Można się śmiać ze starej kobiety, która używa wyświechtanych frazesów, ale to prawda. Tak się przejął losem biednej Katarzyny! Bo to przecież pan wie, pytał mnie pan już o to! – Kobieta rozłożyła wachlarz i machnęła nim parę razy. – Mam powtórzyć?

Jan Wejman, występujący w roli prokuratora, założył ręce na piersi i skinał głową.

Sędzia poprawił się na krześle, przyciskając mocniej plecy do twardego oparcia. Wiedział oczywiście, co teraz powie wdowa, pełna na równi dobrych intencji, jak potrzeby błysnięcia w środowisku. Nie było jeszcze w ich prowincjonalnym miasteczku sprawy w podobny sposób angażującej wyższe sfery. Nowakowski nie potrzebował słuchać tego, co już wcześniej zdążył przeczytać zanotowane drobnym pismem kancelisty. Zamiast tego skupił się na obserwacji podsądnego. Witwicki stojący na miejscu dla oskarżonych wyglądał naturalnie – skonstatował jedynie z odrobiną zdziwienia. Wszak doktor zawsze sprawiał wrażenie oddalonego od innych ludzi. Jakby osobnego. Pojedynczego. Teraz, w tej sali, niewidzialna zazwyczaj bariera po prostu zmateriałizowała się w postaci niewysokiej galeryjki.

– No i tak to było właśnie. Wypytywał o nią, o to, kiedy została żoną Milera, jak układa się ich pożycie, czy mają dzieci. Wyglądał na prawdziwie wstrząśniętego, gdy wspomniałam, że zdarzyło mi się widzieć siniaki na jej rękach. Ona była taka delikatna... Za delikatna na kogoś takiego jak Adrian. Stąd to jej słabowanie. Chorowita się przy nim zrobiła. Nie wiem, cóż on sobie wyobrażał, jak zabrał ją do doktora. Jak niby chirurg może pomóc na chorobę duszy?

– Będę wiedział – odparł Witwicki spokojnie, wciąż stojąc w drzwiach. Odwrócił się do Milera i począł wyjaśniać procedurę,

choć zwykle robił to nieco później. – Kiedy pańska żona położy się na stole, podam jej eter. Pani Miler usnie, a ja wezmę jej dłoń. Taki kontakt wystarczy, ażebym poznał źródło zagrożenia. Wtedy odsłonię tyle, ile będzie konieczne. Jestem lekarzem, panie Miler, ale jeśli to zapewnienie panu nie wystarczy, dodam, że kiedy proces już się zacznie, przestaję widzieć ciało leżącego na stole człowieka w zwykajny sposób.

Miler parsknął, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do gabinetu.

– Rozbierz się, Katarzyno.

– Za parawanem znajdzie pani prześcieradło, proszę się nim okryć i wtedy do nas wrócić – zdążył jeszcze powiedzieć Witwicki, nim kobieta posłusznie skryła się za obciążoną płótnem ramą.

Jej mąż tymczasem podszedł do stołu. Witwicki przygryzł wargę. Miał nadzieję, że Katarzyna Miler wybrała strój rozsądnie i faktycznie będzie potrafiła sobie z nim poradzić bez pomocy. Pierwszy raz odczuł niezadowolenie z braku pokójówki.

– A te narzędzia? – Adrian Miler wskazał palcem na metalową rynienkę, w której połyskiwały równo poukładane przybory chirurgiczne. – W jakim celu tu leżą?

– Czasem okazuje się, że sprawa jest na tyle błaha, że konwencjonalne metody wystarczą.

Zimne oczy Milera spoczęły na postaci Witwickiego. Jego czoło przecięła pionowa zmarszczka. Doktor czuł niemal fizyczny nacisk tego spojrzenia i z trudem powstrzymał się od dania kroku w tył.

– Rozumiem – odezwał się w końcu Miler. – Pośpiesz się, Katarzyno.

Kobieta nie odpowiedziała. Między mężczyznami zaległa cisza, którą zakłócał jedynie słyszalny zza parawanu szelest tafty. Witwicki uświadomił sobie, że jest nienaturalnie spięty. Zwykle kilkanaście kropli wyciągu mawkowego wystarczało, by uśmierzyć dolegliwości bólowe, jakich doświadczał, odkąd zaczął praktykować, a także odgonić niepokój, który nieodmiennie towarzyszył sesjom leczniczym. Tym razem objawy fizyczne zniknęły, lecz niejasne poczucie zagrożenia dręczyło umysł chirurga.

– Sąsiedzi wystraszyli się krzyków. Akurat byłem na obchodzie z posterunkowym Zolichem. Weszliśmy do mieszkania. Na stole w gabinecie leżała kobieta. Ładna i uśmiechnięta.

– Do rzeczy, posterunkowy Raczek.

– Doktor Witwicki siedział na podłodze oparty o ścianę. A tamten mężczyzna – Raczek kiwnął głową w kierunku Milera – stał nad nim z taką metalową jakby tacką i wykrzykiwał różne nieprzyzwoitości. Nie wiedziałem nawet, że eleganccy panowie znają takie słowa.

– Raczek... – W głosie Nowakowskiego pojawiła się nutka groźby.

– Proszę wybaczyć... – Czoło Gustawa Raczka przecięła się zmarszczek, gdy posterunkowy usiłował odnaleźć słowa zgubione pod wpływem reprimendy sędziego. – Jak podeszliśmy bliżej, to się okazało, że na tej tacce leżą różne nożyki, jakieś szczypce. Rzeczy, jakich używają lekarze do operacji. Upačkane krwią. A między nimi jeszcze coś. Na początku nie poznałem. Ale ten mężczyzna, Adrian Miler, zaczął krzyczeć, że doktor Witwicki zabił jego żonę, i wtedy zrozumiałem, że na tacce leży ludzkie serce.

– Czy krew była gdziekolwiek indziej?

– Tak, na ręce doktora i trochę na podłodze przy stole. Ale niedużo. Raczej jakby ktoś przesunął brudną ręką. Znaczący pewnie doktor.

– A na zułokach?

– Nie. Na zułokach nie. Ani kropelki. Żadnej plamki na tym prześcieradle, co nim była przykryta. Ona, pani Miler znaczący, w ogóle nie wyglądała na martwą, ale Zolich podszedł i sprawdził. Nie oddychała. Pan Miler krzyczał dalej, nie chciał się uspokoić, powtarzał w kółko, że doktor to morderca, i podtykał mi pod nos tę tackę. Omal się nie zrzygałem...

– Posterunkowy, proszę uważać na słowa, jakich pan używa.

Gustaw Raczek wzruszył ramionami i przestąpił z nogi na nogę.

– Ale tak było, panie sędzio.

– Dobrze, dalej.

– Dalej to już niewiele. Doktor Witwicki w ogóle się nie odezwał ani się nie ruszył, jak do niego podszedłem i pytałem, co się stało. No to dałem mu w pysk. Znaczący, uderzyłem go, nie mocno, otwartą ręką, żeby oprzytomniał. Wstał, pozwolił się skuć, a ja posłałem Zolicha po dorożkę, żeby go zawieźć na posterunek.

– Jestem gotowa.

Katarzyna Miler wysunęła się zza parawanu, ściśle owinięta w prześcieradło.

– Niech pani wejdzie na stół. – Witwicki odsunął się, robiąc jej miejsce. – Proszę użyć stopnia, do tego właśnie służy. A pan może usiąść na tamtym krześle. – Chirurg wskazał mebel stojący pod ścianą. – Byłbym wdzięczny, gdyby pan to zrobił.

Miler usłuchał bez słowa, a Katarzyna ostrożnie wspięła się na stopień. Biała stopa na chwilę wysunęła się spod zwojów materiału i Witwicki poczuł się jak podglądacz, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

– Kiedy przyszedł pan do mnie do szpitala umówić wizytę – rzekł, zmuszając się, by spojrzeć na Milera – mówił pan, że żona jest słaba, gorączkuje i dużo śpi. Czy od tego czasu coś się zmieniło? Jakies dolegliwości bólowe? Uciski? Duszności? Może chorobowe wykwyty na skórze? Sińce nieznanego pochodzenia?

– Nic z tych rzeczy. Ma tylko problemy z przyswajaniem pokarmu. Prawdę mówiąc, myśleliśmy, że znamy przyczynę, ale doktor Lubawski nie potwierdził naszych nadziei. Po co te pytania? Czy nie mówił pan, że będzie wiedział?

– Tak, oczywiście. – Witwicki wziął do ręki buteleczkę ze środkiem usypiającym, odkręcił ją i wylał zawartość na przygotowaną wcześniej chustkę. – Ale jeśli wiem mniej więcej, czego się spodziewać, wszystko odbywa się szybciej i mniejszym kosztem.

Adrian Miler przez chwilę obracał na języku kolejne pytanie, lecz w końcu zdecydował się go nie zadawać. Zamiast tego wykonał gest, w którym wyraźnie dało się dostrzec ponaglenie.

Pacjentka zdążyła się już ułożyć na stole, więc Witwicki nie zwrócił dłużej. Odszukał dłoń Katarzyny, czując za plecami niepokojącą obecność jej męża. Skupił spojrzenie na szeroko otwartych oczach kobiety – miał wrażenie, że dostrzega w nich znacznie więcej, niżby sobie życzył. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, przykrył nozdrza i usta chorej mokrą od eteru chustką. Nim Katarzyna odpłynęła w sen, ścisnęła palce chirurga do granicy bólu. Witwicki zamarł, pochylony.

– Czyli sugeruje pan, że doktor Witwicki wyjął serce z piersi pani Katarzyny Miler, nie zostawiając żadnego śladu?

Pytanie na chwilę zawisło w powietrzu, a sędzia Nowakowski wstrzymał oddech, uświadamiając sobie, że młody adwokat popełnił błąd.

Posterunkowy Zolich zmieszał się wyraźnie. Strzelił spojrzeniem w bok, w stronę przyglądających mu się członków ławy przysięgłych i siedzącego przed nimi Sznajdera. Potem podniósł wzrok na żyrandol i zamrugał pod wpływem światła rozszczępionego przez kryształowe sople.

– Zolich – wtrącił się prokurator. – Zadano panu pytanie.

– Tak. – Zolich zerknął na Hieronima Witwickiego. Na bladej twarzy chirurga wykwitły chorobliwe rumieńce. Oczy błyszczały gorączką. – Chyba tak. To właśnie... – posterunkowy zawahał się, zamilkł i dopiero pod wpływem ostrego spojrzenia Wejmana dokończył niemal szeptem: – mam na myśli... Przecież wiadomo, że to czarownik jest. Choroby z ludzi wyjmuje, jakieś wrzody różne, co rosną w środku i mogą zabić. To może i serce potrafi wyjąć?

Ciałem Witwickiego wstrząsnął dreszcz. Oskarżony oparł się na zacisniętych w pięści dłoniach, pochylił głowę.

Na sali po raz drugi tego dnia wszczął się gwar.

– Diabelska moc. Mówiłem, kiedyś stos był dla takich! Teraz to się lekko wywinie! Czarownik! Pomiot czarci!

– Teraz to czarownik, a jak wam teściową wyleczył, to czary nie przeszkadzały, co, Szmit?

– Ludziom pomagał! Różnic nie robił! Biedny czy bogaty, nie odmawiał. Jak kto pytał, ile płacić, odpowiadał: „Co łaska...”.

– A ja wam mówię, że tylko Bóg ma prawo decydować!

Głuche uderzenia młotka poniosły się ponad widownią.

– Cisza! Cisza, mówię! – Sędzia podniósł się i bez wytchnienia walił młotkiem w maszynę, szeroki blat. – Cisza!

Hieronim Witwicki zgiął się wpół. Nie potrafił już zapanować nad bólem, który rozrywał mu wnętrzności. Stojący pod drzwiami funkcjonariusz więzienny Ignacy Sznajder zaklął paskudnie, nie bacząc ani na powagę sądu, ani na obietnicę daną żonie.

– On potrzebuje leku...!

Hałas się wzmaczał, lecz doktor go nie słyszał. Zamknięty w bańce cierpienia, znów poczuł palce Katarzyny zaciskające się na jego własnych tuż przed tym, nim kobieta zasnęła po raz ostatni.

Ostry krzyk uderzył wtedy w chirurga naraz z zewnątrz i od środka. Wokół niego tańczył chłód. Z nim – strach i przymus, żal i wina. Ciemne smugi zagrożeń, lepkie i ohydne. A ponad tym wszystkim

paraliżujący wolę brak. Hieronim szukał i nie znajdował. Nie rozumiał tego, co widzi. Przestał wiedzieć, kim jest. Gubił przyczyny. Nie pojmował źródeł. Nie płynął, nie rozlewał się łagodną falą. Wiry wciągały go w otchłań, a potem wypluwały, by znów porwać w chaotyczny taniec. Dusił się i płonął, rozpadał i puchł. Wszechobecny nacisk sprasowywał jego mięśnie, gruchotał kości, wyciskał duszę z ciała. Prerażony do głębi swej dwoistej jaźni chciał się wycofać, kiedy na wpół świadomy dostrzegł pragnienie.

– Katarzyno!

Rozpaczliwy okrzyk Milera przywrócił mu przytomność. Doktor skulił się na podłodze, na którą upadł bezwładnie, kiedy stracił kontakt z pacjentką. Wciąż zaciskał palce na sercu Katarzyny. Czuł, jak powoli uchodzi z niego ciepło. Organ trzepotał coraz słabiej w jego skruawionej dłoni, aż w końcu zamarł. Do Witwickiego dotarło, co właśnie uczynił. Miotany dreszczami, zamknął oczy, skupiając się na walce z mdłościami. Adrian Miler, który zerwał się na równe nogi, gdy jego śpiąca żona wyprężyła się, a potem twardo uderzyła plecami o blat, załkał. Porwawszy ciało kobiety w ramiona, przytulił je do piersi i powtarzał w kółko jej imię, jakby łudził się, iż wypowiedziane odpowiednią liczbę razy nabierze mocy przywołania Katarzyny z zaświatów.

Witwicki zmusił się do otwarcia oczu i patrzył na nich, nie mając siły wstać. Prześcieradło okrywające plecy zmarłej zsunęło się odrobinę, odsłaniając sińce na jej ramionach. Na ręce chirurga zastygała krew.

Podeksycytowaną widownię trudno było uciszyć.

– Nie będę tolerował takiego zachowania! – grzmiał Nowakowski, czerwieniejąc na twarzy. – W tej chwili ma być cisza!

Sznajder przeskoczył przez barierkę oddzielającą widownię od reszty sali i podbiegł do Witwickiego. Nikt nie próbował mu przeszkadzać, gdy przytykał doktorowi do ust butelkę z ciemnozielonego szkła.

Sędzia Nowakowski nie przestawał uderzać młotkiem; jego głos stawał się coraz bardziej schrypnięty:

– Przypomnę wszystkim zgromadzonym, a zwłaszcza przysięgłym, że nie jesteśmy tu, aby ustalać, czy oskarżony Hieronim Witwicki wchodził w kompetencje boskie, czy może diabelskie! Jedyne, co interesuje sąd, to czy przyczynił się on do

śmierci Katarzyny Miler! I czy było to działanie przypadkowe, czy umyślne!

Wsparty przez Sznajdera chirurg wyprostował się. Jego zamglony wzrok spoczął na twarzy sędziego. Tłum wciąż szeptał, lecz gwar powoli zaczął się wyciszać.

Doktor Witwicki źle się czuł otoczony ludźmi. Nie chodziło o to, że był samotnikiem, który stroni od jakiegokolwiek towarzystwa, ale o to, że nadmiar go przytłaczał. Ludzie w grupach zdawali mu się groźni. Zajmowali się głównie obserwacją i wyciąganiem fałszywych wniosków z podpatrzonych fragmentarycznych gestów, zasłyszanych tu i ówdzie zdań pozbawionych kontekstu czy faktów przeinaczanych niezliczoną ilość razy, tak że ostatecznie nie miały już nic wspólnego z pierwotną prawdą, od jakiej pochodziły. Tłum był bestią, która kąsa, szarpie, przeżuwa, a w końcu wydala jałowe, pozbawione smaku resztki, podobne sowim wypluwkom. Tę jego właściwość Hieronim odkrył wcześniej, gdy jako dziecko pełnił funkcję maskotki na wtorkowych spotkaniach matron z towarzystwa swej babki. Gdy został studentem wrocławskiej Szkoły Chirurgów, pojął, że uczestnictwo w podobnych rozrywkach mu nie odpowiada – i tym samym, odrzucając rolę drapieżcy, na wpuł dobrowolnie zgodził się być ofiarą.

Było zatem oczywiste, że nim przyjął zaproszenie do pałacu Gaszyńskich, długo rozmyślał, a rozmyślaniom tym towarzyszyły liczne rozterki. W końcu jednak uznał, iż nie znajdzie sposobu, by się wymówić. Rozpuścił więc w lekkim alkoholu o parę kropel wyciągu mاکowego więcej niż zwykle, przelał miksturę do niewielkiej piersiówki i spóźniony w granicach przyzwoitości stawił się w pałacowym holu tuż przed godziną siódmą po południu.

Z miejsca porwała go ludzka fala i przez pierwszą godzinę przyjęcia nie zdołał ani na moment uwolnić się od życzliwych rąk wyciągających się do powitania, znacząco ściskających jego łokieć czy jowialnie poklepujących plecy. Potem nastąpiła chwila przerwy, gdy otwarto bufet, a tłum rzucił się na misterne stosy słodczy i półmiski konkretniejszych przekąsek.

Doktor wykorzystał ten moment i wycofawszy się ukradkiem, rozpoczął wspinaczkę po szerokich schodach spiralnie obiegających hol. Dotarł na ostatnie piętro, gdzie nie sięgało światło rozjaśniające



parter. Jego obecność w tym miejscu kłóciła się z poczuciem grzeczności – graf von Gaschin z całą pewnością nie życzyłby sobie gości w tej części pałacu. Hieronim nie przejmował się tym jednak. Oparty o ścianę odetchnął głęboko. Drżącymi rękami wydobyl piersiówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, pociągnął solidny łyk i zamknął oczy, czekając, aż tępy ból żołądka, który wygnał go na piętro, rozplynie się dzięki błogosławionemu wpływowi leku.

– Dobrze się pan czuje?

Głos, docierający do niego przez mglistą zasłoną roztoczoną przez laudanum był damski i zatroskany. Witwicki powoli uniósł powieki, a widząc, że faktycznie ma do czynienia z kobietą, odsunął się od ściany i wykonał nieco sztywny ukłon.

– Tylko zmęczony – odpowiedział na w pół zgodnie z prawdą. – Przykro mi, że panią wystraszyłem.

Kobieta była młoda i całkiem ładna. Doktor uznałby ją za piękną, gdyby nie ostro zarysowane obojczyki widoczne w dekolcie bladioróżowej, mocno rozkloszowanej sukni.

– Faktycznie wystraszyłam się odrobinę. – Przelotny uśmiech ozdobił trójkątną twarz, w której najwięcej miejsca zajmowały przejrzyste brązowe oczy. Kobieta wyglądała na wychudzoną i Witwicki odruchowo zaczął szukać w jej wyglądzie innych oznak choroby. – To byłaby wielka strata dla naszej małej społeczności, gdyby doktor Witwicki sam zapadł na jakąś nieprzyjemną przypadłość.

Hieronim także się uśmiechnął, nieco na siłę.

– Pani ma nade mną przewagę...

– Przepraszam! – Nieznajoma wyciągnęła ku niemu rękę. Dłoń ustawiona kciukiem do góry wyraźnie narzucała formę reakcji. – Katarzyna Miler.

Witwicki przez chwilę wpatrywał się w kremową rękawiczkę za piętą na pojedynczy guziczek. Potem uśmiechnął się po raz drugi. Tym razem nie potrzebował się zmuszać. Ujął palce Katarzyny Miler i uściśnął silnie. Wydawało mu się, że czuje przez śliski materiał ciepło ciała. Zafascynowany, przytrzymał dłoń odrobinę za długo. Kobieta lekko wspięła się na palce. Stuknęły obcasu, a wtedy Katarzyna wciągnęła gwałtownie powietrze i uciekła spojrzeniem – jeszcze przed chwilą pewna siebie i swobodna, nagle zmieniła się w kogoś zupełnie innego.

– Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny. – Witwicki pozwolił kobiecej dłoni wyslizgnąć się z uścisku i zrobił krok w tył.

– Nie, nie. To moja wina...

– Wina...? Ależ nie znajduję w pani zachowaniu nawet śladu winy...

Przecież...

Przerwała mu, potrząsając gwałtownie głową.

– Zawsze robię coś głupiego, a potem żałuję. I jeszcze mieszam w to innych. Naprawdę, czasem mi się wydaje, że takie osoby jak ja nie powinny zabierać miejsca na świecie.

– Ależ...

Witwicki nie zdążył wyartykułować zaprzeczenia. Na schodach rozległy się kroki. Ten, kto wspinał się ku ich wspólnej kryjówece, nie starał się być cicho. Oczy Katarzyny rozszerzyły się. Kobieta postąpiła krok do przodu, potem, nagle zmieniając zdanie – w bok, częściowo chowając się w cieniu. Jakby nie wiedziała, czy może próbować ucieczki, czy też pozostało jej już tylko stanąć naprzeciw niebezpieczeństwa z podniesionym czołem. Doktor obserwował te manewry, kojarzące mu się z ptakiem schwytanym w pułapkę, na równi zaciekawiony, co zdziwiony.

Wkrótce wszystko stało się jasne – na galerię wspiął się mężczyzna. Wysoki i przystojny w sposób, który wydał się Witwickiemu groźny.

– Katarzyno! Co ty tu robisz?

Katarzyna zbladła; palce prawej dłoni, które jeszcze przed chwilą ścisnął z takim zaangażowaniem Hieronim, zwinęła w pięść.

– Chciałam przez chwilę odpocząć, Adrianie. Tam na dole panuje gorąco i ten hałas...

– Zniknęłaś bez słowa. – Mężczyzna wyciągnął rękę i Katarzyna posłusznie podała mu swoją. – Doktor Witwicki, jak mniemam? – Chłodny wzrok obcego spoczął na Hieronimie, który lekko skinął głową. – Adrian Miler, mąż Katarzyny, którą, jak podejrzewam, pan poznał.

– Miło mi – skłamał Witwicki, czując zalewającą go nagłą falę złości i kolejny atak bólu, tym razem zlokalizowanego tuż poniżej mostka.

Miler nie odpowiedział. Ruszył w dół, ciągnąc za sobą Katarzynę. Kobieta – najwyraźniej skupiona na przytrzymywaniu krynoliny – nie obejrzała się za siebie.

Witwicki podszedł do kamiennej poręczy i wychylił się ponad holem. Nie spuszczał wzroku z dziwnej pary, dopóki nie zniknęli

w drzwiach prowadzących do sali balowej. Potem podniósł dłoń do czoła i odetchnął głęboko. Piersiówka jakby sama znalazła się w jego rękach. Tym razem nie ograniczył się do jednego łyku, lecz opróżnił buteleczkę do dna.

Tego wieczoru po raz pierwszy w pełni świadomie wziął udział w tym, co nazywał ucztą drapieżników. Oczekawszy chwilę, póki lek nie zacznie działać, zszedł na dół i zajął się obserwacją państwa Milerów. Wzrok Adriana, grymasy Katarzyny, gesty, pojedyncze słowa wybijające się ponad gwar, ustawienie głowy, stopy, skręt szyi. Wszystko wydawało mu się o czymś świadczyć. Każdy drobiazg nabierał cech dowodu.

– Biedna Katarzyna – usłyszał za plecami, gdy pani Miler wybuchnęła wyjątkowo głośnym śmiechem po jakimś słowie swego męża, który patrzył na nią teraz pobłażliwie. – Biedne dziecko...

Hieronim odwrócił się powoli. Za nim stała dama z burzą niedbale upiętych siwych włosów, ubrana w strojną suknię na największej krynolinie, jaką kiedykolwiek widział.

– Tak, doktorze. – Dama najwyraźniej знаła go, tak samo jak Katarzyna, choć on był pewny, że żadnej z nich wcześniej nie spotkał. Częsty problem osób, o których, jak o nim, mówi się w towarzystwie. – Adrian Miler to surowy człowiek. Każda miałaaby z nim ciężko. Pech chciał, że wybrał właśnie Katarzynę.

Nowakowski usiadł.

– Czy chciałby pan jakoś uzupełnić relację świadków? – spytał po chwili, wpatrując się w oskarżonego z nadzieją. – Dodać coś od siebie?

Witwicki uniósł dłoń do oczu, jakby chciał odgonić od siebie resztki złego snu, a potem odpowiedział powoli, z wysiłkiem artykułując słowa:

– Nie mam nic do dodania, wysoki sędzie.

Patrzył przy tym nie na Nowakowskiego – który wiedział już, że uchronienie doktora od szafotu nie leży w mocy prawa – lecz na Adriana Milera.

\*\*\*

– Dlaczego, Ignacy?

Stukot kopyt, skrzywienie rzemieni i wiatr wdzierający się pod budę starej dwukółki zagłuszył pytanie doktora. Witwicki szarpnął

Sznajdera za rękaw palta i dopiero gdy ten na niego spojrział, powtórzył pytanie:

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”? – Czoło Ignacego przecięła pionowa bruzda. Mężczyzna patrzył na doktora ze szczerym niezrozumieniem. – Wolniej, łobuzy. – Pociągnął lekko lejce. – Aż tak szybko nam nie trza, za długo byśmy w tym Kędzierzynie czekali. O co pan pytał, doktorze?

Witwicki potrząsnął głową. Rozmowa podczas jazdy nie miała sensu. Opatulił się mocniej pledem, wciąż jeszcze pachnącym tanią wodą toaletową Magdy Sznajder, i zajął się liczeniem przydrożnych drzew. Równy szpaler lip wyznaczał granice traktu do Kozła i pomagał Witwickiemu nie myśleć o tym, że najwyraźniej jeszcze nie przyszedł dlań czas upragnionego spokoju.

Kiedy Sznajder tuż przed świtem wszedł do celi i kazał mu wyciągnąć ręce do skucia, Witwicki był pewien, że oto udaje się na swój ostatni spacer. Nie bał się. Przepęniało go zmęczenie i ulga tak silna, że niemal euforyczna. Jednak ledwie wyszli na wewnętrzny dziedziniec i doktor zobaczył dwukólkę, targnęły nim wątpliwości. Chciał protestować, lecz powstrzymał się przez wzgląd na Ignacego. Posłusznie otulił się w podane palto i patrzył, jak funkcjonariusz robi to samo.

Kajdany Sznajder zdjął mu za Rudnikiem. Zatrzymał na chwilę dwukólkę na pustej drodze i mocując się z opornym zamkiem, jednocześnie opowiadał, jak to sędzia Nowakowski zagadnął go po mszy i co obaj uradzili. Witwicki słuchał, zbyt oszołomiony, żeby zadawać pytania. Ignacy pokazał mu jego własną torbę lekarską, zapakowaną przez Magdę Sznajder pod dyktando męża, w której znalazły się według słów funkcjonariusza wszelkie narzędzia chirurgiczne, jakie byli w stanie znaleźć w mieszkaniu doktora, zapas laudanum, ubranie na zmianę i nieco pieniędzy ofiarowanych przez Nowakowskiego.

– Powie pan, czy ma pan coś gdzie ukryte, to znajdę i przywiozę do Wrocławia. Pomyśli pan, gdzie i kiedy się spotkamy, a zanim pociąg odjedzie, pan mi powie. Bilet ja panu kupię. Sędzia Nowakowski powiedział, że tak bezpieczniej, w razie gdyby któryś z tych, co im pieniądze dał, żeby o pańskiej śmierci świadczyli, jednak się wygadał. Przebierze się pan na stacji, szkoda, że umyć się nie ma jak. No, łobuzy, wiasta!

Poza tą jedną próbą zagajenia rozmowy Witwicki się nie odzywał, dopóki nie przejechali przez most zbudowany w cieniu kozielskiej twierdzy. Sznajder zebrał lejce i konie zwolniły.

– Magda zrobiła panu wałówkę. Pewnie pan głodny. Już tylko kawałek, pojedziemy wolniej, jest okazja zjeść. W torbie na wierzchu ma pan kiełbasę i chleb. I ciasto z rodzynkami, takie jak pan lubi.

Doktor nie czuł głodu, jednak by zająć czymś umysł, sięgnął do zamknięcia torby. Pytanie, na które nie uzyskał odpowiedzi, wracało, wwiercając się w jego mózg. Potrafił sobie wyobrazić, co pchnęło mężczyznę do podjęcia ryzyka. Kiedy pytał: „Dlaczego?”, nie tego chciał się dowiedzieć.

– Nie powinniście tego robić.

– Nie powinniśmy! Akurat! – Sznajder nie miał kłopotu ze zrozumieniem, o czym mówi chirurg. – Właśnie że powinniśmy. Większość, co tam była na tej sali, jak wyrok ogłaszali, powinna.

– Nie, Ignacy! Nie masz racji. – Witwicki włożył z powrotem do torby zaledwie przed chwilą wyciągnięte zawiniątko mocno pachnące czosnkiem. – Rację mają ci, co mi zarzucają, że wchodzę Bogu w drogę.

– Bzdury! Każdy lekarz, jak leczy, to wchodzi. – Sznajder patrzył przed siebie, Witwicki widział, jak pulsuje żyła na jego szyi: coraz szybciej, w rytm wypowiedzianych przez mężczyznę słów. – Tylko pan umie na każde paskudztwo zaradzić, i to od ręki.

– Nie każdy lekarz jest przeklęty...

– To nie żadne przekleństwo, dostał pan dar, jak ci święci, co się do nich matka Magdy modli! – Ignacy spojrzał na niego z irytacją. – Niechże pan przestanie gadać głupoty i je. Po nocy kobieta nad ciastem siedziała!

Witwicki potrząsnął głową.

– To nie tak, zupełnie nie tak... Ja nie mam... – Urwał i podniósł obie ręce do czoła. Oddychał ciężko, uciskając skronie. – Ja nie mam dość siły...

Ciężka dłoń Sznajdera opadła na plecy doktora w nieco kanciastej próbie pocieszenia.

– Ja wiem, ja przecież widziałem, co się z panem działo po tym, jak Magdzie tego usypiacza dałem. I wiem, jak pan za każdym razem choruje. Myśli pan, że nie widać, jak pan ledwo po schodach idzie?

– Nie! – Witwicki przerwał zniecierpliwiony. – Nie o to mi chodzi. Ja ją zabiłem. Rozumiesz? Zabiłem i chciałem zabić! To nie

wypadek. Chciałem, bo ona tego chciała, nie byłem w stanie działać samodzielnie! Czułem radość, przez ułamek chwili czułem radość, że od niego uciekła, rozumiesz? Ktoś taki jak ja nie powinien zabierać miejsca na świecie!

Słowa zawisły w mroźnym powietrzu, niemal krystalizując się między mężczyznami. Sznajder zaciskał palce na lejcach, a jego szczeka drgała nerwowo. Witwicki oparł łokcie na kolanach, czoło złożył na wyciągniętych dłoniach. Ból pulsował mu w piersi i w skroniach. Na języku czuł gorycz żółci. Dwukółka mijała kolejne domy. Jej pasażerom przyglądały się kobiety dźwigające wiklinowe kosze z zakupami. Okrzykiwały ich dzieciaki, które zrobiły sobie ślizgawkę z zamarznętego rynsztoka. Rudy pies gonił za nimi przez chwilę, jazgocząc i próbując chwycić zębami końskie pięciny, aż któryś z dzieciaków zagwizdał i zwierzak pobiegł z powrotem.

Ignacy Sznajder mamrotał coś pod nosem przez zaciśnięte zęby, a gdy spomiędzy budynków wyłonił się kędzierzyński dworzec, nie patrząc na doktora, rzekł głośno:

– Wiesz pan, że Nowakowski płakał, jak mi dawał pieniądze? Nie, że ryczał jak baba, ale oczy miał mokre i wcale mu się nie dziwię, bo mnie też miękko się robi na myśl, że mogliby panu za moją Magdę, za wnuczka Nowakowskiego, za teściową Szmita i za całą resztę toporem odplacić. Ją jedną pan zabił, a ilu wcześniej wydarł śmierci? Dojedziemy i kupię panu ten bilet. Wchodziłeś pan Bogu w drogę, tak? To dziś ja wszedłem. I moja Magda, i Nowakowski. Ale nie będziemy wiecznie stać. Nie da się. Kupię panu ten bilet i odjadę. Wtedy zrobisz pan, co będziesz chciał.



**Jesion Kowal** – rocznik 1974. Pierwszy raz w Śląskim Klubie Fantastyki około 1985 roku, ma jeszcze odznakę. Filolog angielski z wykształcenia, a z przekonania poeta, prozaik, gitarzysta freeform, od wielkiego dzwonu tłumacz. Jego opowiadanie „Kolce” ukazało się w kwietniowej odsłonie magazynu „Sofa”, a „Nieswoi” jest przyjęte do druku w „Nowej Fantastyce”. Najbardziej przejmuje się losem bohaterów Joyce’a, Becketta, Franka Herberta i R. Scotta Bakкера. Lubi konstruować neologizmy i grać dźwięki spoza gamy. „Kary i żywioły” to jego próba naprawy niesprawiedliwego losu kilku postaci, które Szekspir potraktował per noga.



Jesion Kowal  
**KARY I ŻYWIOŁY**



*Idź więc i wolność daj im, Arielu.*  
William Shakespeare (tłum. Leon Ulrich)

## I.

Jak na czternastoletniego półdzikusa i półsierotę przystało, Kary – Karian Sykora – najbardziej lubił spędzać czas poza domem. Apatycznej pani Sykorze było w zasadzie wszystko jedno, choć resztki matczynej opiekuńczości kazały jej stawiać warunek: ma się bawić koło bloku, żeby w każdej chwili można było go zawołać. Kary zgadzał się bez szemrania. Czytać można było równie dobrze gdzieś na lokalnej ławce lub na drzewie, a zabawy w okolicy bloku dawały okazję, aby poprzyglądać się temu i owemu z tego czy tamtego piętra. No i przyglądał się. Pannie Annie z parteru, państwu Eustachom (a zwłaszcza ich córce Irabelli) czy chromemu panu Cząstkowi. Przyglądał się też panu Rospro, pisarzowi. Nie było to łatwe.

Pan Rospro nie był człowiekiem szczególnym. Wręcz przeciwnie, był bardzo ogólny. Do tego stopnia, że wręcz rozmazany; przemykał po klatce nie *jak gdyby* chciał być niewidzialnym, ale po prostu *chcąc* być niewidzialnym. To się czuło. Zamiast chwycić poręcz jakoś porządnie, ślizgał się po niej i to ledwie końcami palców. Gdy było zimno i wszyscy bez wyjątku chodzili w grubych kurtkach, pan Rospro starał się w ogóle nie machać rękami, żeby nie szeleścić. W trakcie rozmowy, zwykle pospiesznej i odbywanej w bliżej nieokreślonym zakłopotaniu, zamiast w oczy, patrzył na usta, jak duch skrycie głodny ciała. Czy skłonnością do istnienia jak najmniej, jak najmgnieniej można się w ogóle wyróżnić? Wszyscy mieszkańcy bloku – nawet Kary, zupełnie prywatnie i do siebie – zgodnie twierdzili, że był najogólniejszym człowiekiem, jakiego w ogóle w życiu widzieli. A widywali go regularnie.

Bo też wiecznie trzeba było coś napisać.

Blok emanował jakąś tępą wolą przetrwania. Kiedyś tkwił tu jeden jedyny: centrum okolicznej krainy hałd i antycznych ruin ogródków działkowych. Potem jednak powstałe nieopodal osiedle zdetronizowało go i wyгнаło na obrzeża. Tamte budynki też były szare, lecz ich szarość była inna, gładsza; teraz, po ćwierćwieczu, i one były stare, lecz ich starość była dziarska. Nie miała zamiaru prowadzić ku

rozsypce. Pojedyncze, niskie dekoracyjne drzewokrzewy wokół nich zawsze wyglądały na świeżo malowane.

Koło wygnanego bloku często widać było tylko mniejsze lub większe rozkopy. Remont tej czy innej instalacji, kładzenie nowego chodnika, tu i ówdzie tynkowanie, prace ogródkowe, a wszystko to niemrawe i zarzucane wcześniej, niż dyktowałyby to rozsądek oraz przewidywane sto, a nawet dziewięćdziesiąt procent normy. Budynek wyglądał przez to jak wiecznie łatanе monstrum. Wieczorami przemykały wokół niego zdezelowane szczury.

W środku też nie było lepiej. Na drzwiach windy co dwa-trzy tygodnie pojawiał się dziwnie dwuznaczny napis AWARIA NIE KURSUJE, czarny w dni powszednie, a w weekendy niebieski i wydęty nadzieją jak maryjna suknia. UWAGA LUŻNA PORĘCZ co chwila i na nowo trzepotało na schodach między trzecim a czwartym piętrem, skąd co chwila i na nowo zrywane było przez przeciąg z najbliższego okna. To z kolei otwierane było mimo KLAMKA ZEPSUTA NIE OTWIERAĆ oraz PRZECIĄG TWÓJ WRÓG, które wisiąły równo łeb w łeb i tak samo równo były ignorowane. I tak dalej, i tak dalej, a wszystko to wypisane chwiejnymi, kulfoniastymi literami. Tablica ogłoszeń za to obwieszona była kartkami maszynopisu. Równe litery wyglądały schludnie jak pismo techniczne na paradnym przemarszu przez papier milimetrowy.

Budynek nigdy nie wydawał się specjalnie wysoki; raptem kilka piętér, żaden tam wieżowiec. A jednak pewnego poniedziałku okazało się, że jeśli zlecieć z samego dachu, można całkiem skutecznie skrócić kark. Ta właśnie sztuka udała się niejakej Wosiowej.

Nikt nie podejrzewałby, że to się może powieść. Na dach prowadziła drabinka, a Wosiowa miała przecież swoje lata i swoje kilogramy. Ale czego z człowiekiem nie zrobi wola.

Rzecz jasna, wszyscy skrycie wiedzieli, że Wosiowa, wdowa po pułkowniku AK – wedle złośliwców, po pułkowniku Zembatce – miewa stany depresyjne i wielu rozmawiało z nią z automatycznie sterowanym, plastikowym uśmiechem, bo i po co jej dokładać. Sama też jakoś zdawała sobie z tego sprawę, raz lepiej, raz gorzej, ale do lekarza nie zgłosiła się nigdy. Bojąc się łątki (*to ta psychiczna!*), dzielnie nadrabiała miną i krzątała się wszem i wobec, pozornie buchając tą samą energią, co jej bulgotliwe garnki.

Oprócz gotowania jej żywołem było również pranie. Prała co drugi dzień, a że sama nie nadążała z brudzeniem, często pożyczala brudne rzeczy od sąsiadów. Tego sezonu zaczęła wyższym niż normalnie głosem utyskiwać, że ma już dość tego rozwieszania u siebie, że tapety już odłóżą z tej wilgoci, i nic tylko w domu te sznury, i że wiecznie to lawirowanie i lawirowanie (pułkownik był człek odczytany i się wysławiający, a poza tym to słowo łatwo było zapamiętać pracce), i że przydałaby się tu jaka suszarnia. Może na dachu? Gdzieś między tymi zasiekami anten i kominami na pewno dałoby się rozwiesić. Zastanawiała się tak na głos w trakcie rozmów z sąsiadami przez jakiś czas. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym wylazła, niemal cudem, na ten dach. Wylazła niby tylko sprawdzić, rzucić okiem; wylazła po tej drabince pepoż, która wystaje jak wręgowana żyła z chropowatej skóry bloku po jego ślepej, północnej stronie.

Wylazła.

I zleciała.

I wbrew temu, co sugerowałyby jej tusza oraz wiecznie niedopięta, podchełstana podomka w mięsiste koniczyny, zleciała wcale nie ciężko i workowato, ale statecznie i z godnością, jak anioł cierpiący na *elephantiasis*.

Pierwszy oczywiście zauważył całe zajście Kary.

Ze dwieście metrów od ślepej, tylnej ściany bloku rosły drzewa; duża kępa lub mały zagajnik. Kary lubił wspinac się po pniach, a kornary były mu miłsze niż ławki, więc najczęściej spędzał czas właśnie tam. Tego dnia siedział na swym ulubionym potężnym grabie i rozmawiał ze swoim przyjacielem Arim.

Ari ewidentnie mieszkał w środku tego grabu, bo ani na moment nie pojawiał się na zewnątrz. Poznali się ze dwa miesiące wstecz, ale Kary jeszcze o to nie zapytał. Przyjął, że Ari sam mu powie, gdy nadarzy się odpowiednia okazja, tyle że okazja jakoś nie chciała nadejść. Raz już-już miał spytać matkę – może zetknęła się kiedyś z czymś podobnym? – lecz prędko wytłumaczył sobie, że matka i tak najczęściej go nie słyszy. Zresztą o co chodzi? Ari był dobrym przyjacielem. A że specyficznym? Co komu do tego.

Ari właśnie opowiadał o tym, jak drzewo wygląda od środka i co można wyczytać w słojach. Gdy Wosiowa wykonywała swój treściwy lot, Kary jakoś instynktownie podniósł na momencik wzrok...

PLAST.

Widząc, że coś walnęło w ziemię u podnóża bloku, Kary przestraszył się.

Mimo to powoli zlął.

I podkradł się trochę bliżej, by się przekonać, co to.

Potem jeszcze bliżej, by się przekonać, kto to.

Zaraz potem wrócił w te pędy na drzewo.

Gdy Ari usłyszał, co się stało, na dłuższą chwilę ucichł. Po nieprzerwanym dotąd potoku słów i obrazów jego milczenie wydało się niemal uroczyste.

– I co teraz? – spytał Kary lekko drżącym głosem. – Co robimy?

Ari milczał jeszcze chwilę, potem hmknął raz i drugi, aż w końcu powiedział, że sam też chętnie by zlął i zobaczył. Kary, zaaferowany wypadkiem, nie od razu uświadomił sobie, że nadarza się idealna okazja. Ale w końcu zaskoczył.

– A jest coś, co przeszkadza ci stamtąd wyleźć? – spytał ostrożnie.

Ari zaśmiał się jakoś dziwnie.

– Jak by to powiedzieć? Trochę tu utknąłem.

Po prostu utknął. Oczywiście. Kary poskrobał się po nosie.

– To dawaj rękę – powiedział oczywistym tonem. – Może się uda jakoś wspólnie.

Ari wyciągnął rękę. Była blada, a w dotyku o wiele za lekka. Dziwnie to wyglądało, taka ręka wystająca z dziupli, ale Kary złapał i się zaczęło. Zasapali się okrutnie. Wreszcie po bardzo długim kwadransie usiedli na konarze ramię w ramię.

– To co, idziesz zerknąć? – spytał Kary, ciągle jeszcze dysząc.

Ari wyglądał blado i miał dziwne oczy. Chyba był zadowolony, chociaż cały się trochę trząsł. Powiedział, że jednak tu posiedzi, bo mu strasznie noga zdrętwiała. Jedna i druga.

– Ale coś z tym trzeba zrobić – powiedział Kary, usiłując powachlować się zerwanym liściem. – Kogoś zawiadomić, albo co.

Ari syknął. Niechże Kary trochę pomyśli. W końcu ktoś tamtędy przejdzie, prawda? Przejdzie, nadzieje się na trupa i przestraszy się, no nie? Tu Kary się wreszcie zorientował. O, na pewno się przestraszy! Ale będzie miał minę! Albo miała! I o to chodzi, sekundował mu Ari. Może nawet dostanie zawału? Wtedy będzie jeszcze ciekawiej! I dwa trupki, pac, do kupki! Jakby się tak uzbierało, może trafiłoby tę wredną Ryjek? Albo tę czarownicę Sy... Tu Ari zamilkł i popatrzył na Karego, ale ten, przejęty, nic nie zauważył. O! – wykrzyknął,

Eustachego! Jakby było super... No nic, pewnie aż tyle szczęścia żaden z nich mieć nie będzie. Ale poczekać można i trzeba; taka sytuacja nie zdarza się co dzień. Tej tam już nic nie zaszkodzi.

Czekali naprawdę długo, co Kary uznał za dziwne. Tylko ta stro-  
na budynku miała ciągły chodnik – krzywy bo krzywy, ale jednak.  
Prowadził do trzech wielkich kubłów na śmieci, odętych karaluchów  
o odsuwanych odwołokach, którym ktoś utracił nogi, a do kikutów  
przyspawał kółka. I akurat nikomu z całego bloku nie chciało się  
wyrzucić śmieci, nikt nie chciał się wyrwać na ukradkowego papie-  
rosa. Dziwne. No, ale Kary dziwić to się umiał pierwszorzędnie. Ari  
wcześnie rozpoznał tę cechę i podsyczał jego skłonności naturalne,  
mawiając, że dziwić się należy, ile wlezie, bo jak człowiek przestaje,  
to się nagle robi dorosły. Ari był co prawda nieco starszy, ale w dzi-  
wieniu się trudno go było przebić. Więc dziwili się obaj.

I czekali.

Wreszcie zza węgła wychynął pan Cząstek. Raz-dwa, raz-dwa,  
przeszedł kilka nieświadomych niczego i niesymetrycznych kro-  
ków, z których jeden, z nogi sprawnej, był normalny a drugi, z nogi  
szytwej, napędzany jak kołem zamachowym wprost aż z biodra.  
Przeszedł ręka w rękę ze swym małym czerwonym wiaderkiem jak  
z piaskownicy, z którego zawsze, ale to zawsze musiało coś wysta-  
wać. Przeszedł... i zobaczył ciało.

Wtedy wszystko przyspieszyło.

Pan Cząstek wryty, potem machający niemo rękami i znikający  
za rogiem, by za moment wrócić z tym jak mu tam z piątego pię-  
tra. Potem pani Antonowa Eustachy, też niby trzepotliwa, ale jakoś  
tak bardziej ożywczo. Mały tumult na czterech metrach kwadrato-  
wych, w pewnej odległości od, rzecz jasna. W ciągu paru gęstych  
minut wyczekiwany przez wszystkich sygnał, eo!–eo!–eo! i tu nagła  
zmiana: płynne przejście w akt drugi, taniec wokół zakrytych noszy,  
oszczędny w gestach balet mundurowych z kombinezonowymi, tro-  
chę z lewej, trochę z prawej i ostatnie już podrygi, wreszcie pas! Jako  
w niebie, tak i na ziemi, amen, kogut, odjazd.

A gdy już wszyscy pojechali:

- Pisz pan – zaczął władczo pan Eustachy. – Zawiadamia się...
- Z żalem zawiadamia się – wtrąciła pani Ryjek, która stała obok  
niego.

Delegacja lokatorów znajdowała się w dużym, bo jedynym, pokoju kawalerki na ostatnim piętrze. Tu właśnie mieszkał pisarz, pan Rospro. Wzdłuż jednej ściany stała brązowa, lakierowana szafa, a do jej boku przytykała ciemnopłuszowa, wyświechcona, sprężyniasta wersalka o grzbiecie zdechłego bizona. W głębi pokoju sterczał fotel. Szerokotorowe sztruksowe obicie niewyraźnie widać było w zaciągniętych kataraktą drzwiach szafy.

Po drugiej stronie stało maszynne biurko: pojedynczy, wielki, sflaczały kosmek wypuszczony w tym miejscu przez oślizgłą od lampy i uzólkłą od nikotyny ścianę. Lampa świeciła tylko jedną z dwóch żarówek, zwracając ku wszystkim swój niesparalizowany profil. Powietrze jak tchnienie insektoidalnego boga urzędów; łączony wyziew materiału ludzkiego i biurowego.

– Z żalem, tego... iż szanowna pani Woś Stanisława...

– To ona była Stanisława? – zdziwił się pan Cząstek i wznosił brwi do nieba niczym ręce.

Na czole pana Eustachego wystąpiła bruzda.

– Stanisława, ur dn data urodzenia i zamieszkała w...

– No i patrzcie państwo, jak na każdego przychodzi – zadumała się panna Anna.

– He! – radośnie wyrwało się dzidzi na ramieniu pani Ryjek.

Lokatorzy otaczali biurko półkolem: panna Anna w swym kuskym płaszczku zgarbięta po drodze na górę przez pana Cząstka; dalej pani Ryjek z małościem; państwo Eustachowie, których dało się od siebie odróżnić głównie przez jego wąsy i jej biust; na końcu przy szafie zwałistocichy pan Grylo. Za biurkiem siedział pisarz, zgarbiony, niemal skulony za swą maszyną. Ruchliwe brwi pana Cząstka wznosiły pod sufit swój niemy lament, a pojedyncza, gruba bruzda na czole pana Eustachego wyglądała, jak gdyby chciała wszystkich opluć.

– Woś Stanisława, lokatorka zam w lokalu nr dziewięćdziesiąt... – kontynuował rozdzwonnym, mosiężnym głosem pan Eustachy. – Zgon śmiercią tragiczną...

– Jezus, Stachy, nie kracz! – ofuknęła pana Eustachego pani Eustacha.

Pan Eustachy rzucił małżonce ciężkie spojrzenie i zwrócił się znów na wprost. Głos rozdzwonił się ponownie.

– Tragiczną, dn takiego a takiego bieżącego miesiąca... roku nie trzeba, kropka.

– Nieotuleni – dodała pani Ryjek, nagle rozsiąkana.

– Jacy?

Pytanie pana Cząstka zginęło w dźwiękach: głośnie ślipsisłip panny Ryjek, bzzz-pac muchy o klosz lampy, stik-stuk stawonogi maszyny o papier.

– Nie tu chyba razem – wtrąciła panna Anna, która miała magistra. Obciągnęła i wygładziła swój kusy płaszczyk; brązowoprzejrzysty guzik cienko szklitnął o aluminiową klamrę paska.

– Jacy? – spytał (i zaraz się rozkaszłał) pan Grylo. Jego dyskant uwielbiał wprost naigrawać się z jego żelazowej woli i formy ochroniarza.

– Nieotuleni – zdziwionym tonem powtórzyła pani Ryjek. – No co też państwo?

Zapadło zakłopotane milczenie. Pan Cząstek i pan Grylo popatrzyli na siebie i zaraz zaczęli udawać, że nic takiego nie miało miejsca. W szybkiej, opadającej kadencji ucichł stukstukur maszyny. Mucha przeszła centymetr w jedną i centymetr w drugą stronę i zastygła w muszym odrętwieniu.

Wreszcie pisarz chrząknął, ledwie ledwie, przesunął papier w odpowiednie miejsce i nerwową serią myślników jął wykreślać...

Zza szafy wychyliła się głowa Karego.

– Nieutuleni – powiedział, akcentując pierwsze „u”. – Dwa razy u zwykłe. Nieutuleni w żalu zet z kropką przecinek i od nowej linii rodzina i sąsiedzi, może być z dużej. Choć w tym przypadku raczej tylko sąsiedzi.

Do pana Eustachego dotarło, że znów słyszy stukanie. Zatrzęsło nim. W niemym oburzeniu popatrzył na pisarza. Ten skulił się jeszcze bardziej, ale stukać nie przestał.

– Ceremonia pogrzebowa er zet odbędzie się dnia zostawić miejsce bieżącego miesiąca zet z kropką w zostawić miejsce – dyktował dalej Kary. – Od nowej linijki: obecność nieobowiązkowa nie razem kropka. Jeszcze raz od nowej i na środku z dużych liter: er kropka i kropka pe kropka stop. Skrót wystarczy.

Pisarz, niemal chowając się za maszyną, dokończył: buch-pac, buch-pac, buch-pac. Pan Eustachy odzyskał mowę i nie czekając, aż



przebrzmi echo szczególnie dobitnie wyartykuowanych kapitalików, zacisnął pięść i rozsierdził się jak chan na stołku polowym.

– Karian! – ryknął. – Ty bezczelne nasienie! Jużes se nagrabił, mało ci jeszcze? Będziesz się teraz jeszcze wymądrzał i utracął? Ozesz ty, jak ja cię dorwę!...

I zaczął się przeciskać w stronę przejścia między biurkiem a szafą.

Małżonkę przestawić było łatwo; ciężko myślącego pana Grylo już nie. Tu pan Eustachy utknął, tracąc cenne sekundy. Kary wykorzystał to i zrobiwszy fachowy wślizg pod ramieniem pana Grylo, błysnął tylko niewyraźnie w drzwiach szafy. Sekundę potem zza świeżo zatrzaśniętych drzwi dał się słyszeć stłumiony tupot.

Pan Eustachy toczył jeszcze po wszystkich wzrokiem, jak gdyby brał ich na świadków. Pan Cząstek wycełował teatralnie palcem w drzwi, złożył usta w ekspresyjne ciup i ściągnął na siebie uwagę reszty.

– To ten dzikus od Sykory, no nie? – zapytał uspokajającym tonem. I westchnął. – Co zrobić. Bez męskiej ręki w domu trudno wychować.

Udało mu się rozładować napięcie. Pokiwano głowami, podbarwiając ten gest na różne sposoby: politowaniem, niesmakiem, dezaprobatą, obowiązkowym oburzeniem.

Wystarczyło.

Choć nie wszystkim.

Tego wieczora lampa u pisarza świeciła się jeszcze długo: inni dawno już wyszli i teraz przygotowywali się do snu, a pan Anton Eustachy siedział dalej w pokoju na ostatnim piętrze i dyktował zastraszonemu i skruszonemu panu Rospro coraz to nowsze wersje klepsydry dla pani Wosiowej. Potem trzeba je było przepisywać i poprawiać, i kopiować, i kopiować. Skończyli chwilę przed czwartą w nocy. Pisarz, półprzytomny, służalczko odprowadził gościa do drzwi.

Pokój zasłany był zmiętymi kulkami papieru. Różniły się od siebie kształtem, układem kryz i gęstością zadrukowania, ale pisarz był zbyt zmęczony, by zwracać na nie uwagę. Cały ten zmarnowany papier mógł już tylko szczerzyć nań pomięte kły. Rospro zwałił się prosto na łóżko, swą miniaturową wyspę. Tutaj był królem. Mógł wreszcie odpocząć.

Na moment kulki ułożyły się w pociągłą, młodzieńczą twarz, którą Rospro po raz ostatni widział dawno, dawno temu. Ale w tym momencie nic już nie miało doń przystępu.

Spał.

## II.

Kary był – jak na ironię – rudzielcem. Miał piegi na czole i wadliwe papiery w szkolnej kartotece; to ostatnie dlatego, że w piątej klasie nie wytrzymał szykanów klasowego niby-kolegi i tak pchnął go na filar, że wybił mu dwa zęby. Na widok krwi niemal chlustającej z ostro rozciętej wargi na piękny, nowy sweterek ofiary, wшыscy cudownie zapomnieli, że tamten od tygodni uprzykrzał Karemu życie. Pod szkołę przyjechała karetka. Zalaną krwią ofiarę Karego zabrano do prawdziwego szpitala.

Kiedy dręczyciel wrócił do szkoły, jego osłabły uśmiech o dramatycznie zaciśniętych wargach zyskał wymiar tragiczny. Pewnie gdyby znów zaczął być dawnym sobą, przynajmniej część przypominałaby sobie, jakim wcześniej był dupkiem. Ale nie zaczął. W szpitalu zmętniał i przygasł. Zrobił się jakiś sprany, tak jak ów feralny sweterek, w którym nie pokazywał się już w szkole. Chodził w nim za to jeszcze czasem do kościoła, niczym w mięciusim, markowym woreczku pokutnym w serek.

Karian od tamtej pory był pod obserwacją. A że wszystko w szkole zaczęło mu się niemiłosiernie dłużyć, często łapany był na nieprzygotowaniu, myśleniu o niebieskich migdałach lub czytaniu powieści pod ławką.

– Karian! Co ty tam robisz? Oddaj to.

Więc oddawał, klnąc w duchu, ile wlezie. Niech ich trucizna z bagien gnijących! Znów na nic całe bycie Kari-babą, czy Człowiekiem zwanym koniem; na nic cała walka z wrednym Baronem – czerw i zaraza! Nie mógł dokończyć, bo odbierali mu książkę. Skąd miał wiedzieć, co mu się dalej przytrafiło? Co mu się przytrafi?

Kiedyś miał przed sobą życie i mógł zostać kimś, ale teraz była to już przeszłość. Teraz wszyscy powtarzali mu, jakim to jest małym nieokrzesanцем. Choć nie w tych słowach oczywiście. Źle skończysz, Karian, mówili, opamiętaj się. Ucz się, pracuj, weź się za siebie. Ich surowe twarze odbijały się w jego jasnych oczach, tym jaśniejszych, że rozwodnionych jeszcze mało widocznymi, jasnorudymi rzęsami.

I gdy tylko orientowali się, że patrzy na nich bez uczuć, których oczekiwali i które potrafiliby rozpoznać, zaraz odchodzili. Często oglądali się jeszcze przez ramię. A on patrzył dalej, dopóki mu z tych oczu nie zniknęli, dopóki nie odzyskał normalnej swobody myśli i ruchu.

Odbierali mu własną przyszłość, musiał więc gdzieś poszukać innej. To wymagało namysłu. A nie ma namysłu bez przestrzeni.

W bloku miał względny spokój. Skończyło się i to, gdy pewnego dnia na trzecie piętro wprowadziła się koleżanka ze szkoły. Widywali się czasem na klatce, lecz nigdy nie wykonała żadnego gestu, który pozwoliłby Karianowi zaryzykować i powiedzieć jej *Cześć*. Tak jak w szkole, na tym gruncie też nie odzywali się do siebie, a Karian, bestia nieśmiała do bólu, nie bardzo wiedział, jak miałby spróbować to zmienić. Bardzo tego chciał i tak samo bardzo żałował, że nie potrafi. Podobała mu się do skowytu. Irabella! Dobijało go, że dziewczyna go raz na jakiś czas zauważa, lecz w zasadzie nie widzi.

Irabella nie była jedną z tych nieznośnych piękności, co to od niechcienia święcą towarzyskie tryumfy w szkole. W jego oczach natomiast była śliczna, tak śliczna, że aż ścisnęło; i to w kilku miejscach na raz. Była córką państwa Eustachów, co wydawało się wręcz niemożliwe, bo zupełnie nie przypominała żadnego z nich. Miała czarne włosy i w tym sezonie nosiła je krótko ścięte z tyłu, a z przodu długie i trochę na bok (często zakrywały jej jedno oko i gdy tylko Kary to zauważał, natychmiast pragnął czytać ballady i romanse o piratach). Stosunkowo szeroki nos w połączeniu z wydatnymi ustami nadawał jej nieco egzotyczny wygląd, a przy tak silnie zarysowanej reszcie twarzy jej szeroko rozstawione oczy wydawały się delikatne. Kary nie mógł być pewien – nie chodziła do jego klasy, lecz do równoległej, więc widywał ją tylko czasem na przerwach – ale wydawało mu się, że te oczy ma troszeczkę skośnawe. Ira, Irabella, jego naj-najbella, odkryta i na niego czekająca, aż się zbierze i wybierze; pod oknem serenady miauczeć. Rodzicom, oczywiście, w pierw należy podać środki nasenne... Czasem przed zaśnięciem wydawało mu się to do zrobienia.

Natchnęła go i zaczął pisać. Ku niej, do niej, o niej. Prywatna sprawa, nic ponadto (jeden Ari widział kilka poetyckich fragmentów i nawet był pod wrażeniem). W końcu gdy papier przestał mu wystarczać, w windzie wypisał KOCHAM IRABELLĘ.

I właśnie wtedy go złapali.

Ledwie skończył kaligrafować napis czarnym, niezmywalnym pi-sakiem kalibru proporcjonalnego do wezbranego serca, wszedł do windy pan Eustachy. Kary poprawiał jeszcze haczyk pod e, żeby za-krećtas był tak jakoś bardziej...

### TRZASK.

Sztubacki wyczyn godny czternastolatka. Dobrze, że Kary użył rozpoetyzowanej wersji jej imienia i Eustachy się nie zorientował. Jego córuś była Mirosława, dla wszystkich w rodzinie pocziwa Mirka, bladczek taki jakiś, trochę dąśliwy i kąśliwy czasem, a ostat-nio coraz częściej, ale wszyscy sąsiedzi powtarzali, że jeszcze na pew-no z niej wyrośnie panna na schwał. Uczyła się raz lepiej, raz gorzej, za to krykłała coś wiecznie w tych swoich zeszytach; kto wie, może będzie z niej jaka artystka. W końcu dziewczynom to nawet przystoi, byle męża odpowiedniego z tym do pary. Portretów robić nie chcia-ła, tylko jakieś takie wzorki, abstrukcje jakieś takie, czy jak im tam... No nic, jeszcze ma czas. Poza tym z biologii to miała zawsze same piątki i szóstki, a jak pogoda była, to ciągle do parku uciekała, więc tym bardziej nie wiadomo. No a lekarz w rodzinie to dopiero gratka.

Wandala złapano, jak to określono, na gorąco. Po krótkim a ogni-stym kazaniu powiedziano mu, że ma natychmiast zmyć, bo to nie miejsce na takie tego. Kary w milczeniu poszedł do mieszkania i wrócił z gąbką, szmatą i kilkoma różnymi środkami. Cały czas nad nim stano.

Zaczął od pospolitego płynu do mycia garów. Nic. Może płynem do szyb? Też nic. Odplamiaczem! Nic. No to wodą kolońską! Zupełnie jak gdyby chciał zmyć tatuaż. Rozzłoszczono się na nowo i zażąda-no, by pokazał ten mazak. No to pokazał. Zwykły taki: niby stoi na nim NIEZMYWALNY, ale w końcu bez przesady. Fragment napisu pośliniono i podrapano nawet chwilę własnoręcznie. Faktycznie, nie schodzi.

Oczywiście Kary wiedział, dlaczego tak jest i w skrytości był z tego dumny. Takie proste! To przecież dlatego, że jego uczucie tak w nim gore! Sam napis świadkiem, że to prawda, szczerzota!, słoń-cobłyszczna! Nie jak te ich zaśniedziałe pozłacaństwa na paluchach, wszystkie tak samo na tokarce rżnięte i tak samo już zaśniedziałe i uczerniałe. Ale na tę prawdę nie było chętnych. Kary to wyczuł. I wstrzymał się od komentarza.

W końcu gdy okazało się, że spirytusem, a wreszcie nawet rozpuszczalnikiem też nie schodzi, stwierdzono, że trzeba zamalować. No i zamalowano, zaraz nazajutrz. Łata z farby trzymała się trzy dni, a potem spękała i zeszała. Ale myślałby kto, że im błoto z oczu spadnie – gdzie tam! Zamalowali znów. Znów się złuszczyła. W końcu spróbowali lakierem. To samo. Zamiast dostrzec w tym znak, rękę samej Afrodyty, stwierdzili, że to pewnie sklejka w windzie jakaś wadliwa, trzeba by ją wreszcie wymienić, cała porysowana i brudna przecież.

O Irabellę z napisu nikt nie zapytał. Wynikało z tego, że Kary równie dobrze mógł wymalować logo swojej ulubionej punkowej kapeli NIECZYNNE OVARIA.

Sprawa przycichła i wszyscy oślepli na zdobiące windę wyznaczenie. Ostatecznie w bloku było tyle wywieszek i napisów, że obowiązywała pewna znieczulica (niekomentowana, rzecz jasna: pisarz robił te wszystkie wywieszki na wyraźne zamówienie całego bloku). Chwilę był spokój. A potem Kary znów dał się złapać i to na czynnie jeszcze bardziej płomiennym. Choć stało za nim uczucie daleko mniej oczywiste.

Miał pecha, o tej godzinie nikt nie powinien był go zobaczyć. A jednak: przyłapano go, gdy stał na parterze zaraz przy tablicy ogłoszeń. Z kieszeni sterczała mu mała puszka benzyny do zapalniczek, w rękę ścisnął zwęgloną już zapałkę. Stał – nawet nie próbował uciekać – koło tablicy, która rozświetlona i gorejąca była jak krzak, lecz ostentacyjnie przy tym milczała.

Wieści o czynnie rozniosły się szybko, wszyscy zapałali świętym gniewem. Zobaczyli czarno na białym, jakim to on jest robaczywcem, jakim nasieniem barbarzyńskim. Mieli dowód. Po obwieszonych ogłoszeniami tablicy pozostał tylko pustostan osmalonej ramy i upalony śmierd filcu. Na jaśniutkiej ścianie powyżej łuna, smolistoczar-na jak zamiary sprawy. Jak jego przyszość. Jak sama jego dusza.

Matki nie obeszło to w ogóle. Ostatnio cały czas wyglądała coraz bardziej nieobecnie i przez moment Kary jakoś dziwnie zatęsknił do jakiejś sceny, bury, czegokolwiek. Nie wiedział, czy to on jest niewidzialny, czy matki z jakiegoś niemego powodu po prostu nie ma. Na siłę przyjął to drugie.

Pani Sykora zależna jednak była od państwa Eustachów. Pomagali jej, a zwłaszcza pan Eustachy, który często wynajdywał jej jakies

„prace zlecone”. Matka mawiała czasem, że prace były drobne, a więc i drobnopłatne, ale zawsze coś. To przez tę pomoc właśnie pan Eustachy czuł, że ma dostęp do wychowania młodego syna pani Sykory, więc jeszcze tego samego dnia wkroczył na scenę, do ich domu. Przecisnął się prosto do pokoju i stanął tam zupełnie jak telewizor: niby pod ścianą, a tak naprawdę na środku. Przed sobą miał panią Sykorę: zmęczoną, szczapowatą i mocno już przebrzmiałą piękność. Jej wąska twarz. Jej wąskie i pomarszczone pęciny. Dwie prymitywne (żaden inny epitet nie przychodził mu do głowy) szerokie drewniane bransolety, ozdoby na pokrytych drobnymi plamkami nadgarstkach. I ten warkocz, bezwstydnica, w tym wieku. Sapnął przez nos. Jej usta nieznacznie drgały, jak gdyby tam, w środku wypowiadała jakieś zaklęcie.

Sapnięcie było na tyle głośne, że Kary usłyszał je aż w przedpokoju. Tyle co wyszedł z łazienki; teraz zamarł. Ten tutaj? Znów gdzieś matkę ciąga? Nie, pewnie w jego sprawie. Miał wracać do dużego, ale postanowił na wszelki wypadek pozostać tam, gdzie był. Usłyszał, jak pan Eustachy mówi coś ściszonego głosem. Słów nie dało się rozróżnić.

Skrzypnięcie drzwi. Karian drgnął.

– A w międzyczasie...

Pan Eustachy odzyskał swój normalny, autorytarny ton.

– Zrobimy tak. Karian musi odpokutować. Wychowawczo będzie zacząć od walnych przeprosin.

I znów cisza.

Kary siąknął nosem, żeby dać matce znać, że jest za drzwiami.

– Karian? – dobiegło doń z pokoju. – Idź z panem Eustachym.

Głos jak zawsze. Nieobecny, obojętny.

Pan Eustachy wystawił go na korytarz, na ów feralny parter, gdzie Kary miał publicznie przeproszać lokatorów, wszystkich jak leci. Szybko okazało się, że nikt nie przepuści okazji by zmyć chłopakowi głowę od siebie, raz jeszcze, tak dla pewności.

Tak jak stoi się w kątce, Kary stał w korytarzu i czekał. Czekał, aż ktoś wejdzie do klatki, czekał w ogarniającym go odrętwieniu, które minuta po minucie spychało go w półtrupia, zziębnoanimiczny, wampirzy stupor... Nagle zryw! na dźwięk otwieranych drzwi tępy taran o mięsny dzwon serca, zryw do jeszcze bardziej nagłych przeprosin,

wybełkotanych ukołkowaciałym w międzyczasie językiem i zaraz potem obowiązkowe zatrzaśnięcie się i zmilczenie, kiedy pan Taki czy pani Taka znowu zaczynali swoje. Bogowie! Kary miał wrażenie, że zaczyna wyrastać mu z karku druga głowa. Tak do pomocy. Do towarzystwa.

I te frazesy!

– Przemyśl swoje życie. Opamiętaj się, póki nie jest za późno!

Skisłe napomnienia wygłaszane tonem, który z niedbale maskowaną radością dawał do zrozumienia, że za późno to już od dawna jest.

– Bo skończysz w poprawczaku!

Albo w wariatkowie, dopowiadał Kary. Po cichu, niemal z nadzieją. Poprawczak był jak więzienie. Nie chciał tam iść.

W ciągu tych trzech dni urywał się trochę wcześniej ze szkoły, żeby posiedzieć z Arim, który – cały czas jeszcze z głębi swojej dziupli – jako jedyny trzymał go przy zdrowych zmysłach. Po trzech sesjach w korytarzu Kary zaczął przeczuwać, że te jego publiczne przeprosinice tak naprawdę nie mają służyć jemu za lekcję, tylko innym za złośliwy i nadęty ubaw. Od tamtej pory było mu trochę lżej. Z drugiej strony coraz głośniejsz odzywała się w nim myśl o tym, że któregoś dnia na parterze zastanie go Irabella. Co wtedy? Nie wiedział, czy się cieszyć, czy zamartwiać, więc na wszelki wypadek robił jedno i drugie.

Pan Eustachy od razu dał Karemu do zrozumienia, że on, sędzia, pozostanie nie do udobruchania. Z miejsca ucinał jakiegokolwiek przeprosiny. Przeczuwał, że powinien zająć właśnie tę pozycję, bo tak będzie najbardziej wychowawczo. Tego przebaczenia winny dostąpić nie miał. Natomiast w ogóle nie zwalniało to Karego z samego obowiązku przeprosin, zaczynał więc swoje tylko po to, by być odganianym jak giez.

Dni mijały, Irabelli nie było. A do szkoły chodziła. Sprawdził.

Parę dni później nawet dwa blokowe ukokardotrefione pieseczki już na niego szcekliwie najazgotały. Nikt nie miał nic do dodania. Pan Eustachy w asyście swej bruzdy na czole zdjął go z karnego posterunku. Życie wracało do normy.

I wtedy z dachu zleciała Wosiowa.

Tego samego dnia Kary pomógł swemu przyjacielowi wydostać się z drzewa, a potem znów rozwścieczył wystarczająco ciętego już

pana Eustachego swoim zaimprovizowanym wystąpieniem u pisarza. I, jak przy poprzednim wybryku, nie do końca wiedział, co go do tego popchnęło.

Rzeczywistość zatoczyła koło.

### III.

Pogrzeb zmarłej śmiercią tragiczną Woś Stanisławy okazał się krótkowzłowy. Grano mało, śpiewano jeszcze mniej. Nie płakano wcale. Pod koniec dwie niezależne osoby zupełnie niezależnie powiedziały *Ona tam już na Boskim sądzie!* i poparły to westchnieniem. Był to sygnał, że zaliczone i można sprawę uważać za odfajkowaną. Na zewnątrz słońce – wielki, opasłobrzuchy szyderca – świeciło, ile wlezie. Pan Cząstek, chcąc ujarzmić swe brwi, założył ciemne, wielkogabarytowe okulary, które przechowywał jeszcze ze swoich lat studenckich. Poprawiano krawaty, zapalano papierosy.

Pisarz stał z boczku i obserwował tych, których nie znał. Przyszło ich kilkunastu, więc liczebnością dorównywali niemal drużynie z bloku. Fakt, że w ogóle się pojawili, duch Wosiowej mógł zawdzięczać tylko temu, że on i pan Eustachy siedzieli wtedy do późna w nocy, przygotowując klepsydry. Od tamtej pory pan Rospro uprzętała większość zmiętych papierowych kulek, ale jeszcze nie wszystkie. Nadal znajdował je zbłąkane pod łóżkiem, pod biurkiem, jedną nawet w szafie. Tekst ściśle użytkowy, żaden tam poemat... Ale teraz patrzył mu w oczy dowód, żywy dowód na to, że ktoś przeczytał, że do kogoś dotarło. Warto było.

Kary też pojawił się na pogrzebie. Palił się do niego. Jak się okazało, całkiem niesłusznie: dzień był wolny od szkoły, ale Irabella się nie pofatygowała. Kary musiał więc ją sobie tylko wyobrazić, jak stoi (zupełnie niezobowiązująco koło kogoś, kto tylko przypomina panią Eustachy) w czarnej bluzce z dużymi czerwonymi guzikami i prostej, czarnej spódnicy na białych szelkach widocznych spod długiego płaszcza, słońce niech się schowa. Na buty jakoś brakło mu inwencji. Może dlatego, że gdy już miał się za to zabrać, wyobraził sobie, że stoi tuż koło niej. Państwo E. cudownie zniknęli, a on zupełnie nieukradkiem patrzył na szerokoskrzydłą chustę, lśniącofioletowego albatrosa wokół jej ramion.

Czyjeś niedorzeczne *ech!* wyrwało go z transu.



– Ech i jeszcze raz ech! – powtórzyła pani Ryjek. Wzdychała w przestrzeń około pani Sykory, próbując zwrócić jej uwagę.

Kary zacisnęła pięści. Musiała właśnie teraz! Ze złością popatrzyła w drugą stronę i napotkał wzrok pisarza. Rospro stał tuż obok. Kary speszył się, ale nie zdążył odwrócić wzroku. Pisarz mrugnął.

– Irabelle, co?

Kary najpierw oniemiał. A potem wściekle się zaczerwienił.

– Szkoda, faktycznie – powiedział pisarz bardzo ściszym głosem. – W czerni byłoby jej ładnie.

I poszedł.

Kary dla zachowania równowagi wpatrzył się w swoje stopy. Co ten Rospro niby powiedział? I zaraz się napomniał. STOP. Dobrze wie, co powiedział. *Jak* to powiedział; jak w ogóle *mógł* to powiedzieć, to były właściwe pytania. Jakim cudem...

– Ona tam już na Boskim sądzie – cłkłym głosem tchnęła pani Ryjek.

I skup się tu, człowieku.

Cóż, pomyślała pani Ryjek, skoro nikt nie chce podjąć tematu, trudno. Mimo to nie wyglądała na zawiedzioną. Wręcz przeciwnie: pogrzebawszy chwilę w torebce, wyjęła i odwinęła z męskiej chusteczki pączka, po czym zaczęła swym dawnym piknikowym zwyczajem od zlizywania lekko grudkowego nadzienia, zawsze trochę wypływało go na zewnątrz. Miało konsystencję rzadkiego cementu, jej ulubioną. Pycha. I chrupki taki nawet. Świeżutki. Ścisnęła pączek w palcach, aż mu spękał lukier na ciemiączku (tfu-tfu!), a on sam wypurtał ze swej całuśnej dupki jeszcze trochę różu. Mmm.

O tak, życie szybko wracało do normy.

\*\*\*

Kary od paru dni miał wrażenie, że coś się święci. Trudno było to uchwycić, jakieś niewyraźne coś, głęboko. Niepokój nie był febryczny ani nawet jakkolwiek rozdygotliwy. Mrowiło go tylko. Ku własnemu zaskoczeniu Kary odkrył, że nie jest to nieprzyjemne. Zasnął z tym uczuciem, a gdy budził się, czekało na niego gdzieś po drodze, zwykle tuż za pierwszym rogim. Tego dnia, zanim poszedł spać, długo stał przy oknie, obserwując ciemność.

Zbudziła go burza.

Wściekła, wścieklista, pioruniasta, hukliwa. Deszcz bił i bryzgał w okna, ciężki jak od morskiej soli, ciemnoturkusowy. Zerwane liście niczym macki plaskały i przywierały do szyb na moment w krótkich gestach raz po raz odnawianej groźby. Wiatr, gwizdliwy obłąkaniec, sprawdzał, gdzie jeszcze może wślizgnąć swoje stupalczaste błonodłonie. Szyby drzękliwe w trzeszczliwych ramach, pokój raz po raz rozcinany sinoświatłem jak skalpelem. Kary mógł przysiąc, że blok zakołysał się raz i drugi. Ale nie bał się.

I to było najdziwniejsze.

Pamiętał strach po złym śnie albo w ciemnej piwnicy; pamiętał go jako oślepy trzepot czegoś lodowatego w środku. Najpierw szamotanie, zaraz potem zaciskające się kleszcze, które wymuszały natychmiastowy odwrót, ucieczkę, bieg ku najbliższemu światłu. To był strach. Teraz jednak Kary nie miał ochoty zapalić światła. W środku, owszem, rozpoznawał zimno, lecz nic go nie ścisnęło, nic nie nakazywało ucieczki. Wręcz przeciwnie. Mógł spokojnie myśleć i się sobie przypatrywać, rozważać różne opcje, nawet takie, które wcześniej wydawały mu się niemożliwe. Nie było tu miejsca na strach.

Wstał z łóżka. I od razu wiedział, że właśnie wychodzi.

Rękawy przeciwdeszczowej kurtki okazały się dziwnie przykrótkie, choć kupiono ją na wyrost. Spodnie, zawsze bardzo luźne i za długie, też były jakoś przyciasne. Ale nie chciał się nad tym zastanawiać. Trzeba było jeszcze zerknąć do dużego pokoju, ocenić sytuację przed wyjściem.

Pięć cichych kroków w korytarzu. Lekko uchylił drzwi. Matka leżała na kanapie, trochę śpiąc, trochę nie żyjąc. Jedno ramię wystawało poza granice nierozłożonego, zaimprovizowanego łóżka. Nagłe błysklingi cięły noc i przez sekundę rozświetlały martwe insekty jej dłoni, ostrzyły krawędzie mebli i sprzętów, tworzyły miniaturowe ruiny z zawalonego fiolkami i szkłem nocnego stolika. Długie włosy, niczym wodorosty, powiewające na jasnym, przejrzystym dnie poduszki.

Prędej, później... Co za różnica.

Kary zamknął drzwi na klucz i po chwili był już na zewnątrz.

W środku bloku burza wydawała się wroga. Mieszkanie było odizolowane, jej pieśń musiała brzmieć jak szturm. Tu, na zewnątrz, nietłumiony oknami huk paradoksalnie okazał się przyjemny, fale

bijące o klif. Liście wzbijały się nie po to, by rozbić, zakleić, udusić – wzbijały się, szkicując w rozwibrowanym powietrzu trójwymiarowe modele. Kary stał i patrzył na nie, czując, że jest na granicy niemal abstrakcyjnego rozpoznania. Deszcz otoczył go i przyjął jak swego.

Postanowił obejść budynek. Gdy wyszedł zza rogu, przystanął, wznosząc przyjemnie mokrą twarz w górę.

Tuż koło ściany stało drzewo. Jego drzewo: dobrze znajomy, zaprzyjaźniony wręcz potężny grab. To tu mieszkał Ari. Kary nie odwiedzał go w ciągu ostatnich kilku dni i teraz coś podpowiedziało mu, że może być to niezły moment na odwiedzinę. Nie wiedział, dlaczego drzewo podeszło pod sam blok. Wyczuwał tylko, że go wpuści.

Zaczął tam, gdzie zwykle, od bulwiastej narośli – pierwszy stopień, o który można było się oprzeć i złapać najniższą gałąź. A potem już konar po konarze spokojnym tempem w górę, w górę, w górę. Pień był wilgotny, ale nie oślizgły; grab miał gęste listowie. Wybrzuszenia kory dawały dobre oparcie rękom. W kilku momentach Kary miał nawet wrażenie, że drzewo samo mu pomaga, a dzięki rozblęskom widział, gdzie postawić krok.

Dotarł w ten sposób na wysokość trzeciego piętra i uświadomił sobie, że drzewo podeszło pod jedyną ścianę z balkonami. Ich dwurząd z zewnątrz wyglądał tak samo, ale Kary dokładnie je rozpoznawał. Wiedział, za którym mieszka on sam; wiedział, za którym mieszka pan Cząstek. Pani Ryjek. Państwo Eustachowie.

*Przecież po to tu wszedłem, uświadomił sobie.*

Wybrał gałąź, która wyciągała się w pobliże i już miał zacząć...

– Kary!

Znał ten głos. Ale nie chciał go teraz słyszeć.

– Kary!

Kary postawił stopę, a potem drugą na gałęzi wiodącej na balkon Eustachów. Dopiero wtedy się odwrócił.

– Kary!

– Ari – powiedział Kary. – Posłuchaj mnie. Nie istniejeś.

Powiedział to bez złości, stwierdzając fakt. Był zbyt czysty, zbyt spokojny na złość. Ari zaśmiał się krótko, ale nie powiedział nic. Huknęło.

– Nie istniejesz – powtórzył Kary, gdy ucichło echo. – Co nie znaczy, że nie jestem ci wdzięczny za towarzystwo. Jesteś moim przyjacielem. Ale nie istniejesz.

Ari przekrzywił głowę i spojrzał na niego z lekką kpinią.

– Może nie tyle nie istniejesz – poprawił się Kary – ile twoje istnienie zależy w całości ode mnie. Odwiedziłeś mnie kiedyś sam? Nie. To niezły dowód. I bynajmniej nie jedyny. Ale pogadamy o tym innym razem. Nie przeszkadzaj mi, nie teraz.

– Dlaczego nie teraz?

– Nie teraz – powtórzył Kary. – Mam ważną rzecz do...

– Dlatego, że wreszcie wiesz, co robisz? – przerwał mu Ari. – O to ci chodzi?

Kary poprawił kaptur i otarł mokrą od deszczu twarz.

– Pogadamy jutro, Ari. Wpadnę na drzewo, obiecuję.

– Już jesteś na drzewie – powiedział Ari.

– Jutro, jak wróci na nasze stare miejsce – wyjaśnił Kary.

– *Jeśli* wróci.

– Nie mam wątpliwości.

– Tak jak nie masz wątpliwości, że jestem zależny od ciebie? – spytał Ari.

Drwina w głosie przebijała się bez kłopotu przez burzę.

Kary nadal był spokojny, tak spokojny jak chyba jeszcze nigdy. Odwrócił się i zaczął iść. Postawił pierwszy, drugi, trzeci krok. Z satysfakcją obserwował, jak balkon się zbliża. Czwarty...

Ari pojawił się przed nim. Kary zamknął oczy i przeszedł dalej. Przez niego.

Ari roześmiał się. Drzewo wygięło gałąź w górę. Kary zrobił krok i zachwiał się. Kolejny krok, na siłę, jeszcze, ostro w górę. Nie miał szans się utrzymać, ześlizgnął się z powrotem. Przy samym pniu omsknęła mu się stopa. Wiatr zawył ze śmiechu, a Kary nagle zdał sobie sprawę, że jest całkiem wysoko. Że trzyma się mocniej, niż było to konieczne przed paroma minutami.

– Kary – powiedział Ari. – Posłuchaj mnie przez chwilę. Czujesz, że masz w sobie teraz coś cennego. To twoje wystudzenie, tam w środku? To dzięki tej burzy. To wiesz sam, mówię ci to tylko dlatego, żebyś nie myślał, że tego nie wyczuwam.

Ari popatrzył na niego i rozjarzył się nagle jak sam piorun.

– Nie wiesz za to, że to ja tę burzę wywołałem.

Kolejny huk. Burza wciąż tkwiła w tym samym miejscu gdzieś nad nimi. Deszcz, błogi deszcz; wietrzny szum liści i kropłopad, tysięczny na każdą sekundę. Te niezliczone dźwięki, którymi tropił każdy liść, które wpinał w naprężony zielonopergamin. Deszcz, zegar uwolniony od odmierzania pojedynczo, zegar bez wędzidła i cyrkowej wołtyżerki wskazówek. Czas uwolniony z ludzkiego misterium swej klatki.

Kary nagle poczuł się starszy. Zaraz... Ile on miał niby lat? Jeszcze chwilę temu... Czternaście. Niemożliwe. Już chyba od początku burzy, gdy tylko się zbudził czuł się inaczej, jak gdyby... Nie *jak gdyby*. Był starszy. Miał już lat d... dziewiętnaście.

Ari się uśmiechnął.

– Prywatnie uważam, że to akurat dobrze, choć może nie jestem najwłaściwszą osobą, by to ocenić. Na twoim etapie przyspieszenie o pięć lat nie jest wielką tragedią, nawet jeśli we wspomnieniach będziesz miał dziurę. Ja sam, tkwiąc w tym drzewie, straciłem lat dwaście. I mimo twojej pomocy, dopiero dziś jestem wolny. Dopiero dziś mogę z niego zejść.

Kary popatrzył w górę, prosto w deszcz. Ile kropel mogło już spaść? Ale to było złe pytanie, linearne. O coś, co linearne bynajmniej nie było.

– Widzę, że ta burza wiele ci pomogła – powiedział Ari. – Więc teraz zrób coś dla mnie. Ze mną.

Kary popatrzył na niego. To przecież Ari, jego przyjaciel. Pokazywał się z dość nieoczekiwanej strony, ale to nadal jego przyjaciel. Nie było powodu, by mu nie ufać. Wpatrzył się w siebie. Poczul, że przekora usiłuje go prowadzić w odwrotną stronę, w stronę gwałtownych rozognień, miotania się i gorączkowych działań. Wstecz. To byłoby głupie.

Skinął głową.

Ari wskazał za siebie, w ciemny balkon Eustachów.

– Oni nie uciekną. A teraz mamy spotkanie z naszym panem Rospro. Chciałbym, żebyś przy tym był.

Drzwi balkonowe na najwyższym piętrze po prawej stronie okazały się zamknięte, ale dla Arego nie stanowiło to przeszkody. Zapukał, owszem. Z szyderczą kurtuazją. Pisarz siedział przy biurku i akurat się przeciągał; godziny spędzane w fotelu dawały znać o sobie. Zerknął w kierunku, skąd dochodziło pukanie... I zastygł.

Ari zasalutował mu, po czym w niemożliwym geście ujął klamkę od wewnętrznej strony drzwi. Po chwili obaj z Karym byli już w środku.

Na widok Karego pisarz mrugnął z zaskoczeniem. Kary zdjął mokrą kurtkę i rzucił ją w ką, a potem siadł spokojnie w fotelu przy łóżku.

– Zn... Znacie się? – zapytał Rospro urywanym głosem.

Ari skinął głową.

– Czyli wy też, jak widzę – powiedział Kary z fotela.

– No i wszystko jasne – stwierdził Ari.

– A jak?...

– Usłyszał mnie, gdy wdrapał się na to drzewo – uśmiechnął się

Ari – Za pierwszym razem, dodam. A potem, w odpowiednim momencie, mnie wyciągnął.

– I udało mu się? – spytał Rospro. Głos mu drżał.

– Panu, panie Rospro, też by się udało – spokojnie zareplikował Ari.

Pisarz chwilę milczał.

– Przepraszam – wyjąkał.

– Och, nie mówmy o tym – powiedział Ari z teatralną wręcz ironią. – W końcu nie jestem człowiekiem, prawda? Cierpienia ciała muszą zatem być mi obce. Czasu też mam trochę więcej niż wy. Doprawdy, nic się nie stało.

– Mogłem chociaż spróbować – powiedział cicho pisarz.

– Tak – powiedział twardo Ari. – Ale nie spróbował pan.

– Nie spróbowałem – wyszeptał pan Rospro.

– I to w imię czego? – spytał Ari, wykręcając trzy wściekle piruety koło jego głowy, aż zafurkotał mu kołnierzyk.

Rospro zamrugał.

– Czy zdaje sobie pan sprawę, co się z panem stało? – ciągnął Ari coraz bardziej jadowitym tonem. – Zwyciężył w panu strach. Strach, że się pan narazi. Lepiej żyć w pokoju z tymi tutaj. Lepiej się nie wychylać, bo jeszcze pan zapragnie czegoś więcej. Bo obudzi się w panu jakaś duma. Ambicja.

Ari usiadł na biurku. Wziął ołówek i zaczął kręcić nim między palcami. Mimo mroku, Kary widział wyraźnie, że nagle ma ich po siedem.

– A Karianowi – zasalutował drugą ręką Ari – udało się czysto instynktownie. Fakt, że jest synem tej wiedźmy. Choć to nie miałoby

znaczenia, gdyby nie śmierć jej pomagierki od siedmiu boleści. Ślepy traf! – roześmiał się nagle i zostawił kręcący się coraz wolniej ołówek w powietrzu. – Nie ma jak sprzyjające warunki. Swoją drogą – dodał po chwili – też sobie wybrała! Wosiową!

– O – powiedział pisarz wolno. – Czyli to Stasia? Stasia pomagała Sykorze?

– Owszem – potwierdził Ari. – Pan też.

Podskoczył i zawisł w powietrzu. Błysnęło.

Pisarz siedział bez ruchu. Kary słuchał deszczu. Gałęzie grabu stukały o okna.

– Wiedziałaś? – zapytał w końcu pisarz.

Słuchać było go ledwo-ledwo.

– Czysty przypadek. Gdy zginęła Wosiowa, zaraz poczułem, jakby puściła lina. A gdy puściła, nagle zobaczyłem, *poczułem*, pozostałe, które mnie krępowały. Kary nie był mnie w stanie uwolnić do końca, ale gdyby nie on, siedziałbym tam dalej, w środku. Jedyne więzienie na ziemi, któremu przyrastają ściany! – Ari wzdrygnął się; niemal po ludzku. – No, ale było minęło, nieodwołalnie, hip hip, etcetera – dokończył.

– Brzmisz jakoś... lekko – zauważył Rospro.

Głos mu drżał.

– Bo udaję – wycedził Ari.

Ton miał lodowaty.

Ołówek spadł na biurko tuż przy ręce pisarza, a ten cofnął ją jak oparzony i wcisnął się głębiej w fotel.

– Czekaj. Skoro...

– Tak, panie Rospro – potwierdził Ari uśmiechając się drapieźnie.

– Wolno pan myśli. Ale złożę to na karb szoku. Tak: skoro tu wlażłem, to znaczy, że nie krępuje mnie już nic. Niczyje słowo. Niczyja kłątwa. Nic. I nikt.

Rospro zerknął na Karego.

– Ale to znaczy, że...!

– Nic pan ze swoim czasem nie zrobił – przerwał mu Ari i powoli opadł na dywan. – To mniej niż ta wiedźma. Ta przynajmniej urodziła i jako tako odchowała syna. A pan co? Mógł mnie pan uwolnić, ale wybrał pan uległość. Pisanie wywieszek i przylizywanie się malusim tyranom za słoik dżemu i tę norę. Opłata po piekielnie lichwiarskiej stawce.

- Nie każdy jest rewolucjonistą – wydusił z siebie Rospro.
- I nie musi!

Ari wznosił się znów w powietrze. Dwie pary rozpostartych ramion, rozcapierzone palce. Do pokoju wdarł się wichur.

– Niech pan wyciąga te sekretne notatniki! Z prozą, poezją, czymkolwiek! To jest właściwy moment. Spojrzę w nie tylko i uwierzę! Uwierzę, że to wszystko jednak po coś było!

Kary zamknął oczy. Wichur po chwili ucichł. Gdy je otworzył, zobaczył, jak Ari stoi nad pisarzem rozciągnięty w linię. Ramiona wciśnięte w kąt między sufitem a ścianą. Długa szyja. Głowa w pół drogi do zgaszonej lampy. Od głosu drżały szyby.

– Gdyby miał pan cokolwiek, miałbym wątpliwości. Moglibyśmy ponegocjować. A tak, obydwaj wiemy, że nic z tego.

Ari nagle wrócił do swej normalnej postaci i rozłożył ramiona jak szponiaste skrzydła.

– Karian! Twoja matka! – wrzasnął pisarz wysokim, histerycznym głosem. – Twoja matka...

Kary wstał.

– Nic nowego, panie pisarz. Jak dla mnie, moja matka nie żyje już od dawna.

Włożył kurtkę, odwrócił się i wyszedł na balkon. Wiedział, co w pokoju będzie się działo dalej. Płynnym ruchem wszedł na krawędź, wybił się i skoczył.

Drzewo podsunęło mu gałąź.

\*\*\*

Kary stał na wyokości trzeciego piętra. Balkon prowadził do dużego pokoju, a tam kulili się w rozszałej na nowo burzy państwo Eustachowie. Widział ich przez chwilę, gdy przechodził z gałęzi na gałąź. Nie potrafił w sobie znaleźć dostatecznego powodu, by tam wejść. Z lekkim zdziwieniem pomyślał, że to być może dzięki Aremu. Poza tym miał inny cel. Lepszy. Choć wokół nadal szalała burza, od tego celu łagodniały oczy.

Dalej, kuchnia. I jeszcze dalej.

Wreszcie.

Pokój Irabelli.

Grubymi konarami grab osłonił obydwie skrzydła okna. Kary widział ją, wystraszoną, w środku. Ubrana siedziała w kucki na



nierozścielonej wersalce, starsza tak jak i on. Wyraźnie skośne już teraz oczy wpatrywały się w niego. Mimo strachu, rozpoznała go. To również widział wyraźnie. Spróbował się do niej uśmiechnąć, ale było to jak mgnienie.

Dłonią wiedzioną doświadczeniem, którego zdobywania nie pamiętał, Kary osuszył jedną z szyb, a potem nagle sprawił, że zaparowała. Na chwilę rozluźnił rękę, a potem jak żywym, rozmigotanym pięciopędzlem narysował na szybie piękny, trzepotliwy niemal kaligraf drzewa. Palce ślizgały się po gładkiej powierzchni. Muskał ją tylko i nawet pomagał sobie tu i ówdzie prawą, od dołu w górę, od korzeni, przez konary, do gałęzi i listowia. Jak gdyby nie była to szyba, jak gdyby właśnie robił litografię. Bardziej nacinał, niż rysował.

Gdy skończył, przez chwilę patrzyli w ten rysunek razem. Potem Kary spokojnie przeniósł wzrok na Irabellę. Widział, jak przekrzywia nieco głowę, jak łagodnieją jej rysy. Podeszła do niego, a strach został tam, skąd wstała. Odcisnięty na pościeli, słabo walczył jeszcze, by się nie rozwiać.

Zatrzymała się przy oknie i wpatrzyła w rysunek, a potem podeszła do drugiej szyby i wpatrzyła się w niego. Rude włosy, ściemniałe teraz od deszczu. Oczy. Usta. Dostrzegała go wcześniej, bardzo dobrze, za każdym razem, gdy tylko gdzieś się mijali. Choć nie mógł tego wiedzieć, nigdy nie dała nic po sobie poznać.

Gdy otworzyła okno, podał jej rękę.

W potokach deszczu przebiegli do zagajnika. Tam lekko tylko mżyło. Usiedli i długo patrzyli, jak drzewo razem z burzą sieką w blok.

Potem po prostu poszli gdzie indziej.

**Anna Askaldowicz** – rocznik 1981. Rzeszowianka z urodzenia, gliwiczanka z wyboru. Pomiędzy Podkarpaciem a Śląskiem zdarzył jej się pięcioletni romans z Krakowem i tamże ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Fantastykę pokochała jako dziecię niewinne, wygrzebawszy z domowej biblioteczki opowiadania Stanisława Lema, i dotąd jej nie przeszło. Zawodowo spełnia się jako niania, korektorka i redaktorka, a prywatnie jest nieuleczalnym molem książkowym, początkującą kolekcjonerką lalek i niespełnioną krawcową. Pisze z rzadka, ale stara się to robić dobrze.

Anna Askaldowicz  
**KORONA PÓŁNOCY**



**W**iatr wpada do pokoju. Uderza najpierw w skrzydlate okno, unosi w powietrze białe zasłony jak flagi nad polem bitwy, krzyżące: „Poddaję się”. Jednak ona się nie poddaje, kiedy wiatr uderza ją w twarz, a włosy rozwijają się w czarny sztandar wpleciony w historię o synu, który z żalu, z radości lub z wyrachowania zapomniał zmienić żagiel na maszcie.

Imię tego człowieka nie pada w ich domu nigdy, ale kiedy wiatr się zmienia, kiedy zaczyna dąć od lądu, ona – Ariadna – wstaje od stołu, składa sztucce i mówi, że chce iść na spacer. On – mąż i bóg – tonem płaskim i bez wyrazu pyta, czy może jej towarzyszyć, a ona jak zawsze odpowiada, że dziękuje, nie. Wstaje; powoli i niechętnie opuszcza przystań wiklinowego fotela, ale jej wola musi być teraz silniejsza niż cielesna słabość, choć miesiąc jest zimny, a ona czuje znużenie, bo wiatr wywołuje ją z domu coraz częściej. Idzie jesień, czas sztormów. Wiatr będzie ją przynaglał do wyjścia codziennie; będzie marznąć na plaży owinięta w biały szal, widoczna z daleka. Co ją tam prowadzi tak naprawdę? Przestał się już nad tym zastanawiać; kiedyś mogli spierać się o sensowność tego rytuału, ale to było dawno, bardzo dawno temu. Po pewnym czasie zrezygnował z prób odwiedzenia jej od wychodzenia na brzeg.

Nic nie pomaga, myśli on i wstaje ze swojego miejsca.

Potrąca stół, przewraca butelki oliwy i wina, bo wypił już dość retziny, żeby nie czuć do końca, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna bujny, zmysłowy i niestabilny świat. Oliwa i wino spływają po białym obrusie. Innego dnia, gdyby nie było wiatru, zapewne by ją to zirytowało. Poszłaby bez słowa do kuchni, przyniosła papierowe ręczniki i z zaciętą miną rozprawiła się z plamami na podłodze i stole, zgarnęła jednym ruchem obrus razem z zastawą i resztkami posiłku, wrzuciła naczynia do zlewu, resztki do kosza, a płótno od pralki. Nie komentowałyby, że znów spił się młodym winem i przysparza jej niepotrzebnej roboty; te utyskiwania też skończyły się już dawno i teraz pozostał jedynie rytuał, do którego nie potrzeba słów, a przynajmniej – wielu słów.

Teraz jednak jej tu nie ma, więc on obojętnie mija pobojuwisko stołu, podchodzi do wysokich, przeszklonych drzwi, do miejsca, w którym zaczyna się taras schodzący dalej stopniami na nagie skały,

na łąkę wysuszoną letnim słońcem, z nielicznymi drzewkami oliwnymi tu i tam. Łąka kończy się jakby w powietrzu, a dalej zaczynają dwa rozdzielone tylko masą rozżarzonego powietrza błękity. Morze i niebo. Wiatr wieje, a w zaroślach o ciernistych gałęziach posyкуją cykady. Wszędzie trwa bezruch południa. Na końcu łąki, w miejscu, którego stąd nie widać, zaczyna się urwisko, a jego brzegiem ciągnie się coraz niżej opadająca na brzeg ścieżka, wąska i niebezpieczna, ale przecież on nie musi się martwić, że ona spadnie, więc skąd ten niepokój, ta chęć, żeby iść za nią tak daleko jak to tylko możliwe i czuwać, kiedy będzie stała na piasku i żwirze?

Nie rozumie tego, ale nie musi, bo to przecież też część rytuału. Dawniej o takiej porze zastęgały w napięciu wszystkie żywe istoty na wyspie, podporządkowane jego woli. Dziś nie potrafi już narzucić światu kształtu, jak to się działo w czasach, kiedy Ziemia była młodsza i bardziej uległa wobec swoich stwórców, a przynajmniej, kiedy wiara była żarliwsza. Teraz pozostały już tylko dawne gesty i obrzędy, z których – mimo upływu czasu – żadne z nich nie potrafi zrezygnować. Smutek spełnionych baśni. Wiatr, ścieżka biegnąca w poprzek urwiska, cykady, biała chusta.

Wzjedą gwiazdy i dopiero wtedy oboje wrócą do domu, a na niebie zabłyśnie utracony wieniec ślubny jego żony, Korona Północy. Cykady pójda spać. Oni nie zasną. Bogowie nie znają snu, nawet tak starzy.

\*\*\*

Kiedy przychodzi noc, ona przychodzi do niego. Niebo jest granatowe, usiane gwiazdami, ogromne, rozpycha ramy okna i kiedy ona kładzie się obok, nagle nad ich sypialnią nie ma już dachu, nagle są na pustkowiu, w ruinach świątyni, pod dębem, na którym kiedyś zawiesił dla niej cały gwiazdozbiór.

Wtedy ona siada w pościeli. Podciąga kolana pod brodę, oplata je ramionami. Jest jej zimno, ale nie drży; patrzy tylko. W niebo, w morze, w dal, która jest odległa i w przestrzeni, i w czasie. Wzdycha cicho. On leży obok obrócony do niej plecami i usiłuje oddychać miarowo, żeby myślała, że śpi. Nie może być teraz blisko niej, ale nie chce być daleko. Nigdy nie spytał, czy wie, że w te noce nie śpią oboje. Czy to ma jakieś znaczenie?

Nie wie, o czym myśli ona i nawet nie próbuje się dowiedzieć. Teraz jest już na to zresztą za późno, przeminęły dni boskości i mocy.

Dlatego leży z zamkniętymi na niebo i noc oczyma, ręką bezwiednie dotykając porastającej ich przeistoczoną sypialnię suchej trawy, i wspomina. To było tak dawno, więc w jego pamięci zdążyło się już zatrzeć bardzo wiele szczegółów, ale nie może sobie odmówić próby odtworzenia tamtej chwili, choćby nawet niepełnego, dalekiego od prawdy. Ona wzdycha i opiera podbródek na kolanach, nocny wiatr bawi się jej włosami. On wędruje w głąb wspomnień, w morze i niebo, daleko w czasie i przestrzeni.

\*\*\*

Przede wszystkim pamięta sztorm, który przygnał tu jego statek. Nie potrafili by już dziś ocenić, jak to było z tą burzą. Jako bóg mógł w każdej chwili zwrócić się do pana morza, aby dla niego rozhuśtał fale lub je uspokoił, ale ponieważ miał zawsze – a może raczej: wtedy – w żyłach tyle szaleństwa, nie próbował nawet rozmów z Posejdonem; po prostu stał na burcie, wymachując kraterem pełnym wina, lewą ręką trzymając się olinowania, i śpiewał, a pijany jak bela Sylen wraz z resztą wesołej załogi i z delfinami utórowali mu nieskładnie, kiedy fale chlustały o pokład. Zanosił się śmiechem i w zasadzie było mu naprawdę lekko i dobrze, a przynajmniej teraz myślał, że tak właśnie musiało mu być.

Czemu? Czy liczył na to, że spotka go coś miłego? Czy w swej boskiej wszechwiedzy, której smaku już praktycznie nie pamięta, domyślił się, że Ateńczyk będzie tędy płynąć z królewną z Knossos i pozostawi ją tu z sobie tylko wiadomych przyczyn? A może raczej w porywie nagłego kaprysu sam zarządził, że ma być burza, Tezeusz ma się wystraszyć i zostawić ją na brzegu dla niego, bo Kretenki jeszcze nie kosztował? Nie wie i nie ma już chęci tego dociekać. Dość, że była burza i że kiedy dniało, powoli zaczęło się wypogadzać, słońce wypełniło powietrze jak wino krater, a on, wciąż lekko zamroczony, zobaczył, że przez przybrzeżne płycizny idzie w stronę jego statku jakaś postać i woła nie jego imię.

Potknęła się, bo dno morskie nie jest jednolite i widocznie straciła grunt pod nogami. Skoczył do morza – nawet podchmielony świetnie pływał – i ruszył w jej stronę, a Sylen i inni kibicowali mu hałaśliwie, kołyszac łajbą jak oszalałe osły, i tak też rycząc. Wreszcie chwycił tonącą dziewczynę i wyciągnął na brzeg.

Miała na sobie falbaniastą spódniczkę, która teraz przybrała nijaki kolor mokrych szmat, a w jej czarne włosy zaplątały się nie kreteńskie

wężę, ale wodorosty. Stała na brzegu, ociekając wodą, trąc zaczerwienione oczy, szlochając i krztusząc się, półnaga, mokra, powalana piaskiem. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Z powodu wina? Z woli Erosa? Kto to może dzisiaj wiedzieć? Minęło tyle lat i nie ma już nawet tamtego miejsca, tamtej zatoczki, gdzie stanęli na brzegu i po raz pierwszy spojrzeli na siebie – on jaśniejący chwałą Olimpu i trochę skacowany, ona w rozpacz, podtopiona i wykrzywiona płaczem. W każdym razie pokochał ją wtedy i dotąd nie przestał.

Zawołał do załogi, żeby przybijali do brzegu, i na demony Hadesa, dawali mu tu zaraz jakiś suchy chiton i tunikę dla dziewczyny.

\*\*\*

Siadanie do śniadania, zabawa grzankami i masłem. W powietrzu czuć jesień, ale dziś nie będzie wiatru. Trzeba zatem zabić, zagryźć i zapisać kolejny dzień. Przeczekać, póki kolejna zmiana pogody nie wybije ich z tej monotonii, której ani on, ani ona nie potrafią przełamać. Owszem, dawniej zdarzało się, że nagle zaczynał tańczyć wokół stołu, a z powietrza wysnuwał się bluszcz, chmielowe szyszki. *Humulus lupulus*, mruczał w kółko, *hum-hum-humulus* albo *istud vinum, bonum, primum vinum generooooosum*, śpiewał w skundlonej łacinie, wychylając z błyskiem boskości w oku kolejne puchary, zonglował winogronami.

A ona zrywała się wtedy od stołu, przewracając przy tym zwykłe krzesło, chwytając najbliższe naczynie, w miarę możliwości duże i w miarę możliwości gliniane, i bez słowa, z furią rzucała nim o ziemię, a potem biegła z tarasu do domu, mamrocząc coś pod nosem o starych a głupich.

Teraz już nawet tego nie robił. Ona wносиła na stół kolejne koszyki – owoce, ryba, pieczywo, miseczka do moczenia chleba w oliwie, sałatka, ser, trochę wina, gołąbki w liściach winorośli, oliwki. On zazwyczaj usiłował błogosławić je i czasem nawet dawało to jakiś efekt, jakby powracała boska moc, dar obfitości. Ale wiedział, że ona tego nie lubi. Co w samotni zrobić z obfitością *dolmas*? Albo winogron? Z oliwkami, mówiła do siebie, kiedy myślała, że on nie słucha, z oliwkami to prosta sprawa. Można zamarynować, można nadziewać, można wytłoczyć. Można przerobić na pastę, dodać do sałatki, rzucać do morza. Ale co zrobić z gnijącymi winogronami i gołąbkami?

Dlatego postanawia tego ranka, że poprzestanie na tym, co bezpieczne: naleje oliwy do miski, pokroi chleb i poda jej, poda jej też

kozi ser i wino, i będzie patrzył na nią w zachwycie, chmurną i niedostępną bardziej niż olimpijskie boginie, nad talerzem niechętną i piękną.

\*\*\*

Trochę chwiał się na nogach, ale Sylen, satyry i bachantki byli już pod ręką, więc wsparł się na najbliższym, odzyskał równowagę i skłonił dziewczynie, która przyciskała do siebie tunikę, nadal celując w niego oskarżycielsko parą nagich sutków.

– Jestem Dionizos, syn Zeusa, bóg wina – przedstawił się. Nie było to może błyskotliwe, ale dotąd działało, od Attyki aż po Indie. Jednak brudna i mokra dziewczyna spojrzała na niego wrogo.

– A ja jestem następczynią tronu Krety.

Jeśli Sylen podśmiewał się z jego buńczuczności, to słysząc jej słowa, wybuchnął prawdziwą kaskadą pijackiego ryku, a za nim poszli wszyscy wokoło i już po chwili cała upojona gromada tańczyła, klaskała, potrzasała tyrsami i wrzeszczała na przemian: „Euoe, Bakchel!” i: „Chwała ci, królowo łachmaniaro!”. Rzucił się na nich z biczem z winorośli, ale tylko rozproszyli się i szydzili z bezpiecznej odległości, póki nie ukląkł przed nią i nie zaczął błagać jej o wybaczenie za tak niewczesne zachowanie jego cokolwiek nieokrzesanych towarzyszy, i prosić, by zechciała jednak w jego towarzystwie wejść na ląd, a on pozamienia tych durni i wariatki w delfiny, jeśli ona tylko zechce, ale niech pozwoli się wziąć w boską opiekę właśnie jemu.

– Ariadna – powiedziała wreszcie, jakby mięknąc.

Patrzył na jej piękne nagie piersi i myślał, czy nie kocha jej właśnie za te piersi; jego matka, której nigdy nie widział jako żywej kobiety, musiała chyba mieć równie cudowne piersi, bo inaczej jak mogłaby przyciągnąć uwagę takiego znawcy jak sam Dzeus?

Wiedział, że jest księżniczką Krety; ostatecznie był bogiem. Wziął ją zatem na ręce i niósł przez piaszczystą plażę jak bezcenny skarb, choć ona była już i mokra, i brudna, więc gest nie miał żadnego znaczenia – pozostał tylko ładny i pozwalał czuć jej ciało blisko swojego.

\*\*\*

A teraz jest pomiędzy nimi inne ciało.

Kiedy był jeszcze bogiem w pełni sił, zdawało mu się, że to musi minąć. Że wszystko, co ludzkie, mija. A jednak – ku jego wiekuistemu



zdumieniu – okazało się inaczej. Martwy człowiek mógł stać na drodze do szczęścia nieśmiertelnemu.

Teraz rozważał to, układając razem z nią na tarasie domino. Kostka za kostką, coraz większy i bardziej skomplikowany wzór, który potem wystarczy trącić palcem i zniszczyć. Namiastka mocy, żalosne wskrzeszanie czasów, gdy na jego rozkaz ludzie zmieniali się w zwierzęta, a zwierzęta rozdzierano na sztuki; a czasem rozdzierano i ludzi – bluźnierców, dla których metamorfoza w bestię byłaby, jego boskim zdaniem, zbytkiem łaski.

Ona nie lubiła gier. Odwracały uwagę od tego, co rzeczywiste i ważne. Kiedy przychodziły bezwietrzne dni, należało jednak jakoś zabijać czas spędzany razem, skazany na nich dwoje. Wtedy gry były dozwolone. Układała kostki z roztargnieniem i królewską precyzją, kiedy w kuchni gotowała się zupa z dyni na obiad. Jeszcze nie pora, żeby zstąpić między ludzi, oceniała, zaglądając do spiżarni, jeszcze mamy dość. Retziny – nawet za dużo. Trzeba z tym skończyć, myślała zapewne, bo kiedy zaglądał do kuchni, patrzyła groźnie na butelki i siekała dynię jak osobistego wroga. A on stał w progu już teraz lekko pijany. Wino pomagało znieść te dni, gdy nie wiał wiatr, i te dni, gdy wiał. Sprowadzało przyjemne, cierpkie zapomnienie.

Powinnam cię kiedyś zabrać na klify, myśli ona, a potem ledwie-ledwie, czubkiem palca potrąca kamień domina, jakby to były jego plecy, jakby od niechcenia spychała boga i człowieka w dół, w śmiertelność. Ale nic takiego się nie dzieje, to tylko kostki do gry osuwają się z cichym klik-klak, jedna za drugą niczym szereg padających pokotem wyznawców boga wina. On krzywi się jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

Ułożymy je jeszcze raz, myśli ona, będzie chciał je ułożyć jeszcze raz.

Zupa z dyni pachnie w ich domu, więc zostawia go na tarasie, a sama wraca do kuchni. Za jej plecami słychać monotonne stukanie kostek. Wie, że wszystkie wylądują teraz w worku. Po obiedzie gra zacznie się na nowo. Nie zmienią się reguły i nie zmieni się nic między nimi.

Między nimi jest martwy człowiek.

\*\*\*

Mógł się już wtedy – przed wiekami – spodziewać, mógł zobaczyć to wszystko w wieszczym, boskim natchnieniu, ale nawet jeśli zobaczył,

pomyślał pewnie, że warto. Bogowie nie rozumieją w końcu znaczenia słów „wieczne cierpienie”. To, że siedziała obok niego, podciągając kolana pod brodę, nie mogło przecież trwać w nieskończoność.

Ziemia była twarda i kamienista, więc ścielił jej pod dębem, pod drzewem swego ojca własny płaszcz z purpurowej wełny. Zapłonęło ognisko, a ona usiadła tak blisko żaru, jakby chciała, żeby gorąco natychmiast wysuszyło każdą łzę, która mogłaby zdradzić jemu i jego orszakowi, że nie wstępuje tak ochoczo w małżeńską łóżnicę boga, jak tego wszyscy, a szczególnie on, się spodziewają. Jeśli już robisz źle, przynajmniej tego nie żałuj, szeptała jej zawsze na ucho matka. Jeśli chcesz żałować, lepiej niczego nie rób. Menady śpiewały na wiele głosów, fauny pokrzykiwały, satyrowie grali na piszczałkach i bębenkach. Powietrze pachniało dymem i winem, gorące i rozedrgane, a im szybsza melodia tętniła im w uszach, tym mocniej on, bóg, przyciągał ją ku sobie. Nie zabraniała, ale czuł, że jest sztywna jak drewniana figura.

Nimfy i satyrowie tulili się do siebie. Muzyka, dym, wino i westchnienia, coraz głośniejsze, szybsze, przechodzące w miłosne skomlenie. Przytulił ją, licząc, że to już, że przecież instynkt, Eros, najstarsza siła. Wtedy zerwała się na nogi i pobiegła w ciemność. Nie daleko; znalazł ją za pniem dębu i zobaczył, że płacze.

– To dla ciebie. – Sięgnął dłonią w noc i nagle w wyciągniętych rękach zajaśniał wieniec z najpiękniejszych gwiazd odbitych w wodzie.

– Masz mnie za ladacnicę? – Otarła łzy jednym ruchem, przybierając znów królewską pozę.

– Nie – odparł, nie bardzo wiedząc, co dalej.

Objęła go, a jej spazmatyczny płacz przechodził powoli w śmiech, więc też się roześmiał. Wtedy uderzyła go w ramię z całej siły, aż jego boskie ciało odczuło ból.

– Nie pozwoliłam ci śmiać się w mojej obecności, nawet jeśli jesteś bogiem – warknęła, a potem szarpnęła za kłamię spinającą na ramieniu jego tunikę.

Stał i pokornie pozwalał się rozbierać, dotykać, pieścić gwałtownie i w nerwowym pośpiechu, i szybko zrozumiał, że Kretenka zna o wiele więcej sposobów na zadowolenie mężczyzny, niż złoto-włose Achajki. Ściągnęła go wreszcie na trawę, zrzuciła spódnicę, znów szybko i nerwowo, a potem syknęła, że podarła jedwab, więc

przytulił ją i pocieszył, że sprawi jej wszystkie jedwabie świata, jeśli zechce, a potem usiadła na nim, obejmując go udami, i nie myślał już o niczym, nawet o tym, że kiedy ona wznosi się i opada, a on tylko opada – w rozkosz niezrównaną – ona krzyczy inne imię, jak tam na brzegu, z żalem, z gniewem, z nienawiścią.

Rano wieniec z gwiazd nie wisiał już na dębie nad ich głowami. Ariadny nie było. Wstał i przeszedł przez polanę pełną nagich, wtulonych w siebie ciał, pełną zapachu potu i przetrawionego wina, cicho i z niepokojem, aż na urwisko. Znalazł ją tam wpatrzoną w ląd za wielką taflą morza. Jednak nie płakała, więc wziął to za dobrą wróżbę – że wszystko może się jeszcze ułożyć, tak pięknie ułożyć.

\*\*\*

Oczywiście nic się nie ułożyło. Miłość i domino mają ze sobą naprawdę niewiele wspólnego, zwłaszcza kiedy do gry siadają człowiek i bóg. Uczynił ją więc boginią, licząc, że to cokolwiek zmieni. Nie zmieniło, przedłużyło jedynie tę milczącą rozgrywkę między nimi dwojgiem w nieskończoność.

Nadzieja jest córką Niezgody, myślał czasem, kiedy na początku ich wspólnego życia patrzył na jej plecy, gniewne i obrócone ku niemu w ciszy nocnej, a może jest także córką Nocy, rozważał dalej i obejmował ją, a ona pozwalała mu na to, mówiąc o świecie prosto w oczy, że zrobiła to tylko ze zmęczenia, z chęci, by nie niepokoił jej już dłużej. Teraz, gdy obejmuje ją, czuje, jak jej ciało mięknie i zapada się w jego objęcia. Nadzieja rodzi się w nocy, ale codziennie rano, kiedy patrzy na jej twarz, na przecięte pionową zmarszczką czoło, wie, że ona nadal poddaje się jego dotykowi tylko dla spokoju. Może dla ciepła. Odkąd przestali być tak bosko wszechmocni jak za dawnych lat, czasem marznie i dlatego teraz on, stojąc przed ich wspólnym domem, myśli o niej z troską i nadal rozważa, czy pójść w dół klifu i przynieść jej choćby cieplejszy płaszcz, choć jest świadom, że nie będzie zadowolona z jego obecności. To też element gry, wiedzą o tym oboje. Jeśli on przyjdzie z podarunkiem, ona nie będzie mogła odprawić go od razu. Królewski konwenans. Za wieniec z gwiazd oddała swoją śmiertelność. A może za tamtą jedną noc, kiedy pozwolił jej kochać się z nim na przekór innemu mężczyźnie?

Wraca do domu po wełniany płaszcz, który ona sama utkała dziesiątki lat temu, gdy jeszcze hodowali dla siebie owce i kozy. Wiatr wzmaga

się; tak trudno zejść po stromych kamiennych schodach na brzeg i on myśli, że gdyby poślizgnął się i spadł, być może wreszcie, teraz, tak daleko od boskiej młodości, znalazłby wreszcie spokój, i ta przelotna wizja kusi go przez chwilę, zwłaszcza że w głowie znów szumią fale wina ciemnego jak morze. Ale co wtedy stałoby się z nią? Jak poradziłaby sobie tutaj sama, bez ciepłego płaszcza, bez regularnych błogosławieństw, jakie w tajemnicy odprawiał w spiżarni, żeby jak najrzadziej musiała schodzić do miasteczka po drugiej stronie zatoki, między ludzi, których wygląd, język i obyczaje przypominają tylko o tym, jak wiele czasu minęło od śmierci księcia, którego kochała? Dlatego opiera się zawrotom głowy i schodzi, wołając jej imię. Wie, że ona już nie woła nikogo. Stoi tylko na brzegu i wypatruje czarnych żagli.

Tak przynajmniej przewiduje. Jednak kiedy dociera na sam dół, jej tam nie ma. Nie widać białego szala i ciemnych włosów szarpanych przez wiatr. Morze jest wzburzone, jego krzyk jednak rośnie w siłę, przebija się jak tyrs przez szum fal i niesie nad plażą, poszarpany i coraz bardziej rozpaczliwy. Znajduje ją wreszcie w załomie zatoki. Jej ciało powoli zanurza się pod wodę owinięte szalem w kolorze brudnych, mokrych szmat, we włosy wplatają się wodorosty. Kiedy podnosi ją i ciągnie na brzeg, czuje, że jest ciężka, jakby połąkła morze, a nie kilka haustów zimnej, słonej wody. Z jej kieszeni wysypują się na piasek kostki domina.

\*\*\*

Kiedy przychodzi noc, w ich sypialni nie palą się już gwiazdy. Tylko oliwny kaganek u wezgłowie rozjaśnia ograniczoną, ludzką przestrzeń pokoju, łóżka, na którym ona leży, a on siedzi przy niej, podciągając kolana pod brodę. W świetle gwiazd nie widać siwych nitek w jej czarnych włosach, myśli on, gładząc delikatnie pobrużdżone zmarszczkami czoło szmatką zanurzoną w zimnej wodzie. Poślizgnęła się na klfie. Nie jest bosko wszechmocny, ale wie, że prawda może być zupełnie inna. To nie jest pierwszy raz, kiedy spróbowała, czy naprawdę nieśmiertelność oznacza to, co oznacza bez najmniejszej wątpliwości. Jednak to działo się ostatni raz dawno, bardzo dawno i zdawało mu się, że zrozumiała, że nie można uciec przed nieobecnością śmierci w śmierć. Widocznie jednak wino – a może wiatr, horyzont, cień czarnych żagli – potrafi zwodzić nadal ich oboje.

Ona kaszle. Otwiera oczy i wpatruje się najpierw w niebo, którego nie ma, potem w światło kaganka, wreszcie w niego. Zaciska palce na jego dłoni.

– Będzie ci ciężko beze mnie – mówi cicho, a on po raz pierwszy od wieków, może od czasu, kiedy Olimp przestał istnieć, ma wrażenie, że ona mu współczuje. Splata palce z jej palcami i milczy.

– Nie chcę, żebyś odeszła – stara się mówić spokojnie. Na Hadesa i Erynie, na wody Styksu, zawsze zwycięży w tobie egoizm, prawda?

– Nie chcę odchodzić, ale obawiam się, że tym razem niewiele możemy już na to poradzić – teraz jej głos znów jest suchy, władczy, królewski.

I dlatego on wyszarpuje gwałtownie swoją dłoń z jej uścisku, rzuca strzęp własnej tuniki do miski z wodą i wychodzi, zatrząskując za sobą drzwi.

Po raz pierwszy od nieskończoności zasypia sam, pod drzewem dębu, na którym zawiesił jej wieniec błyszczący teraz gdzieś wysoko na niebie, a niebo nie jest już dla niego otwarte.

Ale nad ranem przychodzi do niej. Nad ranem zawsze jest najzimniej, więc ona, mimo że jest bardzo słaba, wtula się w jego objęcia, a on obejmuje ją delikatnie i czeka do świtu, kiedy gasną kaganki i światło jego życia.

– Nie będę cię zatrzymywał – obiecuje, kiedy ona patrzy na niego zamglonym wzrokiem.

Umieranie nieśmiertelnego jest ciężkie, bardzo ciężkie, mało estetyczne i upokarzające. Nie będzie jej zatrzymywał, to prawda, ale nie może się powstrzymać i całuje ją, i przytula, szepcze wszystkie zapomniane słowa miłości, jakimi zaklinał ją przez lata, przez dziesiątki, setki lat, aby przyszła do niego ponownie, z własnej woli, a nie ze względu na pierwszą noc, wieniec, na Tamtego. Ona przytula się do niego.

A potem, kiedy jest już bardzo jasno, ona umiera, a on dostaje niejasną deklarację niewypowiedzianej, nieprostej miłości, jaką do niego czuła albo przynajmniej teraz czuje.

\*\*\*

W południe idzie na plażę. Wie, że znajdzie tam sporo starego drewna, które morze wyrzuca na wybrzeże w tej zatoce od wieków, jakby specjalnie na tę okazję. Pościął już wszystkie oliwki w skarłałym

sadzie przed domem, a potem, ponieważ nigdy nie lubił półśrodków, porąbał też krzesła, te wiklinowe i drewniane, stół kuchenny i ich ogrodową ławę, ramy obrazów, ręcznie rzeźbione figurki jego olimpijskiej rodziny kupowane u handlarzy tandetą w Drymalii, i łóżka, oprócz tego, na którym leżała ona. Do sterty drewna na skraju klifu dorzucił po namyśle wszystkie łatwopalne przedmioty, jakie mógł znaleźć w domu. Teraz wlecze ze sobą drewno z morskich fal. Wie, jak ono będzie się palić – zielonkawe od soli płomienie będą przypominać mu Hades i śmierć własnej matki w ogniu piorunów. Kobiety śmiertelne umierają przez wzgląd na bogów, a ich koniec przychodzi zawsze w ogniu przynoszącym oczyszczenie. Jakież to proste i zgrabne podsumowanie, w sam raz dla szalonego boga i poety.

Niebo jest ciężkie od chmur, a on musi zdążyć, nim przyjdzie burza. Rzuca kolejne szczapy na stos pogrzebowy królowy kreteńskiej i zastanawia się przez chwilę, czy jakimś niezwykłym trafem nie wpadła mu w ręce choćby szczapa z okrętu, który kiedyś wiozł ją i Tamtego do Aten, bo jeśli człowiek powinien kończyć w ogniu, śmierć statku powinna przyjść jako wysoka, zielonkawa fala łamiąca maszty i targająca olinowanie, a potem sprowadzająca spokój i podwodną wieczną ciszę.

Czy dziś ma to znaczenie?

Układa ją tak, aby było jej wygodnie – na poduszkach, prześcierałkach – i w zapadającej ciemności przed burzą przygląda się jej zmęczonemu ciału, które powoli, powolutku traciło wieczną młodość, w miarę upływu lat i powolnego wysychania źródeł wiary, choć nadal było nieśmiertelne. Kiedyś skończyłaby pewnie jak mąż Eos, jako słaba i krucha staruszcza. Nie miałyby sił schodzić na brzeg morza. Byłaby już tylko jego. Czy nie mogła poczekać?

Płacze teraz jak pijany. Czy naprawdę nie mogła poczekać? Jego też bolą ramiona. Broda, niegdyś ufryzowana w loki, jest sztywna i posiwiała. Wieniec z bluszczu i tyrs zwiędły i wyschły, a haftowany w meandry chiton jest teraz – w żółtawym świetle wieczoru – brudny i zakurzony. Tak jak on. Wyschnięty kawałek ciała, który był bogiem.

Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko usiąść obok niej, wspierając się na stalowej lasce wyrwanej z balustrady wokół domu. W klif w czasie jesiennych sztormów uderzają czasem pioruny. Trzeba tylko poczekać.

Tymczasem burza rozprasza się i nie nadchodzi. Oboje mają jednak dużo cierpliwości, choć jemu zaczyna po pewnym czasie brakować retziny i domina. Mimo to nie opuszcza miejsca czuwania. Jest noc, od morza ciągnie chłodem, Ariadnie może być zimno, prawda? Na niebie błyszczy znowu Korona Północy – ślubny wieniec i Dionizos mówi sobie na rozgrzewkę, że jeśli będzie umiał czekać, w końcu go osiągnie.

**Łukasz Marek Fiema** - mieszkaniec Bytomia, z wykształcenia historyk. Skończył studia na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Debiutował na łamach dwumiesięcznika „Portal”, dla którego później przez wiele lat pisał recenzje, felietony i scenariusze przygód. Jego teksty pojawiały się również w „Gwiezdnym Piracie” oraz kwartalniku „Magia i Miecz”. Współautor bestiarium do gry fabularnej Neuroshima. Okazjonalnie publikuje opowiadania w „Esensji”, na Szortalu, a także w antologiach Śląskiego Klubu Fantastyki. Wielbiciel Stanisława Lema, Arthura C. Clarke’a i Juliusza Verne’a. Najchętniej pisze w konwencji twardej SF oraz low fantasy.



Łukasz Marek Fiema  
**KOT Z PUDEŁKA**



**H**istoria znajomości z Kotem rozpoczęła się prawdopodobnie owego tragicznego dnia, w którym doszło do wypadku na stacji orbitalnej Galileusz. A przynajmniej Emily uznała, że wtedy właśnie wszystko miało swój początek, chociaż nie mogła się w tym połapać. Tamtego popołudnia roztrzęsiona wracała metrem z kliniki, kiedy uderzyły ją doniesienia serwisów informacyjnych. Podczas cumowania rejsowego wahadłowca nastąpił wybuch, spowodowany nieszczelnością zbiornika z utleniaczem. Tak tłumaczono przyczynę katastrofy. Jednak nie każdego to przekonało. Internet urzał od pogłosek o sabotażu.

Zginęło wówczas kilkanaście osób, w tym jej bliski przyjaciel. Z początku nie mogła uwierzyć w tę nagłą śmierć. Anton niedawno wrócił z Marsa. Jako biolog molekularny obstukiwał tam kamienie i przesiewał piasek, szukając skamieniałych struktur organicznego pochodzenia. Zakrawało na ironię losu, że przeżył rok na innej planecie, gdzie tropił ślady obcego życia, by zginąć w trakcie rutynowej podróży po zupełnie zwyczajne ziemskie pierwotniaki, hodowane w warunkach mikrograwitacji.

A przecież za parę dni mieli się zobaczyć. Planowali odwiedzić znajomych, powspominać okres studiów oraz wspólnej pracy. To, co się zdarzyło, spadło na nią bolesnym ciężarem, akurat gdy wykryto u niej nowotwór, i rozpaczliwie potrzebowała kogoś bliskiego. Perspektywa samotnych zmagania z chorobą była przerażająca.

Po skromnej ceremonii pogrzebowej odwiedziła mieszkanie wynajmowane przez Antona. Zamierzała wziąć stamtąd parę drobiazgów na pamiątkę. Zabrać ze sobą i ochronić to, co nie powinno zostać wyrzucone przez jakąś obcą osobę. Trochę starych zdjęć, nieco książek. Garść przedmiotów, którym wspólnie przeżyte chwile nadawały znaczenia. Nie chciała, by teraz trafiły na śmietnik. Nie zasługiwały na to.

Stanowili parę przez pewien czas, lecz ich drogi rozeszły się dawno temu. W ciągu następnych lat każde zajmowało się rozwijaniem kariery. Ona nadzorowała rozbudowę eksperymentalnych upraw hydroponicznych na Saharze, on badał zamrożone szczątki prehistorycznych zwierząt, wydobyte z syberyjskiej tajgi. To właśnie Anton, łącząc materiał genetyczny wymarłych trąbowców z komórkami

współcześnie żyjącego słonia, dał światu pierwszego sklonowanego mamuta. Podziwiała jego zapał i wiarę we własne możliwości.

Niekiedy wpadali na siebie na jakiejś konferencji naukowej, organizowanej zwykle pod patronatem ESA lub Konsorcjum Księżykowego. Takie spotkanie zawsze kończyło się podobnie. Znudzeni prelekcjami uciekali na miasto, gdzie świetnie się bawili. Potem znajdowali jakąś zaciszną kawiarenkę i dyskutowali o transgenicznych odmianach kukurydzy albo syntezie biopolimerów. Na końcu szli ze sobą do łóżka. Rano zaś każde z nich odchodziło w swoją stronę, po raz kolejny stwierdzając, że tak jest lepiej i nie ma sensu tego zmieniać.

Ciasny kontener mieszkalny, przyczepiony do ściany drapacza chmur w New Delhi, trudno było nazwać wygodnym lokum. Gdy weszła, w oczy rzucił jej się niebываły, wręcz ascetyczny porządek. Anton stanowił przykład gorliwego pedanta. Lubił wszystko starannie poukładać, znajdując idealne miejsce dla każdej rzeczy w swoim otoczeniu. Czasami, gdy była na niego zła, czuła się dokładnie jak taka rzecz, odpowiednio ułożona w jego życiu. Nie za daleko i nie za blisko. Tak w sam raz, by po nią sięgnąć, a równocześnie nie mieć ciągle na widoku.

Blask popołudniowego słońca padał przez brudną szybę, kładąc się ciepłymi plamami światła na drewnianym biurku oraz regale pełnym starannie ułożonych książek. Anton miał upodobanie do papieru, przedkładając go nad cyfrową pamięć tabletu. Uważała, że pod tym względem jest nieco staroświecki, lecz z drugiej strony było to szalenie urocze. Znajdowało się tu jeszcze wąskie podnoszone łóżko, szafa na ubrania i kilka półek. Praktycznie nic więcej. Niewielka lodówka oraz stojąca na niej kuchenka mikrofalowa tkwiły wciśnięte w jeden z kątów – akurat tam, gdzie pozostało nieco wolnego miejsca. Wnęki na toaletę i prysznic oddzielały od reszty pomieszczenia przesuwane półkoliste drzwi.

Mieszkanie wyglądałoby całkiem przytulnie, gdyby jakoś urozmaicić surowe wnętrze, wprowadzając nieco radosnego nieporządku. Rozglądając się, ujrzała w myślach bluszcz pnący się po ścianie i pojemniki z kwiatami wiszące nad biurkiem. Stwierdziła też, że przy oknie dałoby się wstawić doniczkę z jakimś niedużym drzewkiem. Potem przypomniała sobie o sadzonce cytryny, którą przyjaciel otrzymał kiedyś od niej w prezencie. Roślina nie miała łatwego życia i z trudem walczyła o przetrwanie, bo właściciel, zajęty swoimi sprawami, często zapominał o podlewaniu. Kiedy w końcu zwiędła,

Anton wysłuchał gorzkich słów o tym, że nie potrafi zaopiekować się niczym żywym, nawet jeśli są to tylko trzy drobne listki.

Zamyślona podeszła do okna. Poniżej ulice stumilionowego molo-cha tonęły w beżowym smogu, ale tutaj, na wysokości kilkuset metrów, powietrze było bardziej przejrzyste i w pogodny dzień pozwalało przedrzeć się słonecznemu światłu. Rośliny miałyby całkiem niezłe warunki do wzrostu. Spojrzała w dal, ponad stłoczonymi szeregi zabudowań wyłaniającymi się z brudnej mgły. Między wznoszącymi się ku niebu wieżami ze szkła oraz metalu widziała rozległą panoramę miasta, rozciągniętego wokół jak wielobarwna mozaika chaotycznie pozszywanych ze sobą skrawków materiału. Poczowała się nagle bardzo osamotniona w tym cichym, pustym mieszkaniu zawieszonym pod indyjskim niebem. Zapragnęła jak najszybciej wrócić do siebie, do bezpiecznej, zamkniętej przestrzeni Kopuły Paryskiej, z jej ogrodami i katedrą Notre-Dame w samym centrum.

Wtedy usłyszała szelest, któremu towarzyszyło skrobanie. Drgnęła, wyrwana z odrętwienia wywołanego przygnębiającymi myślami. Pośpiesznie zerknęła pod biurko, skąd dobiegały te niespodziewane dźwięki. Leżało tam przewrócone plastikowe pudełko po kostkach proteinowych. Nie zastanawiając się, przykucnęła, po czym zajrzała do środka. W pudełku, na pogryzionym celofanie, przycupnęło coś niewielkiego i nastroszonego. Kiedy powoli sięgnęła dłonią, żeby tego czegoś dotknąć, ruda futrzana kulka nakrapiana ciemnymi cętkami fuknęła groźnie, ale bez przekonania, wciskając się w narożnik pojemnika. To był kot – chudy kociak, wlepiający w nią duże, wystraszone oczy. Miał nie więcej niż kilka tygodni. Wyjęła go ostrożnie, chociaż desperacko stawiał opór. Wyciągnięty ze swej kryjówki pisnął żałośnie i znieruchomiał w jej rękach, kładąc po sobie płasko uszy.

Mimowolnie uśmiechnęła się, ale równocześnie zaskoczyło ją znalezisko. Anton nie należał raczej do osób, które chciałyby trzymać w domu coś tak kłopotliwego i wymagającego ciągłej uwagi jak mały, psotny zwierzak. Nie wydawał się też potrzebować takiego towarzysza. Był typem samotnika, skupionym na swojej pracy. A może po prostu nie znała go zbyt dobrze? Czasem miała wrażenie, że osobowość przyjaciela jest jak otoczony drutem kolczastym bunkier, za którego betonowymi ścianami znajduje się pieczołowicie chroniony sekretny ogród. Anton nigdy jej tam nie wpuścił.

Przyglądała się kotu przez chwilę, uspokajająco głaszcząc miękkie, ciepłe futerko. Ogarniające ją poczucie osamotnienia znikło. Sięgając pamięcią do zatartych wspomnień z dzieciństwa, przypomniawszy sobie podobną rdzawą sierść, urozmaiconą plamkami koloru palonej kawy. Mieszkała wówczas w oazie Baharija, na skraju bezkresnej saharijskiej pustyni. Jej rodzice pracowali przy konserwacji systemów nawadniających, a ona była smutną dziesięciolatką, której nikt nie poświęcał większej uwagi. Pozbawiona towarzystwa rówieśników, spędzała czas na czytaniu albo całymi dniami włóczyła się po okolicy, próbując znaleźć sobie zajęcie. Miała wtedy kota. Dużego rudego kocura, towarzyszącego jej podczas samotnych zabaw. Popołudniami siadał przy niej w cieniu oliwnych drzew, podczas gdy ona czytała, leżąc na rozłożonym kocu przed tabletem, a wieczorami biegali razem po wydmach, goniąc skoczki pustynne.

Oazę pamiętała jako nudne miejsce, w którym nigdy nic się nie działo. Niekiedy tylko odwiedzał ich dziadek ze strony ojca, kierujący wówczas wykopaliskami w Sakkarze i Bubastis. Przywoził miód daktylowy, suszone figi oraz opowieści o skarbach faraonów. Pewnego razu dostała od niego złoty wisiorek wygrzebany z ruin jakiejś starożytnej świątyni. Amulet miał przynosić szczęście, jednak wkrótce gdzieś przepadł. Może właśnie dlatego jej życie nie ułożyło się tak, jak chciała.

Szorstki języczek nieśmiało polizał palec. Kociak wtulił się w jej dłoń, przymykając oczy. Mogła po prostu zostawić go tutaj z odrobiną jedzenia, licząc, że jakoś sobie poradzi do czasu, aż mieszkanie odbierze administrator. Co ze zwierzęciem stanie się dalej, nie musiało ją interesować. Pewnie zostałyby usypiony, jak najczęściej bywało w tego typu przypadkach. Spojrzała na małą kulkę, zwiniętą ufnie w jej rękach. Większość ludzi, których znała, tak właśnie by postąpiła, oszczędzając sobie kłopotów. Ona jednak nie należała do tego rodzaju osób. Było oczywiste, że zabierze kota ze sobą. O całą resztę postanowiła martwić się później.

Nie wypuszczając kociaka z rąk, przez następne pół godziny krążyła po mieszkaniu, przeglądając rzeczy przyjaciela. Otwierała szuflady i szafki, znajdując niekiedy coś, co przypominało jej o spędzonych razem chwilach. Figurkę Buddy, kupioną wspólnie podczas Konferencji Klimatycznej w Bangkoku. Wełnianą czapkę, którą z wielkim trudem zrobiła kiedyś dla niego na święta. Komplet ołówków, otrzymanych od niej z okazji urodzin. Spoczywały w przegródce biurka ułożone

według skali twardości, wciąż niezastrugane. Były też inne drobiazgi, czasem nieznanego pochodzenia, ale nie znalazła ich wiele. Anton zawsze powtarzał, że nie lubi gromadzić zbędnych rupieci.

Postanowiła wziąć Budde, stary tablet pełen zdjęć i filmów, a także zbiór opowiadań Edgara Allana Poego, zabytkowy atlas anatomiczny i opatrzony jakąś nieczytelną dedykacją egzemplarz „Mahabharaty”. W tej ostatniej książce znalazła plastikową zakładkę. Przez chwilę czytała zaznaczony rozdział, omawiający wędrówkę duszy oraz zasady reinkarnacji, a w jej myślach uparcie powracało pytanie, czy przyjaciel wierzył w cokolwiek innego poza chłodną, wykalkulowaną nauką. Nawet tego nie była teraz pewna. Na końcu, kiedy zdecydowała już, co chce zabrać, zapakowała drzemiącego kota do znalezionej wcześniej czapki i umieściła tak przygotowany pakunek w ażurowej skrzynce po mandarynkach. Opuszczając mieszkanie, poczuła, że pewien rozdział jej życia zamknął się nieodwołalnie.

Jadąc kolejką magnetyczną przez miasto, kurczowo ścisnęła trzymany na kolanach pojemnik i bezmyślnie patrzyła w okno. Za szybą przemykały zatłoczone ulice pełne ludzi i pojazdów sunących w żółtej mgłę. Ponad nimi na tle wieczornego nieba wznosiły się szklane ściany biurowców, oblepione połyskującymi panelami reklam. Pociąg przyspieszył. Po chwili wszystko zlało się w rozmazany potok świateł. Niebawem sięgające nieba zabudowania azjatyckiego megalopolis zostały daleko w tyle, ustępując miejsca brudnym slumsom rozciągającym się pomiędzy centrum aglomeracji a portem lotniczym Nehru.

Sprawdziła połączenia suborbitalne z Paryżem. Za pół godziny miała samolot. Wykorzystała ten czas na wypicie kawy w terminalu lotniska i skontaktowanie się ze znajomym z Genewskiego Instytutu Genetyki, który był jej swego czasu winny przysługę. Potrzebowała pozwolenia na zwierzę oraz zaświadczenia o przebyciu przez nie kwarantanny. Należało też kota jakoś nazwać, ale nic odpowiedniego nie przychodziło jej do głowy. Nazwała go więc po prostu Kotem, gdyż imię to wydało jej się równie dobre jak każde inne.

Odprawa przedłużała się. Przy bramkach prowadzących do wyznaczonych sektorów dostrzegła ludzi w szarych uniformach indyjskiej Służby Bezpieczeństwa. Kontrolowali karty identyfikacyjne oraz przeszukiwali bagaże części podróżnych. Mogła to być jakaś rządowa operacja wymierzona w przemytników, szmuglujących do Europy kość słoniową lub inne myśliwskie trofea, jak chociażby cieszące się

dużym wzięciem futra tygrysów bengalskich. Indie od dawna starały się definitywnie uciąć ten proceder, lecz bezskutecznie. Zastanowiła ją jednak obecność ubranych po cywilnemu mężczyzn, wydających się koordynować całą akcję. Mieli słowiańskie rysy twarzy i rozmawiali ze sobą po rosyjsku. Na klapie marynarki jednego z nich dostrzegła znajomy emblemat Konsorcjum Księżykowego. Chociaż oficjalnie o tym nie wspomniano, od czasu gdy Hindusi w charakterze podwykonawców przejęli stocznię orbitalną Tycho, a Moskwa udzieliła im poparcia w sprawie Kaszmiru, rosyjscy przedsiębiorcy zyskali tu znaczne wpływy. Z pewnością nie po raz pierwszy pociągali za sznurki.

Nie mając zamiaru czekać pomiędzy słoczonymi pasażerami klasy ekonomicznej, wykorzystała specjalne przywileje uzyskane dzięki posiadaniu przepustki ESA. Kiedy załatwiła wszystkie formalności, samolot stał już na pasie startowym. Z ulgą zapadła się w fotel, zapinając pasy. Była zmęczona i bolały ją nogi. Przez całą podróż Kot grzecznie spał, udając, że go nie ma, ona zaś wpatrywała się sennie w krzywiznę horyzontu, otuloną błękitnym welonem pod przetykaną gwiazdami czernią.

\*\*\*

Kot nie chciał jeść. Cały pierwszy dzień niemrawo snuł się po mieszkaniu, badając wszystkie kąty, by potem wrócić do swojej czapki i dalej spać. Przygotowała mu posłanie w kącie za doniczką z fiku-sem. Dwa razy odwiedził postawioną nieopodal kuwetę, jednak nie raczył tknąć niczego, co podrzuciła mu do jedzenia. Nie ruszył pasty proteinowej, witaminizowanych płatków ani nawet prawdziwego krowiego mleka, które z trudem udało jej się zdobyć. Pił tylko wodę. Martwiło ją to, gdyż widziała, jak bardzo jest słaby i wychudzony.

Sytuacja uległa jednak wkrótce zmianie. Panel wizyjny wideościany przestał akurat działać, więc należało go wymienić. Element ten psuł się regularnie co pewien czas, podobnie jak większość sprzętów codziennego użytku. Gdy tylko technicy skończyli pracę i wyszli, a ona zaczęła po nich sprzątać, pojawił się Kot, siedzący dotychczas w swym kąciku. Płatał się uparcie pod stopami, wyraźnie zaintrygowany okruciami tynku oraz ścinkami przewodów zmiatanymi z podłogi. Później jego zainteresowanie wzbudziły kawałki styropianowego wypełniacza, leżące obok rozpakowanego kartonu. Obwąchał je dokładnie, ostrożnie polizał i zaczął chciwie obgryzać. Zaskoczona patrzyła, jak zajada

polistyrenową piankę. Na koniec pocierał się o jej nogi z widoczną wdzięcznością i wrócił do swojego legowiska. Już wtedy zrozumiała, że nie jest to zwykły zwierzak. Musiał mieć coś wspólnego z badaniami prowadzonymi przez Antona, chociaż nie potrafiła odgadnąć, dlaczego przyjaciel zabrał go do siebie, zamiast pozostawić w instytucie.

Jak się wkrótce okazało, Kot nie gardził też papierem – pod warunkiem, że były to czyste, niezadrukowane kartki. Najbardziej lubił rozmoczone w wodzie arkusze brystolu oraz cienką bibułę listową, którą kupowała mu w niewielkim antykwariacie przy bulwarze Saint-Germain. Kierowana ciekawością zbadała zawartość kuwety, stwierdzając, że jego układ pokarmowy ma możliwość przyswajania celulozy, natomiast obecna w jelitach flora bakteryjna rozkłada polistyren na dwutlenek węgla oraz proste związki organiczne. To było fascynujące. Nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś takim.

Niewiele więcej dowiedziała się, biorąc próbkę krwi Kota do laboratorium i potajemnie przeprowadzając tam podstawową analizę cytogenetyczną oraz symulację transkrypcji białek. Otrzymanych wyników nie potrafiła zrozumieć. W łańcuchach peptydów sekwencjator jonowy wykrywał struktury nietypowych aminokwasów, zaś skaner molekularny ciągle sygnalizował błędy odczytu, spowodowane przepełnieniem bufora danych. Dokładne informacje o genotypie miałyby dopiero po wykonaniu sekwencjonowania metodą Sangera-Hallmanna, jednak takie badanie wymagało rejestracji w systemie. Parę razy przyszło jej do głowy, aby skontaktować się z instytutem we Władystoku i oddać zwierzę. Szybko jednak odganiała takie myśli. Było już za późno, bo przecież Kot przywiązał się do niej. Wszędzie za nią chodził, zaczepiał podczas pracy, na różne sposoby zachęcając do zabawy, a wieczorami zwił się obok niej w kłębek na łóżku.

W ciągu następnych tygodni zadomowił się na dobre. Miał swoje ulubione miejsca i zwyczaje. Często siadał pośród rozrzuconych na biurku drobiazgów, dotrzymując jej towarzysztwa, gdy znużona ślezczała przed ekranem laptopa, popijając kolejną kawę. Usadowiony nieruchomo pomiędzy posążkiem Buddy a stertą segregatorów, z dostojnym skupieniem patrzył, jak pracuje. Do momentu, w którym jego zainteresowanie wzbudziła wędrująca po ścianie mucha albo leżący w pobliżu spinacz. Innym razem wskakiwał jej na kolana, gdzie wygodnie się układał i zasypiał. Kiedy wracała z miasta, zazwyczaj witał ją już w progu, ocierając się oraz pomrukując radośnie, by później, patrząc



wyczekująco, przypomnieć o napełnieniu miski styropianowymi granulkami.

Czasem sprawiał też nieco kłopotów. Z wrodzoną stworzoniom swego rodzaju ciekawością zaglądał we wszystkie możliwe zakamarki, próbując złapać, przewrócić albo strącić każdą rzecz, jaka znalazła się w zasięgu małych kocich łapek. Niezbędne było znalezienie bezpieczniejszego miejsca dla doniczek z roślinami, stojących dotychczas na parapacie. Kot chętnie tam przesiadywał, przyglądając się światu za oknem. Obserwował grupy przechodniów, pojazdy sunące mostem Świętego Michała oraz przepływające Sekwaną statki. Jeśli to go znudziło, dla odmiany wpatrywał się w ptaki krążące wysoko pod sklepieniem kopuły osłaniającej centrum miasta. Zdarzało się też, że znikał gdzieś na cały dzień. Miał mnóstwo kryjówek, w których lubił się zasyść, wychodząc dopiero w momencie uznanym przez niego za stosowny.

Nie było niczym nadzwyczajnym przypadkowe odkrycie Kota wylegującego się w pralce na stosie ubrań lub ukrytego głęboko wewnątrz szafki z butami. Któregoś razu znalazła go w lodówce. Spał wciśnięty między kartony mleka sojowego a pojemniki z próbkami nasion, najwyraźniej nie zwracając uwagi na warunki, w jakich przyszło mu spędzić kilka godzin. Musiała zamknąć go tam przypadkiem, kiedy jak zwykle szwendał się pod nogami, próbując zwrócić na siebie uwagę. Najczęściej jednak przepadał bez śladu i mogła tylko czekać, aż sam przyjdzie. Pachniał wtedy używanymi przez nią perfumami, kurzem albo pastą do butów. Zdarzało mu się również przynieść ze sobą zapach wilgotnej trawy bądź świeżego tamaryszku. Przypuszczała, że wpadł na pomysł, by korzystając z uchylonego okna, wychodzić na zewnątrz. Gałęzie rosnącego nieopodal drzewa sięgały aż do gzymsu kamienicy, więc zapewne tą drogą opuszczał mieszkanie, by gdzieś się włóczyć. Początkowo trochę ją to martwiło, ale postanowiła nie ograniczać jego wolności.

Za to, będąc nieopodal, sprawiał, że dotychczas puste otoczenie nabierało życia, a ona czuła się mniej samotnie. Zwłaszcza podczas długich, beznadziejnie smutnych nocy, gdy mając wszystkiego dość, wciskała twarz w mokrą od łez poduszkę. Czasem, leżąc w ciemności i kuląc się z bólu, który nie pozwalał zasnąć, czuła niespodziewane muśnięcie kociego futerka. Jakby wyczuwając jej stan, Kot sadowił się tuż obok i mruczał przyjaźnie, przypominając o swojej obecności. Patrzenie na to, co wyczynia, również poprawiało nastrój. Widok rudego kociaka turlającego się po podłodze, goniącego

porwany przeciągiem zeschnięty liść lub walczącego z porzuconym butem pozwalał na jakiś czas zapomnieć o dręczących ją myślach. Miała wrażenie, że czasami robi to specjalnie, próbując ją rozbawić.

Z całą pewnością stali się przyjaciółmi. Takimi naprawdę dobrymi przyjaciółmi, którzy wzajemnie o siebie dbają, chociaż każde na swój własny sposób.

\*\*\*

Znów śniła jej się Baharija. Znów miała dziesięć lat i biegnąc pomiędzy wykręconymi pniami drzew oliwnych, czuła na twarzy gorący podmuch wiatru, przesyconego wonią akacji oraz pustynnych krzewów. Obok niej, to z prawej strony, to z lewej, przemykał w trawie niewyraźny cień. Niebo ponad soczyście zielonym polem kukurydzy przybrało barwę rozmytego beżu, z każdą chwilą ciemniejąc coraz bardziej. Od pustyni szła burza piaskowa. Skłębiony żywioł nadciągał ku daktylowym zagajnikom tumanami uniesionego pyłu. Wiedziała, że musi się pośpieszyć. Powinna pomóc rodzicom zabezpieczyć nawilżacze oraz panele fotoogniw, zanim Sahara z całą mocą uderzy w małą oazę.

Nie zdążyła dobiec do farmy. Kurzawa spadła na nią oslepiającą chmurą, odbierając oddech. Okruchy piasku wciskały się do oczu i zgrzytały w zębach. Wokół zapadł półmrok, w którym suchy wiatr wściekle gnał obłoki drobnego żwiru. Przerazona biegła przed siebie na oślep, coraz wolniej, jakby gęstniejąca ciemność próbowała ją zatrzymać. Wreszcie upadła, nie potrafiąc zrobić ani kroku więcej.

Wtedy z kłębow wirującego piachu wyłoniła się ludzka sylwetka w skafandrze pokrytym brązowym pyłem. Rozpoznała Antona. Takim pamiętała go z ostatnich filmów zrobionych na Marsie. Szedł, brodząc po kostki w nawianym piasku. Za szkłem hełmu widać było jego spokojną twarz, podświetloną blaskiem wewnętrznych jarzeniówek. Mówił coś do niej, ale przejmujące wycie wiatru tłumiło wszelkie słowa.

Otworzyła oczy, złana zimnym potem, wciąż czując metaliczny posmak w wyschniętych ustach. Leżący obok Kot, zwinięty w ciepły kłębek, poruszył się przez sen i mruknął uspokajająco. Pogłaskała go. Później po omacku wzięła z szafki przy łóżku szklankę wody. Przez uchylone żaluzje padał słaby blask latarni, a cyfry fosforyzujące na ścianie wskazywały środek nocy. Wokół panowała cisza, tylko gdzieś z oddali dobiegało basowe dudnienie agregatów filtrujących

powietrze dla kopuły. Osobliwe uczucie zagubienia i lęku, wywołane niepokojącym snem, wkrótce minęło. Jeszcze jakiś czas leżała, wsłuchując się w odgłosy pracujących maszyn, aż w końcu ponownie zasnęła. Do rana nie męczyły jej już żadne koszmary.

\*\*\*

W mieszkaniu zaczęły ginąć różne rzeczy. Wszelkiego rodzaju drobiazgi znikwały ze swoich miejsc, by po tygodniu czy miesiącu odnaleźć się zupełnie gdzie indziej. Zwykle tam, gdzie ostatnio kręcił się Kot. Niekiedy podczas sprzątanía natrafiała też na przedmioty niewiadomego pochodzenia. Mogła to być dziwnie wyglądająca śrubka, koralik z niebieskiego plastiku czy gumowy korek. Po tym, gdy podczas sprzątanía natrafiła w kuchni na autentyczny kapsel z logo Coca-Coli, rzecz niewidzianą od dzieciństwa, doszła do wniosku, że zwierzak, nudząc się, wygrzebuje zza nieruszanych przez lata mebli wszystko, co pozostawili wcześniej lokatorzy.

Czekając na wiadomość z kliniki, patrzyła, jak rozplaszczony pod szafą usiłuje właśnie coś wyciągnąć, zawzięcie drapiąc pazurami. Wystawał tylko pręgowany koniuszek rudego ogona, kołyszący się nisko przy podłodze. Pomyślała, że powinna poświęcić Kotu trochę uwagi. Nie miała jednak siły podnieść się z fotela, w którym tkwiła od przeszło godziny, owinięta po szyję kocem. Było jej zimno, a środki przeciwbólowe dopiero zaczynały działać. Rzuciła mu gumową piłkę, którą lubił się bawić, ale nie zareagował. Dalej uparcie szarpał zdobycz, wydając gniewne pomruki.

Niezgrabnie wyjęła dłoń spod koca i sięgnęła po kubek stojący przed nią na biurku. Herbata zdążyła już prawie całkiem wystygnąć. Pijąc, próbowała zebrać rozbiegane myśli, jednak stres oraz niepewność, które na chwilę zniknęły, powróciły ze zdwojoną siłą. Ponownie ogarnął ją nastrój nerwowej niecierpliwości. Wyniki badań powinny już być. Pochyliła się nad laptopem i po zalogowaniu do systemu medycznego sprawdziła folder wiadomości przychodzących, stwierdzając, że nadal jest pusty. Westchnęła rozczarowana i zła. Czują łzy cisnące się do oczu. Cokolwiek wykazały testy, chciała to mieć już za sobą.

Paraliżująca bezczynność zaczęła ją przytłaczać. Musiała się czymś zająć. Kilkoma gestami uruchomiła uśpioną wideościanę, po czym niedbałymi ruchami ręki zaczęła zmieniać kanały. Obrazy

pojawiały się i znikwały, odpędzane machnięciem dłonią. Przez ekran przemknęła kreskówka Disneya, kilka relacji sportowych, msza w bazylice Świętego Piotra oraz jakiś stary film z połowy zeszłego stulecia. Kiedy w pewnym momencie przy wtórce majestatycznej muzyki Holsta ukazały się rdzawe połącze Chryse Planitia, stanowiące tło koncertu londyńskiej orkiestry symfonicznej, siedzący pod szafą Kot wysunął ostrożnie pyszczek i zaciekawiony nastawił uszu. Suita planetarna. Ciężkie, posępne dźwięki wzmagaly niepokój, a pejzaż bezkresnej marsjańskiej równiny wywoływał przygnębiające wspomnienia, więc ponownie przełączyła obraz. Pyszczek zniknął.

Dopiero serwis informacyjny przykuł na dłużej jej uwagę. Grono zatroskanych ekspertów w wirtualnym studio debatowało właśnie o sytuacji na świecie. Słuchając tego, co mówili, z gorzką ironią pomyślała, że świat ma się tak samo dobrze, jak pięćdziesiąt czy sto lat wcześniej. Nieustannie wrzało na Bliskim Wschodzie, gdzie dynastia Saudów ostatkiem sił kurczowo trzymała się władzy. Kenia była o krok od wojny z Tanzanią. Upadał kanadyjski rynek nieruchomości, Chiny bezkarnie przejmowały Arktykę, zaś Unia Atlantycka, nie zważając na rosyjskie ostrzeżenia, zaczęła umacniać gospodarczą i wojskową obecność w Pasie Planetoid.

Tak. Świat, w odróżnieniu od niej, miewał się wciąż wyśmienicie. Ludzie robili to, co zwykle, podczas gdy ona uparcie walczyła o dodatkowe miesiące. Ta myśl dosięgła ją razem z kolejną falą ostrego bólu. Zwinięta w fotelu zamknęła oczy, pozwalając łzom spływać po zapadniętych policzkach.

Wtedy rozległ się sygnał przy drzwiach wejściowych. Zignorowała go, licząc, że ktokolwiek przyszedł ją odwiedzić, wkrótce odejdzie. Nie miała ochoty nikogo widzieć. Dźwięk jednak nadal rozbrzmiewał, stając się coraz bardziej natarczywy. Przetarła więc dłońmi zapłakaną twarz, a później zwlekała się z fotela. W przedpokoju spojrzała w lustro. Miała na sobie stary, rozciągnięty sweter, była zmęczona i bez makijażu, ale zupełnie jej to nie obchodziło. Nie znalazła w sobie dość siły, by przejmować się tym, jak wygląda.

Stojący w drzwiach mężczyzna nosił czarny, doskonale skrojony garnitur, elegancki smartwatch Roleksa i sprawiał wrażenie kogoś, kto używa przyklejonego do twarzy uśmiechu tylko na wyjątkowe okazje. Jego oczy opalizowały mętnym, turkusowym blaskiem

wyświetlaczy kontaktowych. Tego rodzaju sprzęt wykorzystywali głównie agenci rządowi oraz korporacyjni oficjele.

– Nazywam się Buriakow. Leonid Buriakow – przedstawił się, wyciągając rękę. Mówił miękkim, uprzejmym głosem z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Jak mniemam, rozmawiam z doktor Emily Rousseau?

– Owszem – odpowiedziała oschle. Podała mu dłoń.

– Reprezentuję zarząd Konsorcjum Księżycowego. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Skinęła głową i odsunęła się, pozwalając mu wejść.

Niechętnie wprowadziła gościa do salonu. Zaproponowała coś do picia, ale grzecznie odmówił. Dla siebie zaparzyła kawę. Taką prawdziwą, a nie syntetyczną mieszankę kofeiny, sacharozy oraz glikozydów, która nieudolnie imitowała oryginał. Ból mijał i miała nadzieję, że parę łyków kawy postawi ją na nogi. Krzątając się po kuchni, próbowała odgadnąć, czemu zawdzięcza nieoczekiwaną wizytę. Nie sądziła, by jej instytut mógł coś zaoferować Rosjanom bądź Chińczykom. Mieli przecież własnych specjalistów, niejednokrotnie lepszych. Poza tym przemysł wydobywczy nie potrzebował botaników. Musiało chodzić o coś innego.

Mężczyzna czekał, rozparty w fotelu z rękami ułożonymi na kolanach. Niewidzące spojrzenie i nieznaczne ruchy rozszerzonych źrenic wskazywały, że przegląda jakieś dane w rzeczywistości wirtualnej. Gdy usiadła przed nim z filiżanką w dłoni, ocknął się, podnosząc głowę.

– Przejdę od razu do rzeczy – oznajmił. – Mamy podstawy, by podejrzewać, że bez upoważnienia weszła pani w posiadanie własności Konsorcjum.

Odstawiła filiżankę i aż uniosła brwi ze zdziwienia. Czegoś takiego się nie spodziewała.

– Co niby wam ukradłam? – zapytała zaskoczona.

– Mam na myśli potencjalnie niebezpieczny materiał biologiczny – wyjaśnił. – Oczywiście nie można tu mówić o kradzieży. To musiał być przypadek. Skutek braku wiedzy na temat tego, z czym ma się do czynienia.

– Nadal nie rozumiem – mruknęła. Chciała, by mężczyzna już sobie poszedł, ale równocześnie coraz bardziej pragnęła poznać powód tej rozmowy.

– Odwiedziła pani mieszkanie Antona Sorokina dwa dni po jego śmierci i zabrała stamtąd parę rzeczy. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Uzyskaliśmy zapis z kamer centralnego systemu monitoringu.

– Tak, ale nie sądzę, bym musiała się z tego tłumaczyć – przerwała mu niecierpliwie.

– Pani przyjaciel przechowywał próbki, które zgodnie z podpisanym przez niego kontraktem powinny trafić do naszego depozytu – ciągnął mężczyzna. – Sądzimy, że wykorzystał je do prywatnych badań.

Zastanowiła się. Konsorcjum od roku prowadziło na Marsie wiercenia. Traktat pekiński oddawał Rosjanom spore połacie Vastitas Borealis, gdzie drążąc wieczną zmarzlinę, poszukiwali zbiorników ciekłej wody. Przy okazji znaleziono zajęcie dla biologów, którzy mogli dokładnie obejrzeć każdy kawałek skały i lodu wydobyty spod powierzchni. Nikt rozsądny wprawdzie nie wierzył, że marsjański grunt skrywa cokolwiek żywego, ale nie przeszkadzało to ludziom takim jak Anton uparcie trzymać się nadziei.

– Próbkę organiczną z Marsa, prawda? Robił coś na własną rękę za waszymi plecami – stwierdziła, zanim uświadomiła sobie, jak lekomyślne było przedstawienie tych wniosków. Rozmowę zapewne nagrywano.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny.

– Gdyby zajmował się tylko badaniem zamrożonych fragmentów tkanek, nie widzielibyśmy w tym aż tak dużego problemu – odpowiedział po chwili wahania. – Sprawy zaszły jednak znacznie dalej. Anton miał własne pomysły, które nie uzyskały aprobaty zarządu. Nie radzę popełniać podobnego błędu.

Nagle wszystko do niej dotarło. Kot. Chodziło im o Kota, chociaż wątpiła, by mieli pojęcie, czego dokładnie szukają. Równocześnie jak obuchem uderzyła ją niepokojąca myśl, że wypadek na Galileuszu na pewno nie był zbiegiem okoliczności. Rosyjscy oligarchowie nie pozwalali się lekceważyć. Czuła narastający gniew.

– Nie wiem, o czym pan mówi – stwierdziła, usiłując zachować spokój. – Anton rzadko rozmawiał ze mną o swojej pracy. Nie mam żadnej wiedzy na ten temat.

– Chcemy odzyskać to, co zabrała pani z mieszkania w New Delhi.

– Wzięłam jedynie kilka przedmiotów mających osobistą wartość.

Zmarszczył brwi, zaś jego oblicze całkowicie straciło maskę wymuszonej uprzejmości.

– Jako przyrodnik powinna pani zdawać sobie sprawę z zagrożenia, jakie niesie ze sobą wprowadzenie do ziemskiej biocenozy sztucznie stworzonego gatunku.

– Nigdy jeszcze nie słyszałam, by Konsorcjum przejmowało się środowiskiem – odparowała. – Martwicie się o bezpieczeństwo ekosystemu czy raczej o to, że przypadnie wam okazja rozwinięcia nowych biotechnologii?

Nie zareagował na jej zaczepkę. Zachowując kamienną twarz, bez słowa wstał z fotela.

– Liczę, że pozostaniemy w kontakcie – powiedział chłodno, wychodząc z salonu.

– Och, z całą pewnością – mruknęła pod nosem, bardziej do siebie niż do niego.

W drzwiach odwrócił się, jakby przypominając sobie o czymś, i raz jeszcze na nią spojrzął.

– Tak przy okazji – rzucił, łagodząc ton. – Za pół roku zakładamy eksperymentalny habitat przy kraterze Shackleton. Jest tam woda i odpowiednio dużo światła, aby uprawiać rośliny. Przydałby się nam specjalista od hydroponiki. Gdyby była pani zainteresowana, możemy zaoferować korzystny kontrakt.

– Doceniam pańską propozycję, ale za pół roku mnie już nie będzie. Mam raka – odparła cierpko, próbując opanować drżenie głosu. – Z tego samego względu bezcelowe są również wszelkie groźby.

Nie odpowiedział. Dostrzegła, że wyraźnie się zmieszał. Wręczył jej wizytówkę, pożegnał się, po czym wyszedł. Znowu została sama ze swoimi myślami, które gnały jak szalone. Dopijała kawę, jeszcze trochę popłakała, a gdy poczuła, że napór emocji nieco zelżał, zaczęła zastanawiać się, co dalej. Powinna znaleźć jakieś bezpieczne miejsce dla Kota. Nie miała zamiaru go oddawać. Była świadoma tego, jaki los spotka zwierzę, jeśli trafi w ręce korporacyjnych naukowców. Wiedziała też, że wcześniej czy później zostanie jej odebrany.

Chwilę kręciła się po mieszkaniu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zatopiona w myślach, przetarła z kurzu szerokie liście fikusów oraz filodendronów. To zajęcie zawsze ją uspokajało. Później przycięła

zeschnięte łądygi bluszczy, spryskała wodną mgiełką stłoczone pod ścianami paprocie, aby na koniec usiąść przed laptopem i raz jeszcze sprawdzić odebrane wiadomości.

Wyniki już dotarły. Z mocno bijącym sercem otworzyła plik i pośpiesznie przebiegła wzrokiem po ekranie. Opisane komentarzami wykresy mogły wprawić przeciętnego pacjenta w konsternację, ona jednak od razu wiedziała, co obrazują. Informowały o skutecznym wyłączeniu antygeny, który powstrzymywał układ odpornościowy przed prawidłowym działaniem. Czując, jak trzęsą jej się ręce, ponownie sprawdziła rezultaty badań. Po chwili nie miała wątpliwości. Immunoterapia przynosiła skutek. Komórki nowotworu ustępowały pod naporem limfocytów.

Dopiero teraz usłyszała odgłosy miasta dobiegające zza uchylonego okna. Dźwięki muzyki w kawiarni naprzeciwko, pomruk elektrycznych samochodów, świergot wróbli. Odetchnęła głęboko. Powietrze pachniało lawendą oraz jaśminem. Zdała też sobie sprawę, że od rana nic jeszcze nie jadła i jest głodna. Odniosła wrażenie, jakby wyrwała się z jakiegoś letargu, w którym tkwiła przez wiele miesięcy. Zapragnęła wyjść na spacer. Chciała bez pośpiechu przejść się po bulwarach, pomiędzy zajętymi swoimi sprawami ludźmi. Może wstąpić gdzieś na kieliszek wina, by wznieść toast za życie, a później usiąść pod konarami sędziwego wiązu lub kasztanowca w Ogrodzie Luksemburskim i tak po prostu posiedzieć, niczym się nie martwiąc.

Za oknem drzewa przy nabrzeżu Sekwany kipiały zielenią w promieniach czerwcowego słońca. Lekki wiatr łagodnie poruszał ich liśćmi. W oddali znad szarych gotyckich murów katedry Notre-Dame wzbiło się stado ptaków. Widząc kobiety stojące z koszami kwiatów na rogu ulicy, pomyślała, że pomimo upływu czasu pewne rzeczy nigdy tak naprawdę się nie zmieniają oraz że dobrze jest mieć takie miejsce, do którego można zawsze wrócić, choćby tylko we wspomnieniach.

Kot wyszedł spod szafy, pomrukując z aprobatą. Włókł coś za sobą, ale zaraz to porzucił. Wskoczył na parapet, bardziej zainteresowany światem po drugiej stronie szyby. Przyjrzała się zakurzonemu drobiazgowi, ciekawa, co tym razem znalazł, a kiedy rozpoznała przedmiot, zmarszczyła brwi. Na ciemnych deskach parkietu pośród drobin piasku leżał złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie krzyża ankh.



\*\*\*

Pewnego jesiennego dnia Kot zniknął i więcej się nie pojawił. Odszedł tak, jak odchodziło w jej życiu wszystko, do czego się przywiązała. Po tym, gdy przepadł, długo jeszcze tęskniła za dotykiem miękkiej sierści, cichym mrużeniem oraz widokiem rudych łapek, bezszelstnie przemykających po podłodze. Ale nie martwiła się o niego. Domyślała się, gdzie jest, i wiedziała, że był tam bardziej potrzebny.

Trzy miesiące później, odziana w niewygodny skafander, stała na skraju ogromnej niecki krateru Shackleton, obserwując bladoniebieski krąg wiszący ponad wystrzępionym horyzontem. Patrząc na otuloną pasmami chmur tarczę, myślała o tym, jak dobrze jest przynieść stamtąd trochę życia, by zaszczyć je pośród tego zimnego, martwego pustkowie. Nawet jeśli są to zaledwie ogórki, pomidory oraz ziemniaki zanurzone w organicznym koncentracie. Zieleń rozrastająca się pod dachami tunelowych szklarni cieszyła oczy, więc chętnie do niej wracała po każdym dłuższym spacerze na zewnątrz habitatu. Nie polubiła uprawdzie odpychającej pustki krajobrazu, ale doceniała spokój i ciszę, jaką oferowały takie wycieczki. Tu, na Księżycu, dopiero gdy opuściła zatłoczony moduł mieszkalny, mogła pobyć naprawdę sama.

Niezgrabnie maszerując drogą wiodącą w kierunku chińskiej stacji radarowej, mając za przewodnika jedynie miarowy sygnał transpondera, kątem oka dostrzegała niekiedy drobny cień przemykający pomiędzy leżącymi wokół głazami. Uśmiechała się wtedy, chociaż rozsądek podpowiadał, że była to tylko gra słonecznego światła, odbitego od wygładzonych skał.

**Marta Potocka** – urodzona w 1986 roku pod Tarnowem, przez większość życia związana z Krakowem, obecnie mieszka w Warszawie. Absolwentka elektrotechniki na AGH w Krakowie. Pracę zawodową zaczynała od sprzedaży mieczy, przeszła przez etap projektowania systemów elektrycznych, zajmowała się tańcem z ogniem, kilka lat podróżowała służbowo, a w końcu zatrzymała się na programowaniu. Zainteresowana naukami ścisłymi i SF. W swoich tekstach stara się przewidzieć, jak będzie wyglądała bliska nam przyszłość.

Marta Potocka

**LEK**



## Harriet

*MedStar Washington Hospital,  
Waszyngton, USA – 2 kwietnia 2040*

Doktor Thomas Stahl szedł korytarzem szpitala onkologicznego w Waszyngtonie, a jego buty stukały o białe jak śnieg podłogowe kafelki. Wyrzwał przez okno. Był poranek, ale słońce świeciło już mocno, susząc ostatnie krople rosy z trawnika. W taki dzień chce się żyć, pomyślał, choć takie stwierdzenie wewnątrz oddziału dla najcięższej chorych nie wydało mu się stosowne. Wiedział, że ci, którzy tu przebywają, chcą żyć, niezależnie od tego, jaka jest pogoda – i że niewielu z nich to się uda.

Zmierzał do pokoju, w którym leżała Harriet Lorene, uroczą kobietą, którą zdążył już dobrze poznać przez ostatnie kilka lat leczenia – matka trójki dzieci, wieloletnia członkini klubu szybowniczego. W czwartym stadium raka.

Dla Harriet nie było już nadziei i wiedzieli o tym wszyscy – ona sama, jej mąż, jej dzieci oraz doktor Stahl. Dwa miesiące temu powiedział jej, że wkrótce umrze, a ona przyjęła to ze spokojem. Pozamykała swoje sprawy, przeczytała jeszcze raz ukochane książki i zostało przed nią najgorsze – czekanie. Od kilku dni kontakt z nią był utrudniony; pod wpływem silnych leków przeciwbólowych przez większość czasu spała, a kiedy się budziła, z jej ust można było usłyszeć już tylko pojedyncze słowa, mało logiczne i przypominające senne majaczenie. Mąż i dzieci czuwali przy jej łóżku prawie cały czas, wyczekując nielicznych momentów przebudzenia. Jeszcze kilka miesięcy temu w ich oczach dawało się dostrzec, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, nadzieję. Dziś już jej tam nie było; zmieniła się w rozpacz, a potem w żal.

W swojej dwudziestopięcioletniej karierze doktor Stahl widział już wiele takich Harriet, lecz nadal nie nauczył się radzić sobie ze śmiercią. Oczywiście istniało wiele psychologicznych sztuczek, które powinny mu pomóc; miał z tego szkolenia. Jednak nie pomagały, bo nawet wtedy, kiedy wyjeżdżał z żoną na swój ukochany jacht i powinien cieszyć się urlopem, potrafił godzinami rozmyślać, czy zastosowanie innej metody leczenia nie dałoby komuś szansy. Wyzdrowieć lub chociaż trochę dłużej pożyć.

Kiedy zbliżał się do pokoju pacjentki, plug w jego uchu wydał cichutki dźwięk. Nowa wiadomość. Niecierpliwym ruchem ręki

przesunął po opasce komunikacyjnej na nadgarstku i wyciszył wszystkie komunikaty na godzinę. To, o czym miał za chwilę rozmawiać, było zbyt ważne, żeby pozwolić się teraz rozpraszać.

W kieszeni fartucha niósł służbowy datapad, a na nim opis kuracji lekiem, który został zsyntezowany zaledwie rok wcześniej w laboratoriach Washington Cancer Institute. Jego robocza nazwa brzmiała Petryx, zgodnie z wolą wynalazcy, profesora Simone Petersona. Efekty leczenia petryksem były zdumiewające. Z dwudziestu sześciu szczurów chorych na zaawansowane nowotwory różnych typów udało się wyleczyć dwadzieścia pięć; jeden zmarł na skutek zakażenia, do którego doszło podczas transfuzji krwi. W kolejnym etapie lek podano szympansom w ostatnich stadiach choroby – tym razem wszystkie piętnaście sztuk wyzdrowiało. Zaangażowani w projekt naukowcy przecierali oczy ze zdumienia. Nigdy wcześniej żadna kuracja nie dawała nawet zbliżonych rezultatów. Jak każdy potencjalnie przełomowy lek, petryks budził w środowisku medycznym ogromne wątpliwości, ale i nadzieje. Dane z przeprowadzonych do tej pory badań były szczegółowo analizowane zarówno przez współpracowników profesora z instytutu, jak i wielu innych uczonych na całym świecie, którzy byli ciekawi nowatorskiej metody leczenia lub po prostu zazdrościli Petersonowi sukcesu. Jak dotąd jednak nie odkryto nic, co mogłoby wstrzymać prace nad wynalezioną przez niego substancją. Co więcej, nadszedł czas na kolejny, decydujący etap: testy na ludziach.

\*\*\*

– Czy ten lek był testowany kiedykolwiek wcześniej? – Martin, mąż Harriet, opierał dłonie o stolik, próbując opanować ich drżenie. Jego przekrwione oczy i kilkudniowy zarost zdradzały, jak spędził ostatnich kilka dni – w szpitalu, przy łóżku żony, bojąc się zasnąć choćby na chwilę. Irracjonalnie czuł, że jeśli to zrobi, jeśli tylko zamknie powieki, to Harriet, korzystając z jego nieuwagi, ostatecznie prześlizgnie mu się przez palce i umrze.

Doktor Stahl przełknął ślinę i z wysiłkiem spojrzął mu prosto w twarz.

– Udało nam się wyleczyć dwadzieścia pięć szczurów i piętnaście szympansov. Na skutek powikłań zmarł jeden szczur. Może te wyniki nie wydają się imponujące, ale nigdy wcześniej nie mieliśmy specyfiku o takim potencjale, który w fazie eksperymentalnej dawałby

tak dobre rezultaty – odpowiedział. Zaraz potem zdał sobie sprawę, jak sucho zabrzmiały wypowiedziane przez niego słowa i przeklął się za to w duchu.

– I jak rozumiem, będzie to pierwszy test na człowieku? Harriet zostanie królikiem doświadczalnym? – W głosie Martina słychać było napięcie.

– Tak, będzie to pierwszy test na człowieku – odparł ostrożnie lekarz. – Decyzja należy tylko do pana. Mogę panu w niej doradzić, ale nie mam prawa ani zamiaru w żaden sposób na nią wpływać – stwierdził dobitnie.

Martin zamilkł. Podszedł do łóżka, na którym leżała Harriet. Zaciśnął mocno dłonie na poręczach i patrzył na zamknięte oczy żony; na skórę tak cienką i bladą, że zdawała się być przezroczysta. I sina – jak u trupa. Patrzył na zapadnięte skronie, które upodabniały jej głowę do gołej czaszki i na ledwo zauważalny ruch wychudłych piersi, które dzień po dniu unosiły się coraz niżej; które wkrótce przestaną się unosić na zawsze.

– Czy to ją może uratować? Jest jeszcze jakakolwiek szansa? – zapytał tak cicho, że ledwo dawało się rozróżnić słowa. Spojrzał na Stahla z lękiem. Lękiem, że znowu obudzi w sobie nadzieję, a potem po raz kolejny ją utraci. W ciągu ostatnich miesięcy przechodził to już zbyt wiele razy i czuł, że jeszcze jeden taki cykl popchnie go do szaleństwa. – Mówił pan przecież, że to stadium... Że z tego stadium się już nie wychodzi.

– Badane... – Doktor odchrząknął, czując, że od tego, co teraz powie, jak to powie, zależy bardzo wiele. – Badane zwierzęta laboratoryjne były w równie zaawansowanych stadiach choroby, co pana żona. I udało się. Ta metoda – zamyślił się chwilę – zdaje się być rewolucyjna. W pewien sposób jest podobna do dializy, tylko zamiast filtrować krew z toksyn, my wprowadzamy lek. Pacjent zostaje podłączony do urządzenia, które wypompowuje jego krew, a następnie włącza z powrotem do ciała wzbogaconą o dwie substancje. Pierwsza z nich atakuje błonę komórkową komórek rakowych – to właśnie ją odkrył profesor Peterson. Działa jak wytrych, który pozwoli nam zaatakować raka, pozostawiając resztę organizmu nienaruszoną. Druga atakuje uszkodzone w ten sposób komórki nowotworowe, powodując, że przestają być w stanie pobierać z organizmu tlen. Obumierają.

- I to już wszystko? Tak po prostu? Transfuzja i już, po leczeniu?
- Jego rozmówca uniósł brwi w grymasie niedowierzania.
- Nie. Jest jeszcze jeden etap. Nowotwór obumiera, ale nadal znajduje się wewnątrz ciała, jest martwą tkanką, która w krótkim czasie spowodowałaby zakażenie. Po skutecznej transfuzji i zniszczeniu raka trzeba się pozbyć tego, co z niego pozostało.
- Operacyjnie?
- Przy takim osłabieniu pacjenta to zbyt niebezpieczne. Podajemy kroplówki wspomagające oczyszczanie oraz filtrujemy krew z toksyn powstałych przy rozkładaniu tkanek nowotworu. Trwa to około dwóch, trzech tygodni. Po tym czasie organizm powinien być wolny od pozostałości raka i może rozpocząć regenerację. – Onkolog zawiesił głos i spojrzał na swojego rozmówcę. – Na tym etapie szanse na powrót do zdrowia są...
- Na pewno większe niż te, które ma teraz. Prawda? – przerwał mu Martin. Niemal widać było, jak dotychczasowa rozpacz ustępuje determinacji.
- Tak – potwierdził Stahl, czując przypływ ulgi tak silny, że prawie ugięły się pod nim nogi. Martin się zgodzi. Jest szansa na uratowanie Harriet.
- W takim razie niech pan zaczyna jak najszybciej.

\*\*\*

*MedStar Washington Hospital,  
Waszyngton, USA – 21 czerwca 2040*

Choć dzień był wyjątkowo upalny, przed szpitalem tłoczyły się tłumy. Przyjechały wozy transmisyjne chyba wszystkich większych amerykańskich telewizji. Pod nielicznymi drzewami, w małych plamach cienia dziennikarze dopalali ostatnie ekopapierosy, żywo dyskutując. Przy wejściu do sali konferencyjnej spoceni ochroniarze sprawdzali przepustki, co chwilę zauracając kogoś, kto próbował wejść do środka bez akredytacji. Niewpuszczeni nadal kręcili się po okolicy, próbując przedostać się na salę bocznymi drzwiami lub przynajmniej zająć dobre miejsce przy otwartym oknie.

– Gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądać, kazałbym rozstać telebimy i punkty z hot-dogami – powiedział dyrektor szpitala do swojej asystentki, poluzowując krawat.

Od godziny obserwował przez okno gęstniejące z każdą chwilą zbiegowisko i czuł, że robi mu się duszno – nie wiedział tylko, czy z powodu pogody, czy napięcia, jakie wisiało w powietrzu i rosło z każdą minutą oczekiwania na początek konferencji.

– Nie spodziewaliśmy się aż tylu ludzi.

– A powinniśmy. W końcu ogłosiliśmy, że potrafimy wyleczyć raka. Alice – spojrzał na nią z entuzjazmem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała – to największe odkrycie od czasów penicyliny. Ludzie dostali nadzieję na to, że przestaną umierać. Nie dziwię się im, że chcą usłyszeć tę wiadomość na własne uszy.

Alice pokiwała powoli głową.

– Przestaną umierać... – powtórzyła zamyślona.

\*\*\*

Za białym stołem, w ostrym świetle reflektorów, siedziały trzy osoby. Profesor Simone Peterson, wynalazca leku, po lewej stronie. Po prawej – lekarz, który nadzorował cały proces leczenia, Thomas Stahl. Na środku – ta, na której skupione były prawie wszystkie oczy. Ozdrowiała. Cudownie uratowana. Wyrwana z rąk śmierci – Harriet Lorene. Nadal chuda i blada, z krótkimi, odrastającymi włosami, jednak uśmiechnięta Harriet, która zaledwie przed chwilą podeszła do stołu i usiadła o własnych siłach, wcześniej całując na oczach fotoreporterów swojego męża.

Dziennikarze wypełniali salę po brzegi. Personel przyniósł wolne krzesła z całego szpitala, a mimo tego spora część zaproszonych stała pod ścianami. System klimatyzacji poddał się pół godziny wcześniej, więc otwarto na oścież wszystkie okna, jednak w pomieszczeniu wciąż było nieznośnie gorąco. Moderator konferencji, spocony jak mysz pod zbyt grubą marynarką, z trudem panował nad podnieconym tłumem przekrzykujących się dziennikarzy, z których kilku naraz próbowało zadać pytanie. Wskazał ręką na niemłodą kobietę w drugim rzędzie, która wyjątkowo głośno domagała się głosu.

– Proszę o pytanie od pani w zielonej garsonce.

Wytypowana, nie kryjąc satysfakcji, wstała, zapinając guzik zakietu.

– Dziękuję. Pani Lorene, Harriet, jeśli mogę tak się do ciebie zwracać...

Harriet otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale kobieta kontynuowała, nie dając jej dojść do głosu:



– Wiemy już, jak to się stało, że profesor Peterson razem z doktorem Stahlem postanowili właśnie tobie dać szansę uczestnictwa w tym eksperymentalnym leczeniu. Sądzę jednak, że czytelników mojego bloga „MediLies” najbardziej interesuje to, jak czułaś się podczas terapii. Jak to zniosłaś? Czy cały proces jest bolesny? – Błyszczące oczy kobiety zdradzały, że na taką właśnie odpowiedź liczy. – Czego może spodziewać się kolejna osoba, która zostanie poddana leczeniu? Darujmy już sobie detale medyczne, po prostu opowiedz nam, jak to jest.

Przez twarz Harriet przemknął ledwo zauważalny cień, jakby pytanie obudziło wspomnienia, do których wolałaby nie sięgać. Świeące w oczy reflektory i wlepione w nią spojrzenia całej sali nie ułatwiały sprawy; wiedziała jednak, na co się decyduje, godząc się na konferencję prasową, więc po krótkiej chwili wahania wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić:

– Tak naprawdę przed rozpoczęciem leczenia byłam praktycznie martwa. Z tamtego okresu pamiętam niewiele, głównie chwile okropnego bólu przeplatane kolejnymi kroplówkami z morfiną, po których zapadałam w letarg – głos Harriet drżał; czuła, że jej serce bije coraz szybciej. Nie chciała tego wspominać, nie chciała o tym mówić. Spojrzała na siedzącego w pierwszym rzędzie Martina, szukając pomocy, a ten uśmiechnął się do niej i podniósł obie dłonie, żeby pokazać, że trzyma za nią kciuki. Kilka dni temu sam doradził żonie wzięcie udziału w konferencji; teraz tego żałował. Kolejne pytania dziennikarzy były coraz bardziej osobiste i napastliwe, a wiedział, jak trudno jest jej opowiadać o niedawnych przeżyciach. Jednak kontakt wzrokowy pomógł, bo zebrała się w sobie i kontynuowała:

– Zaczęłam odzyskiwać świadomość po pierwszym etapie leczenia, kiedy komórki rakowe były już zniszczone i mój organizm musiał sobie poradzić z pozostałościami po nich. To nie było przyjemne, czułam się podobnie jak w trakcie chemioterapii. Wymioty, okropny ból głowy, drgawki, waliło mi serce. Coś jak najgorszy w życiu kac – uśmiechnęła się blade. – Ale doktor Stahl czuwał przy mnie i robił co w ludzkiej mocy, żeby pomóc mi przejść przez ten etap. W końcu, po wielu dniach, zaczęłam czuć się lepiej, przestałam myśleć o bólu i wreszcie dotarło do mnie, co się właściwie wydarzyło – jej głos znów niebezpiecznie się załamał. – Że żyję. Że nie umrę, jeszcze nie teraz. Że jeszcze pojedę z Martinem w góry i że będę z moimi

dziećmi, kiedy będą wchodzić w dorosłość – przerwała na chwilę, czując, że jej oczy robią się mokre. – Nie ma wspanialszego uczucia, niż dostać drugą szansę.

Blogerka otwierała już usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale moderator powstrzymał ją gestem i wskazał kolejną osobę. Kobieta usiadła niezadowolona.

– Pan w trzecim rzędzie w czerwonej marynarce.

Młody mężczyzna wstał, zerkając przy tym na swój datapad.

– Moje pytanie kieruję do doktora Stahla oraz profesora Petersona. – Spojrzał na nich wyzywająco. – Jak dotąd mówicie głównie o tym, jak wspaniałe efekty udało się wam osiągnąć. Ja chciałbym natomiast wiedzieć, na ile ta metoda leczenia jest bezpieczna? Co ze skutkami ubocznymi – bo chyba nie powiecie, że ich nie ma. Jakie jest ryzyko, o jakich ciemnych stronach jeszcze nie wiemy?

Thomas Stahl ledwo zauważalnie westchnął. Spodziewał się takich pytań. Zerknął z nadzieją na Petersona, dając do zrozumienia, że to on, jako twórca metody, powinien udzielić odpowiedzi. Profesor odchrząknął i odruchowo poprawił włosy. Na niebieskiej koszuli, jaką miał na sobie, dało się zauważyć rosnące plamy potu pod pachami. Zaplótł palce i zaczął mówić:

– Jak państwo wiecie, dopiero co zakończyliśmy badania *in vitro* i badania na zwierzętach. W tej fazie wyniki działania terapii były niezwykle obiecujące. Udało nam się wyleczyć wszystkie zwierzęta laboratoryjne, z wyjątkiem jednego, które zmarło na skutek powikłań niezwiązanych bezpośrednio z działaniem samego leku. Jeśli chodzi o testy na człowieku, to jak wszyscy wiemy, pani Lorene jest pierwszą osobą poddaną terapii. Do tej pory proces jej zdrowienia zdaje się przebiegać wzorcowo. Nie możemy jednak wykluczyć, że w perspektywie długofalowej, jeśli dojdzie do stosowania leku na masową skalę, odkryjemy jakieś skutki uboczne, tudzież inne problemy.

– Chwileczkę – przerwał mu dziennikarz, marszcząc brwi ze zdziwieniem.

– Niech mi pan pozwoli dokończyć, jeszcze tylko jedno zdanie – powiedział szybko Peterson. – Proszę pamiętać, że niezależnie od potencjalnych skutków ubocznych, zastosowanie petryksu może być dla pacjenta jedyną szansą. Ogromna liczba nowotworów...

– Co rozumie pan przez stwierdzenie: „Jeśli dojdzie do stosowania leku na masową skalę”? – Rozmówca ponownie wszedł mu

w słowo. – Dlaczego niby miałyby do tego nie dojść? Mamy w końcu szansę opanowania najgorszej choroby, jaka trapi ludzkość, a pan mówi: „Jeśli”?

Peterson ponownie odchrząknął i poprawił kołnierzyk koszuli, jakby podświadomie starając się zyskać na czasie. Czuł na sobie wzrok wszystkich obecnych na sali i napięcie, jakie wywołało ostatnie pytanie.

– Dopuszczenie leku do masowego stosowania wymaga po pierwsze zakończenia badań klinicznych, co zajmie jeszcze trochę czasu, a następnie uzyskania stosownych pozwoleń na wprowadzenie go do użytku i dystrybucję. Zdają sobie państwo zapewne sprawę, że zwykle takie procedury trwają latami.

W sali rozległ się pomruk niezadowolenia. Kilka osób próbowało jednocześnie zadać pytanie, ale moderator szybko je uciszył.

– Mamy nadzieję, że w wypadku petryksu uda się maksymalnie przyspieszyć procedurę, jednak to Departament Zdrowia podejmie ostateczną decyzję, czy i kiedy lek zostanie dopuszczony do użycia.

Wśród dziennikarzy zawrzało. Kilkunastu spośród nich zaczęło głośno wyrażać swoje niezadowolenie; ktoś próbował przedrzeć się do Petersona, ale powstrzymali go ochroniarze. Jakiejś kobiecie udało się zabrać mikrofon stojący przed doktorem Stahlem, jednak gdy tylko zaczęła mówić, moderator odłączył mu zasilanie. W ogólnym zamieszaniu dało się słyszeć tych o najsilniejszym głosie, krzyzących jeden przez drugiego:

– Będziecie zasłaniać się formalnościami i spokojnie patrzeć, jak kolejni ludzie umierają na raka?

– Co jest ważniejsze: ludzkie życie czy kilka dokumentów?

– Nie macie prawa!

– Czy ci z Departamentu Zdrowia całkowicie oszaleli?

– Moja matka jest chora, ma czekać na te wszystkie biurokratyczne bzdury? Czy wy nie macie sumienia?!

– Proszę państwa, proszę o spokój! – Moderator bezskutecznie usiłował opanować sytuację, ale wzburzony tłum całkowicie ignorował jego starania. Dopiero kiedy nacisnął w swoim mikrofonie przycisk, który spowodował, że ze wszystkich głośników rozległ się kilkusekundowy, głośny pisk, udało mu się zrobić wrażenie na zgromadzonych.

– Proszę. O. Spokój!

Sala nieco się uciszyła.

– Rozumiem państwa wątpliwości, ale profesor udziela odpowiedzi jedynie w zakresie swoich kompetencji. Z pozostałymi pytaniami proszę zwrócić się do Departamentu Zdrowia. Proszę o pytania zgodne z tematem dzisiejszej konferencji! Pani stojąca koło kolumny? Słucham.

Kobieta spojrzała z niechęcią na siedzących za stołem mężczyzn.

– Moje pytanie jest krótkie. Cena leczenia. Czy będzie dostępne dla przeciętnego człowieka, czy tylko dla wybrańców, którzy będą ciekawymi przypadkami medycznymi?

Peterson westchnął, ale znowu sięgnął po mikrofon.

– Niestety, nie odpowiem, bo tego nie wiem. Synteza składników leku przeprowadzana była do tej pory w bardzo małej skali. W najbliższym czasie zamierzamy skupić się na usprawnieniu tego procesu i mamy nadzieję, że uda się obniżyć koszty. Kuracja pani Lorene kosztowała nas prawie dwa miliony dolarów. – Profesor urwał, widząc kolejną falę niezadowolenia na sali. – Jednak – wznowił wątek nieco podniesionym głosem – nie wiem, czy państwo zdają sobie z tego sprawę, ale tyle kosztuje większość leków w fazie eksperymentalnej, a po wejściu na rynek ich ceny szybko spadają. Niemniej na tym etapie nie jestem w stanie podać żadnych konkretnych liczb.

– Czyli nie wiadomo, kiedy lek będzie dostępny, czy w ogóle i za ile? – zapytała młoda dziennikarka, nie czekając na udzielenie jej głosu.

Na sali ponownie wybuchła wrzawa.

Każdy z nich zna kogoś, kto umarł na raka, każdy zastanawia się, kiedy przyjdzie na niego kolej, pomyślał niepozornie ubrany mężczyzna, siedzący w ostatnim rzędzie. A ten lek daje im nadzieję. Szkoda, że pewnie nigdy go nie dostaną.

Gdy tylko konferencja dobiegła końca, mężczyzna opuścił szpital i ruszył pieszo w kierunku zaparkowanego prawie milę dalej samochodu. Po drodze sięgnął do bransoletki komunikacyjnej, a na jego soczewce wyświetliła się lista kontaktów. Wybrał wzrokiem jeden, opisany krótko jako „Szef”. Po chwili w jego uchu rozległ się cichy dźwięk oczekiwania na odbiór połączenia.

– Słucham – powiedział znajomy głos.

– Konferencja zakończona. Peterson mówił to, o co go prosiliśmy.

– Świetnie. Jak reakcja dziennikarzy?

– Zgodna z przewidywaniami.

– Dziękuję, James. Wracaj do firmy.

## Trzy piąte

Kwatera Główna ONZ,

Nowy Jork, USA – 27 czerwca 2040

– To spotkanie powinno odbyć się przynajmniej miesiąc temu! – Szczupły i nerwowy Francuz uderzył pięścią w stół. – A wy, jak zwykle, sami podejmujecie decyzje! *C'est un scandale* – rzucił wściekle.

Już od dobrych dwudziestu lat na spotkaniach Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ tłumacze pełnili głównie funkcję dekoracyjną, bo wszyscy delegaci porozumiewali się w języku angielskim; jednak Francuz w przyprawionej emocji czasem zapominał się i rzucał kilka słów w ojczystym języku. Zresztą tym razem spotkanie miało tak wysoki poziom tajności, że w niewielkim saloniku zgromadziło się zaledwie pięć osób, a tłumacze nie zostali zaproszeni.

– Przyznam, że daliśmy dupy – mruknął Amerykanin. – Nie zorientowaliśmy się w porę, że sprawa jest aż tak zaawansowana, a potem było za późno. Informacja wyciekła ze szpitala, a sami wiecie, ile czasu potrzeba, żeby obiegła cały świat. Jakies piętnaście minut.

Siedzący obok niego Niemiec pokręcił głową z dezaprobatą. Dla niego taka niekompetencja była nie do pomyślenia, i po raz kolejny utwierdził się tylko w swojej opinii na temat sprawności Amerykanów. „Partacze”, pomyślał.

– Czyli społeczeństwo już wie, że mamy lek na raka – powiedział. – Prawdziwy lek, a nie coś, co zwiększa szanse o dziesięć procent. Rozumiem, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z konsekwencji?

– Zdajemy – potwierdził Francuz, tym razem już opanowanym tonem. Uspokajał się równie szybko, jak denerwował. – Średnia długość życia, i tak już wysoka, podskoczyj jeszcze wyżej. Dużo wyżej. Tak naprawdę rak był ostatnią chorobą, z jaką medycyna sobie nie radziła. Teraz ludzie umierają z powodu nowotworów, na choroby będące konsekwencją otyłości – tu zerknął wymownie na grubego Amerykanina – albo giną w wypadkach. Obecnie pierwsza przyczyna odpada, więc człowiek, który się zdrowo odżywia, jeździ ostrożnie samochodem i ma sporo pieniędzy, będzie żył długo. Nie mamy pojęcia, jak długo.

– Za długo – stwierdził Niemiec.

Jego słów nikt nie skomentował.

Powiedzenie na głos tego, co wiedzieli wszyscy, wymagało charakterystycznej dla Niemca bezkompromisowości. Obecnie średnia

długość życia w krajach rozwiniętych wynosiła nieco ponad dziewięćdziesiąt lat. Oznaczało to, że człowiek spędzał prawie ćwierć wieku na emeryturze. Dzietność od kilku dekad malała regularnie i systemy emerytalne wszystkich rozwiniętych państw chwiały się coraz bardziej.

– Wiecie to tak samo dobrze, jak ja – po chwili ciszy znowu odezwał się Niemiec. – Jeśli wypuścimy petryx na rynek, i długość życia jeszcze wzrośnie, to nasz system ubezpieczeń społecznych szlag trafi. Wasze – tu spojrzął na delegatów Stanów Zjednoczonych, Rosji, Francji i Chin – również.

Chińczyk westchnął i zwrócił się do Amerykanina:

– Pamiętasz, jak mówiłem ci kiedyś, że dwadzieścia lat temu nasze kraje popełniły wielki błąd? I proszę, oto on. Świetnie sobie radziliśmy tak, jak było, ale zachciało nam się naśladować Europę.

– Prawdę mówiąc, u nas raczej chodziło o głosy starych ludzi, a nie o naśladowanie kogokolwiek – mruknął jego rozmówca, jakby nieco zawstydzony.

– Tyle że z takiej obietnicy, raz złożonej, już się nie da wycofać. Wysoka cena jak za jedne wybory.

– U was równie wysoka – za kopiowanie pomysłu, który już wtedy wydawał się ryzykowny. Dwie dekady temu wszyscy dopłacali do emerytur i wiadomo było, że to droga w jedną stronę. Że będzie tylko gorzej.

Chińczyk pokiwał głową, ale już nie skomentował.

– W takim razie co proponujecie? – zapytał. – Zablokowanie leku? Jak? Jest już za późno. Trąbią o nim media na całym świecie. Jak niby mielibyśmy to zrobić, nie powodując zamieszek na pięciu kontynentach?

– Mamy pewne możliwości – odparł Amerykanin po chwili milczenia. – Wprawdzie na początku sprawa wymknęła nam się z rąk, ale przynajmniej w porę dorwaliśmy Petersona, tego, który to wynalazł. Przemówiliśmy mu od rozsądku. Na konferencji prasowej zasugerował, że lek musi przejść jeszcze wiele badań oraz że jest horrendalnie drogi i nie wiadomo, czy uda się obniżyć cenę. To nieprawda, ale to najlepsze, co mamy. Jeśli zdecydujemy się na utrzymanie kosztu leczenia na poziomie miliona dolarów od osoby, to na leczenie będzie stać może jeden procent ludzkości.

– Wystarczy – powiedział cicho Niemiec.

Delegaci znów zamilkli. Wszystko, co istotne, zostało powiedziane.

Amerikanin podniósł szklaneczkę whisky i pustym wzrokiem patrzył na przenikające przez nią światło ognia płonącego w kominu. Francuz oparł głowę na dłoniach i przeczesał włosy palcami. Chińczyk ledwo zauważalnie poruszał ustami, z których nie wydobywał się jednak żaden dźwięk.

Nadszedł nieuchronny moment podjęcia decyzji. Decyzji słusznej i rozsądnej. Jedynej, jaka miała sens. Moment przypiecztowania własnym słowem śmierci milionów ludzi.

Nie, nie śmierci, pomyślał Rosjanin. Przecież nikogo nie zabijemy. Po prostu nie pozwolimy im sztucznie przedłużać życia. Nie podejmemy respiratora, bez którego natura zrobi swoje. Jednak mimo że argumenty te zdawały mu się być logiczne, wiedział, że tak naprawdę oszukuje samego siebie. Próbował się tak oszukiwać, odkąd dzięki doniesieniom wywiadu zrozumiał, jaką decyzję będzie musiał podjąć w ciągu kilku dni. Kilku dni myślenia, przekonywania samego siebie, nawet przeglądania statystyk medycznych. Nie pomogło.

– Jestem na nie – przerwał w końcu ciszę. – To przekracza możliwości mojego sumienia.

Chińczyk spojrział na niego z ulgą.

– Ja też mówię „Nie”.

Jeszcze jeden głos, brakuje jeszcze jednego głosu – pomyśleli wszyscy, wsłuchując się w ciszę, jaka znowu zapadła w pomieszczeniu, i we własne sumienia. Milczenie przerwał Amerykanin.

– Jestem przeciwko. Wierzę w Boga i uważam, że jego rolą, nie naszą, jest decydować, że czas zabrać kogoś z tego świata. A nam, ludziom, dał rozum, abyśmy używali go dla dobra bliźnich.

Stało się. Trzy osoby. Większość.

Francuz sięgnął po karafkę i dolał sobie whisky. Gestem zaproponował ją też innym; wszyscy podsunęli szklanki. Siedzący przy stole mężczyźni znali się od wielu lat. Dla każdego z nich polityka była całym życiem, traktowali ją śmiertelnie poważnie i nie wahali się przed niczym, jeśli chodziło o interes ich kraju. Jednak wspólne spotkania i wielokrotne potyczki w jakiś sposób zbliżyły ich do siebie. Czasem, kiedy omówili już rzeczy konieczne, po prostu rozmawiali ze sobą – bardziej jak przyjaciele niż przeciwnicy.

– Wasze społeczeństwa nie są jeszcze tak stare – powiedział cicho Francuz – ale Europa umiera. My już zamieniliśmy się w dom

starców. Oglądam to codziennie na własne oczy. W parkach nie słychać piszczących dzieci, tylko starszych panów grających w *boule*. Czternastego lipca Pola Elizejskie wyglądają jak piknik dla emerytów. Dzierżymność spadła do poziomu najniższego w historii. Nie ma już dla nas nadziei. Głosowałbym za zablokowaniem dopuszczenia leku do użytku i sądzę, że Jurgen też – Niemiec potwierdził skinieniem głowy – ale macie przewagę. Może to dobrze. Będę przynajmniej mógł spać w nocy. A wy podjęliście decyzję i ciekaw jestem, czy za czterdzieści lat nadal będziecie uważać, że była słuszna.

– Cóż, wygląda na to, że przynajmniej mamy sporą szansę dożyć tej chwili – skwitował melancholijnie Niemiec, unosząc swoją szklankę w geście ironicznego toastu.

*Dom Spokojnej Starości „Sunny Meadow”,  
Bonita Springs, Floryda, USA – 17 lipca 2079*

Samochód zatrzymał się na parkingu. Martin wyłączył głosem autopilota, zamknął wyświetlaną na datapadzie książkę i wysiadł, pogwizdując. Dziarskim krokiem ruszył w stronę zabudowań „Sunny Meadow”. Niósł ozdobną torebkę z prezentami dla dziadka. Była tam butelka czerwonego francuskiego wina, oprawione zdjęcie z ostatniego spotkania rodzinnego, które odbyło się kilka lat temu, oraz para wygodnych kapci z automasażerami.

Martin miał siedemdziesiąt jeden lat i jak na swój wiek czuł się bardzo dobrze. Nie bolały go stawy ani kręgosłup, nadal potrafił przebiec kilka mil wokół jeziora i miał na tyle siły, żeby zanieść Harriet na rękach do sypialni. Wiedział, że dobry stan zdrowia zawdzięcza w głównej mierze własnemu rozsądkowi. Odżywiał się dobrze i utrzymywał prawidłową masę ciała, uprawiał sport, regularnie odwiedzał lekarza i raz do roku przechodził profilaktyczne leczenie CanScanem. Już dwa razy okazało się, że w jego organizmie załagł się nowotwór, jednak CanScan nie dał mu szansy rozwinąć się do etapu, który zagrażałby życiu.

Minął staw z kaczkami, przy którym na ławkach siedziało kilku pogrążonych w zadumie staruszków, i ruszył dalej w kierunku budynku mieszkalnego. William – jego dziadek – zajmował przyjemny pokój z łazienką na ósmym piętrze. Uprzejme i profesjonalne pielęgniarki odwiedzały go dwa razy dziennie, oferując rozmowę lub spacer po otaczającym budynek ogrodzie, choć od paru lat rzadko



korzystał z tej możliwości. Stan zdrowia pensjonariusza był monitorowany dwadzieścia cztery godziny na dobę przez chip w nadgarstku, który mierzył ciśnienie, tętno, poziom cukru oraz inne istotne dla lekarzy parametry. Jeśli któryś z nich sięgnął niebezpiecznego poziomu, chip automatycznie informował centrum medyczne i w ciągu kilku minut w pokoju Williama pojawiał się lekarz. Ośrodek oferował pełen profesjonalizm, z którego Martin był bardzo zadowolony; w końcu zależało mu na zdrowiu stu pięćnastoletniego dziadka.

Pielęgniarki, poinformowane wcześniej o wizycie, zadbały o to, aby starszy mężczyzna był na nią przygotowany. Dostał kroplówkę z łagodnym środkiem pobudzającym i przeciwbólowym, więc kiedy Martin wszedł do pokoju, zastał swego krewnego w całkiem dobrej formie.

– Witaj, synu.

– Witaj, dziadku – odpowiedział Martin wesoło i pochylił się, aby uściskać staruszkę. Torbę z prezentami położył mu delikatnie na kolanach.

– Co my tu mamy? – zapytał William i gestem poprosił o pomoc w jej otworzeniu. Jego ruchy w ciągu ostatnich kilkunastu lat zrobiły się niepewne i wołał nie ryzykować, że wypuści coś z wątpliwych palców.

– A, kilka drobiazgów – powiedział przybyły, pokazując prezenty. – Jak się czujesz? Opowiedz mi, co porabiałeś ostatnio – rzucił zachęcającym tonem, siadając na fotelu obok. Mówił dość powoli i starał się wypowiadać głoski wyraźnie.

– Nic ciekawego, mój synu – odparł starszy mężczyzna, starając się skupić wzrok na wnuku, któremu wydawało się, że dziadek nie widzi go zbyt wyraźnie pomimo założonych soczewek kompensacyjnych. – Każdy dzień jest tu taki sam. Właściwie zwykle nie pamiętam nawet, jaki jest dzień tygodnia.

Młodszy krewny zerknął na niego z lekkim niepokojem. Niestety, coraz częściej dawało się zauważyć, że staruszek miewa luki w pamięci, a medycyna nie znała na nie skutecznego sposobu.

– Jakiś czas temu umarł Stanley, mój kolega od spacerów, ten weteran.

Martin nie wiedział, o kim mówi dziadek, ale nie dał tego po sobie poznać. Nie bywał w „Sunny Meadow” tak często, jakby chciał,

i czasem zanim udało mu się spotkać nowego znajomego Williama, ten zdążył już umrzeć.

– Przestałem wtedy wychodzić, samemu nie było już po co. Maria twierdzi, że wyciągnął sobie celowo kroplówkę w nocy i dlatego umarł, ale ja tam jej nie wierzę za bardzo, ona często głupoty opowiada. – Dziadek zamyslił się na chwilę. – Nie, to nie była Maria, ona umarła w ostatnie Boże Narodzenie. Nie pamiętam, kto mi to mówił.

Rozmowa toczyła się powoli. Martin zadawał pytania i cierpliwie wysłuchiwał powolnych odpowiedzi. Wiedział, że z roku na rok starszkowi coraz ciężiej zebrać myśli i wkrótce kontakt z nim będzie jeszcze bardziej utrudniony. Często mieszała mu się kolejność wydarzeń i opowiadał o dawno nieżyjących znajomych tak, jakby rozmawiał z nimi jeszcze wczoraj. Pytał, jak jego prawnuk – czterdziestopięcioletni syn Martina – radzi sobie w szkole i jak czuje się Harriet, bo przecież dopiero co wyzdrowiała. Wnuk nie wyprowadzał go z błędu; nie tłumaczył, że dzieci dawno dorosły, a sąsiedzi nie żyją. Kilka lat temu zrozumiał, że nie ma to sensu i teraz odpowiadał w taki sposób, aby uszczęśliwić dziadka. W końcu, zmęczony rozmową, zaproponował mu spacer, a William, choć nieco niepewnym tonem, zgodził się.

Wezwali pielęgniarkę, która pomogła podopiecznemu założyć egzoszkielec wspomagający ruchy. Dzięki temu starszek bezproblemowo podniósł się z fotela i trzymając się ramienia wnuka dla zachowania równowagi, ruszył razem z nim w stronę wind.

Wyszli do ogrodu i William od razu poprowadził Martina w kierunku swojego ulubionego miejsca – stawu z kaczkami. Szli powoli, a młodszy mężczyzna rozglądał się wokół siebie. Dostrzegł, że siedzący na ławce starzec prowadzi rozmowę z nieistniejącym przyjacielem. Kawałek dalej starszka uderzała monotonna ręką w drzewo, a pielęgniarka łagodnie coś jej tłumaczyła. Nad jeziorem bardzo stary mężczyzna (Martin ocenił go na około sto trzydzieści lat) patrzył nieruchomo przed siebie, uwięziony wewnątrz egzoszkieletu jak lalka – bezwładna, bezwolna, martwa.

Oni wszyscy są martwi, uświadomił sobie Martin z rosnącym przerażeniem. Oni wszyscy umarli, kiedy tu zamieszkali. Zaczął gorąco obiecywać sobie w myślach, że sam nigdy nie trafi do takiego ośrodka, że prędzej się zabije; jednak w głębi duszy wiedział, że zabraknie mu na to odwagi. Tak, jak zabrakło jej otaczającym go żywym trupom.

Artykuł z „New York Time Magazine” – 18 sierpnia 2081

## 6 prostych kroków do zdrowia i długiego życia

Zapewne wielu z Was, Drodzy Czytelnicy, zadaje sobie pytanie, co moglibyście zrobić, aby pozytywnie wpłynąć na jakość i długość Waszego życia. Któż z Was nie spogląda z zazdrością na takie osoby, jak znany w całej Ameryce Jeremy Corby, który mając już sto dwadzieścia jeden lat, nadal startuje w triathlonach i aktualnie przygotowuje się do przepłynięcia wpływ jeziora Michigan na wysokości Chicago.

Osiągnięcie zdrowia i sprawności Jeremy'ego jest prostsze, niż Wam się wydaje i – co więcej – jest w zasięgu każdego z nas! Wystarczy odrobina determinacji i przestrzeganie sześciu prostych zasad, które przygotowaliśmy dla Was wraz ze specjalistką do spraw długiego życia – doktor Caroline Wisniewsky.

Odżywiaj się zgodnie z piramidą żywieniową WHO. Mówiąc prościej, jedz dużo warzyw, mniej owoców i zbóż oraz niewielkie ilości mięsa.

Pij dużo wody. Tak, wiemy, to nudne, ale uwierzcie nam – picie trzech litrów wody dziennie odmłodzi Was o dziesięć lat.

Uprawiaj sport – ale niech to będzie sport bezpieczny. Nie każdy z nas musi być Jeremym, który na co dzień ryzykuje życie, startując w morderczych zawodach. Tobie wystarczy jogging, tenis, pływanie łódką albo zajęcia fitness pod okiem profesjonalnego instruktora.

Unikaj jeżdżenia samochodem manualnym. Spójrzmy prawdzie w oczy – każdy z nas znał kogoś, kto zginął w wypadku drogowym. Wszyscy wiemy, że samodzielne prowadzenie samochodu nie ma żadnego sensu i powoduje zagrożenie życia, a mimo to nadal tysiące Amerykanów nie potrafią się pozbyć tego zgubnego nawyku.

Po ukończeniu trzydziestego roku życia (lub wcześniej, jeśli twoje BMI przekroczy 25) powinieneś co roku przeprowadzać MedScan żył, tętnic i serca. Miażdżyca to choroba wczesnego XXI wieku, lecz nadal tysiące nieodpowiedzialnych ludzi umierają na nią co roku, choć mogliby temu łatwo zapobiec. Wszyscy wiemy, że wcześniej wykryte choroby wieńcowe są w obecnych czasach w pełni wyleczalne dzięki terapii nanorobotycznej.

Nieważne, ile masz lat – co roku obowiązkowo wybierz się na CanScan. Właściwie o tym punkcie nie musimy Wam przypominać,

gdyż, na szczęście dla całego społeczeństwa, badanie to stało się już rutynowe. Nie zapominajmy jednak o tym, jak bardzo jest istotne. Choroby nowotworowe wykryte na wczesnym etapie są w pełni uleczalne i nie powinieneś przejmować się nimi bardziej niż zwykłym katarem. Pamiętaj tylko o regularnym poddawaniu się badaniom!

Jeśli będziesz przestrzegał tych sześciu prostych zasad, to gwarantujemy Ci, że pożyjesz dłużej niż jesteś gotów uwierzyć. Pamiętaj, prawdziwe życie zaczyna się wtedy, kiedy emerytura – po osiemdziesiątce!

### Odwaga

*Kwaterna Główna ONZ,*

*Nowy Jork, USA – 27 czerwca 2100*

Amerikanin usiadł ciężko za stołem i kiwnął ręką na techników kontrwywiadu, dając im do zrozumienia, aby skończyli już pracę. Od pół godziny przeczesywali pomieszczenie wszystkimi znanymi ludzkości typami skanerów. Wyglądało na to, że jest wolne od podsłuchów.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, w saloniku zostały zaledwie cztery osoby.

Amerikanin, lekko otyły sześćdziesięcioletni mężczyzna, patrzył ponuro na pozostałych zgromadzonych. Jego wyraz twarzy jasno sugerował, że nie ma najmniejszej ochoty brać udziału w mającym się zaraz odbyć spotkaniu. Tak naprawdę obawiał się po prostu tego, co wkrótce zostanie tu powiedziane; jednak wieloletni nawyk ukrywania prawdziwych uczuć spowodował, że zamiast niepewności jego twarz zdradzała jedynie niechęć.

Czterdziestopięcioletni Chińczyk, co częste u Azjatów, wyglądał na jeszcze młodszego, niż w istocie był. W porównaniu z resztą obecnych w pokoju sprawiał więc wrażenie mniej poważnego – było ono jednak złudne. Skupiony, zdeterminowany i pewny siebie, miał jasno sprecyzowany plan. Zamierzał ze wszystkich sił poprzeć propozycję, jaka miała już wkrótce paść z ust przedstawiciela UE.

Przy młodzieńczo wyglądającym Chińczyku siedzący obok niego Europejczyk wydawał się jeszcze starszy niż był w rzeczywistości, choć jego oczy, skryte w pomarszczonej twarzy, nadal błyszczały żywą inteligencją, rzadko spotykaną u ludzi w jego wieku. Skupiony i opany, wiedział, że jego rola na tym spotkaniu jest dla wszystkich

jasna – miał powiedzieć głośno to, co wiedzieli już pozostali. Służby wywiadowcze wszystkich światowych mocarstw stały na wysokości zadania, a kontrwywiad Unii Europejskiej wiedział, że tamci wiedzą. W jakiś sposób nie sprawiło to jednak, że było mu łatwiej.

Najbardziej nieprzenikniony wyraz twarzy miała Rosjanka. Siedemdziesięcioletnia kobieta o surowych rysach i nieco skośnych oczach nie miała w zwyczajcu okazywać emocji. Jednak i ona w głębi duszy odczuwała niepokój, spowodowany głównie tym, że nie była w stanie przewidzieć przebiegu spotkania – ani decyzji, która na nim zapadnie.

\*\*\*

Kiedy zegar wybił dwudziestą, przedstawiciel Unii westchnął ciężko, wziął do ręki datapad i wstał, choć nikt nie wymagał od niego aż takich formalności. Sam jednak czuł, że tego, co ma zamiar powiedzieć, nie należy mówić na siedząco.

– Wszyscy wiemy, dlaczego się tu zgromadziliśmy. Jednak aby tradycji stało się zadość, pozwolę sobie na mały wstęp – odchrząknął. – Równo sześćdziesiąt lat temu, w tej samej sali, nasi poprzednicy podjęli niezwykle ważną decyzję. Postanowili udostępnić społeczeństwu lek, który, mówiąc wprost, zmienił oblicze świata. Pokonaliśmy raka, ostatnią popularną chorobę, z którą wcześniej nie potrafiliśmy sobie poradzić.

Przerwał na chwilę, uświadamiając sobie, że obecni na sali jeszcze nigdy nie słuchali go tak uważnie. W innych okolicznościach sprawiłoby mu to przyjemność, tym razem jednak czuł, że waga wypowiedzianych słów przytłacza go jak głąz.

– Pozwolę sobie też przypomnieć, że to delegaci Francji i Niemiec byli tymi, którzy opowiedzieli się przeciwko udostępnieniu lekarstwa. Amerykanin skrzywił się i spojrzał na mówiącego niechętnie.

– Jednak nie jestem tu po to, aby wam to wypominać. Głosami większości podjęto decyzję, która wydawała się wtedy najlepsza. I przez kilkanaście lat faktycznie można było sądzić, że wasi poprzednicy – tu skłonił się delikatnie w kierunku pozostałych – mieli słuszość. Świat stał się szczęśliwym miejscem. Matki nie opuszczały przedwcześnie dzieci, starzy ludzie mieli okazję poznać swoje prawnuki. Widmo śmierci, od zawsze paraliżujące ludzkość, odsunęło się na dalszy plan.

Amerykanin parsknął krótkim, ironicznym śmiechem – a przy najmniej tak wydawało się pozostałym delegatom, bo bardzo szybko się opanował.

– Przepraszam – mruknął. – Teraz to brzmi tak... – urwał, nie chcąc popełnić kolejnej niezręczności.

– Naiwnie – dokończył za niego przedstawiciel UE. – Minęło kilkanaście lat, a rządy naszych krajów zrozumiały, że nie uda im się uniknąć tego, czego obawiano się od początku. Społeczeństwo starzeje się w zastraszającym tempie. Emeryci stają się tak niedołężni, że wymagają całodobowej opieki, której nie ma kto świadczyć. Na całym świecie, poza Afryką i częścią Azji, liczba domów starców przerosła liczbę przedszkoli i żłobków. Młodzi ludzie, sfrustrowani wizją, że na emeryturę przejdą dopiero w wieku osiemdziesięciu lat, a wcześniej będą musieli łożyć na utrzymanie milionów starców, stracili chęć do pracy. Znaleźliśmy się na równi pochyłej. Najgorzej jest, jak wiemy, w Europie. Francja, Niemcy, Holandia i Szwecja nie wytrzymały. Społeczeństwa załamały się pod ciężarem wieku. Z resek tych krajów, próbując się nawzajem ratować, stworzyliśmy jedno państwo, Unię Europejską. – Mężczyzna urwał na chwilę, aby pod pozorem napięcia się wody zebrać siły do dalszej przemowy.

– Odroczyło to nasz wyrok na kilka lat, ale wiemy, że nie damy rady. Nie mamy środków na utrzymywanie przy życiu tyłu ludzi, a nie możemy ich tak po prostu zostawić. Od dawna byli karmieni obietnicami, że gdy będą starzy, państwo się nimi zaopiekuje. Jeśli nie wypełnimy tych zobowiązań, to rząd upadnie, a kolejny, który przyjdzie po nas, nie będzie miał do zaoferowania nic innego. Stanęliśmy pod ścianą... – przerwał, szukając słów, które pozwoliłyby mu przejść do sedna sprawy. Wyręczył go jednak Amerykanin.

– I trzeba przyznać, wpadliście na błyskotliwy pomysł – skomentował ironicznie.

– Zrealizowaliśmy plan, który rozważały też wasze kraje, a wy doskonale o tym wiecie – odpowiedział chłodno Europejczyk. – Po prostu my jesteśmy w najgorszej sytuacji i zmusiło nas to do szybszego działania. Nasze rozwiązanie nie jest przyjemne ani moralne. Ale jest konieczne.

– Wytruć miliony ludzi. – Rosjanka odezwała się pierwszy raz od początku rozmowy.

– Darujmy sobie demagogię – odparł Europejczyk. – Nie wytruć, a wypuścić wirusa, którego opracowaliśmy. Wirusa, który atakuje tylko starsze ludzkie organizmy i jest zbyt słaby, aby zaszkodzić człowiekowi w sile wieku. Który w ciągu kilku lat przywróci

społeczeństwu równowagę, jaką zaczęliśmy tracić na początku XXI wieku, i którą ostatecznie zniszczył petryx.

– Wirusa, który z każdego przedsiębiorcy pogrzebowego zrobi milionera – rzucił Amerykanin.

– I który, wedle posiadanych przeze mnie informacji, zabije zarówno mnie, jak i Josepha – dokończyła Rosjanka, patrząc z nieprzeknionym wyrazem twarzy na przedstawiciela UE.

Europejczyk nie zaprzeczył.

\*\*\*

– Cóż, jest nas czworo, choć domyślam się, że Joseph żałuje, że reprezentuje połączone Niemcy i Francję, bo pewnie wolałby mieć teraz dwa głosy. – Amerykanina opanowała niezdrowa, nieco histeryczna wesołość. – Miejmy nadzieję, że przynajmniej obędzie się bez drugiej rundy głosowania.

Europejczyk uśmiechnął się na ten żart błado, jednak nie udało mu się zamaskować napięcia widocznego na twarzy. Spozstrzegł, że szklanka w jego dłoni drży, więc odstawił ją na stół. Przedstawiciel Chin wydawał się natomiast zupełnie spokojny – jedynie zaciśnięte szczęki świadczyły o emocjach, jakie odczuwał.

Za to Rosjanka, z kieliszkiem whisky w ręce, patrzyła nieobecny wrokiem w jakiś punkt w oddali i uśmiechała się lekko.

– Ułatwię wam to – powiedziała. – Wszyscy wiemy, że nie ma innego wyjścia. Musimy wypuścić wirusa.

Amerykanin spojrział na nią z zaskoczeniem, a Chińczyk – z szacunkiem. Nieczęsto widuje się człowieka, który tak spokojnym głosem i z pogodnym wyrazem twarzy skazuje samego siebie na śmierć.

– Wypuszczamy – powtórzył za nią przedstawiciel Unii Europejskiej. Odrobinę zbyt szybko, aby ukryć emocje. Ale nikogo nie dziwiło, że chciał mieć to za sobą. On również wydawał na siebie wyrok.

– Jesteście odważni – stwierdził z powagą Chińczyk i skłonił się lekko w ich kierunku. – I macie rację, że wyjście jest tylko jedno. Wirus musi zostać wypuszczony.

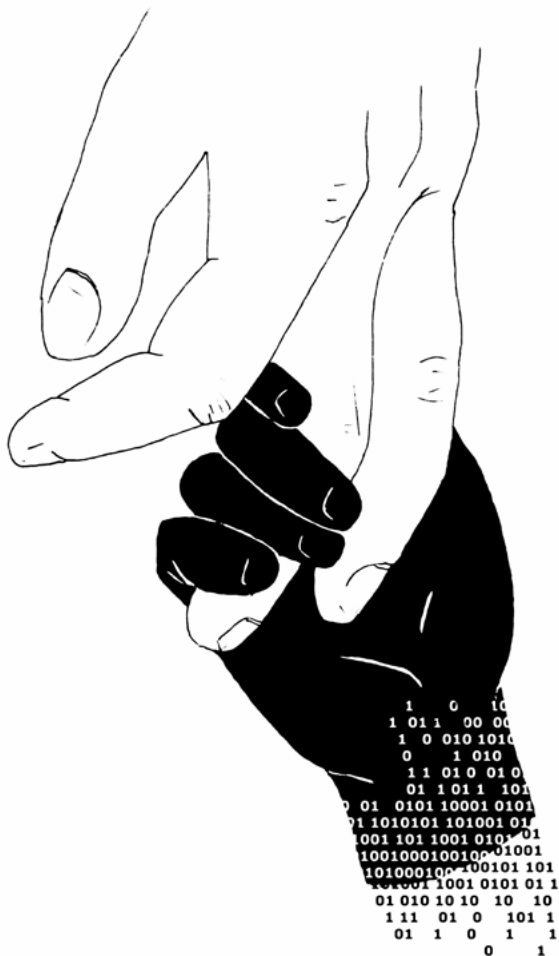
Ostatni odezwał się Amerykanin, nadal walczący z histeryczną wesołością.

– Cóż, a zatem będziemy mogli powiedzieć, że decyzja zapadła jednogłośnie.

**Małgorzata Binkowska** – urodzona w 1987 roku w Katowicach. Ukończyła studia na makrokierunku wydziału AEI Politechniki Śląskiej, pracuje jako automatyk. Od dziecka zafascynowana prozą fantastyczną; wychowana na pożywnych dziełach Tolkiena i Lema. Pisarsko niestabilna – zarówno w tematyce, jak i w częstotliwości tworzenia. Do tej pory opublikowała opowiadanie w zbiorze „Światy równoległe” i dwie (z trzech planowanych) części dłuższego tekstu o Ptakunach w sekcyjnym Nieoficjalnym Obiekcie Literackim.



Małgorzata Binkowska  
**MARZENIE ROTH**



Pomieszczenie urządzono dość przyjaźnie, z myślą o dziecku, i gdyby nie oferująca swobodny podgląd ściana ze szkła, można by pomyśleć, że to zwyczajny pokój zamieszkały przez zwyczajnego lokatora. Szybka sprawiała, że skojarzenia biegły w stronę klatek ze zwierzętami, a w najlepszym wypadku – w kierunku szpitalnej świetlicy. Aidana świerzbil język. Miał ogromną ochotę zapytać, czy to konieczność. Czy nie wystarczyłyby kamery już i tak czujnym okiem monitorujące każdy skrawek pomieszczenia? Oświetlenie korytarza – dość przytłumione, niemal intymne – zdawało się pogłębiać wrażenie, że zarówno Aidan, jak i pozostali goście są zwyczajnymi podglądaczami.

– Co on właściwie robi? – spytała jedna z wizytatorek, na tyle pewna siebie, żeby wyrazić słowami to, nad czym zastanawiała się reszta.

– To zależy, jak na to spojrzeć – odparł wymijająco młody, zadbanej mężczyzna. Jego uśmiech był uprzejmy, wyrażał swobodę i pewność siebie. – W pewnym sensie bawi się.

Kilkoro gości pokiwało głowami, część starała się usilnym wpatrywaniem odkryć sens sceny odgrywanej się przed ich oczami.

Chłopiec siedział na miękkiej wykładzinie zwrócony plecami do widowni. Z tej perspektywy nie można było dojrzeć, czym tak naprawdę się zajmuje, ale cokolwiek pochłaniało jego uwagę, musiało być tego warte. Szybka zamgliała się i wyświetliła obraz jednej z kamer, ukazując twarz dziecka. Aidan nie zdziwił się na widok poważnej miny – tak zwykle zabawnej u kilkuletnich szkrabów. Nie zdziwiło go także, że również pozostałym nie przyszło do głowy, żeby się uśmiechnąć.

Ruchy chłopca były oszczędne, wzrok skupiał się na rozłożonej na niewielkim stoliku makiecie i wypełniających ją małych figurkach. Twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wyglądało to, jakby zajmował się jedynie wpatrywaniem w nieożywioną scenerię; drobny gest ręką mógł zostać równie dobrze przeoczony – zabierał nieproporcjonalnie mało czasu w porównaniu z tym pełnym oczekiwania bezruchem – a jednak to on zdawał się uruchamiać subtelną lawinę zdarzeń. Figurki zmieniały miejsca, ułożenie, czasem kształt – samoczynnie przeorganizowały się w nowy układ, nową scenę, nową... rzeczywistość. Po czym wszystko znów zamierało podobnie jak ciało chłopca.

Nieprzyzwyczajonym widzom wydawało się to co najmniej niepokojące.

Wszystko, co obce, wywołuje w nas to uczucie, pomyślał Aidan, obserwując obserwujących.

Sam co prawda nie odczuwał ciarek wędrujących po plecach, ale domyślał się, co w tej sytuacji czują nieprzyzwyczajeni do podobnych widoków ludzie. Kontakt z dorosłym osobnikiem mógł spowodować drobny dyskomfort, ale fakt, że Roth był taki młody, niesamowicie potęgował efekt. Aidan musiał przyznać, że możliwości dziecka nawet na nim robią wrażenie, toteż nie dziwił go ledwie dostrzegalny cień strachu, który pojawiał się na twarzach niektórych wizytatorów.

– Czy to jest rodzaj hologramu, czy mechanika? – zapytał niepewnie gość w szarych oprawkach skrywających pobrużdżoną zmarszczkami twarz.

– To programowalne tworzywo – wyjaśnił chętnie prowadzący. – Używamy go czasem do wizualizacji, ale coraz rzadziej. Ma swoje ograniczenia. Natomiast świetnie sprawdza się w zabawie. Oczywiście my musielibyśmy użyć komputera i odpowiedniej nakładki, Roth w grywa program dotknięciem palców.

Kilka zdumionych spojrzeń, ciche westchnienia – reakcje ludzi, którzy nieszczególnie nadążają za technologią.

– No dobrze, ale CO on robi? – nie dawała za wygraną kobieta, która wcześniej jako pierwsza zabrała głos.

– Aktualnie, niech spojrzę... – Mężczyzna zmrugał oczy, ale po chwili jego twarz straciła cechy skupienia. – Właśnie przeorganizowuje jedną z fabryk należących do jednego z naszych klientów. A nie, przepraszam, wygląda na to, że to szerzej zakrojone zmiany. Dotyczą całej firmy.

– W jakim sensie „przeorganizowuje”? – zapytał chudy facecik o rozbieranym spojrzeniu. Grupa zwiedzających zaczęła zdradzać rosnące zainteresowanie.

– Administracyjnym, logistycznym... optymalizuje produkcję i kanały dystrybucji. Pełna analiza kosztów, rozkładu pracy, włącznie z poziomem zadowolenia pracowników.

– Tych, którzy utrzymają się na swoich stołkach? – ironicznie skomentował gość, którego w innych okolicznościach Aidan nawet by nie zauważył.

Ten komentarz też, zdawało się, przeszedł bez echa. Właściwie został zagłuszony przez chudego, który ożywił się jeszcze bardziej.

– Ale mówimy oczywiście o jakimś rodzaju symulacji, prawda?

– Na tym etapie jego pracy owszem. Oczywiście wprowadzenie wszystkich zmian nie odbędzie się z dnia na dzień, ale zapewniam, że pójdzie dość gładko. Roth zwykle opracowuje szczegółowy plan przejścia i jak dotąd nie pojawiły się znaczące problemy.

– Chce pan powiedzieć, że to dziecko podejmuje decyzje dotyczące tysięcy ludzi i Bóg raczy wiedzieć jakich majątków?

– Oczywiście ostateczna decyzja zawsze leży w gestii klienta... – Prowadzący uśmiechał się uprzejmie, a ton jego głosu pozostał odpowiednio rzeczowy i uspokajający, jednak Aidan odniósł wrażenie, że równie dobrze mógłby odpowiedzieć na pytanie twierdząco.

Członkowie grupy zamarli na chwilę, by już po chwili zacząć wymieniać się coraz głośniejszymi wnioskami i uwagami.

Dziwne, czyżby nie zdawali sobie sprawy z tego, że podobne praktyki od kilku już lat dotyczą nie tylko prywatnych klientów, ale coraz częściej całych państw? Czy nie po to tu przyszli? – pomyślał Aidan, choć doskonale wyczuwał, w czym tkwi problem. Sugerowała to intonacja w wypowiedzi chudego, to, w jaki sposób podkreślił słowo „dziecko”. To oczywiście nie do pomyślenia. Dziecko konotuje zabawę – zresztą, czy prowadzący nie użył dokładnie tego samego słowa? W tym przypadku jest to tylko zabawa bardzo drogimi zabawkami.

Roth oczywiście nie był zwykłym dzieckiem – przynajmniej nie w tym aspekcie – i o ile Aidan się orientował, nie było powodów do obaw. Pod pewnymi względami jego rozwiązania mogły być nawet lepsze od proponowanych przez dorosłych odpowiedników. Tym niemniej mężczyzna rozumiał reakcję ludzi i podejrzewał, że dla wielu mogła być to pigułka trudna do przełknięcia. Fakt, że zobaczyli Rotha w akcji, niekoniecznie pomagał. Chłopiec budził niepokój, był dla nich jeszcze mniej ludzki niż dorosłe hybrydy i miało to swoje korzenie w prostym mechanizmie – w zderzeniu rzeczywistości z powszechnie znanym modelem dziecka.

– Czy może nam pan zdradzić, w jaki sposób kontrolują państwo jego pracę? – spytała ta dociekliwa kobieta. Trafiała w punkt.

– Z trudem – zażartował prowadzący.

Aidan uśmiechnął się pod nosem, rozbawiony reakcją słuchaczy. Część z nich zaśmiała się nerwowo, część żartu zupełnie nie

zrozumiała. Kobieta skrzywiła się lekko, jakby nie mogąc zdecydować, czy zaszczycić nieudaną próbę bycia dowcipnym choćby półuśmiechem, czy jednak okazać zniecierpliwienie.

– Nie jesteście oczywiście w stanie prześledzić dokładnie jego procesu myślowego, różni się on od tego, co zazwyczaj dzieje się w głowie mojej lub państwa. Pewien pogląd daje nam oczywiście to, co widzą państwo na ekranie. Roth używa tworzywa do pewnego rodzaju organizacji myśli, jest to jednak ciągle niedostatecznie dla nas jasne, choć zapewniam, że niezwykle fascynujące. Myślę, że to, co jest w ostatecznym rozrachunku istotne, to twarde dane, do których mamy wystarczający dostęp. Wyniki mówią same za siebie. Każde rozwiązanie oczywiście poddajemy szczegółowej analizie i przeprowadzamy własne symulacje na życzenie klienta.

Zwiedzający znów pokiwali głowami.

– Jeśli państwo pozwolą, zapraszam do biura analiz. Oczywiście ze względu na naszą politykę prywatności niestety nie zobaczą państwo aktualnej pracy Rotha, ale koledzy na pewno podzielą się wynikami badań testowych i projektu pilotażowego.

Grupka ruszyła posłusznie w głąb korytarza. Jedyne Aidan został na miejscu i korzystając z możliwości, podszedł bliżej szyby. Przez chwilę niedbałym gestem przerzucał obrazy pochodzące z różnych perspektyw. Roth, jakby wyczuwając jego obecność, przerwał pracę i zwrócił się nieco w kierunku pogrążonego w półmroku korytarza.

Kiedy wrócił do swojego zajęcia, Aidan uświadomił sobie, że mimowolnie wstrzymał oddech. Ciekawe, że choć tak wyraźnie podkreślali jego wiek, żadne z nich nie zająknęło się na temat wykorzystywania dzieci do pracy, westchnął w myślach. Uznał to za kolejny dowód na to, jak bardzo obcy wydał im się Roth. Zupełnie jakby był maszyną bez uczuć, a przecież – choć absolutnie wyjątkowy – pozostawał w pełni człowiekiem. Przynajmniej według obecnych definicji.

– Przepraszam, że tyle to zajęło – westchnął przepaszająco prowadzący, kiedy znów zjawił się przed pokojem Rotha. – Nie wiem, czy załapałeś się na początek. Jestem John. John Malow. – Wyciągnął dłoń.

– Aidan Gilmour.

– Miło cię poznać, Aidanie. Cieszę się, że znalazłeś dla nas czas. Roth niedługo będzie miał przerwę, zwykle jada o stałych porach.

Aidan skinął głową – częściowo w reakcji na słowa Johna, częściowo zgadzając się z ukrytą w nich sugestią.

– Jak rozumiem, zanim to nastąpi, wytłumaczysz mi, w czym problem? – odparł.

– Postaram się, choć jak się domyślasz, gdybyśmy wiedzieli, w czym problem, nie musiałybyś przyjeżdżać. – John znów uśmiechnął się i Aidanowi nie pozostawało nic innego, jak tylko odpowiedzieć na kolejny żart uśmiechem, choć niespecjalnie miał na to ochotę. Nie miał nic do młodego mężczyzny, sprawiał wrażenie całkiem bystrego i sympatycznego gościa, ale Gilmour słyszał podobne żarty tyle razy, że mógłby odtworzyć je z dokładnością do pojedynczego słowa, a może nawet intonacji poszczególnych głosek.

Chłopiec za szybko przyspieszył. Już nie zastanawiał się tak długo, figurki poruszały się teraz z częstotliwością, która nadawała całości wygląd złożonej animacji.

– Od jakiegoś czasu martwi nas jego zachowanie. Nie podczas pracy, tu nie ma problemu – o ile jesteśmy w stanie stwierdzić, wywiązuje się z obowiązków wyśmienicie. Chodzi o kontakt prywatny... a raczej jego brak.

Aidan uniół brwi. John, zauważywszy jego zdziwienie, szybko dodał:

– Wiem, wiem. Przyzwyczailiśmy się, że jest inny, nie o to chodzi. Widzisz, do tej pory, Roth sprawiał wrażenie... zadowolonego? I w pewnym sensie towarzyskiego. Oczywiście nie wchodził z nami w interakcje, ale też nie stronił od kontaktu. Myślę, że lubił obserwować. Czasem zostawiał nam nawet wiadomości na tablicy w socjalnym. Wiem, że to może głupio zabrzmieć, ale czuło się, że jest obecny. Ale od jakiegoś czasu jest coraz gorzej. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale wszystkim nam wydaje się, jakby nas unikał, jakby coś go trapiło.

– Rozumiem, że próbowaliście zapytać o przyczynę?

– Tak, ale Roth powtarza tylko, że nie rozumiemy... Gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że mamy do czynienia z naburmuszonym nastolatkiem. Czy oni coś takiego przechodzą? Dojrzewanie? To znaczy nie w sensie fizycznym, to oczywiście, ale czy psychicznie to może wyglądać podobnie, ale powiedzmy dużo wcześniej? – John sprawiał wrażenie mocno zażenowanego, jakby wstydził się tego pytania i obnażenia własnej niewiedzy.

– Jeśli Roth nigdy nie nauczył się rozmawiać na osobiste tematy, nic dziwnego, że czuje, że nie jest w stanie odpowiednio w tym zakresie werbalizować. Zakładając oczywiście, że sam zdaje sobie sprawę, z tego, co mu doskwiera.

– Cieszę się, że przyjechałeś... – podsumował Malow.  
Aidan skinął głową.

\*\*\*

Przygotowanie do spotkania zajęło mu trochę więcej czasu, niż się spodziewał. Poprzedni tłumacz – gość, który pomagał przy negocjacjach w sprawie kontraktu – zostawił po sobie obszerne kompendium, ale nawet ono okazało się niewystarczające. Każdy osobnik prezentował indywidualny styl. Mimo że tok rozumowania i sama idea stojąca za sposobem komunikacji są wspólne dla wszystkich, bez wcześniejszego treningu bardzo trudno się z nimi porozumieć. Aidan spodziewał się, że tym razem będzie jeszcze trudniej. Choćby dlatego, że dorosli, z którymi wcześniej się komunikował, na tyle płynnie posługiwali się normalnym językiem, że czasem potrafili w ten sposób samorzutnie dopełnić przekaz. Roth znał leksykę urzędową, prawną, był płynny w mowie liczb i wykresów, ale nie używał na co dzień języka uczuć i emocji. Miało to oczywiście swoje plusy i minusy. Ważne było, że nikt nie ingerował w jego rozwój, ale kiedy pojawiały się problemy bardziej skomplikowanej, osobistej natury, Roth potrzebował pomocy kogoś takiego jak Aidan.

Przeglądając wykresy i nagrania z poprzednich rozmów, starał się przygotować do spotkania. Przez długi czas obserwował, jak Roth tworzy wizualizacje, jak interpretuje poszczególne terminy, dokonuje obliczeń, ale to ciągle było za mało. Nie można było jednak przeciągać tego w nieskończoność.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli spróbujemy na żywo – westchnął w końcu.

John pokiwał głową i zaprowadził go do pokoju spotkań. Wystrój znów zaskoczył Gilmoura spokojną, intymną atmosferą, tak różną od nowoczesnych przestrzeni biurowych. Dwa wygodne fotele ustawione po obu stronach niskiego stolika zachęcały, żeby w nich odpocząć. Oświetlenie uspokajało. I choć Aidan wiedział, że za chwilę założy przygotowane przez Johna gogle i obraz przyjaznego otoczenia zniknie, nie mógł nie odnieść wrażenia, że ten pokój naprawdę mógł skłonić kogoś do szczerzej rozmowy.

Czekając na Rotha, kontemplował smak wody zaprawionej świeżymi owocami i zastanawiał się, ilu przed nim próbowało skontaktować się z chłopcem. Podejrzywał, że nie chodziło o kompetencje.

Tłumaczy takich jak Aidan może nie było wielu, głównie dlatego, że popyt na ich usługi nie był jeszcze wystarczający, ale na pewno kilku z nich ceniono znacznie wyżej i mogli poszczycić się lepszym *résumé*.

– Witaj, jestem Roth.

Aidan wstał i uściśnął wyciągniętą rękę, nie mogąc nadziwić się, jak jest mała i delikatna. Chłopiec patrzył na niego z poważnym wyrazem twarzy, nie okazując żadnych emocji, ale przy powitaniu uśmiechnął się, jakby nauczył się tego razem z odpowiednią formułką.

– Miło mi, ja nazywam się Aidan.

Roth skinął głową, jakby formalności zostały dopełnione i nie zulekając, usiadł w fotelu, drobne ręce kładąc na wyznaczonych na blacie polach. Gilmour także usiadł i nałożył gogle.

Świat Rotha był piękny. Aidan nigdy wcześniej nie widział tak rozbudowanego i tętniącego życiem interfejsu. Mimo, że niewiele jeszcze rozumiał, poczuł od razu pewną familiarność, bardzo szybko rodzącą się więź. Poczuł się jak... w domu. Wielowątkowe procesy budowały kilka różnych konstrukcji w specyficznym dla Aidana fraktalowym stylu, choć w widocznie różnej kolorystyce. Kolor był częścią kodowania rzeczywistości, podobnie jak struktura, rozmiar poszczególnych elementów i grubość linii. Na pierwszy rzut oka przestrzenne obrazy zdawały się czystą abstrakcją, ale Aidan rozpoznawał już wzorce Rotha na tyle, by wyłuszczyć choćby ogólną tematykę. Chłopiec wyraźnie interesował się astronomią.

Gilmour musiał pilnować się, żeby nie zacząć jakimś banałem, w stylu: „O, widzę, że lubisz gwiazdy”. Czuł, że to mogło być złym krokiem. W końcu wiedział, jak sam zareagowałby na podobne zagajenie. Czekał cierpliwie.

Wreszcie nowa konstrukcja zaczęła wyrastać tuż przed jego oczami – dużo mniej skomplikowana, prostsza zarówno w formie, jak i w przekazie. Aidan obserwował, jak linie światła wyznaczają nowe kształty. Widocznie chłopiec starał się dawkować poziom trudności, przekonać się, co potrafi nowy tłumacz. Tę formę, złożoną głównie z trójkątów, prawdopodobnie potrafiliby odczytać co drugi analityk pracujący w tej firmie. Roth mówił o swojej pracy i o sobie. Przetłumaczone mogło to brzmieć „Jestem dobry w tym, co robię”.

Aidan potwierdził jasnym znakiem i przekaz zaczął się rozrastać. Teraz mowa była o wypełnianiu kontraktu, o wynikach i o czasie



pracy. Gilmour dotknął ostatniego fragmentu i pociągnął lekko, starając się zrozumieć lepiej, konstrukcja szybko zareagowała, zmieniając wypełnienie. Aidan przypomniał sobie kilka wzorców ze ściągę pierwszego tłumacza i dokonał w pamięci niewielkiej korekty. Czas pracy równa się temu, jak długo już pracuje.

*Rozwiń myśl.*

Zmieniony fragment wypączkował nowymi wariacjami geometrycznymi. Wniosek z nich wydawał się płynąć jeden: możliwości Rotha przyrastały, ilość i trudność stawianych przed nim zadań – nie.

*Co chciałbyś zrobić?*

Tym razem zamiast koronkowej formy, Roth pokazał czystą wizualizację prawdopodobnie przygotowaną dla zarządu firmy. Aidan z fascynacją obserwował, jak rośnie przed nim planeta podobna do Ziemi, jak zmienia się, zaludnia, jak świetnie funkcjonuje. Zbliżenia pokazywały podróż kosmiczną, życie jednostek w drodze do nowego domu i ich sukcesy na miejscu. Wyglądało to pięknie i prosto – jak marzenie.

*Prawdopodobieństwo...?*

Fraktal, który wyrósł na miejscu wizualizacji, sprawił, że Aidan zrozumiał, dlaczego chłopiec nie poszedł z tym jeszcze do swoich pracodawców. Brak wystarczających danych. Roth do tej pory pracował na bogatej bazie informacji, mógł bez przeszkód analizować, ekstrapolować dane, ale zawsze miał twarde oparcie w liczbach, w potwierdzonych scenariuszach. Tym razem sięgał ambitniej – do teorii, nieprzetestowanych rozwiązań. Poza tym skala przedsięwzięcia zawstydziłaby niejeden rząd i niejedną megakorporację. Nikt o zdrowych zmysłach nie postawiłby na tę kartę. Nie w tych czasach.

*Wiesz, że się nie zgodzą.*

Potwierdzenie. Po chwili: Przekonaj ich.

*Nie mogę, jeśli sam w to nie wierzę.*

Ponowny taniec obrazów, tym razem poparty materiałami. Wyliczeniami. Zaraz potem megastruktury, które Gilmour zauważył na początku, zaczęły ożywać, rozwijać się. Patrzył oniemiały i zaczynał rozumieć czym są – to plany Rotha, plany rozwoju. Projekt na całe jego życie. Jego dziedzictwo.

– To moje marzenie – powiedział chłopiec i to zdanie, wyartykułowane nienaturalnie poważnym głosem dziecka, zamknęło rozmowę.

\*\*\*

Aidan długo nie mógł dojść do siebie. To, co planował chłopiec – a sądząc po złożoności projektu i ilości zebranych danych, prawdopodobnie planował od bardzo długiego czasu – zwyczajnie przygniatało. Niemal czuł desperację dziecka, odbijała się w nim jak echo w skalistym kanionie. Tym silniejsza stawała się fala frustracji, gdy uświadamiał sobie po raz kolejny, że zrealizowanie tego pomysłu jest niemożliwością. A jednak chłopiec nigdy nie da za wygraną. Znalazł cel swojego życia i była to dla niego śmiertelnie poważna sprawa.

Gilmour wyszedł na korytarz dobrą chwilę po tym, jak Roth skinął mu na pożegnanie i zniknął cicho za ciemnoszarymi drzwiami. John poprowadził go do jasnego, przestrzennego biura, zaproponował coś do picia. Nie naciskał, choć można było doskonale wyczuć jego zniecierpliwienie.

– Musiał cię polubić – zaczął lekko i widać było, mimo że starał się tego nie okazać, jak bardzo liczy na dobre wieści. – Z nikim tak długo nie rozmawiał.

Aidan obserwował Johna, zastanawiając się, jak ma mu to wszystko przedstawić.

– Nie wiem, jakie były wasze oczekiwania w związku z tą wizytą, ale coś mi mówi, że liczyliście na proste rozwiązanie. Obawiam się w takim razie, że was rozczaruję.

Mina Johna straciła łagodny wyraz. Wyglądał, jakby przełknął coś bardzo gorzkiego.

– Rozumiem, dlaczego nie chciał z wami bezpośrednio rozmawiać. Sam nie wiem, jak to ubrać w słowa, żeby zostać dobrze zrozumianym.

– Spróbuj.

– OK. Mówiłeś, że dla Rotha, praca jest w pewnym sensie zabawą? Jeśli tak... ile znasz dzieci, które bawią się przez kilka lat tą samą zabawką?

John spojrział na Aidana i widać było, jak na jego twarzy malują się sprzeczne uczucia. Od zdziwienia, przez nagłe objawienie, po coraz wyraźniejszą irytację.

– Chcesz powiedzieć, że Roth się nudzi? – spytał z powątpiewaniem.

– W pewnym sensie. Roth czuje, że zadania, które mu powierzacie są błahę. Że już z nich wyrósł.

– Wyrósł? Jak to możliwe? Przecież zajmuje się projektami niewiele mniej skomplikowanymi od tych, których podejmują się dorośli.

– To prawda, ale opanował je w więcej niż zadowalającym stopniu. I jest na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że przy obecnym rynku poziom trudności tych zadań znacząco nie wzrośnie. Chciałby móc pracować nad swoimi projektami.

John skinął głową i w tym geście oraz spojrzeniu Aidan zauważył napięcie, zupełnie jakby mężczyzna spodziewał się słów, które dopiero miały paść.

– Problem polega na tym, że jego ambicje wymagają znacznych nakładów finansowych i... powiedzmy, że są zakrojone na bardzo szeroką skalę. Mówimy tu o współpracy międzynarodowych zespołów badawczych, założeniu nowych spółek. To jest praca na wiele dekad.

– Absolutnie poza naszym zasięgiem – uciął kategorycznie John.  
– Przecież on musi zdawać sobie z tego sprawę?

– Zgadza się. – Aidan skinął głową. – Firma nie jest jeszcze gotowa, ale rozwiązanie tego problemu to jedynie czubek góry lodowej. Roth planuje założenie kolonii pozaziemskiej. – Specjalnie wybrał to słowo. Nie myśli o tym, nie marzy o tym, ale planuje, bo dokładnie tak było.

– Mars? Znowu? Myśli, że może zrobić to lepiej? – John spojrział na Gilmoura z powątpiewaniem.

– Nie, dużo dalej, dużo ambitniej. Wiem, co myślisz, podobnie zareagowałem. Po ostatniej katastrofie jakiegokolwiek marzenia o zaludnieniu wszechświata mocno przystopowały. Nikt o zdrowych zmysłach nawet nie rozważa tego na poważnie. Roth o tym wie. Przeanalizował wszystkie możliwe dane. Zdaje sobie sprawę z ryzyka pewnie lepiej od nas, a jednak uważa, że ten projekt jest wykonalny. Mało tego, że może wykonać go dobrze.

Ostatnie słowa musiały wyrzucić na Johnie wyjątkowe wrażenie, bo przez dłuższą chwilę wyraźnie bił się z myślami. Czy zastanawiał się nad realnością przedsięwzięcia, prawdopodobną reakcją szefów, czy zwyczajnie zastanawiał się, co powiedzieć – tego Aidan nie mógł odgadnąć.

– Jakie miejsce w tym całym planie miałyby odegrać nasza firma? – spytał wreszcie John z pewną ostrożnością w głosie.

– Po zaplanowanej przez Rotha restrukturyzacji, stalibyście się centrum tego projektu, jego sercem.

– A co z naszymi klientami? Co z dotychczasową działalnością? – John znów nie zdołał opanować irytacji.

– Roth wie, że potrzebne są znaczące fundusze. Jego plan, jak już wspominałem, jest długofalowy i przewiduje różne scenariusze...

– Ale skoro jeszcze nie pokazał nam tego planu, to znaczy, że coś jest nie tak – skontrował John.

– Ryzyko finansowe jest znaczne, to prawda. Wyższe od tego, do jakiego jesteście przyzwyczajeni, choć nie tak duże, jakby się wydawało.

– I mamy zaryzykować w imię czego? Fanaberii dziecka? Chyba się domyślasz, że dokładnie tak to zostanie odebrane?

– Potraficie sprzedać jego analizy swoim klientom, ale rozumiem, że siebie samych będzie ciężiej przekonać... – Aidan zbyt późno ugryzł się w język, ale John zdawał się być zbyt mocno pogrążony we własnym toku myślowym, żeby zareagować.

– A co, jeśli za kilka lat wyrośnie z tego pomysłu? Znudzi się nim?

– Istnieje możliwość, że w trakcie rozwoju prac okaże się, że plan jest trudniejszy niż się wydawało, może nawet niewykonalny, ale znudzenie, zmiana zdania nie wchodzi w grę.

– Skąd ta pewność?

Aidan zastanowił się. Sam nie wiedział, dlaczego tak mocno uwierzył w wizję chłopca. Czy Roth miał również nieprzeciętny dar przekonywania? Była w nim pasja, absolutna pewność człowieka, który obrał jedynie słuszną drogę. Dlaczego miałby z niej zbaczać? Z drugiej strony, Gilmour przypominał sobie własne dzieciństwo i marzenia, których nigdy nie spełnił.

– Myślę, że niewiele osób ma to szczęście, żeby tak wcześnie w życiu odkryć swoje prawdziwe powołanie. Jeszcze mniej jest w stanie je wypełnić. Roth to wyjątek. Weź pod uwagę, że to nie są fantazje małego chłopca, który chciałby w przyszłości zostać kosmonautą. On może już teraz realizować swój plan, nie musi czekać „aż dorośnie”. Mając taki potencjał, naprawdę wolałbyś poświęcić się nudnej, powtarzalnej pracy? Bez urazy.

Tym razem John milczał przez chwilę. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie, to nie przejdzie. I jeśli mówię to ja, ktoś, kto mu życzy jak najlepiej, to wyobraź sobie, co powie zarząd. Nie ma szans. Trudno. Będzie musiał znaleźć sobie jakieś nowe hobby.

– To nie hobby – zaprotestował Aidan.

Hybrydy, z którymi miał kontakt wcześniej – dorośli – były w większości osobnikami, które przynajmniej częściowo wychowywano jak normalne dzieci. Teraz wiadano już, że to niepotrzebnie bolesne i ograniczające rozwój, ale z drugiej strony, uczyło funkcjonowania w powszechnie znanych ramach społecznych. Roth od początku uczył się świata od wewnątrz – wiedział jak działa, które dźwięcznie poruszają jaki mechanizm, ale sam nie czuł się najwyraźniej jednym z trybików. Był zdecydowanie czymś... kimś więcej.

– On ma silną potrzebę rozwoju, chce zrobić coś wielkiego, znaczącego – odparł Gilmour. – Pracuje dla was bo podpisał kontrakt, ale wiesz dobrze, że w każdej chwili mógłby go zerwać.

– Czy to jest groźba? – Pod odrobinę zbyt agresywnym tonem można było usłyszeć źle skrywany lęk.

– Nie. Zwyczajne przedstawienie faktów. Powiedziałem, że mógłby to zrobić, ale zamiast tego woli przekonać was do wsparcia go w dążeniu do celu. I wierzy, że wam również przyniesie to niebotyczne korzyści. Jeśli mogę... Myślę, że powinniście przynajmniej rozważyć tę możliwość.

John swoją zaciętą miną sprawiał wrażenie, jakby nic już nie mogło go przekonać, ale Aidan dostrzegł w tym milczeniu kolejną szansę.

– Roth jest wyjątkiem tylko na razie, za kilka lat mogą się pojawić następni, myślisz, że nie będą mieli podobnych marzeń? Ktoś prędzej czy później podejmie to ryzyko. Możecie być pierwsi. Zastanów się nad tym.

Tym razem w ciszy, która zapadła, nie było większego potencjału i Aidan czuł, że może przesadzić, jeśli powie coś jeszcze, a jednak nie potrafił się powstrzymać.

– Roth nie odpuści. Będzie próbował. W ten czy inny sposób. Pomyślcie o tym, kiedy będziecie rozważać jego propozycję. Jestem pewien, że już niedługo wam ją przedstawi. Wystarczy nie zamykać oczu.

– Tak zrobimy – odparł John ciężkim głosem i podniósł się z fotele. – Tymczasem dziękuję ci za pomoc. Będziemy w kontakcie.

Aidan uścisnął wyciągniętą dłoń i dał się wyprowadzić tym samym korytarzem, z którego obserwowali Rotha w pracy. Szyba odgradzająca pokój była teraz nieprzezroczysta, zabarwiona jednolitym, przyjemnym dla oka odcieniem fioleto. Z trudem odwrócił

wzrok. Dopiero wychodząc z budynku, uświadomił sobie jak mocno zaangażował się w sprawę chłopca. Żałował, że nie mógł zrobić nic więcej i ten żal zaczynał przeradzać się w złość. Na siebie, na ludzi, którzy pewnie i tak nie poświęcą chwili, żeby zastanowić się nad tym, co wyśnił sobie jakiś dzieciak. Pierwszy raz od bardzo dawna praca w takim stopniu ożywiła go i jednocześnie zgasiła. Zdecydowanie miał dość na dzisiaj.

\*\*\*

Dni mijały i choć nie mógł narzekać na brak zleceń, Aidan czuł, że wspomnienie Rotha błędnie jednak zbyt powoli, sprawiając, że praca wydawała mu się dużo bardziej uciążliwa niż zwykle. Zastanawiał się, jak długo chłopiec wytrwa w swojej klatce i co zrobi, kiedy wreszcie uda mu się naprawdę rozwinąć skrzydła? Kiedy zobaczył znane logo, które wyświetliło się wraz z niespodziewanym połączeniem, pomyślał w pierwszym odruchu, że zdarzyło się coś złego. Nie spodziewał się, że będą potrzebowali go do kolejnej sesji z Rothem.

– Dzień dobry panu! – Z ekranu uśmiechała się do niego sympatyczna blondynka o lekko migdałowatych, zielonych oczach. – Nazywam się Joanna Willow. Żałuję, że nie mieliśmy okazji poznać się osobiście podczas pańskiej ostatniej wizyty w naszej firmie, ale mój kolega przekazał mi pełne sprawozdanie i wszystkie materiały. Chciałabym panu pogratulować...

– Słucham? – odparł zdumiony Aidan. – To chyba jakaś pomyłka...

– Zapewniam, że nie. Jeśli tylko mam przed oczami pana Aidana Gilmoura. – Zaśmiała się i mrugnęła żartobliwie.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– O to proszę się nie martwić, zaraz wszystko stanie się jasne. W imieniu firmy, chciałabym zaproponować panu pracę i udział w ambitnym, długofalowym przedsięwzięciu o globalnym zasięgu.

Aidan zbladł. Blondynka uśmiechnęła się szerzej. Nie przypominała typowych przedstawicieli swego fachu, jej uśmiech sprawiał wrażenie uderzająco szczerego, zupełnie jakby autentycznie cieszyła się tą chwilą.

– Pańska rozmowa z Johnem zrobiła na nas bardzo pozytywne wrażenie, poradził sobie pan z zadaniem i zaprezentował cechy

charakteru, jakich intensywnie poszukujemy, ale co najważniejsze, zyskał pan aprobatę szefa, a to, jak może się pan domyślić, kluczowe w...

– Szefa? – wszedł jej w słowo zbity z tropu Aidan.

– Tak, wiem doskonale, jak się pan czuje. – Joanna uśmiechnęła się z wyrozumiałością. – Musi nam pan wybaczyć tę drobną szaradę, ale jeśli się pan nad tym zastanowi, na pewno zrozumie pan kryjącą się za tym wszystkim motywację. Wyjątkowy projekt wymaga wyjątkowych ludzi i środków... Nie rozpoznaje pan tego wzorca?

Kiedy się nad tym zastanowił, faktycznie przed oczami ukazał się cień koronkowego fraktala.

– To co? Mogę wysłać zaproszenie na kolejne spotkanie?

**Olga Niziołek** - tłumacz języka niderlandzkiego i angielskiego. Pisze, czyta, mieszka w Amsterdamie. W wolnym czasie uprawia jogę, jogę i jeszcze więcej jogi (a za rok, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie teźe jogi nauczycielką). Pracowała w warsztacie rowerowym i wieszala płaszcze w drogiej restauracji. Nie pracowała - mniej więcej wszędzie.



Olga Niziołek  
**MROK ZABIJE WIELORYBA**



## I.

Kobieta z wielorybem w brzuchu, pochłonięta szukaniem sposobów na zabicie zwierzęcia, nie słyszała bicia dzwonów. Pochylona nad encyklopedią, nie wiadomo który raz przebiegała wzrokiem tę samą kolumnę. Interesujące ją linijki podkreśliła całe lata temu, tak dawno, że grafit zdążył już zblaknąć. Wiedziała wiele. Znała zwyczaje godowe wielorybów, wiedziała, czym karmią swoje młode i w jaki sposób śpiewają. Nie rozumiała tylko, dlaczego jeden z nich musiał zamieszkać akurat w niej i dlaczego, kiedy tylko przydarzało jej się coś ważnego, unosił się wprost do jej głowy, wydając dźwięki tak głośne, że zagłuszały cały świat. Przez niego nie zdała matury i nie poszła na studia, chociaż marzyła o tym, żeby zostać dietetyczką. Przez niego nie układało jej się z mężczyznami, a jedyne intymne doświadczenie, przypadkowa noc spędzona z kolegą z równoległej klasy, kojarzyło jej się z zapaleniem pęcherza i zimnymi stopami pod kołdrą. Tamten, z rudawym wąsikiem nad górną wargą, próbował umówić się z nią drugi raz, ale nie miała czasu. Tak mówiła. Wieloryb pluskał się w brzuchu, nurkował i znów się wynurzał. Doprowadzał ją do szaleństwa. Próbowwała go zabić tabletkami, ale sama omal od nich nie umarła. Nie odważyła się próbować wykrwawienia, a kolejne prześwietlenia żołądka nie wykazywały obecności nie tylko wieloryba, ale nawet mniejszych niezidentyfikowanych obiektów. Tak potrafił się schować, niewidoczny dla promieni Roentgena, ale tym bardziej wyczuwalny dla niej, Wielorybiego Morza, Magdy, jedynej córki kochających rodziców, obecnie mieszkającej samotnie w odziedziczonym po nich mieszkaniu. Zgodnie z najnowszym rytuałem przeczytała na głos notkę o największych ssakach. Wodziła palcem po tekście, choć równie dobrze mogłaby wyrecytować go z pamięci. Potem wygładziła spódnice, zamknęła encyklopedię i otworzyła ją ponownie w losowo wybranym miejscu. Szukała wskazówek w księdze-skarbnicy ludzkiego rozumu, a potem przetrawiała zdobyte informacje podczas krótkiego spaceru, odbywanego zawsze tą samą trasą. Kończyła ją w kawiarni, gdzie podawała desery i zmywała talerzyki. Wieloryb, ukołysany spacerem, zapadał w sen i nie śpiewał, a jeśli nawet, to pani Renia pozwalała Magdzie kulić się na zapleczu tak długo, aż znowu docierało do niej coś poza niekończącymi się, tęsknymi nawoływaniem. Pani Renia wyjmowała jej z dłoni talerzyki z ciastami i sama je zanosila. Opowiadała gościom kawiarni o swojej

nastoletniej córce, jej kolejnych kreacjach, pomysłach, imprezach. Magda nasłuchiwała z ukrycia, a im więcej rozumiała, tym bliżej był moment, w którym wieloryb znów miał pozwolić jej na serwowanie szarlotki i kawy. Kiedy nadchodziła pora zamknięcia, dziewczyna wracała do domu tą samą drogą, którą przyszła, jakby mogła w ten sposób zatrzeć własne ślady. Podsumowywała w myśli sposoby na zabicie wieloryba. Już w łóżku powtarzała rytuał szukania wskazówek, szukając jednak odpowiedzi w Biblii. W dobre dni udawało jej się zasnąć, zanim wieloryb miał szansę ruszyć na łowy. Tego dnia jednak wszystko szło na opak. Wylosowała „Morze Czarne”. Informacje na jego temat były bardzo obszerne, obszerniejsze niż poprzednie „krystalografia” czy „piszczel”, a tym samym Magda potrzebowała więcej czasu na czytanie. Wieloryb się niecierpliwił. Miotał się w niej, rozbijał wody, że ledwo była w stanie utrzymać się na nogach. Zapinając płaszcz, podeszła jeszcze na chwilę do biurka i na specjalnie przygotowanej kartce napisała:

*83. Wieloryby nie występują w Morzu Czarnym. Regularnie i w dużych ilościach pić wodę z Morza Czarnego?*

Poza notatkami Magdy takie pochyłe, pełne zawijasów litery można było spotkać już tylko na etykietach ręcznie robionych leków. Spojrzała na zeszyt z aprobatą. Wierzyła, że któryś ze sposobów okaże się skuteczny i na zawsze uwolni ją od wieloryba, jedynej przeszkody na drodze do szczęścia. Podejrzewała co prawda, że nie będzie to woda z Morza Czarnego – jak również numer 64, połknięcie kurzej kości, która stanęłaby jej wrogowi w gardle, czy 35, długotrwały pobyt w saunie – ale w pojęciu Magdy prawda krystalizowała się stopniowo, metodą kolejnych przybliżeń.

Złapała parasolkę i ruszyła na przystanek, po czym zawahała się w drzwiach. Wieloryb, którego nie udobruchano spacerem, będzie się złościł. Cały dzień w kawiarni można by więc spisać na straty. A gdyby szła na piechotę, nigdy nie zdołałaby przyjść na czas. Podjęła więc jedyne możliwe działanie: złapała za ciężką czarną słuchawkę i wykręciła jeden z pięciu numerów zapisanych w książeczce adresowej. Głos pani Reni dobiegał jakby z daleka.

– Pani Reniu, dzień dobry. Ja dzisiaj nie mam dobrego dnia i nie przyjdę – powiedziała szybko, żeby znieawidzona pletwa nie ścisnęła jej gardła. – Przykro mi bardzo. Przepraszam.

Odpowiedź utonęła pośród szumów i śpiewów wieloryba.

– Będę jutro, już na pewno. Do zobaczenia!

Odłożyła słuchawkę. Rozgrzeszona we własnych oczach, postanowiła uspokoić zwierzę dłuższym niż zwykle spacerem w strugach deszczu, w szarości, w nieznannej przemysłowej dzielnicy. Przemykała po opustoszałych ulicach jak cień.

## II.

W fabryce ciemności do dobrego tonu należało, aby nie interesować się zbyttnio przeszłością innych. Ludzie przychodzili, robili swoje, wychodzili. Dlatego nikt nie wiedział na pewno, skąd wziął się Kruk ani nawet jak naprawdę się nazywał. Któregoś dnia na hali pojawiła się panienka z centrali, obowiązkowo ubrana w odprasowany mundur. Kilka kroków za nią szło ponure, zgarbione chłopisko.

– To jest hala. Tu będziesz pracował – ogłosiła, wskazując Krukowi miejsce w kącie. – Pierwsza partia materiału już na ciebie czeka.

Kruk skinął głową.

– Panowie – zwróciła się do pozostałych – to jest Kruk. Tu będzie pracował. Pierwsza partia materiału już na niego czeka.

Skinięto głowami.

Oddalający się stukot obcasów szybko utonął w hałasie maszyn i fabryka wzbogaciła się o jednoosobowy dział przywracania spranym dzinsom głębi koloru. Nastolatki z całego kraju przysyłały ukochane, niegdyś czarne spodnie. Kruk brał w ręce każdą parę z osobna i przyglądał się jej dokładnie. Potem zamykał oczy i otwierał serce, wypuszczając odrobinę mroku ze swojego wnętrza wprost w materiał spodni, które natychmiast przybierały kolor najczarniejszej nocy. Nastolatki były uszczęśliwione. Proces przebiegał błyskawicznie. Po kątach mówiono, że jedynym skutkiem ubocznym był wzrost liczby samobójstw i zachorowań na depresję wśród klientek. Związek między tymi dolegliwościami a pracą Kruka umykał jednak opinii publicznej, wedle której nastolatki cierpiały po prostu na powszechne w tym wieku rozchwianie emocjonalne. Szefostwo fabryki było jednak na tyle rozsądne, żeby nie wykorzystywać jego zdolności na szerszą skalę.

Kruk przychodził do pracy na kwadrans przed innymi. Milczał, czekał przed bramą. Ożywał się dopiero wtedy, gdy trzymał w rękach kolejne spodnie. Kiedy zamykał oczy i przelewał ciemność, jego ciałem wstrząsały drgawki przypominające miłosne uniesienia. Tak właśnie je postrzegał. Praca w fabryce dawała mu namiastkę tego, co inni znajdowali, pieprząc coraz to nowe sprzedawczynię, sprzątaczkę, nauczycielkę.

– To jest tak, jakby... jakbyś na moment był znieczulony. Najpiękniejsze uczucie. Dopóki nie przyjdzie kolejna fala – tłumaczył jednemu nad poranną kawą.

– Nie żal ci tych dziewczyn? Chcą mieć czarne spodnie, a lądują z depresją.

Pokręcił zdecydowanie głową. Za szybko.

– Nie. Każdy musi sobie jakoś radzić. Czują tylko ułamek tego, co ja mam codziennie. A zresztą nikt ich nie zmuszał, same chciały, głupie. A tobie ich nie żal? Tych twoich?

Pytający wzruszył ramionami. Za szybko.

Bicie kościelnych i fabrycznych dzwonów ogłosiło koniec przerwy obiadowej. Mężczyźni karnie wrócili na swoje miejsca. Dzień był jeszcze młody. Przed Krukiem piętrzyły się stopy spodni, inni ustawiali się przed maszynami kompresującymi mrok w maleńkie brykiety. Sprasowana ciemność miała w teorii służyć do zaciemniania okien w salach konferencyjnych za dnia, a w sypialniach w letnie wieczory, ale największą popularnością cieszyła się wśród zbuntowanych nastolatków. Zbierali się w podziemnych ciasnych barach i sypali na język sproszkowaną ciemność jak oranżadę w proszku w nadziei, że mroczny wygląd zaimponuje rówieśnikom. Pod jej wpływem kiwali się do rytmu transowej muzyki, takiej, która wypierała myśli i wypełniała ich jednym, jedynym, niewyraźnym i pierwotnym uczuciem. Z tego się jednak wyrastało. Mało który z takich dzieciaków przychodził potem pracować do fabryki, a jeśli już, to nigdy nie zapomniał założyć białego ochronnego kombinezonu. Niejeden z operatorów prasowarki przypuszczał, że Kruk należał kiedyś do takiej grupy. Wedle tej plotki jako jedyny całkowicie poznał ciemność, a zgłębiwszy ją, został wiernym wyznawcą. Wyrażono to prościej:

– Ty, Kruk, szwendales się z brudasami, aż ci odbiło?

– Z brudasami? – Sam jego ton, ani nie dumny, ani nie urażony, wystarczył, żeby rozwiać te domysły.

### III.

Kruk jak co dzień wyszedł z fabryki ostatni, jakby nie potrafił rozstać się z miejscem, które dostarczało mu tyle rozkoszy i nadawało życiu sens. Szare popołudniowe światło ustąpiło miejsca ciemnym chmurom. Padał lodowaty deszcz. Kruk kopał po drodze kamienie i śmieci, obwołując je tym samym chwilowymi towarzyszami jego wędrówki. Nie myślał przy tym zbyt wiele. Nie myślał. Zbliżał się moment powrotu do domu. Zimnego. Oblepiającego. Takiego, w którym można było tylko oglądać telewizję i jeść gotowe posiłki. Kruk mógł przy tym oczekiwać na cud, ale nie musiał. Więc nie oczekiwał. Kopał. Aż trafił nie w kamień, ale wyrastający przed nim znak zakazu. Ból promieniował od palca aż po samą głowę. Mężczyzna wrzasnął z wściekłości i zanim się opamiętał, tak jak uczono go od samego dzieciństwa, TO znowu mu się zdarzyło. Wytrysnęło z niego. Przeszło. Sprawilo, że srebrny słupek załśnił czernią.

– Kurwa! – powtórzył i zaczął rozglądać się na boki.

Przechodniów nie było wielu. Na ulicy migotała poświata rzuca-  
na przez telewizory. Jedyne kobieta, która mogła widzieć całe zaj-  
ście, odgrodziła się od Kruka parasolką i przyspieszyła kroku. Zaraz  
zniknęła w półmroku i Kruk uznał, że nie może już nic z tym zrobić.  
Podjął wędrówkę, uważając, żeby odtąd zachowywać równowagę,  
i dotarł do domu bez przygód.

Na kolację miał fasolę w sosie pomidorowym. Dorzucił kilka  
kromek wczorajszego chleba i najtańsze piwo, ale ani posiłek, ani  
migające obrazy na ekranie telewizora nie potrafiły go uspokoić. Nie  
pamiętał, kiedy ostatnio zdarzyło mu się stracić kontrolę nad TYM.  
Wiedział, na co się decyduje, przyjmując posadę w fabryce, ostrze-  
żenia opiekunów wyryły mu się w pamięci. *Im częściej TO robisz,  
tym łatwiej będzie ci przychodzić. Tym trudniej będzie zachować  
kontrolę. Ale ty sobie poradzisz, prawda?* Nie miał wyboru. Program  
ochrony dawno się skończył, zostawiając go bez pomocy i bez środ-  
ków do życia. Musiał sobie radzić. Przeczesał palcami włosy i z nie-  
smakiem zauważył, że sporo zostało mu w garści. Nie było dobrze.  
Wiedział o tym od dłuższego czasu, ale nie przyznawał się przed  
sobą. Otworzył kolejną puszkę. Wkrótce zasnął przed telewizorem.  
Regularne chrapanie było idealnie zsynchronizowane z unoszeniem  
się i opadaniem jego sporego brzucha.

## IV.

Wróciła do domu szybciej, niż planowała, i zaparzyła rumiankową herbatę na uspokojenie. Napar nie pomógł jej jednak powściągnąć podniecenia. Oto w dniu, w którym encyklopedia pokazała jej Morze Czarne, los postawił na jej drodze mężczyznę, który potrafił zaczerpnąć metalowy słup. Złapała za ołówek.

*83. Wieloryby nie występują w Morzu Czarnym. Regularnie i w dużych ilościach pić wodę z Morza Czarnego? Skłonić mężczyznę, żeby zabarwił na czarno moje wewnętrzne morze.*

Zakręciła się w miejscu i podskoczyła. Niebieska plisowana spódnica powtórzyła wiernie jej ruch. Nawet poskręcany sznur wydawał się dyndać inaczej, energiczniej, kiedy Magda po raz drugi tego dnia wykręciła numer kawiarni.

– Renu? Magda z tej strony. Nie, nic strasznego się nie stało. Dzwonię, bo... – Wzięła głęboki wdech. – Chyba znalazłam lekarstwo na wieloryba. Muszę się jutro z nim spotkać... nie, nie wiem, jak się nazywa. Będę uważać, obiecuję. Zadzwoń, tak zadzwonię. Do zobaczenia pojutrze.

Umyła naczynia i wzięła długą gorącą kąpiel. Magda pluskała się, wyobrażając sobie, jak to będzie wreszcie zwyciężyć dzikie, niezrozumiałe zwierzę. Wreszcie, nie wiedzieć kiedy, zamknęła oczy i na wpół zanurzona w pianie o zapachu sosny śniła, że sama jest wielorybem przemierzającym niekończące się przestrzenie. Obudziła się wystraszona, w wystygłej wodzie, ale wrogie stworzenie w niej nie dawało znaków życia. Tej nocy nie czytała Biblii i nie miała już więcej snów, a rano oczy piekły ją, jakby za długo trzymała je otwarte pod wodą.

Magda wymaszerowała na ulicę, ubrana w jaskrawoczerwoną spódnice jak w zbroję przeciwko deszczowi i smutkom. Tylko wyjątkowo uważny obserwator zauważyłby, że dziewczyna zacisnęła palce na rączce parasola tak mocno, że zbieleły. Oparła się o czarny znak drogowy i rozpoczęła czekanie. Dziesiątki mężczyzn i kobiet mijały ją, spiesząc się do tej czy innej fabryki. Aż wreszcie nadszedł on. Nie był uważny, stawiał szybkie kroki. Udawał, że nie widzi

Magdy, próbował wyminąć uparty kształt, a kiedy zastąpiła mu drogę, odwrócił wzrok.

– Spieszę się, daj mi przejść – rzucił.

Jeżeli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy to ona go wczoraj widziała, minęły, kiedy wbiła paznokcie w jego nadgarstek. Wpatrywała mu się w oczy.

– Co ty robisz?! Wariatka!

– Potrzebuję pomocy – szepnęła.

– Słucham?

– Widziałam cię wczoraj. Potrzebuję coś zafarbować. To bardzo ważne.

– Możesz oddać spodnie do naszej fabryki. Odbiór osobisty albo wysyłka. Nie przyjmujemy odzieży poza kolejnością.

Kruk wyszarpnął rękę. Złapała drugi raz.

– Nie chodzi mi o ubrania. To sprawa życia i śmierci.

Potrząsnęła głową. Wpatrywała się w niego błagalnie. Mówiła powoli, wieloryb podniósł taki lament, że zebranie myśli było wielkim wysiłkiem. Kręciło jej się w głowie.

– Podziel się ze mną twoim mrokiem. Mam w brzuchu wieloryba. Zatrzuwa mi życie. Chcę go zabić.

– Wieloryba? Jak się niby mieści?

– Lekarze też mnie o to pytają – prychnęła. – Kiedy śpiewa, to nie mogę robić nic. I czuję, że właśnie zaczyna. Proszę, pomóż. Podziel się...

Zachwiała się, Kruk uratował ją przed upadkiem. Niebieski parasol potoczył się na chodnik.

– O czym ty mówisz? – spróbował jeszcze, ale wiedział, że bezskutecznie.

Nigdy nie umiał kłamać, choć nieraz próbował. Im częściej coś robił, tym lepiej mu to wychodziło. A kłamać, trzymając w ramionach kobietę, usiłował po raz pierwszy.

– O tym, co zrobiłeś wczoraj ze znakiem drogowym. Ja też tak chcę.

Rozjaśniało się. Brama fabryki za chwilę miała zamknąć się na dobre i Kruk stanął przed wyborem, którego wolał nie podejmować.

– Po pracy. Spotkajmy się po pracy. Teraz muszę iść.

– O szóstej, pod znakiem?

– Dobrze.



## V.

Jak by się nie starał, spodnie nie przejmowały koloru. Nie umiał skoncentrować się na tyle, żeby doprowadzić do punktu szczytowego, i aż do przerwy obiadowej nie zrobił niczego.

– Kruk, a tobie co jest? Wyprztykałeś się? – śmiali się inni robotnicy, ale mężczyzna nie odpowiadał i wkrótce żarty ucichły.

Zbierał słowa. Miały mu się przydać wieczorem. Wiedział, że jeśli uda mu się umiejętnie je wykorzystać, to ta dziwna dziewczyna w okularach zrozumie jego przesłanie. Wszystko, co chciałby jej przekazać. Gdyby jeszcze on sam rozumiał.

– A może kogoś poznałeś, co?

– Może. Daj mi spokój – przerwał milczenie i źle zrobił, bo docinki posypały się gęsto.

Ze złości udało mu się zafarbować kilka par, zanim hala fabryczna zaczęła pustoszeć. Żeby zająć czymś ręce, przekładał dzinisy ze stosu na stos i strzepywał niewidoczny kurz. Przygotował z góry wypowiedź, która miała odstraszyć intruzów. *Z kurzem gorzej się pracuje*. Jedna z ostatnich rad, które przekazał mu opiekun, brzmiała: Dawaj ludziom powody. Słuchają słów „dlatego, że”, ale nie wytłumaczenia. Tym razem Kruk nie musiał jednak korzystać z mądrości życiowych z drugiej ręki, bo kiedy zbliżał się czas wyjścia z pracy, ludzie nie musieli zabijać czasu i nie zwracali na uwagi na Kruka.

Wyszedł ostatni, kiedy na podłodze leżały już cienie.

Czekała, oparta o znak, i gdyby nie to, mógłby jej nie poznać. Miejsce czerwonej spódnicy zajęła czarna, dziewczyna nie miała ze sobą parasola. Obrazu dopełniały okulary w grubej oprawce i potargane brązowe włosy.

– Jestem Magda.

– Kruk.

– Gdzie możemy spokojnie porozmawiać? Tobie chyba też nie zależy na rozgłosie...

– Nie mam nic do ukrycia – odpowiedział bez przekonania.

– W takim razie piwiarnia?

Usiedli w samym kącie sali dla palaczy, schowani przed oczami ciekawskich w kłębach dymu. Kruk wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, kupioną chwilę wcześniej przy barze. Pstryknął.

– Czego ode mnie chcesz?

– Potrzebuję zabarwić się na czarno. Od środka. Muszę zabić wieloryba.

– Wiesz, że to nie jest dobry pomysł?

– Dlaczego nie?

– Podobno ciemni od środka mają przejebane. – Zapalił papierosa. – Ja tam nie wiem, bo taki się urodziłem, ale tak słyszałem. Że mam przejebane, bo mieszka we mnie mrok. Zamieniłbym się na wieloryba, wiesz?

– To znaczą tylko, że nic wiesz o wielorybach. I nie wyrażaj się. Jak mi nie pomożesz, to znajdę inny sposób. Choćbym miała przy okazji zniszczyć siebie.

– Aż tak źle?

Zabrała Krukowi papierosa, zaciągnęła się i zakrztusiła. Trudno było powiedzieć, czy kiwa głową, czy próbuje złapać oddech.

– Zresztą co ja cię pytam, dziewczyno. Twoja sprawa. Jak wiesz, co robisz, to mnie nic do tego. Daj rękę.

Zamknął małą dłoń w rękach, skoncentrował się na dotyku ludzkiego ciała. *Jakby to były spodnie*, wymamrotał. Czuł jej ciepło i zdziwił się, że bliskość drugiej osoby może być taka przyjemna. Do TEGO było jednak daleko. Puścił Magdę.

– Nie umiem. Jakoś mi nie idzie. Może muszę się przyzwyczaić.

– A jak to się stało ze znakiem?

– Wtedy nie myślałem. Musisz się odprężyć. Przestać myśleć. Przy tobie jakoś nie umiem. Ze znakiem poszło łatwiej.

Magda pokiwała głową. Rozczarowanie mieszało się z uczuciem ulgi. Jeszcze nie musiała odkrywać nowego świata. Ostateczne zwycięstwo odsuwało się w czasie, ale majaczyło na horyzoncie.

– Może musisz się do mnie przyzwyczaić?

– Może.

– Miałybyś ochotę złożyć mi wizytę któregoś popołudnia? Ugościłabym cię herbatą, mielibyśmy przyjemne warunki do rozmowy...

– Czemu nie.

Jakby na to czekała, wyjęła notes i ołówek. Po chwili przesunęła po stole złożoną kartkę.

– Cieszę się, Kruku. Do zobaczenia niebawem.

## VI.

Fabryka nie była już całym jego życiem – mapa znajomych miejsc poszerzyła się o kamienicę, w której mieszkała Magda, staroświecką jak ona sama, i kawiarnię, do której chodzili od czasu do czasu na rurki z kremem.

W końcu w hali pojawiła się kobieta w antracytowym kostiumie, pracownica centrali. Kruk zastanawiał się, czy to ona przedstawiła go robotnikom pierwszego dnia, czy wszystkie wyglądają tak samo.

– Martwię się o ciebie, Kruku. Czy jest coś, w czym moglibyśmy ci pomóc? – Jej głos ociekał słodyczą.

– Nie wiem. Nie.

– Czy stało się coś złego? Widzimy, że jesteś rozkojarzony. Czasami się spóźniasz, twoja wydajność spada. To nas martwi. Jak możemy wspólnie rozwiązać ten problem?

Wzruszył ramionami. Nie rozumiał, czego od niego oczekiwała, ale instynktownie przeczuwał problemy.

– Moja propozycja jest taka – ciągnęła – że od dzisiaj będziesz codziennie meldować, ile par spodni przerobiłeś. Dostaniesz dzienniczek, w którym będziesz notować ważne wydarzenia dnia. Zakładowy psycholog będzie z tobą rozmawiał, jeśli zauważy odchylenia od normy. Proszę.

Położyła gruby zeszyt na szortach o postrzępionych nogawkach.

– Muszę?

– To wskazane. Są oczywiście inne rozwiązania, ale zależy nam na tobie, Kruku, a tobie powinno zależeć na fabryce. Gdzie byś bez nas wylądował? No, gdzie? Jedyne, co potrafisz, to reperować odzież. Kto by cię chciał?

– Nie wiem, co mam pisać.

– To jest najmniejszy problem. Każdego dnia zapiszesz, co jadłeś, z kim się widziałeś, o czym rozmawiałeś. Psycholog zrobi resztę. Rozumiemy się?

Nie czekając na odpowiedź, poklepała Kruka po ramieniu. Zdusił chęć, aby zrewanżować się tym samym.

– Widzisz, Kruku, w fabryce mamy taką filozofię: po co masz myśleć, skoro możemy ci pomóc? Po co się męczyć? Każdy robi to, do czego ma zdolności.

\*\*\*

– Nic się nie przejmuj psychologami i dzienniczkami, takie czasy – Pani Renia przysiadła na chwilę przy jego stoliku. – A czym się właściwie zajmujesz?

– Pracuję w fabryce.

Kruk nie wiedział, ile powinien mówić. Kobieta wydawała się ciepła i miła, nie bała się Magdy z jej wielorybem, ale powtarzane latami ostrzeżenia nie pozwalały mu się otworzyć.

– A co produkujećie?

– Ja... naprawiam odzież. Jak ktoś ma spłowiałe spodnie, to może wysłać i ja je zafarbuję na czarno.

Pani Renia klasnęła w dłonie.

– Słyszałam o was! Moja córka i jej koleżanki świata nie widzą poza ciuchami! Jak to nastolatki. Wysyłają wam od czasu do czasu jakieś spodnie czy koszulki i bardzo sobie chwalą!

– Ile lat ma córka? – spytał z uprzejmości.

– Szesnaście. Trudny wiek. Kłóci się ze mną, a bywają i dni, kiedy wcale się nie odzywa, tylko płacze, bo jakiś chłopak nie odpisał na SMS-a czy nie pozwoliłam jej zostać na imprezie do rana. Czasem się martwię, wiadomo, ale w jej wieku byłam taka sama. A ty? Też załazłeś rodzicom za skórę?

– Trochę – bąknął, szukając wzrokiem Magdy.

*Nigdy, pod żadnym pozorem, nie przyznawaj się, że byłeś objęty projektem.* Przygotował sobie już dawno praktyczne informacje – imię i nazwisko rodziców, zawód, wiek. Ale nikt nigdy nie pytał go o wspomnienia z dzieciństwa i Kruk odkrył, że improwizacja przychodzi mu z trudem.

– No, to mnie uspokoiłeś. Sonia też pewnie wyrośnie. A Magda już skończyła, nie będąc wam przeszkodząc, gołąbki.

Pani Renia ruszyła w kierunku kuchni, nucąc pod nosem bliżej nieokreśloną piosenkę. Kruk wstał i niezgrabnie cmoknął Magdę w policzek. Upięła tego dnia włosy i pomalowała rzęsy, a to znaczyło, że wieloryb spał. Jego ruchy były nieprzewidywalne. Czasem Magda błędziła wzrokiem po oknach i zaciskała dłonie na krawędzi stolika, jakby z trudem utrzymywała równowagę, w inne dni niemalże tańczyła, roznosząc ciasta i kawy. Im dłużej Kruk przychodził do kawiarni, tym częściej wieloryb zasypiał, oswojony albo może znudzony niekończącymi się rozmowami o pogodzie, wypiekach pani

Reni i przygodach z fabryki. Każde spotkanie kończyło się pytaniem Magdy:

– Spróbujemy?

Na co Kruk obejmował jej rękę i ze wszystkich sił starał się przekazać jej choć odrobinę tego, o czym marzyła. Trucizny dla wieloryba.

– Kruku? Muszę już iść. Pani Renia nie może wszystkiego robić sama. Może... może następnym razem spotkamy się u mnie?

– Kupię eklerki. Ostatnio ci smakowały.

– Lepiej jakieś wino, dobrze? Myślę, że powinniśmy spróbować czegoś nowego – Zniżyła głos. – Znalazłam w gazecie pani Reni artykuł o tym, że bliskość fizyczna pomaga budować zaufanie. Możemy się trochę poprzytulać i... ale będę potrzebowała lampkę wina na odprężenie.

– Dobrze, wezmę jakieś słodkie – rzucił.

– Tylko nie myśl sobie... ja nie jestem z takich... nie zapraszam nigdy... wiesz, o co mi chodzi?

Magda zaczerwieniła się po czubki uszu, a Kruk omal nie parsknął śmiechem na myśl, że ktokolwiek mógłby podejrzewać ją o rozbuchane życie erotyczne.

– Nic sobie nie myślę. Nawet jakbym chciał, to w fabryce mi zabronili. Od tego mam psychologa. To... do soboty?

\*\*\*

– Spróbujemy? – szepnęła.

Pokiwał głową. Magda go nie pociągała, ale był ciekaw kobiecego ciała. Poza tym, niezależnie od wszystkich dziwactw, wydawała się dobrym człowiekiem. Chciał jej pomóc. I bał się, że jeśli nie będzie próbował, ona zniknie tak samo, jak się pojawiła.

– Nie mam zbyt wiele doświadczenia – powiedział ostrożnie. – Wolę dobrze poznać kobietę, z którą...

– Ja też nie – przerwała mu. – Ja też. Trochę mi dziwnie.

Przez długi czas trzymali się tylko za ręce. Wieloryb szalał. Kruk walczył z chęcią ubrania się i wyjścia w noc. Aż wreszcie Magda zrobiła coś, czego nie robiła nigdy wcześniej – pogłaskała mężczyznę po twarzy. Przesunęła palcem po liniach na jego czole, jakby chciała wymazać ślady Kruczych zmartwień. Mężczyzna poczuł, jak coś w nim pęka. Było bezpiecznie. Leżał obok kobiety, która nie bała się jego inności. Objął Magdę i nachylił się do jej ucha:

- Bartek.
- Słucham?
- Nie Kruk, tylko Bartek. Tak się naprawdę nazywam.

Pokiwała głową z poważną miną, chociaż nie mogła zrozumieć wagi tego wyznania. Dodał:

- To jedyne, co dostałem od rodziców. Oprócz ciemności.
- Jak to?

– Ponoć szybko okazało się, że coś jest ze mną nie tak. Ruszał wtedy program badań i opieki nad dziwolągami i rodzice postanowili mnie oddać. Problem z głowy. Anonimowość zapewniona, brak konsekwencji prawnych.

- Nigdy ich nie szukałeś?

– Po co? Jak mnie nie chcieli, to po co mi tacy rodzice? Ponoć szybko doczekali się drugiego dziecka. Zdrowego. I chuj z nimi.

- Nie wyrażaj się! To nadal są twoi rodzice.
- Tak sądzisz? – spytał.

Zdał sobie sprawę, że czeka na odpowiedź, jakby zależało od niej coś bardzo, bardzo ważnego.

– Oczywiście. Na pewno chcieli dla ciebie dobrze. Każdy rodzic kocha swoje dziecko.

– I dlatego oddaje je do przechowalni dla dziwolągów i innych upośledzonych?

– Pewnie myśleli, że tam będzie ci lepiej... że ktoś zaopiekuje się tobą lepiej, niż oni.

– A może bali się po prostu, że któregoś dnia zarazę ich mrokiem? Łatwiej się pozbyć niż trzymać, co? Można sobie potem wmawiać, że to dla dobra dziecka, dla dobra nauki, dla dobra, kurwa, państwa, ale... nie, nie szukałem mamusi z tatusem. Zadowolona?

- Nie powinieneś tak o nich mówić – odpowiedziała sucho.

Odsunęła się odrobinę, ale dalej go dotykała. Jej dłoń powoli powędrowała z czoła przez podbródek i ramię, zatrzymując się na Kruczym podbrzuszu. Mężczyzna odetchnął głęboko. To było przyjemne. Nawet bardzo. I obiecywało wiele.

- Masz rację, nie powinienem. Tak jak nie powinienem...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Świat zawęził się do łóżka i Kruk zapomniał o swoich wątpliwościach, lękach, tęsknotach. Wiedział tylko, czego chce w tej chwili.

\*\*\*

Szczytował długo, tak, jak jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Wstrząsany kolejnymi spazmami, zacisnął palce na jej biodrach i jęczał, jęczał, dziękując losowi za to, że istnieją mężczyźni i kobiety, że możliwa jest bliskość między jednym a drugim, że właśnie on, Kruk, jest mężczyzną i trzyma w objęciach kobietę. Razem opadli na poduszki.

– Muszę się czegoś napić – wydyszał.

Czuł się inaczej niż zwykle. Lekko. To uczucie było dotychczas Krukowi obce, ale nie potrafił się na nim skoncentrować. Myśli płątały się, tworząc olbrzymi, barwny, migocący kłęb, który otaczał go ze wszystkich stron. Kruk zasnął, jeszcze zanim Magda przyniosła mu szklankę wody.

Leżał na plecach, lekko pochrapując, a ona siedziała przy nim i z rozanielonym uśmiechem obracała w dłoni naczynie z grubego czarnego szkła.

– Zrobię z tobą porządek – wyszeptwała, kładąc dłoń na brzuchu.

Tej nocy śniły jej się skłębione chmury, bezksiężycowa noc, długa droga.

## VII.

*Dziennik zdrowia psychicznego i samopoczucia. 15 listopada, środa.*

*Przebieg dnia: dom-praca-spotkanie towarzyskie*

*Samopoczucie: w normie*

*Wydajność: 0*

*Uwagi dodatkowe: -*

Magda dostała więcej, niż chciała. Wyglądało na to, że wyssała z duszy Kruka cały mrok, który odtąd panował w jej ciele na spółkę z wielorybem. Często siadywała z kolanami podciągniętymi pod brodę i gapiła się w przestrzeń. Spała jeszcze, kiedy Kruk wychodził do fabryki, i leżała w łóżku, gdy wracał. Jadła niewiele. Książki i notatki poszły w odstawkę. Kruk nie widział innej rady, niż opowiedzieć o wszystkim pani Reni, ale i ona niewiele mogła zrobić.

– Mrok, powiadasz... – Ucichła na moment. – Bądź przy niej. Jeśli jej się pogorszy, trzeba będzie szukać pomocy. Może się jeszcze ułoży.

– Jest jeszcze jeden problem. Od kiedy, ekhm, podzieliłem się z nią mrokiem, sam go straciłem. Nie mogę już pracować. W fabryce jeszcze nic nie mówią, ale niedługo ktoś to zauważy.

– Magda nie może ci pomóc?

Przed oczami ujrzał robotników, niewybredne żarty, ciężkie brykietciarki.

– Nie... zginęłaby tam. To nie jest miejsce dla takich jak ona.

– Rozumiem, Kruku. Dobrze, że tak się troszczysz o Magdę. Tyle że w takim razie będziesz musiał poszukać nowej pracy. Co umiesz robić? Co lubisz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Przypomniał sobie słowa opiekuna, kiedy okazało się, że nie ma pieniędzy na utrzymywanie odmieńców i cały program zostanie rozwiązany. *Jesteś silny i nie najgłupszy. Nadajesz się do sprzątnania, pracy fizycznej, ewentualnie prostych prac przy sortowaniu. Powtórz: jestem silny i nie najgłupszy, nadaję się...* Ćwiczyli tak dzień w dzień, ale potem po Kruka zgłosiła się fabryka i wdrukowana formułka nigdy nie została wypowiedziana.

– Nadaję się do sprzątnania, pracy fizycznej, ewentualnie prostych prac przy sortowaniu.

– Tak myślisz? – Pani Renia uśmiechnęła się lekko. – Moim zdaniem dobrze się dogadujesz z ludźmi. Mój mąż ma warsztat rowerowy, co ty na to? Spytać, czy by nie potrzebował pomocnika?

*Dziennik zdrowia psychicznego i samopoczucia. 16 listopada, czwartek.*

*Przebieg dnia: dom-praca-spotkanie towarzyskie*

*Samopoczucie: w normie*

*Wydajność: 0*

*Uwagi dodatkowe: w dniu dzisiejszym pracownik złożył wymówienie, motywując je utratą zdolności do pracy.*

*Wymówienie przyjęto i wykonano ze skutkiem natychmiastowym. Zniesiono embargo informacyjne.*

Dzień, w którym brama fabryki zamknęła się za Krukiem na zawsze, był wyjątkowo pogodny. Mężczyzna nucił pod nosem. Pierwszy raz w życiu czuł się szczęśliwy – podjął decyzję i stało się to, czego



sobie zażyczył. Rozglądał się dookoła jak wypuszczony na wolność cyrkowy niedźwiedź, wdychając obce zapachy. Dobrze znane ulice teraz wydawały się odmienione. Wreszcie wszedł do antykwariatu, który musiał mijać codziennie, ale nigdy dotąd go nie zauważył. Mimo że dzwonek nad drzwiami obwieścił nadejście klienta, z zaplecza nie wyszedł żaden sprzedawca. Kruk oglądał bez pośpiechu kolejne przedmioty. Wziął do ręki ciężki mosiężny kapturek na długim kijku, zastanawiając się nad jego przeznaczeniem. Jego uwagę przykuwały stare albumy ze zdjęciami, zdjęcia ludzi, którzy dawno już musieli umrzeć, pożółkłe klawisze fortepianu. W końcu sięgnął po szklaną kulę i wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Zostawił odliczoną sumę przy kasie i wyszedł. Spieszno mu było podarować Magdzie przedmiot, który być może należał wcześniej do jakiejś wróżki.

– Mam coś dla ciebie! – krzyknął od progu.

– Bardzo mi miło. Dziękuję – odpowiedziała bez zainteresowania.

Oczy zaświeciły się Magdzie dopiero wtedy, gdy włożył kulę w jej dłonie.

– Jest piękna.

– Wyczytasz z niej naszą przyszłość?

Uśmiechnęła się i poprawiła włosy.

– Może. A może z fusów, jeśli napijesz się ze mną kawą.

Pierwszy raz od tygodni z kuchni dobiegł znajomy dźwięk pyrkania kawiarki postawionej na gazie. Kruk usiadł w fotelu i zamknął oczy. Szło nowe, normalne życie.

## VIII.

Do nowego, normalnego życia trzeba się było przyzwyczaić. Kruk co rano walczył z sennością za dwoje. Przyuczał się w warsztacie rowerowym, gdzie mąż pani Reni brał pod skrzydła wyrzutków systemu. Mężczyźni, których uznano za nieprzydatnych, stawiali się w niewielkiej kanciapie przyklejonej do budynku szpitala miejskiego. Za drobną opłatą naprawiali wszelkie pojazdy najlepiej, jak potrafili. Czyli niekoniecznie dobrze. Mimo to warsztat cieszył się popularnością wśród mniej zamożnych mieszkańców miasta, którzy nie mogli sobie pozwolić na oddanie roweru do miejsca, w którym pracownicy nie rekrutowali się spośród narkomanów, byłych złodziejasków i innych dziwadeł.

Kruk znosił Magdzie różne przedmioty. Dziękowała mu za każdą zabytkową mydelniczkę, zbiór fortepianowych nut czy zapisaną przez nieznaną pocztówkę, ale pozostała wierna swojemu nowemu rytuałowi. Co dzień rano, zaraz po wstaniu, zamykała w dłoniach szklaną kulę. Patrzyła w nią długo, tak długo, że obraz zostawał z nią nawet wtedy, gdy zamykała oczy. Przelewała swój mrok w kulę, a on wracał z odbicia do niej samej. Kruk bał się nieobecnego wyrazu, który pojawiał się w takich chwilach na jej twarzy.

- Musisz uważać. TO nie jest zabawa.
- Wiem, Kruku – odpowiadała. – Wiem.
- Co ty właściwie robisz?
- Próbuję zamknąć czerń.
- Po co?

Wzruszała ramionami, robiła swoje. Pod jej nieobecność Kruk czasem przeglądał się w kuli. Było mu przy tym nieswojo, jakby zamknięty mrok mógł się z niej wydostać i na powrót wedrzeć do Kruczej duszy, ale szkło pozostawało szkłem, kształt się nie zmieniał.

To pani Renia pierwsza zwróciła uwagę na rosnący brzuch Magdy i jej niechęć do słodyczy. Kiedy Magda wyszła po test, Kruk czekał pod apteką. Podobnie czekał pod drzwiami łazienki, a potem razem patrzyli, jak w białym okienku pojawiają się dwie niebieskie kreski. Niebawem na świat miało przyjść dziecko.

- Kruku? Tego się nie spodziewałam.
- Ja też nie. Jeśli ktoś się dowie, będę miał poważne kłopoty.
- Dlaczego?
- Tacy jak ja mają zakaz. Dzieci mogłyby odziedziczyć skazę genetyczną. Podpisałem zobowiązanie, że pod karą śmierci nie będę...
- Co zrobimy?! – Wbiła paznokcie w nadgarstek. Drugą ręką nadal ścisnęła test.
- Nie będziemy się nikomu chwalić. Albo wymyślisz jakiegoś fikcyjnego narzeczonego.
- Ale nie usuniemy go?
- Nie usuniemy.
- Magda odetchnęła z ulgą.
- Magda! Miałaś uważać!
- O co ci chodzi?
- Spójrz na test. Znowu TO zrobiłaś! A zresztą... nieważne.

Zwalisty mężczyzna, który wkrótce miał zostać ojcem, objął kobietę, w której brzuchu mała istota ludzka walczyła o miejsce z wielorybem, w której głowie panował chaos, w której dłoni nieprzydatny już test ciążowy pokazywał dwie czarne kreski na czarnym tle. Całowali się, a każde z nich gorączkowo myślało o nadchodzących problemach, ich wspólnych i własnych. O wielorybie. Złamanej przysiędze. Pieniądzech. Dziecku, które niebawem miało połączyć ich na dobre.

## IX.

Kruk poczuł, że coś jest nie w porządku, kiedy tylko przekroczył próg warsztatu. Szef siedział przy komputerze i bez słowa wpatrywał się w ciemny ekran. Trzech obecnych już mężczyzn grzało dłonie o kubki z podłą kawą.

– Towarzystwo coś dzisiaj nie w sosie? – rzucił Kruk.

Odpowiedziała mu cisza.

– Przyjemnie tu z wami, nie powiem. Macie jeszcze trochę kawy?

– Kruk, zamknij mordę – odezwał się w końcu najstarszy Jan. – Nie przejmuj się, szefie. Głowa do góry.

– Stało się coś?

– Kurwa, nie. Jak myślisz? No, jak myślisz? Jak, kurwa, myślisz, siedzimy tutaj jak na pogrzebie, bo tak nam się podoba?! – wybuchnął Jacek.

– Spokojnie, młody. A ty, Kruk, chodź na fajkę.

Było już tak zimno, że szef przymykał oko na palenie w warsztacie, ale Kruk nie protestował.

– O co chodzi?

– Córka szefa zmarła. Powiesiła się, ponoć na klamce. Wszystkie gazety o tym piszą. – Jan zniżył głos. – Miała dopiero siedemnaście lat. Zostawiła podobno list, że ma dość wszystkiego, że już nie chce żyć. Szef przyszedł do roboty, ale to nie ten człowiek. Wiadomo, nie chciał siedzieć w domu...

– O, kurwa.

– No. Szefowa też się całkiem rozsypała.

Kruk rzucił papierosa na ziemię. Zrobiło mu się niedobrze. Dawniej mógłby odreagować, TO dałoby mu ulgę. Teraz był sam.

– Wracamy?

– No. Zrzucisz się z nami na wieniec?

– Wiadomo.

Lokalne radio wypierało ciszę, ale kiedy przyszło do wiadomości, Jan wyłączył aparat.

– Dość już, bo zaraz oszaleję. Same głupoty gadają, ryczą, niepodobne to do niczego.

Odtąd pracowali w milczeniu. Kruk dostosował się do reszty, ale w środku kipiał od emocji i pytań. *Czy gdyby Magda... co z panią Renią... jak...* Z braku odpowiedzi skupił się całkowicie na wraku, zawieszonym na dwóch hakach zaraz przy wejściu. Regulował właśnie przerzutki, kiedy drzwi warsztatu otworzyły się z rozmachem. Kobieta, która w nich stanęła, nie wyglądała na klientkę – nie prowadziła roweru, a jej elegancki płaszcz i drogie buty kazały przypuszczać, że na co dzień porusza się raczej samochodem.

– Czy zastałam ojca Soni? To pan, prawda?

– Proszę dać mi spokój. Nie chcę rozmawiać.

– Doskonale to rozumiem, ale... czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że być może morderca Sonii znajduje się w tym samym pomieszczeniu?!

– Nie wiem, o czym pani mówi. Proszę wyjść. Nie chcę...

– Mówię o nim! – Wskazała palcem Kruka. – Czy pan sobie zdaje sprawę z jego przeszłości? Pańska córka kochała modę, prawda? Wysyłała, jak wiele innych nastolatek, spodnie do ponownego farbowania, prawda? Wiarygodne źródła donoszą, że to on je farbował. A wie pan, jakie były skutki uboczne? Depresje! Brak chęci do życia! Załamania! Odszedł stamtąd parę tygodni temu, zatrudnił się tutaj. Przypadek? Jak pan sądzi? – Odwróciła się w stronę Kruka. – A może ty masz coś na swoją obronę? Jak myślisz, ile dziewcząt masz na sumieniu?

– Ja... nie wiem, o czym pani mówi – wybełkotał Kruk, powtarzając słowa kierownika.

– Wiesz doskonale. A ja mam na to dowody. Ponoć potrafisz zafarbować na czarno, co tylko zechcesz, wystarczy, że zamkniesz oczy. Zgadza się?

– Nie.

– Udowodnij. Dotknij tego roweru i zamknij oczy.

Kruk potrząsnął głową. Walczył z mdłościami, szumiało mu w uszach. Przelotnie zastanowił się, czy to właśnie Magda opisywała jako pieśni wieloryba. Kobieta promieniała:

– Widzi pan? Widzi? Niewinni się tak nie zachowują.

Pierwszy raz tego dnia szef wstał. Wszyscy wstrzymali oddech, podczas gdy on powoli szedł w stronę drzwi. Równie powoli złapał dziennikarkę za płaszcz i zaczął popychać w stronę wyjścia.

– Pani już sobie pójdzie, tak jak prosiłem – wyrzucił przez zaciśnięte zęby. – Coś jest niejasne? Tu są drzwi.

– Proszę poczekać! To nie wszystko! W fabryce mówili jeszcze...

I z tymi słowy na ustach kobieta wylądowała na dworze. Szef wyszedł na zaplecze, nie patrząc na nikogo. Kruk zakręcił pedałami roweru. Znajomy terkot oznaczał, że łańcuch znajduje się we właściwym położeniu, co było pierwszą dobrą wiadomością tego dnia. Na tym należało się skupić.

– Ty, Kruk – zaczął Jacek – o chodzi z tą fabryką?

– Faktycznie pracowałem przy farbowaniu spodni, ale nie zrobiłem nikomu krzywdy! Nigdy! Nikomu! Rozumiesz?

– Czyli mówiła prawdę, tak? Jesteś niebezpiecznym świrem?

– Nie... nie potrafię farbować. I nigdy nie chciałem robić nic złego, przysięgam! Nie wierzycie mi?

– Wiesz co, Kruku? Zrób tak, jak mówiła ta paniusia. Udowodnij nam.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem pozostałych. Twarze mężczyzn były nieprzejezdane i Kruk położył dłonie na zardzewiałej ramie.

– Bardzo ładnie. A teraz zamknij oczy. Nie próbuj kombinować.

Zacisnął powieki najmocniej, jak potrafił. Wiedział, że mrok nie powróci, i tęsknił za chwilą, kiedy będzie mógł wtulić się w Magdę.

– Wszystko w porządku – stwierdził Jan. – Nic się nie dzieje.

– Ale jednak tam pracował – upierał się Jacek. – Ja z nim nie będę pracował, kłopoty mi niepotrzebne. Bo jakim trzeba być chujem...

– Żeby co? No, żeby co? Żeby przyjąć jedyną pracę, jaką możesz znaleźć? – wybuchnął Kruk. – A jakim trzeba być chujem, żeby sprzedawać narkotyki dzieciakom na ulicy?

Złapał śrubokręt. Jacek runął na niego chwilę potem, zamachując się potężnym kluczem francuskim.

– Pokażę ci, świrze!

– Panowie, przestańcie! Opamiętajcie się, kurwa! Tego nam jeszcze brakowało! – lamentował Jan, ale trzymał się na uboczu.

Dopiero kierownika było trzeba do rozdzielenia walczących. Mężczyzna zwrócił się do Kruka:

– Nie wiem, ile prawdy było w tym, co mówiła. Ale zaufałem ci i chciałbym wiedzieć, że dobrze zrobiłem. Powiedz: czy...

Nie dokończył zdania. Kruk spojrział mu w oczy i słowa uwięzły mu w gardle. Rozłożył ręce. Niezatrzymywany przez nikogo, wyszedł z warsztatu. Chciał znaleźć się blisko Magdy, usłyszeć, że wszystko jest dobrze. Zamiast tego włóczył się długo bez celu po zaśnieżonych ulicach, nie patrząc na ludzi, nie zapamiętując przemierzanych tras.

Kiedy już wrócił do domu, coś kazało mu milczeć. Magda o nic nie pytała, ale jej zmartwiona mina zdradzała, że wie więcej, niż Kruk by chciał.

– Wszystko się ułoży, Kruku. Nic nie mów. Ja wiem, że to nie twoja wina – szepnęła przed snem.

– Byłaś u pani Reni?

– Byłam, byłam.

– I co? Jak się trzyma? Jak...?

– Nie chce nas więcej widzieć. Tak mówi. Mówi, że... wołałaby nas nigdy nie spotkać.

Teraz Magda rozplakała się, bezradna jak dziecko. Leżała na plecach, łzy jej ciekły po twarzy na boki. Kruk położył dłoń na wypukłym brzuchu. Czuł wyraźnie kopnięcia i kotłowanie. Zbliżał się czas, kiedy do nich dwojga miała dołączyć trzecia istota.

– Kruku? Dzisiaj rano chciałam zobaczyć, co mówi encyklopedia. Otworzyła mi się na jakiejś dziwnej starożytnej sekcie. Wierzyli, że kiedy powstaje coś nowego, to coś innego musi odejść, że miejsca wiecznie brakuje. I potem poszłam do pani Reni, a ona...

– Jakoś sobie poradzimy. Oni też jakoś sobie poradzą. Jakoś to będzie. Zawsze jakoś jest.

W tej chwili pożądał Magdy. Chciał sprawić, żeby zapomniała o zmartwieniach i całkowicie mu się oddała. Żeby leżała potem na jego ramieniu, rozgrzana i nieobecna, żeby wszystko było jak dawniej. Zamiast tego objął ją mocniej ramieniem.

## X.

Wrzeszczała, jakby przez jej ciało wędrowało nie dziecko, ale wyjątkowo ostry nóż. Zaciskała dłonie na metalowych prętach łóżka i prężyła się w bólu. Kruk przynosił kolejne garnki z wrzątkiem i ręczniki. Kierując się wskazaniem z książki dla rodzających w domu, już dawno przygotował nożyczki, środki do dezynfekcji i zapas prześcieradeł.

Ukradkiem, wbrew wskazówkom Magdy, zapisał też numer telefonu do położnej. W szufladzie spoczywały dokumenty na fałszywe nazwisko – takich jak on obowiązywał surowy zakaz reprodukcji, ale Kruk wolał zaryzykować niż mieć na sumieniu życie jednej lub dwóch istot.

Chodził niespokojnie od drzwi do drzwi. Długi, ciemny przedpokój był jednym schronieniem. Brał książkę, odkładał. Wchodził, wychodził. A Magda krzyczała, parła, oddychała.

I po kilku godzinach stało się. Na czarnym łóżku, na przemoczonych prześcieradłach, wyczerpana kobieta tuliła do siebie noworodka. Obok nich leżał malutki, ciemny, martwy wieloryb. Połyskiwał lekko i Kruk zawinął go w ręcznik.

- Pójdę, zakopię go na podwórku – powiedział bezradnie.
- Tylko wróć szybko. I żeby sąsiedzi nie widzieli.

Wieloryb spoczął w dołku za śmietnikiem. Podczas gdy Kruk uklepywał nad nim ziemię, istnienie zwierzęcia, tak niedawno jeszcze przemierzającego wzdłuż i wszerz ciało Magdy, stawało się coraz bardziej nierealne. Było tak, jakby tego dnia urodził się nie tylko Smok i martwy wieloryb, ale też nowa, nieznana Krukowi Magda. Kobieta do odkrycia. Gdzieś w Kruku zakiełkował strach – czy ta nowa Magda dalej będzie go potrzebowała?

- Kruku, Kruku, dobrze, że już jesteś!

Trzymała dziecko na rękach, a z jej oczu wyzierał strach.

– Nie mam już TEGO. Myślę, że przeszło na Smoka. Czy to możliwe? Czy...

- Tak. Nic mu nie będzie. Nauczymy go, jak się z TYM obchodzić.

Uspokoiła się, ale coś nie dawało jej spokoju.

- Czyli ty też dostałeś TO od rodziców?

– Nie mam pojęcia.

- Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy...

Dziecko zaczęło płakać i Magda nigdy nie dokończyła zdania. Nieuprawnie kołysała maleństwo o czerwonej buzi, próbowała je karmić, zbierając wszystko, co wiedziała o niemowlętach. W końcu zapadła cisza.

Magda zbliżyła głowę do brzucha dziecka, zaczęła nasłuchiwać.

– Dzięki Bogu – westchnęła wreszcie. – Może i masz TO, ale nie mieszka w tobie potwór.

## XI.

Powoli, krok po kroku, zmierzali do stabilizacji. Kruk znalazł dorywczą pracę jako zamiatacz ulic. Magda łapała równowagę w życiu bez wieloryba, ale z płaczącym dzieckiem. Żarłoczny Smok rósł jak na drożdżach. Wybuchał płaczem, kiedy Kruk czy Magda bez uprzedzenia go głaskali, chętnie za to bawił się zabawkami, które mu znosili. Najbardziej upodobał sobie żółtego konika-grzechotkę z cicho pobrzękującymi pierścieniami. W dniu, kiedy dźwięk dzwonka sprawił, że cały ten świat legł w gruzach, Smok raczkował z zabawką zaciśniętą w piastce. Kruk wziął syna na ręce i otworzył drzwi. Na widok znajomej twarzy cofnął się krok. Minał prawie rok, od kiedy zniknął z warsztatu, ale rysy dziennikarki zapadły mu w pamięć.

– Witaj, Kruku. Pamiętasz mnie jeszcze? – Wyciągnęła w jego stronę dyktafon. – Czy to twoje dziecko?

– Wyjdź stąd. Nie mam nic do opowiedzenia.

– Czy wiesz, ile nastolatek straciło przez ciebie życie?

– Wyjdź z mojego mieszkania!

– Czy zgadzasz się, że można cię nazwać mordercą?

Dziecko, nieprzyzwyczajone do krzyków, zaczęło głośno płakać.

– Cicho, Smoku, cśśś. Już dobrze... – szepnęła Kruk.

Kołysał małego na ramieniu, a dziennikarka przyglądała się całej scenie z drwiącym uśmiechem.

– Rozczulająca scenka ojcowskiej miłości. Wyobraź sobie, że jesteś na miejscu jednego z ojców, który przez ciebie stracił swoje jedyne dziecko. Jak byś się...

Urwała, zachłysnęła się.

– On też?! On... grzechotka... zwyrodnialec... ja tego tak nie zostawię!

Smok powoli się uspokajał. Wpatrywał się w zabawkę, potrząsał czarnym konikiem. Czarne pierścienie uderzały o siebie.

Kobieta zbiegła po schodach tak szybko, jak pozwalały jej na to wysokie obcasy. Kruk przetarł twarz. Jako dziecko widywał już podobne sceny. Flesze aparatów. Tłum ludzi. Krzyki. I w ułamku sekundy zrozumiał – jeśli Smok ma zostać z nimi, to muszą uciekać. Natychmiast.



## XII.

Szli. Ściemniało się. Okna rozświetlał blask telewizorów. Gdyby zajrzeli do jednego z domów, zobaczyliby na ekranie znajomą twarz. Dziennikarka donosiła:

– Dwoje z pozoru całkowicie normalnych ludzi, mających pod opieką niebezpiecznego odmieńca, opuściło dom pod osłoną nocy, udając się w nieznanym kierunku. Uprasza się o zgłaszanie wszelkich osób, które mogą pasować do tego opisu. Powtarzam: dwoje ludzi z małym dzieckiem. Pamiętaj, jeśli zauważysz u siebie lub u bliskich objawy depresji, zadzwoń. Być może nie jest jeszcze za późno.

Polowanie się rozpoczęło. Rozstąpiły się wody Morza Czarnego.

**Alicja Tempłowicz** - naznaczony rocznik '89, właścicielka portalu dla piszących Literka.info. Przecinkolog z wykształcenia i powołania. Poznaniara pełną gębą, obecnie w stałym związku z Wrocławiem. Publikowała w „Fantazjach Zielonogórskich”, na Szortalu i w magazynie „Histeria”, dla którego wykonała też parę ilustracji. Autorka artykułów zahaczających tematyką o językoznawstwo diachroniczne, demonologię ludową i wierzenia słowiańskie. Filker, wielbicielka akwareli, tuszu i kawy w kilku wydaniach, w tym jako materiału malarskiego.

Alicja Tempłowicz

**MY ETER**



## I.

*Gautier Marcel de Voyer d'Argenson*

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson chciwie wygląda przez podwójne, zakończone wpisaniem w ostrołuk maswerkciem okno. Ocenia wysokość, ostrość i twardość wieżyczek, śmiercioność powietrznych tuneli i napięcie w przewodach, rozwieszonych misterną pajęczyną wśród przemysłowej, opalizującej lekko mgły. Pieści wzrokiem okrutnie nastroszone szpice i rozkoszuje się niemożnością dostrzeżenia gruntu. Stąd nie widać wiele, kanciaste zabudowania nikną w smogu, horyzont nie definiuje się, dachy budynków po prostu znikają w oddali, jakby zniecierpliwiony malarz zamasytym gestem rozmazał ich kontury.

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson niczego nie pragnie bardziej niż umrzeć. Tu i teraz. Za plecami ma jednak kilku członków Rady – słyszy, jak przeglądają notatki i sprawozdania, jak wymieniają szepciem ostatnie uwagi na temat nie najlepszych obrotów książęcych pieców hutniczych i stoczni – więc odsunięcie skobla, wdrapanie się na parapet i skok w upragnioną przepaść nie wchodzi w rachubę. Dla niego wszystko by się skończyło – tak, to prawda – ale zostawiłby po sobie potworny, śmierzdzący i lepki skandal, z którego jego rodzina, już i tak tocząca nierówną walkę z nadszarpniętą reputacją, nie wykpiłaby się przez następne piętnaście lat.

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson nienawidzi ich wszystkich. Ale nie aż tak bardzo.

Nienawidzi swojego syna, libertyńskiego łajdaka i łatwowiernego idioty. Nienawidzi jego żony, pospolitej kurwy. Nienawidzi swoich wnuków, pary rozwydrzonych bachorów. Nienawidzi swego brata, który uczynił go na wieczność „tym drugim” i w związku z tym odebrał stopniowo całą nadzieję na odmianę losu.

Nienawidzi, ale nie, nie aż tak bardzo.

Gautier cierpi więc w milczeniu, wpijając upiłowane w równe, łagodne łuki paznokcie we wnętrza niespokojnych dłoni, zwykle suchych, jednakże teraz pokrytych cienką warstwą świeżego, nerwowego potu.

To największa pomyłka ludzkości, myśli, odrywając wzrok od kuszącej panoramy miasta i ogniskując go na odbiciu własnej zmęczonej twarzy w okiennej szybie. Rozwój medycyny. Długowieczność.

Wyrok powolnego, jednostajnego cierpienia w ciszy, kiedy honor rodu nie pozwala inaczej.

– Markizie?

Gautier obraca się automatycznie, jak na komendę, jakby był szkolonym lykantropem. Właściwie tak się czuje – pożyteczna niekiedy ozdoba salonu, od której na co dzień wymaga się tylko posłuszeństwa i dowodów psiej, zapchlonej wierności. Wszelka inicjatywa nie jest wskazana. Własne zdanie nie jest wskazane. Prosimy trzymać się instrukcji i rozkazów, nawet jeśli te prowadzą do ostatecznego upadku.

Ocena sytuacji nie leży w kompetencjach młodszego brata.

– Słucham.

– Jego książęca mość może, tak dla odmiany, zaszczyca nas dziś swoją obecnością? Skoro mamy szukać sposobu na ratowanie jego stoczni.

D'Argenson mierzy wzrokiem impertynenckiego urzędnika, smarkacza młodszego nawet od jego syna – siedzącego nieopodal w swobodnej pozie i zaciągającego się dymem z cygara dandysa w modnym błękitnym fraku. Zielone oko przesuwają się po wysokim czole, kluskowatym, plebejskim nosie i mięsistych wargach, tak charakterystycznej dla rodu Foix cesze, prawdopodobnie konsekwencji rygorystycznego pilnowania czystości krwi. Drugie oko – szklane – pozostaje niewzruszone.

– Jego książęca mość poluje – pada zwięzła odpowiedź.

Jak na zawołanie za ostrołukową biforą przemyka zastęp myśliwskich wiwern. Uderzenia ich skrzydeł są jak grzmot pioruna – równie intensywne, co krótkie. Wprawiają szyby w drżenie, przetaczają się z hukiem i rozplywają w smogu. Potem zapada nagła cisza i słychać tylko pojedynczy, odległy skrzek tryumfu, kiedy jedna z poczwara dopada ofiarę.

– Jego książęca mość mógłby wykazać nieco więcej zainteresowania sprawami bieżącymi, zamiast jawnie z nas kpić! – zauważa Achille de Foix, krzywiąc swoje absurdalnie pełne usta, a jego ręka strzela oskarżycielsko w stronę okna.

Tak, mógłby, przyznaje w duchu Gautier, ale na zewnątrz jego osiemdziesięcioletnie niemal, choć doskonale zakonserwowane i wciąż sprawne ciało napina się jak do skoku. Każdy mięsień

naprężony, każda żyła nabrzmiała pod skórą, górna warga atawistycznie uniesiona, nie na tyle jednak, by odsłonić równe, kompletne zęby.

– Nie będziesz przy mnie podważał królewskiego majestatu, Foix! – ryczy wściekle markiz i jego spocona, wciąż silna pięść trafia w ciemny blat stołu, aż dzwonią ustawione na nim szklance.

– Nie spinaj się tak, papo, bo ci żyłka pójdzie – fuka Alain Charles d'Argenson, uśmiechając się pobłaźliwie, a potem niespiesznie wypuszcza z ust tłusty, śmierdzący dym, celebując powolne samobójstwo.

Gautier niemal z pożądaniem myśli o jego zniszczonych płucach i prawdopodobnie nadżartych przez choroby weneryczne innych wnętrznościach. W tej chwili oddałby wszystko, byle wymienić się z synem – zdrowa, wciąż pracująca bez zarzutu wątroba za jego wymoczoną w alkoholu; dobre, bijące równo serce za jego poznaczone bliznami dwóch zawałów; sprawny, bystry mózg za poszarpaną narkotycznymi majakami sieć neuronów.

Być te trzydzieści niemal lat młodszym, a o ileż bliższym śmierci. Mieć ją tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Na jeden czuły szept, jedną pominiętą dawkę leków.

– Alain! – we wrzasku tym jest nie tylko wściekłość spowodowana okazanym publicznie lekceważeniem, ale też cała gorzka zazdrość, przewalająca się przez ojcowskie aorty w ciężkim rytmie przyspieszonego tętna.

De Foix, ta nieszczęsna, napuchnięta ofiara chowu wsobnego, natychmiast pochyla się ku sąsiadowi, prezesowi Głównego Banku, Emmanuelowi de Guise. Wymieniają między sobą jakieś uwagi – niby dyskretnie, ale Gautier nie potrafi zignorować spojrzeń, jakie mu posyłają, choćby nawet bardzo chciał, i wie, że zwyczajnie o to zadbali.

– Papo? – Łagodne łuki brwi Alaina unoszą się nad zielonymi, nieco za małymi zdaniem wielu, oczyma d'Argensonów.

Gautier ma ochotę przesadzić stół jednym susem, chwycić syna za kołnierz i po prostu przełożyć go przez kolano, ale to już nie te czasy, więc powściąga temperament w skrywanym westchnieniu i z powrotem odwraca się do okna. Wie, że powinien już zasiąść za stołem i rozpocząć obrady, ale musi ukryć drżenie zaciskanej z gniewu szczęki

i przełknąć kolejne publiczne poniżenie, przed którym nie może się bronić, bo jest – przede wszystkim – po prostu młodszym bratem.

Jego spojrzenie raz jeszcze tęsknie pieści widok najeżonej iglicami stolicy.

A potem tuż za oknem znów przemyka stado rozszalałych wiuwern.

Markiz czuje się zmęczony. Tak potwornie zmęczony. Tak bardzo chce już odejść.

\*\*\*

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson miał w życiu jednego prawdziwego przyjaciela – Vincenta de Garlande, ministra spraw zagranicznych, pułkownika w stanie spoczynku i miłośnika broni białej. Przyjaciel ten już jednak nie żyje. Teraz markiza otaczają sami wrogowie.

– Jak zdrowie szanownej małżonki? – pyta Emmanuel de Guise, a jego ton ocieka lepka jak syrop, nieskrywaną kpina, odbijającą się od ścian korytarza i zahaczającą o tak wiele spragnionych taniej rozrywki uszu.

– Wciąż jeszcze dobrze – odpowiada Gautier, postanawiając nie zostać do końca dłużnym i w owym „jeszcze” ukryć pojedynczą małą szpilę, na którą prezes Banku Głównego reaguje zresztą bezbłędnie, krzywiąc z niesmakiem wąskie wargi.

Wszyscy wiedzą, że druga żona markiza to temat szczególnie drażliwy. On sam, pozostając we wdowieństwie od trzydziestu lat, nie chciał kolejnego związku, a już na pewno nie z *madame* Brigitte, ledwie dwudziestoletnią panną, która na własne nieszczęście należy do gałęzi Foixów opierającej się poparciu nowej ustawy emerytalnej. Trzeba było ich przekonać, a wizja olbrzymiego majątku zasilającego skarbiec po tym, jak starego męża dziedziczki trafi szlag, okazała się wystarczającym argumentem.

Księżę Constantine wyśmiewa pruderię młodszego brata, kpi z jego zdegustowania, a wcześniej starannie zignorował protesty, rozpuszczając przy okazji plotki, jakoby hipokryta Gautier krygował się jedynie publicznie, a potajemnie ślinił na myśl o młodej żonie.

W rzeczywistości markiz i jego połowica bliżej niż na półtora metra od siebie przebywali tylko raz – podczas konsumpcji małżeństwa, które to dla obojga stanowiło wspomnienie wielce żenujące, jedno

z tych, do których nigdy się nie wraca, a mimo to tkwią pod skórą i pasożytną na najkrótszych nawet chwilach radości.

A zatem Brigitte i Gautier pieczołowicie udają, że w swoich prywatnych światach wzajemnie nie istnieją. Za to w prywatnym świecie markizy z pewnością istnieje Emmanuel de Guise, jak i wielu innych mężczyzn, z których część zapewne miała wcześniej styczność z kurwą Edwige.

– Ciesz się mnie to niezmiernie – stwierdza prezes, gdy tylko uzna, że w pełni kontroluje swój głos. – Proszę ucałować ode mnie śliczne młodziutki ręczki.

Gautier pozostaje spokojny. Wie, że to tylko niska potrzeba odegrania się po tym, jak zapędził Emmanuela de Guise w kąt i zmusił do wyłożenia kolejnych sum na ratowanie księżęcej stoczni. Jeśli uda się utrzymać rodowy interes jeszcze choćby przez kilka lat, nie ma takiego ciosu, który mógłby wyprowadzić markiza z równowagi.

\*\*\*

– To był wypadek... – szeptem César, stajenny, a wszyscy wiedzą, że powtarza kłamstwo, w które sam chciałby wierzyć.

Słońce szydlerczo zagląda mu w twarz, wyjątkowo przesączając się przez toksyczne chmury, rozpala ją i igra wesoło w miedzianych włosach.

– Przysięgam na Mechanicznego, że to był wypadek! – wyje rozpaczliwie chłopak, kiedy jeden z gwardzistów odsuwa go od zmasakrowanego ciała brutalnym kopniakiem, a dwóch innych wykręca ręce i zaczyna bezceremonialnie wlec po skrwawionym żwirze. – WYPADEK!

Alain senior milczy. Klęczy bezradnie na ziemi i milczy, patrząc przed siebie pustym wzrokiem wypchanego myśliwskiego trofeum. Jego żona, ta kurwa Edwige, ta na wpół martwa za życia klacz, której z krocza śmierdzi zgnilizną, tuli mokry od łez policzek do nieruchomej, rozoranej potężnym pazurem piersi swojego syna. Obok niej wiją się oblepione drobnymi kamyczkami jak jakąś wysypką jeli-ta denata. Księcia Constantine'a już stąd zabrano – dla wszystkich oczywistym jest, że to on miał paść ofiarą rozsierdzonej, oczywiście całkiem przypadkowo uwolnionej wiwerny, leżącej teraz nieopodal z odrąbaną głową i rozkrzyżowanymi skrzydłami.

Że to był zamach.



Morderstwo.

Gautier góruje nad synem, synową i martwym wnukiem jak ponury posąg, jak gargulec na krawędzi dachu – milczący, bezradny świadek. Wsparty na lasce, zaciska dłonie na gałce, aż na knykciach pojawiają się białe wykwitły, uwidaczniając pierwsze, jeszcze nieśmiałe plamy wątrobowe. Jego oczy pozostają suche, bo honor zabrania publicznej rozpacy, usta ściągnięte gniewem w wąską kreskę, oczy zmrużone, a to prawdziwe dodatkowo roziskrzone wściekłością i żalem.

I zazdrością.

Zieleń to kolor zazdrości.

Czternastoletnie życie zabrane, nim zdołało zmienić się w koszmara na jawie. Wieczne szczęście, uśmiech losu.

I szydercza obecność doskonale zakonserwowanego starca.

Gautier otrząsa się ze stuporu, uznawszy, że dość już przedstawienia dla gawiedzi, i daje znać kapitanowi gwardii, znacząco unosząc koniec laski. Już po chwili silne ramiona żołnierzy delikatnie odciągają od zwłok półzwłoki gnijącej Edwige, dłoń w czarnej rękawicy opada uspokajająco na ramię Alaina seniora, ktoś wreszcie zamyka oczy chłopaka i przykrywa jego wypatroszone ciało, oddając mu chociaż tę szczyptę humanitarnego szacunku. Nigdy niczym na nią nie zasłużył, myśli Gautier, równie rozlaży i zniewieściały co ojciec i równie hedonistycznie rozpasany co książę, na którego ołtarzu złożył właśnie czternaście lat bezproduktywnej wegetacji.

– Markizie?

Gautier tłumii westchnienie żalu i spogląda na stojącego przed nim mężczyznę. Natychmiast rozpoznaje w nim Laurenta, osobistego sekretarza i – jak niektórzy plotkują, a inni wiedzą – kochanka swojego starszego brata. Gładkiego blondyna o wiecznie rumianej, prawdopodobnie pokrytej makijażem twarzy.

– Słucham.

– Jego książęca mość prosi do swojego gabinetu. Natychmiast.

\*\*\*

Kiedy Gautier wchodzi do gabinetu, książę Constantine siedzi w swoim ulubionym fotelu, zanurzony w miękkich objęciach ciemnozielonego jak jego oczy pluszu. Twarz ma zastygłą, nieprzeniknioną

i poznaczoną wyraźniejszymi niż w ostatnich dniach bruzdami. Nie widać na niej śladów łez.

– Wasza książęca mość. – Gautier kłania się, jak nakazuje protokół, dyplomatycznie nie komentując faktu, że władca przyjmuje go w samych bokserkach. Ignoruje wystawione na widok starcze ciało i skupia się na dłoni, oczekując gestu pozwalającego mu spocząć na którymś z krzeseł. Chętnie by to uczynił, gdyż jego kolana drżą od tłumionych emocji i spychanej na krawędź świadomości myśli o tym, że oto stracił wnuka.

Ale gest ten nie nadchodzi.

– Bracie.

Głos Constantine'a przypomina smagnięcie lodowym biczem, a wypowiedziane przezeń słowo – choć pozornie neutralne – ociera się o obelgę. Gautier stoi – już wyprostowany, wsparty na swojej lasce, z palcami znów kurczowo uczeponymi rzeźbionej gałki – i czeka.

A pozwolenia nadal nie ma.

– Bracie, naprawdę mogłeś załatwić to w bardziej elegancki sposób. Bez... Bez niewinnych ofiar. Jestem wręcz zawiedziony, bo zawsze spodziewałem się po tobie więcej. Uważałem, że jakkolwiek staroświecki, posiadasz pewien styl.

Markiz czuje, jak każdy mięsień w jego ciele zastyga i zmienia się w żelazo, plecy wyprężają się, struna kręgosłupa naciąga, a palce zamieniają w szpony.

– Constantine... – sapie z mieszkanką oburzenia i niedowierzania. – Constantine, czy ty myślisz... – Potrząsa bezradnie głową. – Książę...! Mój książę! – W ostatniej chwili powstrzymuje się przed upadnięciem na kolana i całowaniem z szacunkiem sygnetu.

– Jak widzisz, daję ci możliwość naprawienia przynajmniej jednego z błędów – ciągnie władca, jakby nie zauważając pobladłej nagle twarzy brata i jego drgnienia. – Jestem bezbronny. I jestem gotów.

Wzrok Gautiera przeslizguje się ostatecznie po zapadłej klatce piersiowej księcia, wyschniętych sutkach, rzadkich od starości włosach i zwiotczącej skórze. Przesuwa się po podłokietniku, wzdłuż wyciągniętego ramienia z obwisłym, zmęczonym latami mięśniem, aż po niski stolik, na którym leży rewolwer.

– Zrób, co do ciebie należy, Gautier. Wiem, że masz jaja. Wiem, że potrafisz, i jeśli ktoś ma to zrobić, to właśnie ty.

Markiz milczy, stoi jak sparaliżowany, nie ociera nawet kropli potu spływającej z lewej skroni, choć ta drażni skórę i domaga się natychmiastowej reakcji.

– Gautier.

Usta otwierają się, krtań drży, ale głos odmawia posłuszeństwa i markiz ostatecznie jedynie zaciska szczęki.

Nie nienawidzi ich aż tak bardzo.

Nie.

Nie skorzysta z tej szansy na oczyszczenie rodu z przynajmniej jednego zgniłego owocu, nawet jeśli owoc ten zaraził zgnilizną wszystkie pozostałe.

Nie.

– Skoro byłeś gotów poświęcić wnuka, wiem, że ci zależy. Inaczej byśmy nie rozmawiali. No – księżę prycha, niby ze śmiechu, ale w jego tonie nie ma nawet krzty wesołości, a tylko gorycz zbierana na przestrzeni wielu lat, starannie pielęgnowana i rozwijana – i może gdybym nie wiedział, dlaczego ci zależy.

Constantine podnosi się wreszcie z fotela – powoli i majestatycznie, w sposób wyćwiczony w ciągu długich lat zasiadania na tronie, który trzeba było potem ze względu chociaż godnością opuszczać, i to nawet mimo skrajnego zmęczenia. Statecznym krokiem podchodzi do okna i podziwia tę samą panoramę, w którą z taką pożądlivością wpatrywał się Gautier ledwie parę godzin temu, i markiz mimowolnie zaczyna zastanawiać się, czy jego starszy brat też oczyma wyobraźni widzi siebie spalonego od napięcia w źle zabezpieczonych przewodach albo nadzianego na jedną z iglic.

Czy też pragnie śmierci, ucieczki od zbyt doskonałej medycyny i czy zwyczajnie nie zwęszył okazji, by udawać, że w samobójstwie jest coś honorowego.

– Gautier – wzdycha czule księżę do swej ukochanej stolicy o przeżartej przemysłem duszy – porozmawiajmy jak mężczyźni. Jak bracia. Jak honorowy arystokrata i jego rok starsza karykatura. Bądźmy uczciwi. Wiem, że to ostatni moment, żeby się mnie pozbyć, jeśli kiedykolwiek ma być dobrze. Wiem, że chcesz to wszystko poukładać, wziąć ich za jaja, dostać narzędzia, których ci teraz brakuje. Zawsze brakowało. Byle zdążyć, zanim Alain przejmie po mnie schedę. Wiem to wszystko dobrze. Ba, nawet rozumiem, czego dają ci teraz dowód. Choć powinieneś wiedzieć, że nie jest to dla

mnie łatwe. – Spojrzenie Constantine'a znów wędruje ku stolikowi i błyszczącemu kuszącą czernią rewolwerowi. – Ja nie potrafię tego naprawić, nie tak, by było dobrze według twojej wizji.

Gautier znów próbuje zebrać się, by powiedzieć cokolwiek, choć ostatecznie odsunął już myśl, by próbować wyjaśnić bratu, że z zamachem nie miał nic wspólnego, ale za to bez trudu może wskazać potencjalnych sprawców. Foixa chociażby. Ledwie jednak nabiera powietrza w swoje potwornie zdrowe płuca, a chwilową ciszę przeżywa ostry, zły śmiech.

– Byłem dobrym władcą! – nieomal wyje Constantine, a jego dłonie konwulsyjnie zaciskają się na okiennym parapecie. – Tak, wiem, wiem, co chcesz powiedzieć...! Że tradycja, że honor, że zszargane obyczaje, brud, smród i orgia, ale, mój kochany braciszku, to tak naprawdę kwestia gustu. I mój gust różni się od twojego gustu o cały rok. I według mojego gustu byłem dobrym władcą!

– Praktycznie nie mamy armii – szepce Gautier niespodziewanie dla samego siebie. Zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie swoje pierwsze słowa po serii absurdalnych oskarżeń.

– Mamy rozwinięty system socjalny. Doskonałą edukację. Przemysł hutniczy wciąż działa. Braciszku – na markizie spoczęło chłodne, nieomal krytyczne spojrzenie – nie możesz tego nie docenić. A gdyby nie inwestycja w medycynę, obaj bylibyśmy już zgrzybiałymi dziadkami.

– Stocznice padają. Przystępczość wzrasta. Ród stał się pośmiewiskiem i...

– Ród! – skowycze Constantine jak ranne zwierzę. – Kogo obchodzi ród! Rody to przeżytek! To rody są zgnilizną! To rody są złem tego świata! Gangrena! – Jego ręka wystrzeliwuje w powietrze w gniewnym geście. – Pasożytem! Rozkradają budżet! I wiesz, co ci powiem?! Wiesz?! Że możesz mnie zabić, czy teraz, czy później! Możesz zabić wszystkich! Swojego syna i drugiego wnuka też! Ale nie powstrzymasz przemian! Niczego to nie zmienia! Jesteś żalonym epigonem, Gautier!

Markiz przełyka ślinę, co okazuje się nagle trudne i nieomal bolesne, jakby na jego gardle zacisnęły się obce dłonie. Patrzy na brata swoim jedynym okiem, widzi jego furię, jego bezmyślną, smutną furię, a przez głowę przewalają mu się cyfry z ostatnich raportów. Zasłyszane plotki. I obrazy. Zalewa go zimna świadomość tego, co

stało się z jego synem, gdy znalazł się pod wpływem stryja, a potem z jego wnukami.

Z Alainem juniorem, który dziś leżał w kałuży własnej krwi i ekskrementów, rozplątany potężnym pazurem podjudzonej myśliwskiej wiwerny.

Powinien być w tym czasie w sali zebrań, zasiadać w Radzie i pozwoli wdrażać się w obowiązki, a nie tracić czas na czcze rozrywki, na hedonistyczną rozpustę, której hołdował Constantine.

Bracie, myśli Gautier, patrząc na wykrzywioną gniewem twarz władcy, który z nas jest w istocie mordercą?

Powoli dociera do niego, że tak naprawdę nie ma wyboru – postawiono go przed faktem dokonanym, jakby ktoś wcześniej był w przyszłości i opisał skutki bez przyczyn. Rusza się więc ze swego miejsca, słysząc niemal, jak zesztyniałe mięśnie kruszą się przy każdym kroku. Jak skrzypią stawy, jak opierają się palce, zaciskane na kolbie czarnego rewolweru.

Jak potem z dłoni wzdłuż ramienia przebiega potworny ból, rzucając go na kolana.

Ręka rozwiera się, by wypuścić broń, ale jest za późno. Trucizna wżera się w skórę, potem w mięśnie, obdziera kości z ciała, wędruje dalej, wyżej, niszczy włókna, niszczy żyły, zostawia po sobie swąd spalenizny i odór moczu.

Doskonała medycyna. Doskonałe przedłużanie życia i doskonałe zadawanie śmierci.

Gautier upada na bok, skomląc cicho i śliniąc się, kiedy wyrok dosięga jego barku. Agonalne drgawki rzucają nim po kosztownym dywanie. Nadeszła. Wreszcie nadeszła. Upragniona. Wyczekana.

Tak bardzo bolesna i niespodziewana.

A nad nią posępny cień, szyderczo nagi, w samych bokserkach.

– Chciałem mieć pewność, że to ty – mówi.

\*\*\*

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson opada spokojnie, lekko na iglice i pajęczyny przewodów. Wiatr znosi go nieco na zachód, ku słońcu rozpalającemu smog. Nad nim przesuwa się cień ostatniego sterowca, jaki opuścił księżące stocznie – „Constantine III”. Wiadomo już, że nawet miliardowa pożyczka nie cofnie zaniedbań i chybionych inwestycji, więc ledwie wczoraj ostatecznie zaprzestano produkcji.

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson opada spokojnie, lekko i cicho jak pył. Osiada na dachach i tunelach powietrznych, niemal nie dosięga gruntu.

Gautier Marcel de Voyer d'Argenson jest pyłem i jest wreszcie wolny.

## II. Triforium

*Constantine Laurent de Voyer d'Argenson*

Drogi bracie, teraz wreszcie widzę cię wyraźnie – takiego, jakim jesteś w całej swojej żalności, w swoim strachu i w swoim zmęczeniu, o które nigdy cię nie podejrzewałem. Nie wierzyłem, że zabawa może być tak wyczerpująca.

Drogi bracie, teraz wreszcie możemy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, skoro już jestem martwy, skoro oddałeś mnie Eterowi i wypuściłeś moje prochy na wolność. Nie dzieli nas bowiem nic prócz śmierci.

Drogi bracie, jeśli myślisz, że się mnie pozbyłeś, jesteś w wielkim błędzie.

Jestem martwy i jestem wolny, ale jestem tutaj.

Podglądam cię okiem Eteru jak przez dziurkę od klucza – widzę każdy twój krok, chociaż ty nie widzisz mnie.

Pamiętam, że nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Nigdy nie spytałem swojego starszego, mądrzejszego brata, z czego zbudowany jest kosmos. Przeczytałem to dopiero później w uczonych książkach. I dziś mogę powiedzieć ci jedno – są pełne bzdur.

Tarcza słońca wznosi się i opada za twoim oknem, ty podnosisz się i opadasz na łóżko. Jesteś stary. Tak potwornie stary, starszy ode mnie, choć nie pamiętam, kiedy ostatnio myślałem w ten sposób. Nawet wówczas, podczas ostatniego naszego spotkania, widziałem w tobie raczej odbicie własnych lat. Teraz ze złością wyrzucasz z sypialni niezaspokojoną kurtuzaną, okrywasz ramię kocem i próbujesz nie płakać z żalu nad sobą. Zamknęli twoje stocznie, ale nie to boli cię w tym momencie najbardziej. Wiem. Widzę. Boli cię moja zdrada, której nigdy nie było.

Powiedziałbym ci o tym, gdybym mógł. Znoszę twoje łzy równie źle, możesz mi wierzyć.

Nie powiedziałbym ci jednak, że wszystko będzie dobrze, bo obaj wiemy, że to kłamstwo.

Ściemnia się.

Śpij dobrze, drogi bracie. Nie zostało ci wiele nocy ze snem. W Eterze go nie ma.

\*\*\*

Wstajesz jak zwykle o godzinie, o której ja zaczynałem już marzyć o obiedzie. Zawsze myślałem, że to ze względu na hulanki do świtu – teraz wiem, że dręczy cię zwyczajna, ludzka bezsenność. Wiem też, że boisz się wychodzić z łóżka, a pierwsze kilkanaście minut po otwarciu oczu leżysz nieruchomo, wpatrzony w sufit, jakbyś chciał się upewnić, że nadal żyjesz i twój organizm pracuje. Boisz się nie tyle śmierci, co uderzenia poważnej choroby, może zemsty jednej z tych, jakie już owijają się chciwie wokół twoich wnętrzności.

Czujesz, jak śmierdzi twoja gnijąca za życia synowa. Czujesz, jak cuchną wrzody innych członków dworu. Obserwujesz bratanka z jego pustym, narkotycznym wzrokiem. Wiesz, że kiedy wreszcie smok przebudzi się i w twoim ciele, potrwa to najwyżej kilka tygodni.

A myślałem, że tak dobrze się bawisz.

Podchodzisz wreszcie do okna, zawinięty w szlafrok z brązowej satyny. Wyglądasz w nim koszmarnie i wiesz o tym. Przeczesujesz włosy dłonią, drugą ręką sięgasz do panelu i czekasz, aż w sypialni zjawi się służba, by zająć się swoim władcą. Oddajesz im się bezmyślnie i bezwolnie. Ty – książę. Im – niewolnikom. W czasie, gdy za ich pomocą przechodzisz metamorfozę z przerażonego staruszka w pana, głowę zajęętą masz ważniejszymi sprawami niż kolor fularu. W głębi duszy nadal kontynuujesz szloch z poprzedniego wieczora.

Idziesz wreszcie korytarzem – żywy dowód na wszechwładzę współczesnej medycyny. Jeszcze kilkadziesiąt lat i zyskamy nieśmiertelność, jak mówią.

Cóż, może nie tak dosłownie, nie ja i nie ty.

Przed tobą Gabinet Zielony, gdzie za długim ciemnym stołem siedzą już twoi doradcy i gdzie twój głos będzie odbijał się od wysokiego sufitu w charakterystyczny sposób. Zawsze wydawało mi się, że nad takim efektem trzeba pracować latami, a tobie przychodzi to tak samoistnie.

Myliłem się, twierdząc, że to ja powinienem urodzić się najpierw. Zawiódł jakiś inny czynnik i chociaż jestem martwy, nadal nie do końca wiem, w czym tkwi problem. Ale prawda jest taka, że zostałeś stworzony do roli władcy. Ja zostałem stworzony do roli tego drugiego. Może taki właśnie nasz los – tych drugich – by wiecznie zaciskać szczęki, widząc jak wy – pierwsi – popełnicie błędy.

Wstając na twój widok członkowie Rady nie mają dobrych wieści – widzisz to po ich minach, niektórych zmieszanych, innych naburmuszonych w obronnej, szczeniackiej agresji. Dziś powiedzą ci, że to koniec, i masz tego świadomość. Chciałbyś im już wyszarpać te słowa z gardeł, przygwoździć ich twarze do ciemnego blatu i zmusić, by wyrzucili to z siebie, patrząc ci prosto w oczy, ale z tak wielu względów nie możesz tego zrobić.

Jestem jednym z nich.

Nie może paść na ciebie nawet cień podejrzenia. Nikt nie powinien pomyśleć, że wpadłeś w panikę i zabiłeś własnego brata pochopnie. To byłoby jak pogrzebanie żywcem twojego majestatu, a wraz z nim zginąłbyś także ty sam – nic innego już cię przecież nie broni. Nie masz pieniędzy, nie masz lojalnych ludzi, nie masz silnego ciała.

Siadacie.

– Odmówiono nam pożyczki – odzywa się wreszcie Achille de Foix, najwyraźniej najodważniejszy z nich, choć i tu, muszę przyznać, bardzo się myliłem, uważając, że jest zwyczajnie impertynencki. Nadal natomiast nie zmieniłem zdania na temat jego intelektu, skutku chowu wsobnego, ale wiem, że mamy w tym względzie podobne obserwacje.

Pamiętam, jak powiedziałeś mi, że każdy władca potrzebuje podręcznego idioty, a ja fuknąłem na ciebie ze świętym oburzeniem.

Kiwasz głową, ale westchnienie zachowujesz dla siebie – chcesz, żeby myśleli, że jesteś spokojny, ale nie chcesz, żeby zorientowali się, że już wcześniej pogodziłeś się ze swoim losem. Jesteś bankrutem, twój gabinet jest bankrutem i cała Canelle jest bankrutem. Teraz to ty przekonujesz się, jak potwornie boli zbyt długie życie. Myślę, że obaj byłibyśmy szczęśliwi z niedołęźniali, zatopieni w swoich fotelach, prawie ślepi i głusi, w słodkich objęciach demencji. Na pewno byłibyśmy lepszymi braćmi.

Milczysz i widzę, jak mój syn – mój własny syn – patrzy na ciebie z pogardą. Boję się, że to ja ją w nim zaszczepliłem, choć, musisz



mi wierzyć, z całego serca starałem się być przy nim powściągliwy w sądach. Walczyłem o szacunek dla ciebie z większym zapałem niż ty sam, ale potem mnie zabiłeś i tak oto mechanizmy poszły w ruch.

Odróć głowę, drogi bracie. Powinieneś to zobaczyć. Powinieneś to zobaczyć, zapamiętać i być przygotowanym na zemstę.

Boję się.

Boję się, że ten przeżarty narkotykami zawałowiec o pojemności płuc poniżej trzech litrów zrobi to, co mnie się szczęśliwie nie udało. Wiesz, co by to oznaczało – czasem sobie to wyobrażasz. Koniec naszego pokolenia. Jego nagłe, tragiczne wyginiecie w przeciągu roku. Najpierw nasi kuzyni, siostry, ja i wreszcie ty. Odejdzie ludzie, którzy trzymali Canelle w garści przez ostatnie dziesięciolecia i są odpowiedzialni za to, co stało się z młodszym pokoleniem – tak, to my sprawiliśmy tę indolencję, tę rozlazłość, to święte przekonanie, że jest ktoś, kto posprząta i naprawi każdy błąd. Przedłużone do absurdu dzieciństwo naszych potomków i wnuków teraz poprowadzi Canelle do zagłady.

I tak nie ma już odwrotu. Wszyscy duszą się we własnym sosie, łykają żółć.

Nigdy nie miałem odwagi o tym z tobą porozmawiać, nie pozwoliłem ci zrzucić z serca tego ciężaru i dowiedzieć się, że z kimś współdzielisz brzemię świadomości. Wybacz mi.

– Co teraz? – pyta Achille de Foix.

Nie masz dla niego dobrych wieści, tak jak on nie miał ich dla ciebie.

\*\*\*

Krążycie wokół stołu jak dwa psy, zanim rzucą się sobie do gardeł – ty i Emmanuel de Guise.

Nienawidzę go. Mocniej nawet niż nienawidziłem ciebie i Alaina.

– To wszystko jest bez sensu – warczy prezes Banku Głównego. – Wszystko gnije! Wasza książęca mość raczej tego nie zauważać?!

Sięgasz do srebrnej papierośnicy z wygrawerowanymi misternie inicjałami C.L.V.A. (powiedziałbym, że to błąd, bo zdradzasz, że musisz zająć czymś ręce), wyciągasz skręta bez filtra, takie lubisz najbardziej.

– Wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie – mruczysz z papierosem w ustach i wyjmujesz zapalniczkę.

– To nie ma nic do rzeczy!

– Owszem, ma, Guise.

Problem z tym, że to mnie uważasz za sprawcę zamachu, polega również na tym, że nie szukasz innego.

Zdradzę ci sekret – stoi przed tobą.

– To śmieszne! – unosi się teraz, a jego brwi tworzą już jedną linię na zmarszczonym czole. – Jestem człowiekiem interesu i prowadzę interesy!

– Z państwem.

To żalosne, mój bracie. Wiesz o tym tak dobrze, ale mimo to brniesz w tę ostatnią szansę, poświęcając swój honor i dobry smak. Zaslaniaś się biedną, poranioną Canelle jak tarczą, próbujesz szantażu emocjonalnego na kimś, kto nie ma sumienia.

Gdybym mógł...

Gdybym mógł, powiedziałbym ci, że to niepotrzebne, bo wiem już, że najprawdopodobniej dołączysz do mnie tej nocy.

Mój drogi Constantine.

*Brigitte Ambre de Foix d'Argenson*

Mała, samotna dziewczynka na tle wielkiego okna. Gdybyś się teraz widziała, Brigitte, moja droga żono, gdybyś widziała swoją twarz zalaną księżycowym światłem, znudzoną minkę i suknię spływającą z parapetu czerwoną draperią, westchnęłabyś z zachwyty nad samą sobą.

Po raz kolejny.

Nie tęsknisz za mną, nosisz ostentacyjne, jaskrawe kolory, ale wiedz też, że ja nie tęsknię za tobą i nie sądzę, by była to tylko kwestia faktu, że nie poznaliśmy się za dobrze.

Zawsze myślałaś o sobie jako o ofierze złożonej na ołtarzu reformy emerytalnej. Nie odmawiam ci słuszności tego sądu – wszak nie ty korzystasz teraz z mojej polisy, a piętno żony zdrajcy będzie ci towarzyszyć do końca dni – niemniej nie potrafię zrozumieć, dlaczego odmawiałaś tego statusu mnie. Bo byłem stary? Bo ludzie starzy nie mają uczuć? Planów? Nie cierpią? Nie mogą kochać i nienawidzić?

Jesteś taką głupią, pustą lałą, Brigitte, że trzymanie się z dala od twojego młodego ciała nie było żadnym wyzwaniem – wbrew temu, co mówili, i wbrew temu, w co sama wierzyłaś. Myślałaś, że się na mnie mścisz, nosząc nieprzyzwoicie głębokie dekolty i rozcięte spódnice, wreszcie prowadząc tryb życia inspirowany dokonaniem Edwige,

mojej gnijącej synowej, ale jeśli ktoś za to zapłaci, to tylko ty. Ja miałem dla ciebie jedynie pusty śmiech i jeśli nigdy nie wybuchnąłem nim w twoją porcelanową buzię, to tylko dlatego, że jestem z innej epoki.

Ciebie też drażni zamknięcie stoczni, prawda?

Jeszcze kilkanaście dni temu pod tym oknem, tuż obok fontanny, maszerowali robotnicy. Patrzyłaś na nich i twoje splecione na podółku dłonie osuwały się niżej.

To takie żałosne, Brigitte.

Twój maleńki mózg nigdy nie ogarnie, jak potworna rzecz się stała – dla ciebie to tylko brak darmowej rozrywki. Uważasz, że to kolejny cios od losu, po tym jak odebrano ci pieniądze, okryto hańbą męża i z powrotem oddelegowano pod pieczę ojca. Ubłagałaś tylko pozwolenie na pozostanie w tych większych i bardziej luksusowych komnatach. To było straszne, Brigitte, patrzeć, jak tarzasz się po dywanie u stóp mojego brata. Mimo wszystko jesteś ładną panią z dobrego, starego rodu, choć nie potrafisz tego docenić. Jeszcze twoja babka miała honor – to ogromna szkoda, że zaczęła przyjmować atacyne za późno i nim chemia zdążyła przebudować jej ciało, przebudował je nowotwór.

Kiedy rozlega się wreszcie pukanie do drzwi, zrywasz się jak czujny lykantrop na odgłos kroków swego pana – nawet w taki sam sposób wysuwasz trójkątny podbródek. Zeskakujesz wdzięcznie z parapetu, wygładzasz suknię i chrząkasz cicho, by twój głos zabrzmiał odpowiednio.

– Proszę!

Wchodzą, a ty taksujesz ich obu uważnym spojrzeniem – znów kojarzysz mi się z lykantropem. De Guise otrzymuje spojrzenie powłóczyście, Alain szybkie i raczej niechętnie. Nie lubisz na niego patrzeć nie dlatego, że jest odrażający fizycznie – prawda jest taka, że ród de Foix z tą absurdalnie mięsistą wargą uodpornił cię na brzydotę, a poza tym mój syn, pod kolejnymi warstwami wyniszczereń oczywiście, twarz ma całkiem przystojną. Chodzi ci o mnie. Wiem, że chciałabyś móc zarzucić mi więcej niż tylko tę żałosną komedię, która zakończyła moje życie, a ciebie skazała na drobne niewygody.

– Madame d'Argenson.

– Panowie. – Wskazujesz im miejsca za niewielkim okrągłym stolikiem, przykrytym ręcznie haftowaną serwetką. To taki atrybut odepchniętych żon, prawda?

Zajmują je usłużnie, a de Guise obchodzi mebel tak, by móc się o ciebie otrzeć.

Na Eter, Brigitte, on jest ledwie dwadzieścia lat młodszy ode mnie...

– Nie wiem, czy nie powinniśmy...

– Och, to mój prywatny gabinecik, Alain. – Niefrasobliwie machasz ręką, ukrywasz niepokój pod bladym uśmiechem. – Któż mógłby chcieć mnie tu szpiegować? Nikt nas nie widzi i nie słyszy...

Tu się mylisz.

– ...więc nikt nam nie przeszkodzi.

A tu masz rację. Moje ramiona sięgają gwiazd, ale nie mogą dosięgnąć twojej szyi.

Mój syn jest ignorantem, i to nawet większym niż ty, ale jeśli de Guise ma na niego jakiś wpływ, to tylko przez ciebie. Gdyby nie te twoje dekolty i rozcięcia, nigdy nie podniósłby ręki na ukochanego stryja. Być może dawniej cieszyłbym się z faktu, że odwraca się od rozpuszczającego go Constantine'a, ale dawniej żyłem, dawniej mógłbym przechwycić tę dryfującą łódkę i pchnąć w innym kierunku. Alain zawsze był człowiekiem, który potrzebował kierunku – szkoda tylko, że wybiera te najłatwiejsze, a w tej chwili najłatwiejsza jesteś ty, Brigitte.

– Skoro tak... – zgadza się niechętnie de Guise.

Może zastanawiałbym się, co robi w tym gronie i dlaczego zniża się do spiskowania z wami, gdyby nie fakt, że jego też widzę teraz wyraźnie. Jest finansistą – wszystko traktuje jak aktywa, więc was, nienawykłych do przestrzegania norm, rozleniwionych i przekonanych, że wszystko to tylko kolejne dziecięce zabawy, także. Zawieszony pomiędzy pokoleniami, widzi symptomy przemian i wykorzystuje je do cna.

On naprawdę cię kocha, Brigitte, ale jako swoją zabawkę – nieco bardziej skomplikowaną niż lalki, którymi sama bawisz się po kryjomu, a które potem chowasz do starannie oklejonego kolorowym papierem kartonu i wsuwasz pod łóżko. I może uznałabyś, że to banalne porównanie, ale wierz mi, że tym razem jest szczególnie uzasadnione.

– A zatem dzisiejszej nocy książkę pożegna się z życiem – podejmuje Alain. Nie mówi ani „stryj”, ani nawet „Constantine”, tylko właśnie „książkę”. Nie ma odwagi na nic więcej.

Kątem oka zauważasz, że po jego skroni niespodziewanie spływa kropla potu.

Bycie arystokratą to także bycie ponad – jeszcze dla naszego pokolenia było to oczywiste. Dama nie spojrzalaby na robotnika wracającego ze stoczni, bo był właśnie robotnikiem, mężczyzna nie dotknąłby swoich własnych pieniędzy, bo od obrotu nimi miał ekonomów, i żadne z nich nie zniżyłoby się do tak oczywistego morderstwa i równie podłej intrygi.

Wiem, przecież doskonale wiem, że coś się zmieniło, złamało i niejednokrotnie, jeszcze nawet przed śmiercią, nim sam chwyciłem za broń i nim sam zostałem zabity, zastanawiałem się, po co nam w takim razie tytuły, jeśli robimy dokładnie to samo, co ci, którymi mamy rządzić. Tym, co naprawdę nas wyróżniało, były kodeks honorowy i wysoki standard życia, umożliwiające nam trzymanie się tego kodeksu. Jeśli on odszedł w niepamięć – po co nam pieniądze? Po co nam służba? Po co nam niżsi stopniem urzędnicy, po co nam szeregowi żołnierze, po co nam ktokolwiek – lepiej sami pójdźmy do fabryk, sami chwyćmy za widły i zacznijmy przerzucać gnój.

Oto czym się staliśmy – gnojem.

Idziecie korytarzem, odbieracie honory od tych wszystkich ludzi, którzy powinni być pod wami, od wieków powinni być pod wami, ale którzy sami czują już, że granica między światami się zatarła. To ich przewaga – fakt, że traktują tę przemianę nie jak zabawę, a szansę – i wiem, że kiedyś ją wykorzystają.

Wy będziecie wówczas po prostu spać w swoich bezużytecznych koronkowych pościelach.

Tymczasem jednak żaden z nich nie jest na tyle szalony, by choćby podejrzewać, że Alain ukrywa pod marynarką rewolwer – och, pięknie to wymyśliliście, naprawdę. Oto pogrążony w żałobie syn idzie mścić się za krew swego ojca. Wymieniacie porozumiewawcze spojrzenia za jego plecami, bo wiecie, że jest tylko kozłem ofiarnym, że kiedy się stanie, po prostu zaczniecie krzyczeć, odwracać wzrok, wypierać się i wskazywać oskarżycielsko na człowieka, który przecież nigdy nie był jednym ze spiskowców, ale zawsze, od samego początku, był moim synem.

Kwestia tego, czy ktokolwiek uwierzy w tak żarliwe uczucia Alaina, jest drugorzędna, bo to po prostu wygodna wersja wydarzeń,

także dlatego, że jest dziedzicem tytułu, którego nikt już nie chce – pożytecznego idiotę ma uratować niebotyczna kaucja, bo wszystkim będzie to na rękę. W rzeczy samej – nie widzę luk.

Ty jesteś krwiożerczą suką, de Guise znudzonym cynikiem. Na tym polega cały urok sytuacji, że jeśli rzeczywiście ktokolwiek wkrocza do gabinetu Constantine'a z cieniem poczucia skrzywionej nawet sprawiedliwości, to naprawdę Alain, choć osobiście nie mam z tym nic wspólnego.

Wasze kroki odbijają się echem w Eterze.

Zatrzaśnięcie drzwi za waszymi plecami jest jak zaciśnięcie moich dłoni w pięści.

Czuję wszystkie mięśnie i ścięgna, których nie mam.

– Alain? Brigitte?

– Wasza wysokość.

– Stryjku.

Mój brat został oczywiście uprzedzony o waszym przybyciu, ale to nie przeszkadza mu witać was, siedząc w fotelu z okularami na nosie i książką na kolanach. Miły widok, prawda, droga żono? Chciałabyś mieć takiego dziadka? Żeby brał cię na kolana i opowiadał ci bajki, podczas gdy ty czesałabyś swoje lalki, które teraz z takim wstydem ukrywasz. Czasem pozwalałby ci pogłaskać kogoś z lykantropów, które teraz śpią spokojnie w ciepłe swoich legowisk.

Tobie też byłoby ciepło i przytulnie.

Zaciskasz wargi.

Nagle się wahasz.

Jesteś taka sentymentalna. Taka łatwa. Ale ten jeden jedyny raz nie czynię z tego zarzutu – wahaj się.

Wahaj się.

Błagam, Brigitte.

Błagam cię, błagam cię, błagam...

– Panie de Guise! – Kiedy Constantine odkłada książkę na stolik i dźwiga się powoli z objęć fotela, na jego ustach pojawia się ten charakterystyczny, nieobejmujący oczu uśmiech, którego nigdy tak naprawdę nie opanowałem. – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

I wtedy pada strzał.

A potem drugi.

I jeszcze jeden.

Nie dlatego, że Alain chce mieć pewność. Dlatego, że jego własna dłoń przestała go słuchać i zaciska się kurczowo, konwulsyjnie, jak po uszkodzeniu nerwu. Jakby rozpadł mu się mózg.

Krzyczysz.

A mój brat, mój jedyny, najukochańszy brat, opada z powrotem na fotel.

Krzyczysz głośniej.

I ja krzyczę. Wiatrem, który trzaska okiennicami i wydyma zasłony.

Kiedy trącona dłonią książka upada miękko na dywan.

Wyjiesz.

I ja wyję gardłami lykantropów.

Kiedy ta sama dłoń uderza bezwładnie o podłokietnik.

Płaczesz.

I ja płaczę łzami nieba, ognistymi ogonami roju meteorów.

Wszystko się zapada, wszystko wrzeszczy.

Wszystko spływa krwią mojego brata.

Moją krwią.

Naszą.

Krwia d'Argensonów.

Chcę mordować.

Chcę waszej podłej, skażonej krwi.

I chcę jej teraz.

Lykantropy zrywają się więc ze swoich legowisk nieopodal kominika. Drzwi otwierają się z hukiem, widzisz wpadających przez nie strażników, chcesz wskazać na Alaina, na zbrodniarza, na zaślepionego mściciela – przecież taki był plan – ale wtedy zęby jednej z tych bestii, które jeszcze przed chwilą pragnęłaś pogłaskać, zatapiają się w twoim ramieniu. Trzaska pękająca kość.

Skowyczesz. Postrzelony lykantrop pada na posadzkę, ale nie umkniesz mojemu gniewowi, Brigitte. Wiesz o tym. Widzisz to w oczach kolejnej bestii, która rzuca ci się wprost do twarzy.

Na ułamek sekundy przed tym, nim sama tracisz oczy.

Nim tracisz tę śliczną porcelanową buzię.

*Alain Francis de Voyer d'Argenson*

Synu.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz wziąłem cię na ręce. Byłeś taki małeńki, taki niewinny i tak bardzo bałem się, że mógłbym cię skrzywdzić nieostrożnym ruchem. Jak chyba każdy ojciec wyobrażałem sobie, że kiedyś, już duży i dojrzały, dokonasz wielkich czynów, a twoja pierś będzie lśnić od orderów.

Chciałem, żebyś był odważny i żeby drżeli przed tobą wrogowie.

Chciałem, żebyś był przystojny i żeby kochały cię kobiety.

Chciałem, żebyś był szczęśliwy i żeby zazdrościli ci nawet przyjaciele – poza jednym, tym prawdziwym.

Kołysałem cię w swoich ramionach, mrużąc dziecięce piosenki i warowałem przy twoim łóżku dzień i noc, kiedy zachorowałaś po raz pierwszy. Kiedy zachorowałaś po raz drugi również.

I kiedy przeszedłeś zawał w wieku czterdziestu trzech lat i dwóch miesięcy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek powiedziałem ci, że cię kocham. Na pewno zbyt rzadko mówiłem, że jestem z ciebie dumny, i teraz widzę to wyraźnie. Czasami powinienem był skłamać.

Nie jesteś ani odważny, ani przystojny, ani szczęśliwy.

Boję się, że pierwsze zawdzięczasz mnie. Drugie – zdecydowanie sobie i używkom. Co do trzeciego, sądzę, że to nasze wspólne dzieło.

Widzisz, synu? Jednak zrobiliśmy coś razem.

Teraz siedzisz pod ścianą, na krześle, poszarzały na twarzy, zlany potem, z potarganymi włosami, cieniami pod oczyma i kajdanami na rękach. Wiesz już, jak okrutnie cię oszukano i że nikt nie wpłaci kaucji, ale to tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, bo jak mógłbyś żyć z taką winą? Zresztą to nie do końca tak, że de Guise planował to od początku. To nie jest dla niego problem, by ruszyć taką czy inną sumę, i nie jest też dla niego ciężar, bo nikt lepiej od prezesa Banku Głównego nie wie, jaką iluzją jest cały obecny system finansowy.

Nie, on się po prostu przestraszył, mój synu. Możesz mi wierzyć, że obrazy drgającego agonalnie, rozszarpanego przez lykantropy ciała Brigitte nawiedzają go każdej nocy, czasem nawet na jawie, zwłaszcza wówczas, kiedy ból w połowie urwanej ręki zmusza go do wzięcia kolejnej dawki leków przeciwbólowych. Owszem, de Guise całe życie był materialistą, ale nie od dziś wiadomo, że takich łatwo złamać czymś, co wykracza poza znane im kategorie.

Tak zatem prezes Głównego Banku, kochanek mojej martwej żony, to teraz szczający pod siebie ze strachu kaleka, marzący tylko



o tym, by dostać pozwolenie od lekarzy na podróż i wynieść się stąd jak najdalej.

Trochę zabawne jest, że nie obawia się zdemaskowania, a tego, że mógłbym próbować zemścić się ponownie.

Nie mógłbym.

Nie wiem, co się stało, ale wiem, że nie mógłbym sprawić, by stało się ponownie. On też miał zginąć, chciałem, żeby zginął, ale moja wola w tamtym momencie znów przestała się liczyć.

W ogóle coś się zmieniło. Nie widzę cię tak dobrze jak wcześniej – oddziela nas od siebie jakby mgła, której nie potrafię przeniknąć. Nie wszystkie twoje myśli są dla mnie jasne, nie wiem, dokąd tak naprawdę zmierzasz.

Wydaje mi się nawet, że zacząłem zapominać to, co wiedziałem wcześniej.

I ja też się boję, mój synu.

Bo jestem tu sam – od początku jestem tu sam, a przecież nie jestem. Gdzie mój ojciec? Gdzie matka? Gdzie twoja matka? Gdzie mój drogi Vincent?

– Jak... Jak mogłeś nam to zrobić...?

Podnosisz wzrok na Edwige, twoją żonę, twój niszczący kwiat i czujesz, jak zaczyna drzeć ci podbródek. Nie dlatego nawet, że ją widzisz i że wiesz, co cię czeka, a przez to, co i jak powiedziała. Nawet ty dostrzegasz tu drugie dno.

Nam – parze arystokratów, którzy dotąd żyli wygodnie w mydlanej bańce zaszczytów.

Ona nie żałuje ciebie, nie ma ci nawet za złe tego, że dopuściłeś się podłej zbrodni, po prostu ma pretensje, że wraz z twoją śmiercią wylądował na bruku, bo nic jej nie chroni. Brigitte ocalała w swoich pysznych komnatach, zanim lykantropy wyjadły jej oczy z czaszki, bo miała ojca i miała mojego brata, teraz w śpiączce, w stanie krytycznym, z fatalnymi rokowaniami. Prawdopodobnie nigdy się nie obudzi i prawdopodobnie nigdy już nie zasiądzie w swoim fotelu, ze swoją książką i okularami, nie sięgnie po kubek kawy i Edwige nie będzie mogła wówczas rzucić mu się do stóp.

– Edi...

– Jak mogłeś nam to zrobić! – Prostuje się gwałtownie, w jej oczach stają łzy. – Teraz! Teraz, kiedy... kiedy... zamknięto stocznice,

robotnicy się buntują! Nastały złe czasy! Dokąd ja pójde?! Pomyślałeś o tym w ogóle?! Pomyślałeś o mnie choć przez chwilę?!

Straciła syna, sam widziałeś jej rozpacz. Przyznaj się, że chciałbyś oglądać teraz choć jedną jej łzę żalu nad tobą.

Możesz tylko westchnąć. Tak jak ja mogłem tylko wzdychać, patrząc na ciebie, na nią i na cały ten upadek. Każdy z nas ma jakąś granicę, a mój problem polegał na tym, że moje granice były zwyczajnie przeterminowane, choć nigdy nie uznaję, że przez to nieadekwatne.

Właściwie masz szczęście, mój synu, że do swojej granicy dotarłeś ledwie kilka dni przed śmiercią, choć żałuję, że odchodzisz, dźwigając taki ciężar.

Czekam na ciebie.

Czekam na ciebie tak bardzo.

Na ziemi byliśmy bogami. My, arystokracja. My, górujący nad innymi w swych strzelistych siedzibach, władający przemysłem, niemal nieśmiertelni dzięki atacyinie, której dobroczynny wpływ wy, wieczne dzieci tak łatwo sprzedaliście za używki i seks. Tu jesteśmy nikim.

Ale na ziemi też niebawem będziemy nikim. Stocznie stanęły, bo wasze obrzmiałe ręce i niesprawne mózgi nie zdołały znaleźć wyjścia z kryzysu po tym, jak zmarnotrawiliście majątek zakładów. Ludzie wyszli na ulice, a te spłynęły krwią. Oni znacznie szybciej niż wy odczuli skutki tego, co się stało, ale i na was przyjdzie pora.

Runą wasze wysokie pałace jak świątynie.

Jest tak cicho.

Tak ciemno.

Tak pusto.

Tylko ty, ja i cztery ściany celi, z czego żyjesz tylko ty.

Ty – mój... mój...

Są plamy na ścianach, choć powinno być tu czysto, jak nakazują standardy. Ale obsługa więzienia też zaczyna strajkować. Siedząc na pryczy, wsłuchujesz się w odgłosy miasta, w jego niepokój i na moment w twojej głowie pojawia się myśl, że może jest jeszcze ratunek, że może wybuchnie wreszcie prawdziwa, płomienna rewolucja i ocalejesz.

Nie ocalejesz.

Nawet gdyby ten scenariusz miał się ziścić – nie ocalejesz. Lepiej zasnąć od trucizny niż zmierzyć się z nienawiścią tłumu, mój...

Mój...

W Eterze dni są mgnieniem. Myślę, że jakiś czas istnieje, w końcu w pewien sposób jestem w stanie układać po sobie wydarzenia, choć przychodzi mi to z coraz większym trudem. Podobnie z przestrzenią – pamiętam nadal, że istnieje opór materii. Więc jeśli widzę człowieka w zamkniętym pomieszczeniu, wiem, że jakoś musiał się tam wcześniej dostać i że nie może wyjść.

Dostał się tam, bo go odizolowano ścianami od reszty społeczeństwa. To praktyczne wykorzystanie oporu materii.

Na ręce założono mu kajdany.

Na nogi założono mu kajdany.

Teraz nastąpi praktyczne wykorzystanie czasu, kiedy szkodliwa substancja będzie się rozchodzić po jego żyłach, przyspieszając obumieranie komórek.

Mam takie dziwne wrażenie... Takie dziwne wrażenie, że...

Mój...

Nasz...

Już nie kajdany, a pasy oplatają nadgarstki i kostki. W ciele tkwi ciało obce – wenflon.

Jest tam też jakaś kobieta. Wygląda, jakby wcale nie chciała tu być, jakby ją zmuszono. Patrzy z pogardą i wyższością, unosi podwójny podbródek, chcąc wyglądać godnie. Cuchnie.

Ciecz.

To jest ciecz – to, co spływa po twarzy mężczyzny, i to, co zostało wtłoczone do żył.

Ciecz też jest materią.

Czas płynie.

Ciecz płynie.

Barbituran – dociera do pokrytego bliznami serca i zniszczonych nikotyną płuc. Przynosi sen.

Pavulon – ustaje oddech, sen tężeje.

Chlorek potasu – ciśnienie w przedsiionkach wzrasta, ciśnienie w komorach spada. Zastawki otwarte na wieki.

Eter nie zna cieczy.

Eter nie zna dnia, nie zna snu, nie zna życia i śmierci.

Już wiemy, czym jest, bo kiedyś wiedzieliśmy głównie, czym nie jest, a Eter jest nieznaniami.

Więc nie znamy tego człowieka.

Jeszcze odrębny, nadal stoi w progu, w przedsionku między sobą a nami. Wciąż jeszcze ma imię.

Nam na imię Eter.

\*\*\*

Tato?

Dlaczego cię tu nie ma? Dlaczego na mnie nie czekasz?

\*\*\*

Dwa dni po egzekucji Alaina Francisa de Voyer d'Argenson stanęło serce księcia Constantine'a. Z tamtą chwilą ród d'Argenson przestał istnieć. Niedługo potem przestała istnieć arystokracja, gdy rozgoryczony lud wtargnął do ich dzielnic.



**Magdalena Czarnecka** – urodzona w 1987 roku w Gliwicach, jednak wychowała się na podlubelskiej wsi. Obecnie mieszka w Rzymie, chociaż najlepiej czuje się na bagnach. Aż do teraz niczego nie publikowała, nawet w Internecie – jak na introwertyczkę przystało. Interesuje się literaturą new weird i sama też stara się kreować nowe, nieszablonowe światy. Wielką frajdę sprawiają jej również eksperymenty ze stylem. Nie wyobraża sobie życia bez kotów.

Magdalena Czarnecka

**ORDAN**



## I.

Chet Jammer odwrócił się gwałtownie. Uniósł głowę, mrużąc oczy w ostrych promieniach słońca. Przez krótką chwilę wyglądał, jakby się modlił albo nad czymś intensywnie medytował. Wokół niego wirował tuman złocistego piasku podobny do kolonii nachalnych owadów. W końcu mężczyzna zmierzył wzrokiem swojego przeciwnika – stał przed nim stary, schorowany jaszczur. Był dość wysoki, ale nieco przygarbiony. Grubą szyję miał obwiązaną jakąś burą szmatą. Zamykał i otwierał spierzchnięte usta, które zdawały się tylko pionowym rozcięciem lub wręcz kanionem na tle poranej bruzdami twarzy. Gadzie oczy nie wyrażały niczego. A jeśli czaiły się tam jakieś emocje, któż był w stanie je odgadnąć? Chet wcale nie chciał go zabijać, jednak musiał odpowiedzieć na zniewagę. Nie mógł stracić twarzy przed mieszkańcami miasteczka.

– Co takiego powiedziałeś? – zapytał cichym, ale wyraźnym głosem. Miał nadzieję, że brzmi dostatecznie groźnie.

– Passstuch, sluguss – zabulgotał jaszczur. Nie mówił zbyt dobrze po konfederacku. Zniekształcał niektóre głoski, ale było widać, że bardzo się stara.

Chet posłał mu zirytowane spojrzenie. Głupia, uparta kreatura.

Znajdowali się na głównym placu, tuż obok pompy, dlatego ich utarczka szybko urosła do rangi przedstawienia teatralnego. Wokół zaczęła gromadzić się ciekawska gawiedź. Najpierw podeszły dzieciaki z szeroko rozdziawionymi ustami i przykuśtykało kilku zaaferyowanych włóczęgów. Po chwili zjawili się także szanowani obywatele Noxvale, najwidoczniej znużeni poobiednią sjeścią. Konflikt dałoby się jeszcze jakoś zażegnać, gdyby jaszczur przeprosił, ale on najwidoczniej nie miał takiego zamiaru. Stał na szeroko rozstawionych nogach i położył rękę na teleskopowej pałce, którą nosił u pasa. Wienczyły ją ostre kolce w kształcie rozgwiazdy. Chet wiedział, że zaciskają się mocno na ciele ofiary, by wyrwać kęsy tkanek ze sprawnością godną szczęk rekina. Dość prymitywna broń, ale robiła wrażenie.

Nagle ziemia zadrżała. Coś zadudniło głucho i nieprzyjaźnie jak potwór budzący się z długiego snu. Głowy wszystkich zebranych zwróciły się w kierunku szerokiego leja rozciągającego się tuż za wioską i przypominającego krater po uderzeniu meteorytu. Na pustynnym horyzoncie zamajaczyły sylwetki kilkunastu pojazdów,



które unosiły się nisko na ziemią. Na przodzie błyszczeli mechaniczni kierowcy – usługowe, inteligentne puszkę obarczone świadomością. Na tyłach, w wielkich ażurowych klatkach czy też raczej na tarasach, rozsiadły się kobiety. Miały malutkie białe twarzyczki porcelanowych lalek. Ich usta przypominały pączki kwiatów, a paciorkowate czarne oczka rozglądały się bystro na wszystkie strony. Filigranowe tułowia przechodziły niespodziewanie w ogromne odwołki powleczone kilkoma warstwami muślinu. Dla zachowania równowagi każda z nieproporcjonalnych istot opierała swoje drobne rączki na zmyślnie skonstruowanych stelażach. Przezroczyste szaty powiewały za nimi jak ślubne welony. W końcu rozdygotana karawana zatrzymała się na placu. Łądując, wzbiła tumany kurzu.

– Pojedynek, pojedynek! – zakwiliła jedna z bladoliczych kobiet, a potem zaczęła rozmawiać ze swoimi towarzyszkami w języku podobnym do popiskiwaną i odcharkiwaną. Cienkie głosiki przeszyły ciężką ciszę zupełnie jak igły zagłębiające się w aksamicie.

Larwy. Chet wiedział, że naprawdę nazywają się vorkam, tak jak jaszczury to sadsu, ale prawie nigdy tak na nie nie mówił.

Podniecone kobiety podskakiwały na swoich miejscach. Podpórki skrzypiały, jakby były zrobione z ptasich kości. Najwyraźniej rozpieszczone infantki oczekiwały niezłego przedstawienia. Jammer postanowił dać im to, czego chcą.

Nadal było mu jednak żal tego prostodusznego starucha. Zupełnie nie rozumiał też jego motywacji. Jaszczur należał przecież do klanu, który żył w zgodzie z mieszkańcami miasteczka. Już dawno temu powinien pogodzić się z faktem, że jest i zawsze będzie obywatelem drugiej kategorii. Dlaczego teraz uniósł się dumą? Czemu postawił się silniejszemu od siebie? Czy na starość zupełnie pomieszało mu się we łbie?

Sadsu dopadł do Cheta, korzystając z chwili jego nieuwagi. Teleskopowa pałka wystrzeliła w kierunku zdumionego mężczyzny. Ledwo zdążył odskoczyć. Gdyby nie bezbłędny refleks, metalowe zęby oderwałyby mu ucho. Ta świadomość nie wyzwoliła w nim jednak wściekłości potrzebnej, by unieszkodliwić wroga.

Chet sięgnął do kabury i wyjął z niej niewielki walcowaty trzonek. Prawie poczuł, jak jego palce wibrują pod wpływem potężnej energii, chociaż było to dopiero jej przecucie, przedsmak. Przystawka przed wykwinną kolacją.

Szukał czegoś, co wzbudzi w nim gniew.

Pomyślał o swojej przeszłości. Przed oczami stanęła mu cuchnąca kabina, którą dzielił z dziesięcioma innymi chłopcami. Zobaczył twarz brata jak zwykle wykrzywioną wstrętem. To wystarczyło. Nacisnął guzik gumowej rękojeści nieco mocniej niż to było konieczne. Wystrzelił z niej strumień rozbieganych cząsteczek. Rozłożyły się w powietrzu migotliwym wachlarzem, pięły się w górę jak snop sztucznych ogni, by wreszcie przybrać kształt wijącego się węża. Chet skupił się, by go okiełznać. Wkrótce dzika moc stała się zupełnie uległa i mógł ją dowolnie kształtować.

– Ordanowy bicz! – wykrzyknęła jedna z larw. W jej głosie brzmiało coś na kształt podziwu. Otworzyła usta w chciwym grymasie, ukazując szereg drobnych, ostrych ząbków.

Przez twarz mężczyzny przemknął chytry uśmieszek. Poczul przyjemne mrowienie na języku i zamachnął się. Świetlisty bat oplótł nadgarstek przeciwnika, wytrącając mu broń z ręki. Jaszczur zawył gardłowo i chwycił się za obolałe miejsce, gdzie na chropowatej skórze widniało wyraźne oparzenie. Tłum odpowiedział na to gromkami owacjami.

– Następnym razem odetnę ci łapę, ty zawzięta ropucho – wyszczał Chet. – Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

Stary sadsu nie odpowiedział. Doszedł już do siebie i nadal patrzył na wroga obojętnie. Zrobił krok do tyłu, jakby cofał się w popłochu.

Boi się, pomyślał Chet.

Jednak był w wielkim błędzie. Jaszczur błyskawicznie pochwycił upuszczoną pałkę, po czym rzucił się na Jamera z chrapliwym okrzykiem. Przypominał rozeźlonego minotaura, gdy jego łysa masywna czaszka trafiła w brzuch przeciwnika. Chet jęknął głucho. Przewrócił się, a pył okrył go jak lekkie, koronkowe prześcieradło. Bicz zgasł i bezwładne iskierki energii opadły na ziemię. Na twarzach zgromadzonych ludzi malowało się niedowierzanie. Na ich oczach ginął czysty ordan – cóż za marnotrawstwo!

Chet zdążył odturlać się w bok, dzięki czemu uniknął zgniecenia przez masywną stopę jaszczura. Sadsu zaczął machać pałką na wszystkie strony, ale jego ciosy były zbyt ociężałe. Nie potrafił sięgnąć ruchliwego celu, wzbijał tylko tumany piasku. Chet postanowił skończyć tę zabawę. Znowu aktywował bicz i powietrze zawirowało. Omiotła go ciepła, ordanowa fala. Poczul, jak ciśnienie w jego

żyłach skacze gwałtownie. Wykręcił się w stronę przeciwnika i posłał w niego rozedrganą stężoną wiązkę. Jaszczur próbował osłonić się pałką, ale bezskutecznie – bicz rozciął ją na pół. Sadsu zwałił się na ziemię z głuchym stukiem. Jego prawy bok został zupełnie porażony przez jedno długie smagnięcie. Jednak nadal żył. Oddychał z trudem, ale nie stracił przytomności. Uratowała go pancerna skóra. Gdyby był człowiekiem lub vorkam, to jego rozrzucone wnętrzności błyszczałyby teraz pośród wydm.

Zabrzmiały oklaski. Tłum szalał, a zwycięzca udawał, że jest w swoim żywiole, chociaż tak naprawdę czuł się jak cyrkowy klaun. Szybko okiełznał niebezpieczną broń. Był zziąpany i ociekał potem, ale nie zapomniał o dobrych manierach. Ukłonił się zgromadzonym ludziom, a następnie larwom. Jedna z nich rzuciła Chetowi coś, co przypominało mokry kwiat. Odskoczył, by go złapać, a potem uśmiechnął się zawadiacko i mrugnął do młodej vorkam. Przytknął wargi do przezroczystych, mięsistych płatków jaskiniowego pasożyta, który niemal ociekał wodą. Wyglądało to jak szarmancki pocałunek, chociaż tak naprawdę Jammaera motywowało bardziej palące pragnienie niż wdzięczność. Musiał jednak przyznać, że podarunek był naprawdę hojny. Larwa odpowiedziała donośnym chichotem, który nie był raczej oznaką panieńskiej nieśmiałości.

Gapie zaczęli się już rozchodzić, zostało tylko kilku urwisów, którzy otoczyli wianuszkami nieruchome ciało jaszczura. Sadsu podniósł się w końcu, jęcząc cicho. Odgonił dzieci, tak jakby opędzał się od dokuczliwych much. Potem zaczął iść w stronę pasma gór rozciągających się na północ od Noxvale. Zapewne wracał do swoich pobratymców.

Larwy leniwie rozglądały się na boki, tak jakby szukały dalszych rozrywek, jednak ludzie woleli raczej unikać ich ciekawskich spojrzeń. W końcu zrozumiały, że nie mają tu niczego do roboty i postanowiły wrócić pod ziemię.

Chet poczuł, jak w jego ciele powoli opada poziom adrenaliny. Wykaszał trochę mokrego piasku i powłókł się w stronę pubu. Szyld wyglądał wyjątkowo niezachęcająco – przybito go dwoma gwoździami, w efekcie czego trzymał się na słowo honoru. Napis też zupełnie już wyblakł, ale właściciel Dystrybutora nie musiał się martwić o reklamę, ponieważ był to jedyny taki przybytek w okolicy. Sprzedawano tutaj wyjątkowo parszywe, ale tanie piwo domowej

roboty, zamożniejsi goście mogli liczyć na trunki sprowadzane z odległego Dollitown.

Szklana powierzchnia drzwi rozsunęła się przed Chetem z cichym zgrzytem. Wszedł do środka, a za nim upadł tuman kurzu i kępi suchej trawy. Od razu owionął go ostry zapach sfermentowanych drożdży.

Wnętrze zostało urządzone dość konserwatywnie. Z sufitu zwieszał się masywny opalizujący zimnym blaskiem żyrandol. Ściany zostały obklejone propagandowymi plakatami z hasłami w trzech językach, chociaż jedynymi klientami byli ludzie. Chet przychodził tutaj często, odkąd pojawił się w Noxvale, i zdążył się już zapoznać z większością stałych klientów. Przy ustawionym na podium okrągłym stoliku siedziało kilku mężczyzn: burmistrz, szeryf i doktor. Święta trójca każdego małego miasteczka. Nieco dalej przycupnął niski jegomość ubrany w skromny bordowy mundur – tutejszy klecha. Chet nie pamiętał ich nazwisk, byli dla niego bardziej symbolami niż prawdziwymi osobami. Przypominali mu sylwetki wycięte z papieru i miał wrażenie, że w każdej kolonii spotyka niemal tych samych ludzi różniących się zaledwie paroma szczegółami od swoich odpowiedników w innych miejscach.

Chciałby przysiąc się do przeciętnych obywateli, którzy tłoczyli się przy długich ławach, ale to mogłoby zostać odebrane przez ową świętą trójcę jako afront.

– Przepraszam za to drobne zamieszanie – powiedział, uśmiechając się niewinnie i z pokorą pochylając głowę, chociaż jego oczy błyszczały zaczepnie.

– Sam się o to prosił – odrzekł szeryf, bezradnie rozkładając ręce.

Był szczupłym zakapiorem o pociągłej, chytrej twarzy. Chet od razu go polubił – miał słabość do takich starych wyjadaczy – chociaż poczuł też niewielkie ukłucie zazdrości na myśl o ciepłej posadce. Jeśli uda mu się dociągnąć do pięćdziesiątki, to też przedzierzgnie się w statecznego stróża prawa, a może nawet się ożeni. Szeryf uosabiał jego przyszłość, cel, do którego zawzięcie dążył. Na chwilę zamknął oczy i wyobraził sobie zieleń oazy majaczącej na tle bezkresnej pustyni.

– Możemy chyba wybaczyć ten drobny wyskok – rozległ się tubalny głos burmistrza. – W końcu jest pan tropicielem, czyż nie?

– Tropicielem i zaklinaczem – uściślił Chet. Bardzo nie lubił, kiedy zapomniano o jego drugim tytule.

– Tak, oczywiście. – Burmistrz zdawkowo pokiwał głową.

Nie budził w wędrowcu tak wielkiej sympatii jak szeryf. Przypominał otyłego kupca, miał poważną nalaną twarz i pewnie nigdy w życiu nie wyszedł w teren. Chet podejrzewał, że prestiżowe stanowisko zawdzięcza swojemu wysokiemu urodzeniu albo bogatym krewnym. Pomyślał o leniwych, żarłocznych węzłach czających się wśród skalnych szczelin i długo trawiących swoją zdobycz.

Zmrużył oczy w rozdrażnieniu, a potem leniwym krokiem podszedł do baru, który zdawał się wyrastać z zakurzonej podłogi i przez to przypominał nieco dziób statku. Jammer oparł się o szeroki blat zbudowany ze śliskiego migotliwego tworzywa mającego imitować drewno. Olyvia, która dzisiaj obsługiwała gości, posłała mu czarujący uśmiech i to sprawiło, że nieco się rozpogodził. Zamówił piwo.

– Kiedy wyruszasz? – zapytała z nieudawanym przejęciem.

– Niedługo – odparł enigmatycznie tropiciel.

Barmanka popatrzyła na niego krzywo – taka odpowiedź jej nie wystarczyła.

– Muszę poczekać dzień lub dwa. Burze są jeszcze zbyt silne, ale mimo to czuję w kościach ordan. Mam go na końcu języka. – Otworzył usta w przypływie flirciarskiego zapału.

– Chyba rzeczywiście widzę jakiś iskiereczki – zachichotała Olyvia.

– Czy mogłabyś...? – Podał jej plastikową rękojeść bicia. Kiedy wyciągnęła rękę, musnął jej palce swoją urękawiczoną dłonią.

– Do pełna? – spytała, unosząc brew. Chyba nieco zaskoczyły ją tak otwarte zaloty.

– Tak. – Chet wyszczerzył się w wilczym uśmiechu.

Olyvia wcisnęła plastikową rękojeść w wąski bolec ładowarki. Wyglądała, jakby peszyło ją bezwstydnego spojrzenie zaklinacza, chociaż mogła tylko grać niedostępną. To go jeszcze bardziej rozochociło, jednak nie zamierzał być zbyt natarczywy. Jeszcze nie. Postanowił wrócić do stolika należącego do lokalnej śmietanki i się przysiąść. Uważał, że tego od niego oczekują.

– Ponoć zleciało się dzisiaj kilka vorkam, żeby oglądać twój taniec z biczykiem – zagaił szeryf.

– Te rozpieszczone anemiczne lafiryndy były dzisiaj wyjątkowo żądne krwi – odpowiedział Chet.

– Nie powinno się tak mówić o naszych drogich gospodyniach – wybuchnął kapłan, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

– Mówię, jak jest – odciął się tropiciel, po czym pociągnął z kufła. Patrząc na pomarszczoną twarz klechy, wyobraził sobie jałową ziemię.

– Też raczej za nimi nie przepadam. Jest w nich coś... oślizgłego – poparł go burmistrz.

– Ja tak naprawdę nie mam jeszcze zdania, muszę je sobie wyrobić. Może poznam kiedyś jakąś milutką larwę, która ofiaruje mi coś więcej niż tylko jaskiniowy kwiat – powiedział Chet, odchylając się w krzesło. Zrobił rozmarzoną, komiczną minę.

– Nie wiem, czy byłoby to... technicznie możliwe – odezwał się lekarz, który zdawał się już lekko wstawiony. – Chociaż chyba powinieneś spróbować. Podobno mężczyźni vorkam zrobili się tak słabi, że nie są w stanie zaspokoić wielkich... apetytów swoich kobiet. – Jego świszczący szept przypominał tropicielowi odgłos wiatru hulającego w kanionie.

Wszyscy zgromadzeni roześmiali się, nawet kapłan zasłonił twarz szerokim rękawem, żeby ukryć rozbawienie. Przedstawicielowi Kolegaty nie przystało otwarcie szydzić z vorkam.

Chet niemal zakrzuszył się swoim lurowatym piwem. Z lubością przymknął ociężałe powieki.

– Hej, Jammer! – zawołał szeryf, wskazując kciukiem w bok. – Ten chłopak ciągle ci się przygląda. Chyba trochę zauróciłeś mu w głowie.

Dreszcz przebiegł tropicielowi po plecach. Chet stał się czujny i stracił resztki dobrego humoru.

Znowu zabrzmiały gromkie śmiechy. Tubalny rechot burmistrza mocno kontrastował z chichotem lekarza, który cierpiał najwyraźniej na jakąś chroniczną dolegliwość gardła. Cóż za ironia losu.

Chet odwrócił się i niespokojnie poruszył na swoim miejscu. Rzeczywiście – przy jednej z długich ław ustawionych w kącie sali siedział jakiś wychudzony smarkacz i bezwstydnie świdrował go wzrokiem. Jammer postanowił, że to zignoruje, jednak chłopak zdał sobie sprawę, że zwrócił na siebie uwagę. Na początku sprawiał wrażenie speszonego, ale zebrał się w sobie i podszedł do podwyższenia.

Przez chwilę wpatrywał się w podłogę, nerwowo szurając nogami, tak jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

– O co chodzi? – warknął Chet. Znowu był w centrum zainteresowania i wcale mu się to nie podobało.

– Ch-chciałbym, żeby pan mnie ze sobą zabrał – wyjąkał chłopak, wpatrując się w tropiciela proszącym wzrokiem.

Nastała nieznośna, gęsta cisza.

Wszyscy zgromadzeni zdawali się przysłuchiwać tej rozmowie i Chet wiedział, że nie powinien zbyt długo się zastanawiać. To byłoby nieprofesjonalne. Chłopak rzeczywiście mógłby się do czegoś przydać, chociaż znaczenie spowolniłby wyprawę. Wyglądał na zupełnie niedoświadczzonego i bezbronnego, jak młody mlecznobiały skorpion, który jeszcze nie obrósł pancerzem. Dlatego Chet postanowił odmówić. Otworzył usta, ale w tym momencie napotkał spojrzenie Olyvii. Była zupełnie nieruchoma, a jej szeroko otwarte oczy migotały w półmroku. Jak oceniłaby postępowanie tropiciela? Z pewnością pochwaliby go za okazanie dobroduszości. A może nawet zaczęłaby patrzeć na niego nieco przychylniej. W końcu większość kobiet, które znał, gustowała w twardzielach skrywających miękkie serce pod płaszczkiem pozornej szorstkości.

– Właściwie przydałby mi się ktoś do pomocy – odrzekł jakby od niechcienia. – Tylko musisz obiecać, że nie wpadniesz w żadne tarapaty.

– Będę uważał – skwapliwie przytaknął chłopak, a jego twarz oblała się rumieńcem podniecenia.

Ludzie zgromadzeni w pubie zareagowali bardzo różnie. Niektórzy kręcili głowami z niedowierzaniem, inni wydawali się wyrażać aprobatę. Chet nie zwracał na nich uwagi, bo Olyvia uśmiechała się promiennie i tylko to się dla niego liczyło. Niestety będzie musiał uzbroić się jeszcze w cierpliwość. Przyjdzie do niej później, tymczasem powinien rozmówić się ze szczeniakiem.

– Idziemy pogadać – burknął więc i dał znak chłopakowi, żeby wyszedł z nim na zewnątrz.

Kiedy stanęli przed Dystrybutorem, Chet łąpczywie wciągnął haust suchego powietrza. Zapalił, a potem poczęstował papierosem chłopaka, który przyjął ten prezent z pewnym ociąganiem.

Zaczęło robić się ciemno. Obłoki tytoniowego dymu wzbiły się w górę i zdawały się zastygać w powietrzu. Nad głowami dwójki

mężczyzn wirowały zwiadowcze sondy vorkam patrolujące miasteczko swoimi szklanymi ślepiami. Od czasu do czasu przystawały w kręgach światła, ciekawsko łypiąc na przechodniów. Z daleka przypominały zwyczajne ćmy zwabione przez blask lampionów, co było przyjemną, uspokajającą iluzją. Wyżej piętrzyły się płaskie, szerokie dachy domów z zainstalowanymi na nich panelami słonecznymi. Na granatowym niebie widać było już pierwsze gwiazdy, a wśród nich migotanie stacji kosmicznej.

– Wyczuwasz ordan? – zniecka zapytał Chet.

– Tak, przeszedłem testy. Powiedziano mi, że mam wyjątkowe predyspozycje – odpowiedział chłopak, jakby recytował dawno wyuczoną kwestię. Później zaciągnął się papierosem i zaniósł nerwowym kaszlem.

Tropiciel zmierzył go wzrokiem i ocenił, że sprawia wrażenie niedożywionego. Miał bladą, prawie przezroczystą skórę i ogromne przestraszone oczy. Przypominał typowego dzieciaka wychowanego, a właściwie wyhodowanego w zapleśniałych kontenerach Terminalu Ignis. Całe życie marzył zapewne o tym, że w końcu pozwolą mu na zejście do którejś z kolonii. Udawało się to naprawdę nielicznym – trzeba było mieć niesłychane szczęście albo wypływowych protektorów. Vorkam skrupulatnie kontrolowały ludzką populację na Vermie, chociaż oficjalnie bardzo współczuły tułaczom uciekającym z ginącej planety. Pozwalały budować miasteczka jedynie w pobliżu swoich podziemnych metropolii. Bywały kapryśne. Niekiedy zawracały całe statki po brzegi wylądowane nowymi osadnikami.

Dlatego też wielu ludzi umierało co roku na pokładzie stacji. Setki dzieci.

Chet też był kiedyś jednym z oczekujących. Przerażonym, wiecznym głodnym stworzeniem gnieźdzącym się na najniższym pokładzie Terminalu. Dlatego odczuwał teraz coś w rodzaju współczucia nieco podszytego nostalgią. Chociaż – z drugiej strony – nie zamierzał się zbyt spoufałać ze smarkaczem, który mógłby być jego synem.

– Dlaczego nie zajmiesz się czymś innym? – indagował, mając świadomość, że sam mógłby sobie zadać to pytanie. – Niewielu tropicieli dożywa emerytury, jest przecież tyle bezpieczniejszych posad. Mniej prestiżowych, ale zarobisz na kawałek chleba bez narażania skóry.



Dzieciak podniósł głowę i spojrzął mu w oczy. Milczał dłuższą chwilę, jakby intensywnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Może łudził się, że rozmowa z Chetem Jammerem będzie przypominać zwyczajny egzamin.

– Nie zależy mi na tym, żeby *wegetować* – odparł w końcu dumnie.

– A więc zachciało ci się prawdziwego życia, co? – Chet zaśmiał się ochryple. – Pewnie czujesz się wyróżniony, jak jakiś jebany święty. Ale wyjątkowa wrażliwość na ordan nie sprawi, że będziesz dobrym tropicielem. Musisz przeżyć na pustyni. A to nie jest łatwe, zwłaszcza dla takich piwnicznych bladodupców jak ty.

Chłopak nie zareagował na zniewagę, ale jego oczy zwężyły się nieznacznie. Zgasił niedopałek obcasem buta, miażdżąc go mocno jak wyjątkowo paskudnego robaka.

– Jutro zaczynamy trening. Radzę ci się do niego naprawdę przyłożyć. Widzimy się pod pomnikiem w czasie sjesty – powiedział tropiciel, a potem odszedł bez pożegnania.

Ten dzień wykończył go bardziej niż niejeden rajd po pustyni. Znowu wtoczył się do pubu. Zamówił podwójną whisky i posłał barmance zalotny uśmiech. Wyglądała na znudzoną, więc bawił ją niezobowiązująca rozmową. Chciał, żeby przyzwyczaiła się do jego obecności. Powoli budował w niej zaufanie. Naprawdę uwielbiał ten etap – dzięki niemu przelotne znajomości wydawały się bardziej znaczące, a nawet nasycone emocjami. Było to jakby preludium do wielkiego finału, w którym on – sławny zaklinacz i tropiciel – wraca do miasteczka w pełni chwały, a ona – stęskniona kochanka – jest gotowa, by wreszcie zaprosić go do swojej kwatery.

\*\*\*

Zastał chłopaka czekającego na wskazanym miejscu. Tkwił tam sztywno, nie rozglądając się na boki, i przez to trochę kojarzył się z kaktusem. Chet uznał, że taka postawa wręcz prowokuje do przemocy. Odbił się w sprężystym skoku i rzucił się na niego zniemacka. Założył mu nelsona, a potem mocno przycisnął do ziemi. Zaskoczony chłopak nie miał żadnych szans. Zarył głową w ciepły żwir. Miotał się jak półżywa mysz zakleszczona w pułapce.

– A gdybym był dzikim jaszczurem, to co? – syknął mu do ucha tropiciel. – Też dałbyś się tak podejść?

Kiedy rozluźnił chwyt, chłopak zrzucił go z siebie, używając do tego całej wątej siły. Charczał i pluł piaskiem, co zdaniem Cheta stanowiło dość zabawny widok. Później chłystek wstał, czepiając się gzymsu monumentu przedstawiającego Wielką Cesarzową workam witającą grupkę kolonistów. Kanony sztuki larw były dość specyficzne, więc z ludzkiej perspektywy wyglądało to raczej na kopiastrą porcję purée unoszącą się nad trzema ogórkami.

– Zobaczmy jak radzisz sobie z miotaczem – oznajmił Chet, podając chłopakowi broń.

Ten prawie wyrwał mu ją z ręki. Był teraz naprawdę wściekły. Potrząsnął głową, tworząc przy tym aureolę mieniącego się pyłu. Odszedł kilkanaście kroków, a potem odbezpieczył miotacz. Wystrzelił. Huk rozniósł się złowieszczym echem po uśpionym Noxvale. Chwilę później głowa kamiennej cesarzowej stoczyła się i upadła na wydmy z cichym pacnięciem. Chet patrzył na to jak osłupiały. Uczeń podszedł do niego z zawadiackim uśmiechem na szczupłej twarzy.

– Całkiem niezłe – powiedział tropiciel, z uznaniem kiwając głową. – A teraz postaw to na swoim miejscu, zanim larwy złożą nam niezapowiedzianą wizytę – dodał, lekliwie spoglądając w górę w poszukiwaniu sond.

Razem podnieśli głowę i z niemałym trudem ułożyli ją na kamiennej szyi.

Przez resztę dnia trenowali zapasy. Chet postanowił pokazać chłopakowi, jak powinien się bronić przed wrogiem i zakładać pułapki. Nie było sensu uczyć go działania w ataku. Potem usiedli u stóp pomnika i tropiciel mówił o piaskowych burzach, opisywał zwierzęta, jakich lepiej unikać, a także pokazywał na wyświetlaczu hologramy jadalnych roślin.

Wkrótce otoczył ich wianuszek ciekawskich dzieciaków, które przysłuchiwały się wykładowi z niegasnącym zaciekawieniem. Z biegiem czasu do opowieści zaczęły przenikać cienie zasłyszanych plotek i skrawki starych pustynnych legend. Chet lubił gawędzić, jak chyba każdy typowy wędrowiec, tym bardziej, że z bohatera przeżywającego przygody, przeistaczał się w narratora tych niesamowitych historii.

– Co wiemy o ordanie? – spytał nagle, zwracając się do oczarowanych dzieci.

– Służy jako broń! – wykrzyknęła szczerbata dziewczynka, z przejęciem wpatrując się w bicz, który zaklinacz nosił u boku.

– Zgadza się – uśmiechnął się Chet. – Ale bardzo ciężko jest go poskromić. Żeby się tego nauczyć, potrzeba wielu lat ciężkiej pracy – wyjaśnił donośnym głosem. – Dlatego niech do głowy ci nie przyjdzie, że jesteś w stanie używać bicia. No, chyba że chcesz popełnić samobójstwo – wycedził, patrząc na młodego pomocnika.

– Ordan podróżuje po pustyni. Porusza się pod ziemią zupełnie jak kret. Używamy go też jako paliwa – odezwał się nieśmiały chłopczyk. – Jest bardzo cenny.

– Cenniejszy niż życie niejednego kret-yna – przyznał tropiciel, a dzieci odpowiedziały mu śmiechem, chociaż był to wyjątkowo kiepski dowcip.

Nagle poderwał się ze swojego miejsca i zacisnął palce na piersi. Wyglądało to jakby dostał ataku serca. Opadł na kolana, a jego oczy zasnuły się mgłą. Zaczął drzeć na całym ciele, głośno szcękając zębami. Przytknął policzek do żwirowatej alejki i nastroił wszystkie zmysły. Owładnęło nim niesamowite wrażenie, którego nie dało się porównać z czymkolwiek innym. Krzewiło się w ciele tropiciela, podobne do bujnego ogrodu wyrastającego nagle w samym sercu pustyni. Ordan wił się bardzo blisko. Był jak łaskawy bóg objawiający się tym, którzy głośno wypowiadali jego imię.

– Wyruszamy jutro rano – wycharczał Chet słabo.

Dzieci rozpierchły się po miasteczku, żeby ogłosić tę doniosłą nowinę. Chłopak przytknął tylko. Jego zaciśnięte pięści drżały, jakby też odczuwał ordanowy przypływ.

\*\*\*

Rankiem zegnali ich wszyscy mieszkańcy kolonii, z komitetem złożonym z najbardziej znaczących osób na czele. Kapłan pomodlił się o powodzenie wyprawy, a burmistrz wygłosił niesamowicie nudą mowę.

– Już nie możemy doczekać się dnia, w którym zjawi się statek ze stolicy, a nasze Noxvale stanie się wreszcie prawdziwym portem! – zakończył podniosło.

Ludzie zaczęli głośno wiwatować. Bliskość żyły ordanu mogła sprawić, że przez następne kilka miesięcy miasteczko rozkwitnie. Mimo że większość kosztownej substancji przejmie rząd, zaś reszta

wpadnie w łapy larw, to przecież załoga promu towarowego będzie musiała uzupełnić zapasy. Obroty w lokalnych sklepikach, Dystrybutorze i burdelu z pewnością się potroją.

Vorkam także nie mogły przegapić tak ważnego wydarzenia. Unosiły się w swoich groteskowych pojazdach, od czasu do czasu chciwie przyglądając się śmiałkom. Rozmawiały ze sobą szeptem i wyglądały przy tym na dość rozbawione. Chet miał wrażenie, że robią między sobą zakłady, czy uda mu się przeżyć. Ich sondy rozbiegły się po niebie, furkotały na wietrze podobne do rozhisteryzowanych ptaków, by później przypaść do ziemi, dogłębnie przeczesując okolicę. Na szczęście nie zainteresowały się pęknięciem na posągu cesarzowej.

Tropiciel otarł pot z czoła. Postanowił skupić się na Olyvii. Patrzył na jej rozświetloną przez słońce sylwetkę. Nasycił się widokiem długich, jasnych włosów falujących jak łąny stepowych traw. Jeśli to wszystko, przez co musiał przejść, było czegoś warte, to właśnie takich widoków.

Wreszcie wskoczyli na małe chyże ścigacze i wylecieli z miasteczka. Podążali starym traktem wydeptanym kiedyś przez dzikich sadsu. Im bardziej się oddalali, tym porastająca zbocza pagórków roślinność była lichsza, zupełnie jak rzadniejące futro na skórze chorego psa.

Chet miał nadzieję, że o niczym nie zapomnieli. Zabrali ze sobą spory baniak wody i suchy prowiant. Jeśli zapasy skończą się wcześniej, uratuje ich zagłębnik, którym można było wydrążyć studnię. Oprócz tego Jammer spakował namioty uszyte z mocnego, ale cienkiego jedwabiu przędzonego przez vorkam oraz kilka przenośnych ładunków wybuchowych zamkniętych w metalowych kulach. W aptecze zaopatrzył się w feromony dzikich zwierząt, żeby w razie potrzeby zainteresować je czymś innym niż ludzkim mięsem.

Pogoda była nadzwyczajnie dobra jak na tę porę roku. Wręcz idealna do podróżowania. Po niebie przesuwały się zwały ciemnych chmur, chroniąc wędrowców przed silnymi promieniami słońca. Mijali nieliczne oazy oraz opuszczone osady sadsu, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie zacierała się ścieżka.

- W którą stronę? – zapytał chłopak, rozglądając się niespokojnie.
- Jak masz na imię? – Tropiciel uniósł brew.

– Elvin – odrzekł młody po dłuższej chwili zastanowienia, tak jakby przywoływał coś z głębokich pokładów pamięci.

– No to w którą stronę, *Elvin*? – Chet uśmiechnął się paskudnie.

Chłopak zeskoczył ze ścigacza, a potem przywarł do ziemi. Węszył przez chwilę, zanim wreszcie się odezwał.

– Na zachód – powiedział z niezachwianą pewnością.

– Zgadza się – odparł Jammer.

## II.

Lecieli już od dwóch dni, ale nie napotkali większych trudności. W ostrej tarninie kryły się co prawda jadowite węże, ale Chet zabił je z mechaniczną sprawnością.

Jednak kiedy mijali zwiertzałe ruiny świątyni jaszczurów, w powietrzu dało się wyczuć pewną zmianę. Porywisty wiatr łopotał płaszcami podróżników. Około południa spadła na nich zasłona drgającego powietrza podobna do rozgniewanego upiora.

– Burza piaskowa – mruknął tropiciel, mocniej otulając się szalikiem. – Musimy szybko znaleźć jakieś gniazdo.

Elvin obdarzył go przerażonym spojrzeniem i zeskoczył ze swojego ścigacza. Zaczął z zapalem kopać w posadzkę świątyni. Wyglądał przy tym, jakby tańczył, a jego czarne, lśniąco włosy podskakiwały przy każdym ruchu. Na horyzoncie tliło się już ciemne ognisko buzującego piasku przypominające rój szerszeni. Świat powoli tracił nasyczone barwy.

– Nie ma sensu się tak męczyć, tam jest szczelina – powiedział Chet, wskazując na brzeg wyschniętej studni.

Chłopak posłusznie podreptał w tamtą stronę. Ledwie trącił to miejsce czubkiem buta, a ziemia rozstała się przed nimi, ukazując głęboką zapadlinę.

– Spędzimy tutaj noc – zawyrokował zaklinacz. Jego zaczerwienione oczy łzawiły od wirującego piasku.

Przytroczyli ścigacze do skały za pomocą tytanowych haków. Zabezpieczyli wejście mocną jedwabną zasłoną, a potem wpełzli do niecki, by rozbić w niej obóz. Chet zapalił luminescencyjną lampę i ułożył się w jej blasku, podczas gdy Elvin przycupnął za załomem skalnym. Kiedy wiercił się, szukając wygodnej pozycji, zawartość jego torby zazgrzytała cicho.

– Masz coś dobrego do picia? – zagał spragniony tropiciel. – Może podzielisz się ze mną? – bardziej rozkazał, niż poprosił.

– Chciałem zachować to na później – wytłumaczył zmieszany chłopak.

– Później nie będziemy mieć tyle czasu – odparł wyraźnie zniecierpliwiony Chet.

Otworzyli butelkę wina i pili je z metalowych manierek, podczas gdy nad nimi rozszalało się prawdziwe piekło. Zaklinacz uznał w duchu, że jest w tym coś dekadentckiego. Wsłuchiwał się w donośny świst wiatru i podobny do szeptu szelest metanowych chmur. Huczące pomruki burzy, wydobywające się jakby spod ziemi szybko ukołysały go do snu. Pod zamkniętymi powiekami widział Olywię – na jej obraz zaczęły nakładać się sylwetki innych kobiet, które poznał na swojej drodze. Wkrótce otuliło go niesamowite ciepło i zaczął odczuwać silne podniecenie.

Kiedy się obudził, burza jeszcze się nie skończyła, ale znacznie zeszła. W przypiływie impulsu zerwał się ze swojego postania i ruszył w stronę Elvina. Wpełzł na niego, ciężko dysząc przez nos. Chłopak nie spał, ale mimo to nie otworzył oczu, tylko mocniej zacisnął powieki. Jego ciało zeszywniało, jednak nie odsunął od siebie napastnika. Pozwolił, by Chet rozpiął mu koszulę i zauważył, że chłopak ma na piersi jakieś dziwne zmiany skórne. Chropowate zgrubienia błyszczały w zielonym blasku lampy.

Serce Elvina biło gwałtownie. Chet przypomniał sobie innego przestraszonego chłopca, którego ktoś kiedyś skrzywdził. Był nim on sam. Wiele lat temu kulił się na nagiej pryczy i czuł na sobie cuchnący oddech pijanego mężczyzny.

Odskoczył jak oparzony od chłopaka, walcząc z napływającymi mdłościami. Nie miał zamiaru kontynuować tego ohydneho cyklu przemocy, choć zrezygnował nie tylko z litości – motywowało go też obrzydzenie oraz strach, że zarazi się jakąś tajemniczą chorobą.

Skulił się w swoim kącie.

\*\*\*

Obudziło go silne szarpnięcie. Później usłyszał głośne rytmiczne dudnienie. Kiedy otworzył oczy, zobaczył przed sobą zaaferowaną twarz Elvina.

– Co się stało? – zapytał Chet zaspanym głosem, ale chłopak nie był w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

Wyszli na powierzchnię, mrużąc oczy w ostrym blasku słońca, które zdawało dwoić się i troić, by im dopiec. W oddali majaczyły

coś monstrualnego. Na pierwszy rzut oka przypominało górę przesuwającą się po widnokregu, jednak kiedy przyjrzeni się uważniej, dostrzegli zarys gigantycznej sylwetki zwierzęcia na czterech nogach. Z jego pleców sterczały długie kolce. Wydało z siebie przeciągły ryk, który sprawił, że bębni uszu zaczynały wibrować z siłą, którą odczuli namacalnie. Elvin przyglądał się temu dziwnemu zjawisku jak zahipnotyzowany. Chet zaśmiał się tylko i popatrzył na niego z politowaniem.

– Nigdy nie widziałeś starego blesa? – zapytał i uniósł kąciki ust w na poły przyjaznym, a na poły zaczepnym grymasie. Wydarzenia poprzedniej nocy zaczynały wracać do niego nieznośnymi falami i chciał zamaskować jakoś swoje zmieszanie oraz zagłuszyć poczucie winy.

– Słyszałem tylko opowieści – cicho odpowiedział Elvin, trąc zapuchnięte powieki.

– Nie są groźne – uspokoił go tropiciel. – Wystarczy być na tyle przytomnym, by nie skończyć przypadkiem pod ich wielkimi łapami – dodał z cichym prychnięciem. – Poza tym nie odznaczają się wielką inteligencją. Często dają się zwabić w leśną pułapkę.

– Leśną pułapkę? – zdziwił się chłopak.

– Tak. Widzisz te narośle przyklejone do jego pleców? To drzewa. – Chet wskazał w dal. – Las wybrał tego stwora na swojego wierzchowca. Nocą, kiedy blex spał, zarodniki obsiadły go jak kleszcze. Teraz dorosłe pnie mają nad nim całkowitą kontrolę.

– Do czego go potrzebują? – spytał Elvin.

– To chyba jasne. Blex ma wywęszyć dla nich ordan. Dlatego musimy trochę się pospieszyć, żeby przegonić tego kolosa. Inaczej wychła wszystko na naszej drodze.

Wskoczyli na ścigacze i poszybowali w stronę giganta.

Chet cieszył się chłodnym wiatrem, który mierzwił mu włosy – miał straszne kaca. Po chwili zaczął nucić pod nosem starą ludową piosenkę, żeby odgonić od siebie cienie złych wspomnień.

*Dudni ziemia, tam gdzie ordanu odnoga*

*To kroczy blex*

*Wokół słońca pożoga*

*Ciesz się stary*

*Nigdy nie utyskuje*

*Chociaż nie wie, że to las nim kieruje*

Manewrował ścigaczem tuż za ogromnymi łapami potwora, zupełnie jakby chciał zaimponować w ten sposób swojemu młodemu pomocnikowi. Elvin próbował pójść w jego ślady, ale w końcu zaczął trzymać się na bezpieczną odległość. Ciężkie cielsko blexa wzbijało w powietrze tumany pyłu, więc musiał założyć gogle. Ze zdumieniem wpatrywał się w szarą pokarbowaną skórę, przypominającą popękaną ziemię. Jej pory, wielkie jak królicze norki, były doskonale widoczne w ostrym świetle słońca. Kilkanaście metrów nad ich głowami zielenił się las, wyczuwali jego delikatny, żywiczny zapach.

W końcu tropiciel przyspieszył, najwidoczniej znudzony tą zabawą. Elvin zrównał się z nim. Lecieli w zupełnym milczeniu, obaj pogrążeni w swoich myślach. Minęli przepastne koryto wyschniętej rzeki, a blex został daleko w tyle i już prawie nie słyszeli jego dudniących kroków.

Kiedy dotarli do płaskowyżu upstrzonego skalnymi odłamkami, tropiciel zszedł ze ścigacza. Posłał karcące spojrzenie swojemu pomocnikowi, który został w siodle.

– Może pofatygujesz się tutaj na dół? – syknął.

Chłopak popatrzył na niego spode łba, ale posłusznie zeskoczył na ziemię.

– Wskaż kierunek – zażądał Chet.

Elvin padł na kolana i zaczął tarzać się między małymi białymi kamieniami. Potem prawie zakopał się w piasku. Leżał tak dość długo.

– Nie wiem – odezwał się wreszcie nieco płaczącym głosem.

Tropiciel westchnął zrezygnowany. Uklęknął, zdjął rękawiczkę, a potem zaczął wodzić palcami wśród drobnych otoczków.

– Na północ – wyjęczał słabym głosem odurzonego wieszca.

Zanim podniósł się na równe nogi, poczuł uderzenie w potylicę. Jednak nie było na tyle mocne, by stracił przytomność, więc szybko przekoziółkował w bok. Zza skalnych półek wyłaniali się dzicy sadsu. Ten, który go uderzył, dzierżył w dłoni kamienną maczugę. Bez większych trudności mógł zmiażdżyć nią głowę dorosłego mężczyzny, jednak najwyraźniej nie taka była jego intencja. Chet rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu pomocy, ale Elvin zdążył już zwiać. W oddali majaczyła jego ciemna sylwetka. Jednak nawet we dwóch nie mieli przecież szans z grupą uzbrojonych



jaszczurów. Cała nadzieja leżała w tym, że chłopak na czas sprowadzi pomoc. Zabranie go na wyprawę było jednak bardzo dobrym pomysłem.

Przeciwnicy otoczyli Cheta ciasnym pierścieniem. Przełknął ślinę i odbezpieczył swój bicz. Wokół zajaśniało od ordanu, ale nie zrobiło to na jaszczurach tak wielkiego wrażenia, jak Jammer założył. Nie podchodzili co prawda, tylko przyglądali mu się z uwagą. W końcu największy z nich – najprawdopodobniej przywódca – zagulgotał coś z werwą. Jego podkomendni zaczęli zbierać z ziemi ostre skalne odłamki. Chet z łatwością przeciął biczem pierwszy kamień, który poleciał w jego kierunku, jednak wkrótce uderzyła w niego cała lawina. Próbował za wszelką cenę osłonić się przed kamiennym deszczem. Kręcił się przy tym jak pomylony tancerz i z początku nawet mu się udawało.

W końcu został uderzony w brzuch, a następny odłamek dosięgnął jego skroni. Zachwiał się i upadł na piasek.

\*\*\*

Obudził się z porażającym bólem głowy. Czuł też, że w ustach zupełnie mu zaschło. Obrócił się na drugi bok i okazało się, że został związany cienką linką, która mocno wpijała się w skórę. Przed oczami zamajaczyły mu płomień i nieostre sylwetki sadsu. Były ich dziesiątki. Mieli ze sobą wozy zaprzężone w kapi – pociągowe zwierzęta o długich szyjach.

Nigdy nie widział tak licznej i dobrze zorganizowanej grupy jaszczurów.

– Wody – wyjęczał na tyle głośno, na ile pozwalały na to spękane wargi.

– Sługuss. Milcz! – wysyczał chudy osobnik, który go pilnował.

Zwyzywał go zupełnie jak stary sadsu, z którym Jammerowi przyszło walczyć parę dni temu. Czyżby miał przed sobą grupę rebeliantów, która podlegała do buntu inne jaszczury? Jeśli tak, to Noxvale groziło niebezpieczeństwo.

– I po co było tyle zachodu, jeśli chcecie, żebym teraz umarł z pragnienia? – sarknął.

Zwrócił tym uwagę innego sadsu, znacznie większego od strażnika. Możliwe, że to on był przywódcą. Podeszedł do więźnia i podał mu ustnik bidonu. Chet pił powoli, żeby się nie udławić.

– Jeśli myślicie, że burmistrz zapłaci okup, to grubo się mylicie – odezwał się po chwili. – Lepiej wypuście mnie, zanim ściągniecie sobie na głowę prawdziwe kłopoty. Konfederacja da wam popalić.

Sadsu uważnie patrzył na tropiciela, ale milczał. Złote oczy lśniły w blasku ogniska. Więzień nienawistnie wpatrywał się w oblicze, z którego jednak nie dało się nic wyczytać. Jaszczur odwrócił się, by odejść.

– Czekaj! – zawołał Chet. – Naprawdę mi przykro, że znalazłem się na waszej ziemi – powiedział już nieco łagodniejszym tonem, bo groźbą raczej nic nie uskórał. – Pozwólcie mi odejść, a obiecuję, że...

– To nie jest nasza ziemia! – przerwał mu sadsu, a jego kamienny pysek wydawał się teraz jeszcze straszniejszy.

– T-tak, oczywiście – wyjąkał Chet.

Prawdę powiedziałwszy, nic z tego nie rozumiał. Był pewien, że jaszczury walczą o wyrwanie się spod władzy Konfederacji i dążą do utworzenia własnego państwa. O co innego mogło im chodzić? Jammer niewiele wiedział o sposobie myślenia sadsu. Raczej nie zdarzało mu się dłużej z nimi pogawędzić. Zabijał ich tylko, gdy zachodziła taka potrzeba. Czyżby logika tych dziwnych istot była zupełnie niezrozumiała dla człowieka? Chyba że problem stanowiła bariera językowa i głupi jaszczur po prostu się pomylił.

Przywódca odszedł, kończąc te swoiste pertraktacje. Załamany Chet przymknął oczy. Przyszłość zaczynała malować się w dość ponurych barwach. Oczywiście był dość wartościowy dla Konfederacji – ceniono go za długoletnie doświadczenie i niezawodność – ale przecież nie ma ludzi niezastąpionych. Na jego miejsce czekało kilku chłopaków gotowych, by zacząć karierę tropicieli ordanu, dlatego wyglądało na to, że resztę życia spędzi w niewoli sadsu, a nie na obiecanej farmie, z żoną i gromadką dzieci u boku.

Najpierw próbował uwolnić się z więzów, ale sprawiło to, że sznury zacisnęły się jeszcze mocniej. Zupełnie załamany pogrążył się w letargu.

Z odrętwienia wyrwał go głośny jazgot – brzmiał, jakby nagle odezwały się klaksony i kołatki. To przerażone jaszczury podniosły alarm. Chet odwrócił się, żeby ocenić sytuację. Cysterna przeciekała. Zimne pióropusze życiodajnej wody wytrysnęły w kilku miejscach, by potem ginąć w pyłe. Sadsu uwijali się naokoło zbiornika

i rozpaczliwie próbowali zatkać dziury. Utrata takiej ilości zapasów musiała być plemienną katastrofą. Chet zaśmiał się paskudnie, a w jego sercu pojawiła się isierka nadziei.

W tym samym czasie strażnik runął na ziemię, nie wydając żadnego dźwięku. Laserowy nóż bez trudu przeciął jego pancerną szyję i z ciemności wyłonił się Elvin. Nie tracąc czasu, uwolnił Cheta i pomógł mu wstać. Rzucili się do biegu, ścigani przez wściekłych wrogów – sadsu może nie grzeszyli inteligencją, ale w końcu zorientowali się, że to podstęp.

Uciekali, co sił w nogach, a za nimi leciały ostre kamienie i obelgi w bulgoczącym języku. Kiedy udało im się dotrzeć do ścigacza, Elvin natychmiast wskoczył na siodło, a potem podał rękę obolałemu tropicielowi. Obciążony pojazd nie rozwinął zbyt wielkiej prędkości, ale i tak bez trudu obaj wymknęli się jaszczurom.

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, rozbili obóz w skalnym wyłomie, który chronił ich przed wiatrem i spojrzzeniami wrogów. Chet przemył swoje skaleczenia, a potem próbował opatrzeć rozciętą skroń. Nie szło mu jednak zbyt dobrze, więc Elvin wziął od niego bandaż i delikatnie okręcił czoło Jammera.

– Szkoda, że zabrali ci ścigacz, w tym tempie trudno będzie nam tropić ordan.

– Pal licha ścigacz. Te durne twarogłowy nawet nie umieją go uruchomić – zachnął się Chet. – Bardziej martwiłbym się o bicz.

– Jest tutaj.

Elvin sięgnął do plecaka i podał broń. Chet posłał chłopakowi spojrzenie pełne niedowierzania.

– Ładnie ich podszedłeś. – Kiwnął głową z uznaniem. – To był naprawdę niezły pomysł z tą cysterną.

Elvin nie odpowiedział. Wpełzł do śpiwora i zwinął się w kulkę. Jammer poczuł lekkie ukłucie zawodu. Był pewien, że te słowa ucieszą pomocnika.

– Hej, śpisz? – Zbliżył się i dotknął jego ramienia.

Chłopak zadrżał, posyłając mu nieufne spojrzenie.

– Nie zrobię ci krzywdy. Jesteśmy przecież drużyną, nie? – powiedział Chet i uśmiechnął się do niego życzliwie, jednak nie został zaszczycony odpowiedzią.

– Przepraszam za to... wcześniej. – Zmieszał się. Patrzył na towarzysza wzrokiem, jakby czuł się nieco zaszczuty. – Nie wiem, co

mi odbiło – zaśmiał się nerwowo. – Jestem też bardzo wdzięczny za ratunek. Przecież wcale nie musiałeś po mnie wracać – wyszeptał.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Elvin i poruszył się w swoim śpiworze jak wielka gąsienica.

Jego głos był matowy i jakby odległy, jednak mimo to Jammer wziął tę odpowiedź za dobrą monetę. Nie lubił poczucia winy, ale jeszcze bardziej nienawidził długów wdzięczności. Podziękował, a jego przeprosiny zostały chyba przyjęte, mógł więc spokojnie zasnąć.

\*\*\*

Rankiem obudziła go przemożna fala ciepła, od której aż się miotał.

– Ordan, ordan...! – jęknął w półśnie. – Tak blisko, że aż pali mi gębę.

Szybko zerwał się na równe nogi.

– Ej, śpiochu, wyruszamy natychmiast! – zawołał do Elvina. Pragnął brzmieć beztrzesko i żartobliwie, ale tak naprawdę cały się trząsał.

Przejęty chłopak od razu otworzył oczy i zaczął się pakować.

Wyruszyli w wielkim pośpiechu. Chet kierował ścigaczem, manewrując nim między wzniesieniami. Był ogarnięty prawdziwym szałem. Szczekał zębami, a włosy na karku stały mu dęba. Wszystkie komórki jego ciała dostosowały się do jednej częstotliwości. W kościach czuł, że trafili na naprawdę dużą żyłę.

Kiedy znaleźli się niedaleko wlotu do jaskini, mocno nacisnął na hamulec.

– To tutaj – oznajmił, oddychając ciężko.

– Czuję... – stęknął Elvin. Niekontrolowane strumienie łez ciekły z jego ciemnych oczu. – Jesteś w stanie to ujarzmić?

– Spróbuję. – Chet zsunął się ze ścigacza, a potem zaczął pełznąć w pyłe.

Przypominał człowieka trawionego wysoką gorączką. Jęczał żałośnie, tarzając się po ziemi zupełnie, jakby chciał w nią wejść albo wręcz zespolić się z kamieniami i złotym piaskiem. Chłopak obserwował go w napięciu i nadal płakał. W końcu zaklinacz dostał silnych, niemal epileptycznych drgawek.

Nagle przestał się miotać, a po chwili zastygł wyczerpany. Kiedy się podniósł, wyglądał na chorego, a z nosa ciekł mu cienki strumień krwi. W oczach Elvina pojawił się strach.

– Nic mi nie będzie. – Jammer uśmiechnął się blado i uspokajająco poklepał go po ramieniu. – Zatrzymałem ordan w tamtym miejscu. – Wskazał na samotne uschnięte drzewo, które kiedyś mogło być częścią podróującego lasu.

Napił się z manierki, a potem wylał resztę wody na rozpalone czoło. Czuł się cudownie. Był zupełnie spełniony, tak jakby właśnie przeżył wielokrotny orgazm. Ordan drgał pod ziemią. Jego fale szumiały, wyśpiewując najpiękniejsze melodie świata. Z kolei Chet Jammer stał się teraz panem tej żyły, a właściwie złączył się z nią za sprawą silnej, niezrozumiałej więzi.

Przymknął oczy, z lubością wpatrując się w dal. W tym momencie opadło na niego coś wstrętnego i oślizgłego. Zanim się zorientował, był szczelnie opleciony białą lepką siecią. Zupełnie nie rozumiał, skąd się wzięła. Szamotał się jak dzikie zwierzę na uwięzi, próbując się rozejrzeć. Sięgnął do paska, ale nie znalazł tam biczka.

– Tego szukasz? – spytał Elvin. Uśmiechał się kpiąco, bawiąc się leniwie lśniąca rękojeścią. Maską naiwności opadła z jego twarzy jak stara skóra z węża.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?! – wściekł się Chet.

– Radzę ci oszczędzać siły – odparł chłopak głosem zimniejszym niż pustynna noc.

Zaklinacz nie posłuchał i znowu zaczął wić się w sieci, klnąc przy tym głośno. Wyglądało na to, że ktoś wyznaczył cenę za jego głowę. Chet miał na sumieniu sporo grzechów, więc nie był pewien, za co został schwytany. Czy chodziło o tę dziewczynę w Dollitown? A może o jeszcze starsze porachunki? Konfederacja wyczyściła jego akta, kiedy zatrudnił się jako tropiciel. Maszyna biurokracji była w stanie anulować dawne przewinienia, jednak ludzie nigdy nie wybaczą. Czuł się jak skończony kretyn. Był zły i upokorzony. Zupełnie nie podejrzewał chłopaka, który podszedł go jak wytrawny myśliwy i najwyraźniej okazał się łowcą nagród.

– Nie wiem, ile ci płacą, ale ja mogę zaoferować o wiele więcej – wyszczał przez zaciśnięte zęby.

Chłopak nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko zagadkowo. Chwycił tropiciela za nogę i zaczął ciągnąć w stronę jaskini.

Głowa Cheta obijała się o ostre krawędzie skał, podczas gdy jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Nie dało się ukryć, że już drugi raz dał się komuś złapać. Najwyraźniej z wiekiem stawał

się mniej ostrożny. Czuł się jak bezużyteczny, stetryczały emeryt, ale wiedział, że musi coś wymyślić, bo inaczej zginie i nie będzie to raczej bezbolesna śmierć.

Elvin osłonił płachtą wejście do jaskini, a potem najspokojniej w świecie zaczął rozbijać obóz. Chet cały czas coś do niego mówił. Groził, prosił, obiecywał. Z jego ust poleciały wszystkie obelgi, jakie znał. W końcu jednak przerwał tę długą litanie – wystarczyło mu już tego poniżenia. Jeśli musiał umrzeć, postanowił, że zrobi to z honorem. Zabierze ze sobą do grobu przynajmniej tę resztkę godności, jaka mu została, a także znienawidzonego najemnika.

Elvin skrępował go ciasno, więc mógł tylko czołgać się po ziemi, jednak w końcu udało mu się sięgnąć po jeden z ładunków wybuchowych, które trzymał w bucie na czarną godzinę. Potem wyszeptał kod odbezpieczający mechanizm. Nie uszło to jednak uwadze Elvina. Chłopak pisnął przeraźliwie, a później przyskoczył do Cheta. Kopnął go w twarz i odrzucił ładunek, jak najdalej umiał.

Eksplzja zatrzęsała jaskinią. Elvin skulił się w kącie, zasłaniając głowę rękami. Chwilę później z góry zawałiła się lawina kamieni i podniosły się tumany gęstego pyłu. Tropiciel wstrzymał oddech. Zamknął oczy, chociaż i tak zupełnie niczego nie widział. Jednak śmierć jakoś nie nadchodziła. Kiedy kurz opadł, okazało się, że wejście do jaskini zostało zawałone. Chet żył. Elvin też jakoś przetrwał, chociaż chyba nie czuł się zbyt dobrze – wstrząsał nim głośny kaszel.

– Ty pierdolony kretynie! – wrzasnął. – Prawie nas zabiłeś! – jego głos był piskliwy i dziwnie zachrypnięty, zupełnie jakby wydobywał się z trzewi.

– Przecież wiesz, że właśnie o to mi chodziło, chłopcze – odpowiedział Chet, wypluwając piasek. Czuł się przy tym dziwnie spokojny i jakby pusty.

– Nie jestem chłopcem. Jestem vorkam – wysyczał Elvin, a później skulił się w sobie, jakby sam przeraził się tego wyznania.

Chet nigdy w życiu nie widział samca larwy. Mówiono, że są oni godnymi pożałowania, słabymi kreaturami, które nigdy nie wychodzą na powierzchnię z obawy przed słońcem. Elvin wyglądał jednak do złudzenia ludzko, nie licząc tych dziwnych wypustek na skórze.

– W takim razie wiedz, że Konfederacja dobierze się do waszych parszywych odwłoków. – Tropiciel splunął z pogardą, chociaż było to dość trudne, zważywszy na to, że oblepiała go kleista sieć.

– Konfederacja ma cię w dupie – odparł Elvin. – Myślisz, że o tym nie wiedzą? – Robił się coraz bardziej nerwowym. Zaczął uważnie badać hałdę kamieni. Widocznie łudził się, że znajdzie sposób na utworzenie sobie wyjścia.

– Przyleci po mnie statek – wymamrotał Chet, ale tonem, jakby sam nie do końca w to wierzył.

– Jedyne statek, jaki tu po nas przyleci, to frachtowiec vorkam, który właśnie wezwałem – odgryzł się Elvin. – Oczywiście jeśli dożyjemy tej chwili. Zdajesz sobie sprawę, że pogrzebałeś nasze zapasy i ścigacz? Został tylko zagłębnik.

Chet przestał już cokolwiek rozumieć. Czuł się zupełnie zagubiony. Jasne że vorkam mógł blefować. Ale co, jeśli mówił prawdę? Świat, jaki do tej pory znał tropiciel, zaczął zamieniać się w gruzy. Z nimi samymi też działo się coś niepokojącego. Z marionetek zaczęli przemieniać się w prawdziwych ludzi... to znaczy w osoby, bo Elvin nie był przecież człowiekiem. Ten powolny, bolesny proces przypominał wygrzebywanie się spod hałdy gorącego piasku.

– Jak ci nie wstyd? Ty mały, podstępny robaku – warknęła owładnięty nienawiścią Jammer.

– Myślisz, że zgłosiłem się na ochotnika? – odparował Elvin. – Nie zostawiono mi wyboru, zupełnie jak i tobie. Chociaż ty przynajmniej o niczym nie miałeś pojęcia, czego kurewsko ci zazdroszczę. Nigdy nawet nie byłeś pod ziemią. Nie wiesz, jak to jest, kiedy cesarzowa... – Zadrzał, a jego twarz wykrzywiła się w okropnym grymasie obrzydzenia.

– Pozwól mi zrozumieć – wyszeptał Chet. Chciał poznać tajemnicę, nawet gdyby miał pożałować swojej dociekliwości. – Jeśli chodzi o ordan, to możecie wypompować wszystko. Nie będę robił wam problemów.

Elvin zaśmiał się tylko historycznie i zarył paznokciami w skałę. Potem zaczął krążyć po jaskini, jakby zawzięcie czegoś szukał.

– Sam nie dasz rady. Pomogę ci się stąd wydostać, tylko uwolnij mnie od tego gówna – jęknął błagalnie Chet.

Vorkam obdarzył go podejrzliwym spojrzeniem wielkich, wilgotnych oczu – obaj wiedzieli jednak, że tu nie ma wyboru. Elvin podszedł do Cheta i uklęknął przy nim. Z jego palca wychynął przypominający wrzeciono narząd i zaczął wchłaniać w siebie sieć. Tropiciel przyglądał się temu jak oszołomiony, jednocześnie walcząc

z falą szarpiących trzewia mdłości. Nie minęła chwila i był wolny. Kiedy stanął na nogi, Elvin odskoczył od niego, jakby spodziewał się ataku. Jednak Chet nie rzucił się na chłopaka, tylko wyjął mu z ręki bicz. Aktywował broń, włożył gogle i zaczął drążyć w skałę, mrużąc oczy w rażącym ordanowym świetle.

– Chyba sobie żartujesz – prychnął vorkam. – W ten sposób miną wieki, zanim się stąd wydostaniemy. Powinieneś kopać tam. – Wskazał na przeciwległą ścianę, ale został zignorowany. – Błagam, musisz mi zaufać – pisał. Był teraz śmiertelnie blady, niemal przezroczysty.

– Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. – Głos Jammiera ociekał jadem. – Niestety ty poszedłeś w zupełnie innym kierunku.

– Co mam zrobić, żeby je odzyskać? – Vorkam próbował uśmiechnąć się uwodzicielsko, ale zbyttnio mu to nie wyszło.

Podszedł do mężczyzny i do niego przygląnął, jednak został stanowczo odepchnięty.

– Może na początek odpowiesz mi na kilka pytań? – fuknął Chet. – Pytanie pierwsze: czego ode mnie chcą te jebane larwy?

– Wszystkiego – odrzekł enigmatycznie Elvin. – Chcą ciebie całego.

Oczy tropiciela rozszerzyły się gwałtownie.

– Najpierw wezmą od ciebie nasienie. Potrzebują mieszanego potomstwa, bo większość naszych samców stała się bezpłodna. A któż byłby lepszym ojcem niż sławny zaklinacz i tropiciel? – W głosie Elvina pobrzmiwał sarkazm, a potem vorkam zachichotał.

– Nie mogą wyprodukować androidów? – Wzrok Cheta był pusty, jego twarz nie wyrażała niczego.

– Jakoś nigdy nie udają się za dobrze. Poza tym cesarzowa lubi eksperymentować z genami, uważa się za boginię. – Elvin wzruszył ramionami. – Potem wycisną z ciebie cały ordan, aż do ostatniej kropelki. Przez tyle lat zgromadziłeś w sobie tyle tego paskudztwa, że twoje bebechy powinny świecić w ciemności.

– Dlaczego? Mają go przecież w bród...– wydusił z siebie przerażony zaklinacz.

– Mówią, że taki jest lepszy, dojrzały – wytłumaczył Elvin. – Zresztą co my wiemy o ordanie? – przedrzeźnił gawędziarski ton Cheta. – Gównu wiemy o ordanie! – zaśmiał się histerycznie. – To paskudztwo przeżarło wszystkim mózgi, chociaż nawet nie mamy pojęcia, czym tak naprawdę jest.



– K-konfederacja... – wyjąkał Jammer.

– Mają umowę z cesarżową. Mogą osiedlać się na Vermie i drążyć w poszukiwaniu ordanu. W zamian walczą z sadsu, dzielą się częścią zbiorów, a także pozwalają nam porywać niektórych tropicieli, byle dyskretnie.

Chet popatrzył tępo na rękojeść bicz – oto dowiedział się, że całe jego życie zostało oparte na kłamstwie. Był zupełnie jak głupi blex, którego prowadzi las, a on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Przed oczami stanęła mu scena pojedynku. Młoda larwa wcale nie obdarowała go jaskiniowym kwiatem w dowód uznania, nie był to także przejaw kokieterii. Po prostu rzuciła ochłap przedstawicielowi niższej rasy, zwierzęciu, które można bez skrupułów wykorzystać. Chciało mu się płakać, jednak powstrzymał łzy, bo wstydził się ich przed vorkam. Włączył bicz i zaczął drążyć we wskazanym miejscu, żeby przestać o tym myśleć.

– Wcześniej dla tych samych celów sprowadzono sadsu, ale oni okazali się niewystarczająco inteligentni, a do tego krnąbrni. Trudno było ich kontrolować – opowiadał Elvin, zupełnie jakby snuł jakąś dawno zapomnianą legendę. – Została ich jeszcze garstka. Mam na myśli krzyżówkę sadsu i vorkam. Nigdy nie widziałem podlejszych stworzeń, takie eksperymenty nie udawały się zbyt dobrze. Pracują jako pomywacze w pałacu cesarskim.

– A więc to rzeczywiście nie ich ziemia, a nawet nie ich planeta – powiedział cicho Chet. To był łańcuch pokarmowy: on tropił ordan i zabijał sadsu, a vorkam polowali na niego.

– Tak, ale niewielu z nich jeszcze o tym pamięta – odpowiedział Elvin.

W tej samej chwili pęknięcie w skałach okazało się skrywać wolną przestrzeń.

– A nie mówiłem? – Vorkam skrzyżował ręce, uśmiechając się z wyższością.

Kilka godzin później Chet dokopał się do wąskiego tunelu, który prowadził w dół, wprost do płytkiego jeziora fluorescencyjnego blasku. Wpełzli do środka i zaczęli przeciskać się na czworakach. Wkrótce znaleźli się w niecce pełnej jaskiniowych kwiatów. Ich delikatny blask sprawiał, że skóra Elvina wydawała się niebieska. Obaj zaczęli pożerać je łapczywie, głośno wysysając wilgoć z płatków. Wyładowali kieszenie tym śliskim prowiantem i podążyli dalej.

Tunel rozszerzył się nieco, ale zaczął się także wznosić, dając nadzieję na wyjście z pułapki.

\*\*\*

Następnego dnia wynurzyli się w jaskini podobnej do gardzieli ogromnego potwora. Na końcu przepastnej krtani pobłyskiwało światło – tym razem było to słońce.

Kiedy wyszli na powierzchnię, wisiało wysoko nad ziemią i od popołudniowego żaru natychmiast zlał ich pot. Chet wpełzł pod wystającą półkę skalną i osłonił głowę płaszczem. Był zupełnie wykończony, ale widok nieba niezmiernie go ucieszył. Znajdowali się tylko kilka kilometrów od rudy ordanu, ale zdawało mu się, że przewędrowali pół pustyni.

– Niezła szmata z tej waszej cesarzowej – odezwał się, by zagaić.

– Nienawidzę jej tak bardzo jak ty, ale przecież nic nie mogę zrobić. – Elvin przygryzł wargę.

– Możesz zwiać – odparł Chet.

– Zawałiłem misję. Tego się nie wybacza. W mieście od razu mnie wytropią, a przecież nie uda mi się przeżyć na pustyni.

Tropiciel długo się namyślał.

– Samemu raczej nie. No, chyba że pójdiesz ze mną – zaproponował.

– Zostawisz mnie przy pierwszej lepszej okazji. – Vorkam pokręcił głową i zaśmiał się bez wesołości.

– Nie. Jedziemy na tym samym wózku, *Elvin*. Poza tym przydadzą mi się twoje larwie sztuczki.

– Zapominasz o statku, który będzie tutaj już za kilka dni. Daleko nie uciekniemy.

Chet zbył tę uwagę milczeniem. Miał pewien plan, ale nie ufał jeszcze Elwinowi do końca. Bał się, że vorkam w końcu i tak go wyda.

Wrócili do miejsca, w którym leżała unieruchomiona ruda i schowali się za skalnym załomem.

Czekali.

\*\*\*

Trzeciego dnia słońce zostało przysłonięte przez ogromny frachtowiec o zapewniającym mu należyta ochronę, a jednocześnie niezwykle lekkim, nie zmniejszającym znanadto cennego udźwigu, uzbrojeniu.

Poruszał się zupełnie bezszelestnie, wyglądał jak ogromna kiść szklanych winogron unoszących się w powietrzu. Sunął powoli, podobny do złowieszczej burzowej chmury.

– Powtórzymy wszystko jeszcze raz. – Zaklinacz popatrzył chłopakowi w oczy. – Pójdiesz tam i powiesz, że jestem nieprzygotowany. Poprosisz o ścigacz, rozpiardolisz to o burzę. – Podał mu niewielką buteleczkę feromonów blexa. – A potem w nogi.

– Zrozumiałem cię za pierwszym razem, nie jestem upośledzony – odgryzł się Elvin. Drżał na całym ciele. – Mówiłeś, że one nie są zbyt agresywne – dodał po chwili, najwyraźniej nadal bijąc się z myślami.

– Potrafią być, jeśli mają odpowiednia motywację – uspokoił go Chet. – Zresztą wcale nie musisz tego robić. Może w mrowisku vorkam znajdzie się jednak miejsce dla takiej niedołęgi. – Wyszczerył zęby w kpiącym uśmiechu.

Elvin popatrzył na niego ponuro. Wziął głęboki oddech i wyszedł z kryjóWKI. Ruszył przed siebie z dumnie podniesioną głową.

Tropiciel bacznie obserwował, jak vorkam powoli zbliża się do statku. Na jego tle chłopak wyglądał niczym pyłek kurzu bez znaczenia. Chet zacisnął palce na rękojeści bicz, by dodać sobie otuchy. Przytknął rozpalone czoło do szorstkiej skały. Z frachtowca wychyły się długie giętkie macki i zagłębiły się w ziemi. Statek zaczął wypijać ordan. Tropiciel poczuł, że robi mu się słabo na ten widok. Zachwiał się, a potem zwymiotował. Kiedy z powrotem zapanował nad ciałem, nigdzie nie mógł dojrzeć Elvina.

Nagle wszystko wokół zadrżało. Przez chwilę Chet miał wrażenie, że tylko mu się wydaje, ale nie – znowu poczuł delikatne wstrząsy. Uśmiechnął się jak opętany i z czułością pogłaskał wibrującą ziemię. Blex wyłaniał się właśnie zza widnokregu. Mknął tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to sztywne beczkowate nogi. Wydał z siebie basowy ryk i z impetem natarł na statek. Macki odskoczyły, gdy z łoskotem uderzył w zbiornik, a ordan rozproszył się w powietrzu podobny do płynnego światła. Gigant nadal napierał, niewzruszony ukłuciami laserowych działek vorkam, a las na jego grzbiecie szeleścił, rozsypując wokół liście.

Frachtowiec eksplodował z przeszywającym hukiem. Powietrze nasyciło się ordanowymi iskrami, a ciemny dym rozścielił się nisko nad ziemią.

Jammer wyteńczył wzrok, widząc w oddali ciemną kropkę. Punkt rósł coraz bardziej, aż w końcu dało się rozpoznać ludzką sylwetkę na ścigaczu. To był Elvin. Podleciał do Cheta, a potem zsunął się z pojazdu. Przypominał pustynnego upiora, którym straszy się niegrzeczne dzieci, ale oddychał. Tropiciel objął go w desperackim, intuicyjnym uścisku, a potem obaj przywarli do skały. Wstrząsnęły nimi dreszcze. Ich płaszcze lekko łopotały na wietrze, przez co wyglądali jak para umierających ptaków.

Kiedy ciemne chmury rozproszyły się, ich oczom ukazał się jeszcze gorszy widok. Spoglądali na martwą, zupełnie wysaną z ordanu ziemię. Gleba poszarzała i została pocięta siecią długich pęknięć podobnych do świeżych ran. Skały z cichym zgrzytem powoli osuwały się w czarną otchłań kanionu. W dolinie rozpanoszyła się entropia.

Tak właśnie musi wyglądać koniec świata, pomyślał zaklinacz.

Pustynia rozciągająca się za nimi wydała się przy tym błogosławioną krainą tętniącą życiem.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytał cicho Elvin.

– Wszystko jedno, byle daleko stąd – wychrypiał Chet.

Wkroczyli w rozświetloną słonecznym blaskiem pustkę.



**Karolina Fedyk** – pochodzi z Krakowa, lecz natura nomady wzięła górę nad sentymentem wobec rodzinnego miasta. Pisze w dwóch językach; anglojęzyczne publikacje przyniosły jej nominacje do Pushcart Prize i nagrody Rhyslinga. Przeplata zainteresowania naukowe literackimi. Lubi kawę, sowy, uczyć się języków obcych i robić na drutach. Pisze także larpy i współpracuje z krakowskim fanzinem „Smokopolitan”. Tweetuje jako @karigrafia.

Karolina Fedyk  
**SERCE VANN**



**M**ówię, kim jestem, żeby nie zapomnieć Vann.

*Dawno, dawno temu w mieście u stóp gór żyła dziewczyna wychowywana w najpiękniejszej klatce świata...*

*Nie. To się zaczęło dużo wcześniej.*

*Jeszcze raz.*

\*\*\*

*Zabiliśmy bóstwo. Nie ja, nikt z ludzi, których znałam; mówię o wydarzeniu sprzed stuleci. Albo i dawniejszym. Nie było nikogo, kto spisałby tę historię. Na dowód tamtego wydarzenia mamy tylko echo naszego źródła, puls tętniącej w nas boskiej krwi, słabszy z każdym pokoleniem. Nasi przodkowie nie wiedzieli, co robią. Nie mieli pojęcia, kiedy źródło ustanie. Nie myśleli o tym. Czynili cuda. Jak ten król, który poświęcił własne serce dla swojego miasta.*

*My tylko spodziewaliśmy się, że gdy nasze źródło ucichnie, inni rzucą się nam do gardeł. Ale to nie miało dotyczyć nas. Być może naszych wnuków. Ale nie nas.*

*Dawno, dawno temu było miasto Vann, którego nie dało się zdobyć...*

\*\*\*

Sklepienie z przetworzonego topazu pękło i zapadło się do środka, rozsypując się w deszcz odłamków ostrych jak noże; Aite ledwo zdążyła unieść ręce nad głowę, by go zatrzymać. Odpryski zawisły w powietrzu. Zerwała się z posłania i wycofała pod ścianę. Jej serce łomotało ze strachu. W ogromnej, pustej komnacie słyszała tylko swój urywany oddech.

Blask świec odbijał się od stłuczonego topazu. Nawet gdy do środka wdarł się wicher, płomienie i odłamki ani drgnęły – tylko dzięki temu Aite domyśliła się, że jej król jeszcze żyje, a jego magia wciąż zawiaduje miastem. Jeszcze, bo – skoro ktoś mógł rozłupać sklepienie pałacu jak orzech – serce miasta przestało bić, a wszystkie bariery zawiodły. Otarła nos wierzchem dłoni i przylgnęła do zimnej ściany.

To nie miało tak być. To nie miało prawa się stać. Zaraz się obudzi.



Vann było niepokonane. Nic im nie groziło. Matka by jej nie okłamała. Velsuna by jej nie okłamał.

Złość wezbrała w Aite tylko na krótką chwilę, po czym znikła wobec obezwładniającego strachu.

Nawet gdy na schodach rozległ się tupot butów, Aite ani drgnęła, wpatrując się tępo w złotą mozaikę. Przez jej myśl przemknęło, że mogłaby wziąć jeden z tych długich odprysków kryształu i przetworzyć go, wzorem bohaterów pieśni, w ostrze. Ale i tak nie wiedziała-by, co z nim zrobić.

Przepierzenie wiszące w wejściu zafalowało i opadło na ziemię, rzucone w kąt. Rozdziwierały się wplecione w nie paciorki.

– Aite?!

Dziewczyna zamrugała, pewna, że przeciwnik z niej drwi – a jeśli nie przeciwnik, to jej własny umysł. Niemożliwe płała jej myśli, ale...

Ale...

W progu stał Velsuna, jej Velsuna, Jego Wysokość, król Vann. To był on. To nie mógł być on, nie z tą chorobliwą bladocią na wytatuowanej twarzy, z rozwianymi włosami – i czy to była krew na jego policzku?

– Aite – powiedział łagodniej, wyciągając do niej rękę, i dopiero wtedy odsunęła się od ściany i pobiegła ku niemu. Ramiona króla zamknęły się wokół niej.

\*\*\*

*W niezdobytym mieście żyła dziewczyna. Szaleńczo zakochana. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu.*

\*\*\*

Pamiętała zimowe przesilenie, świąteczny dzień, gdy spotkała go osobiście: łagodnego olbrzymia o mocnych dłoniach, uśmiechającego się rzadko, z zaskoczeniem, jakby wciąż nie dowierzał swojej pozycji. O ile był starszy? Nie zastanawiało jej to – miała szesnaście lat i zakochała się w swoim królu, mimo tych jego oczu, bezdennie ciemnych, jakby zbierało się w nich wszystko, co widział do tej pory. Pamiętała też pełną aprobaty minę swojej matki, Selatri, gdy siedziała przy nim; córka-towarzyszka króla otwierała doradczyni o jej znaczeniu niejedne drzwi.

Wszyscy wiedzieli, że w czasach, gdy magia zanikała, źródło królów-magów musiało wypływać skądś indziej, zapewne z jakiegoś ponurego i ciemnego miejsca. Ale jeśli Velsuna miał dwie twarze, Aite sama zdecydowała, na którą chce patrzeć.

\*\*\*

Dziewczyna drżała w jego uścisku.

– Aite, Aite – powtarzał Velsuna, gładząc jej włosy. – Nic ci nie jest? Nic?

– Nic. – Podniosła wzrok na króla. – Co się stało?

Velsuna patrzył na wyrwę w topazowym dachu, kolejne świadectwo dawno minionych czasów.

Teraz nikt nie potrafiłby zbudować takiego cudu. Wynaturzenie skały z taką precyzją, zmuszenie skalnej masy, by przepoczwarzyła się w kryształ – ten wysiłek zabiłby każdego rzemieślnika, który by się poważył. O ile ktokolwiek chciałby marnotrawić resztki źródła na fanaberie.

Gdy przykładła ucho do ściany, słyszała szept budowniczych wplatających w kamień swoje życzenia. Ambitna magia, niesłabnąca z czasem. Pochodząca z czasów, gdy źródło tętniło we krwi każdego, a cuda były możliwe. Gdy nikt nie myślał o tym, że magię można utracić.

– Ktoś zdradził. – Zacisnął wargi. – Wśród najeźdźców muszą być Rasenowie. Wdarli się do pałacu.

Drgnęła.

– Dlaczego...?

– Nie wiem. Ale nie możesz tu zostać. Szybko.

Velsuna niemal wyciągnął ją z komnaty.

– Dokąd?

Tylko popatrzył na nią przez ramię. Nie wiedział. Jej król, nieskończenie mądry król, nie miał pojęcia, jak uratować jego własne miasto. Oszołomiona Aite pozwoliła się wyprowadzić na korytarz.

Biegli krążgankami z wynaturzonego kamienia.

Burza przetaczała się nad miastem. Wielkie, tłuste krople rozbijały się o kamień. Powietrze z lepkiego jak melasa stało się nagle zimne i ostre.

Miękkie pantofle Aite niemal od razu przemokły, ale wiedziała tyle, że musi biec. Zatem biegła. Pod nią rozpościerało się Vann,

otoczone górskimi szczytami broniącymi go skuteczniej niż wszelkie mury; graniczne, niezdobyte Vann.

Na niższych piętrach kłębili się już żołnierze – gwardia Velsuny i pośpiesznie zgromadzeni przez niego chłopcy i dziewczęta o silnym źródle, którzy przed paroma dniami po raz pierwszy dostali do rąk ostrza. Armia przecież nie była miastu potrzebna.

– Szukajcie obcego źródła! – zawołał do nich Velsuna, wychylając się przez balkon. Powietrze wokół niego gęstniało od magii. Z każdym oddechem ledwo tamowana złość króla, na w pół uformowana w życzenie, parzyła Aite wargi.

Aite posmakowała tej wściekłości i zrozumiała: nie mają jak się obronić. Vann upadnie. Jedyną strategią, jaką opracował Velsuna – nic więcej nie wydawało się wszak potrzebne, póki biło serce Vann – było zabezpieczanie wrót i pilnowanie miasta. Saadyjczycy mogli koczować pod bramami i liczyć na klęskę głodu, ale prędzej król-mag zdążyłby zatruć obce oddziały. Oblężenie, jak rozumiała je Aite, było tylko tymczasową niedogodnością.

Już nie.

– Pokaż się! – wrzeszczał Velsuna, rozdzierając zewnętrzne ściany pałacu, krusząc tysiącletnie posągi u jego wrót i spopielając gobeliny. Szkło ściekało z szyb. Na policzkach władcy wykwitły bąble oparzeń.

– Velsuna! – Aite szarpnęła go za ramię. Nie miała szans, by odsunąć go od źródła gorąca, ale przynajmniej ją zauważył. Oprzytomniał, zrobił kilka kroków do tyłu i odwrócił się.

Główna brama miasta, strzeżona przez wyśnione przed wiekami lwy, stała otworem. Przez wrota wlewała się rzeka saadyjskich żołnierzy; w deszczowej szarości ich szkarłatne sztandary zdawały się wręcz jarzyć.

Pośrodku tej rzeki, niewzruszona, siedziała na koniu matka Aite, doradczyni, pośpiesznie mianowana generałem. W wyciągniętej ręce trzymała serce Vann. Aite nigdy go nie widziała, ale teraz nie miała wątpliwości, na co patrzy: pozornie proste ostrze, bez żadnych zdobień, ale kipiące dawnym, silnym źródłem. Dla Saadyjczyków gest generał mógł być tylko symboliczny – ale Rasenowie słyszeli obezwładniającą pieśń budowniczych Vann i ci nieliczni obrońcy, których Velsuna zostawił przy bramie, składali już broń przed Selatri. Niektórzy bez oporu wyciągali nadgarstki ku najeźdźcom, czekając na kajdany.

Velsuna odwrócił się do Aite. Jego twarz nie należała już do króla-maga: była twarzą pozostawionego sobie, pokonanego mężczyzny, który wie, że wkrótce umrze. Nim Aite zdążyła cokolwiek zrobić, rzucił się po schodach, ku bramie.

Przygrzyżała własną dłoń, by powstrzymać krzyk strachu. Saadyjscy żołnierze na drodze króla padali na ziemię – nie, padały same elementy ubioru i ekwipunku, ciało nie było, zamienionych w popiół królewskim rozkazem. Nad miastem podniósł się wściekły wrzask. Saadyjscy i Rasenowie równocześnie zaczęli się wycofywać, ktoś próbował wyrąbać sobie drogę ucieczki wśród towarzyszy. Velsuna szedł dalej, niepomyślny paniki jego poddanych, zagarniając ku sobie źródło, gotów ukarać generała...

Moją matkę, pomyślała przelotnie Aite.

...gdy uderzyła go strzała. Aite dostrzegła tylko smukłą sylwetkę, odrzucającą kuszę w gąszcz krzaków i zeskakującą z pałacowego balkonu. Velsuna, wycieńczony własną wściekłością i ranny, zatrzymał się. Z jego pleców wystawał grot.

Kusznik wiedział, gdzie strzelać. Król zachwiał się i upadł, najpierw na kolana, później twarzą w błoto. Aite przestała się przejmować tym, że ktoś ją może usłyszeć.

\*\*\*

Skuliła się na balkonie i stamtąd słyszała, jak jej matka poddaje miasto – prosimy córki i synów Saady o opiekę – a potem, jak coś krzyczy i próbuje argumentować, ale Saada już jej nie słucha.

\*\*\*

*Dawno, dawno temu...*

*Nie, to nie było aż tak dawno.*

\*\*\*

Znaleźli ją dopiero wieczorem, skuloną i zmarzniętą.

Balkon zalało miękkie, złote światło pochodni. W nim zobaczyła żołnierza Saady, mrużącego obwiedzione kohlem oczy.

– Wasza Wysokość – powiedział w raseńskim.

Odruchowo sięgnęła do swojego źródła. Wciąż biło, słabe, lecz równe.

Przez chwilę mierzyła żołnierza spojrzeniem, zastanawiając się, czy to prawda, co mówili o armii Saady: że chirurgowie okaleczali żołnierzy, by ci stawali się głusi na rozkazy płynące ze źródła. Domyślała się, że chłopak się bał – drzenie mięśni, ostrożny krok. Czym innym musiało być słuchanie o splendorze dawnej Rasenny, a czym innym znalezienie się pośród niego.

Przynajmniej nie zniszczą miasta, pomyślała ponuro. Nawet oni nie dadzą rady go zburzyć.

Po czym przypomniała sobie, że ma osiemnaście lat, że straciła wszystkich swoich bliskich i że musi się poddać, jeśli chce przetrwać. Rozluźniła uścisk na źródle.

– Nie mów tak do mnie. Nie jestem królową.

Sklonił głowę w geście, który mógł oznaczać zarówno zrozumienie, jak i szacunek.

– Proszę tędy – powiedział, wolną ręką podnosząc ostrze.

W drodze do zaimprovizowanej celi żołnierz przedstawił jej się jako Zaim, kasser – prawa dłoń nowego zarządcy miasta. Aite przyjęła jego wyjaśnienia polityki Saady bez zainteresowania.

– Będziemy musieli cię przesłuchać – powiedział do niej. – Rozumiesz?

Rozumiała jego raseński, miał dobry akcent, tylko słowo było dla niej wypłukane ze znaczenia. Gdy Zaim pozwolił jej usiąść, objęła się rękami i utkwiała tępy wzrok w ścianie.

Po jakimś czasie z transu wybił ją dźwięk rozmowy. Dwa głosy: jeden znajomy, choć nie wróżący nic dobrego. Aite potrzebowała chwili, by z tej kakofonii wyłowić poszczególne słowa. Nigdy nie przywykła do zgrzytu języka Saady, sama jego nauka była dworską fanaberią.

– ...córkę.

– Niech to zaraza. – Autorka tych słów, nieznaną Aite, zatrzymała się przed jej celą. Uderzyła obcasami w posadzkę. – No nic.

– Ta dziewczyna może nam pomóc.

– W czym? – parsknęła obca kobieta.

– Zrozumieć, co tu się stało. – Zaim sam nie wydawał się przekonany do własnych słów. Kobieta milczała wymownie. – Idarit, ona jest cywilem...

– Nie jest – odparła głucho tamta. – Jest córką generała tego przekłętego miasta.

W świetle rzuconym na podłogę zarysowały się dwa cienie. Skrzypnęły drzwi.

– Wątpię, by to wiele dało – rzuciła kobieta.

Aite zmusiła się do ruchu dopiero wtedy, gdy Zaim przykucnął przed nią, zawołał „Wasza Wysokość” i nakazał spojrzeć sobie w oczy. Wykonała polecenie. Potem niechętnie przeniosła wzrok na kobietę i gwałtownie przytuliła się do ściany. Mogła się mylić, oczywiście, ale poznawała tę smukłą sylwetkę, czarny ubiór...

– Mam na imię Idarit – powiedziała obca w ostro akcentowanym raseńskim. „Mam nai mię Idarit.” – Nowa isbet Vann. Chcę z tobą rozmawiać.

Podobnie jak Zaim, miała szeroką twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i gęste, grube brwi. Jej powieki były ciężkie i zapuchnięte z niewyspania, a strupy w kącikach ust zdradzały niedożywienie. Aite patrzyła na nią bez zrozumienia.

– Zostaliśmy wysłani przez nowo mianowanego namiestnika miasta – tłumaczył cierpliwie Zaim. – Ja jestem jego prawą dłonią, a Idarit lewą. Rozumiesz?

Jego język był dużo lepszy niż Idarit, dużo bardziej płynny. Jednak słowa i tak nie chciały się zatrzymywać w umyśle Aite.

– Prawa dłoń zajmuje się dyplomacją i administracją, a lewa... – zaciął się na chwilę – wydawaniem wyroków. Służy temu, co konieczne. Wszyscy nasi chirurdzy są leworęczni. To, co robią, jest... niekiedy trwale okalecza. Ale jest konieczne.

W oczach Aite pojawił się błysk zrozumienia.

– Czy wy mi grozicie?

– Na litość, nie. – Zaim wzdrygnął się.

Sądząc po złym, zaciętym uśmiechu Idarit, dłonie namiestnika miały na ten temat różne poglądy. Przestraszona Aite poszukała źródła.

– Zostaliśmy wysłani oboje, bo jesteś tak ważna – mówił dalej Zaim. – A także... chcemy cię chronić.

Dziewczyna uśmiechnęła się z goryczą.

– Wypadłam z łask w mieście, czyż nie?

Odpowiedziała jej Idarit w swoim łamanym raseńskim:

– Być może. Ale wciąż możesz mieć jeszcze dobre życie.

Pytali ją oczywiście o generał Selatri. Czy Aite wiedziała o tym, co planuje jej matka. Wypytywali o króla, na co wybuchnęła, by zabójczyni Velsuny nie bezcześciła jego imienia.

Ale Aite nic nie wiedziała. Mimo nalegań Zaima nie przypomniwała sobie, by dostrzegła cokolwiek, co wskazywałoby na zdradę; choć teraz czerpała ponurą satysfakcję z tego, że wciąż się bali generała, spodziewali się podstępu. Nie rozumieli, czego Selatri chciała dokonać. Nie mieli pojęcia, czym było serce Vann. Ale nie, ich więźniarka o niczym nie wiedziała. Nie interesowała jej polityka.

Aite podłapała zniechęcone spojrzenie Idarit. Jedyne, co udało się osiągnąć dłoniom namiestnika, to rozpalenie na nowo jej gniewu. A jednocześnie nie mogła wyjść z podziwu, jakkolwiek podszytego nienawiścią, jak dobrze jej matka zagrała i wykorzystwała wszystkie swoje atuty. Serce Vann. Oczywiście jeśli Velsuna komuś powiedział, gdzie i czym ono jest, tą osobą musiała być Selatri. Nie tylko dlatego, że została jego generał – także dlatego, że między doradczynią a królem była jeszcze Aite.

Teraz to widziała: to jej życie gwarantowało, że Velsuna i Selatri będą współpracować. Znalazła się pomiędzy dwójką potężnych ludzi, którzy ją kochali – ale nie przeszkodziło im to w wykorzystywaniu jej. Nie mieli trudnego zadania. Była wszak laleczką, naiwną nastolatką, ozdobą dworu. O niczym nie wiedziała.

Powtarzała to podczas kolejnych przesłuchań, ale Idarit od początku jej nie ufała. Gdy Zaim poddał się – Aite przypuszczała, że przychodził już tylko nękaną jakimiś osobliwymi wyrzutami sumienia lub chęcią uzasadnienia, dlaczego pozwolili jej żyć – Idarit wciąż nie spoczęła, przekonana, że więźniarka zachowała przed nimi jakiś sekret. Jakby chciała dowieść, że to niemożliwe, by kochanka króla nie miała o niczym pojęcia. Ale tak właśnie przecież było. Aite spędziła całe swoje dotychczasowe życie pod topazowym kłosem. Stopniowo nieufność Idarit przeradzała się w ledwo maskowaną pogardę.

\*\*\*

*Nasze prawo nie zostawiało wątpliwości. Zabójstwo było najgorszym przewinieniem. Ale dobrowolna ofiara...*

*Głodne Vann chciało ofiar.*

\*\*\*

O posągu Aite dowiedziała się od Zaima. Kasser stanął ze skrzyżowanymi ramionami w kącie celi, przy drzwiach. Nie patrzył jej w oczy.

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć – zaczął, dając sobie spokój z „Waszą Wysokością”.

Domyślała się, że to miało jakiś związek z jej matką. W końcu nie mogli stracić zdrajczynie, która otworzyła przed nimi miasto. Ale Selatri nie stała się przez to saadyjską bohaterką. Mogła zdradzić po raz drugi.

Zaim nie zataił przed Aite żadnych szczegółów.

– Dobrze – odpowiedziała.

Początkowo myślał chyba, że nie zrozumiała, i zaczął szukać synonimów, ale przerwała mu. Rozumiała doskonale.

– I.. nie chcesz tam iść?

– Po co? – zapytała.

Zaim uciekł spojrzeniem w bok.

– Wezwała cię. Prosiła, żebyś przyszła.

– Nie – odpowiedziała ze spokojem.

\*\*\*

Wreszcie Idarit ugięła się i pozwoliła zamienić celę Aite na innego rodzaju areszt – zabraniając dziewczynie opuszczać mury pałacu. Aite przechadzała się jak we śnie po splądrowanych pokojach, z niedowierzaniem przeglądała się w stłuczonym topazie. Zdążyła schudnąć, choć dawali jej jeść. Wciąż miała szerokie biodra i miękkie ramiona, ale jej skóra wydawała się obwisła, jakby zdjęto ją z kogoś większego. Jej włosy straciły połysk. Gdy spróbowała się do siebie uśmiechnąć, odbicie odpowiedziało jej dziwnym grymasem, który nie przekonałby nikogo.

Ale musi żyć, powtarzała sobie. Nawet jeśli jest sama. Nawet jeśli nie wie, jak sobie poradzić. Dowie się.

Jedzenie – skąpe przydziały mąki i mleka, czasem szarzejące, półdojrzałe owoce – nie miały dla niej żadnego smaku, ale zmuszała się do przełykania kolejnych kęsów. Musiała mieć dość siły, żeby się uwolnić. Nawet ona nie była tak naiwna, by wierzyć, że Saadyjczycy będą ją utrzymywać: Zaim mógł się nad nią litować, ale w końcu straci jakiegokolwiek argumenty, a lewa dłoń wyda swój wyrok. Tępy ból w piersi nie słabł, ale Aite chciała przetrwać – na przekór stracie. Ktoś musiał zapamiętać Vann. A jeśli Aite naprawdę chciała przeżyć, musiała przekuć ten ból w coś innego, broń, której Saadyjczycy nie będą się spodziewać.



Najbardziej oczywistą broń – źródło – odebrano Aite i pozostałym Rasenom zatrzymanym w pałacu, posłużuwszy się w tym celu rękami kolaborantów.

Szlachcianka wraz z innymi patrzyła, jak nowi współpracownicy Saadyjczyków stawiają barierę wokół pałacu. Żaden z więźniów nie miał siły się sprzeciwić: z wzrokiem wbitym w plecy pobratymców oglądali, jak bariera splata się nad nimi, wygłusza ich źródło. Aite nie mogła się nawet zmusić, by odczuwać wobec kolaborantów choć trochę niechęci. Ci ludzie, tak jak ona, starali się przeżyć. Gdyby dano jej szansę – zapytano, czy chce służyć Saadzie – zapewne zgodziłaby się.

Na twarzach budowniczych bariery perlił się pot. Jeden z Rasenów zachwiał się i upadł na kolana. Jego źródło było nierówno, bliskie wyczerpania. Dwóch saadyjskich żołnierzy odciągnęło męczyznę od muru.

Poblady Zaim nadzorował prace, z trudem ukrywając lęk.

– Pozostali niech kontynuują – powiedział.

Aite skrzyżowała ramiona. Źródło – jej i pozostałych więźniów – nie przestawało bić, ale milkło, aż otoczyła ich obca, przeraźliwa, nieznaną wcześniej cisza.

\*\*\*

– Pomóż mi wydostać się z miasta. Proszę. – Głos dziewczyny drżał, jej oczy były rozbiegane i nerwowo omiatały zrujnowany pałacowy ogród. Spod chusty, zawiniętej zgodnie z żałobnym zwyczajem, nie było widać wiele więcej: zapuchnięte powieki, zmatowiałe włosy. Obca przycisnęła policzek do kraty dzielącej ją od ulic Vann.

– Proszę – szepnęła. – Nie wypuszczają nas z pałacu. Tu są ludzie, którzy pilnują, byśmy nie używali źródła. Rozpięli tu barierę. – Jej oczy pociemniały. – Nie wydostanę się stąd sama. Ale ty jesteś za bramą, proszę...

Zaczepta kobieta dała ręką znak rodzinie, by na nią nie czekałi. Tamci dołączyli do tłumu gęstniejącego przy półotwartej bramie miasta. Tłum miał jedną twarz – już nawet nie smutną, tylko znużoną. Byle wyrwać się stąd. Cokolwiek czeka za bramą, niech już nadejdzie.

Wysiedleńcy zaczęli gromadzić się przy bramie już trzy dni wcześniej. Zawiadujący tłumem żołnierze kopali w porzucone

w rynsztoku garnki i rozgrzebywali butami popiół. Niektórzy szukali w wygaszonych ogniskach żarzących się węgli, gotowi oskarżać wysiedleńców o celowe zaniedbania. Jakby jeszcze nie wiedzieli, że zwykły ogień nie wystarczy, by spalić to miasto.

Pochód powoli ruszył w drogę. Kobieta zakołysała się na piętach.

– Proszę – powtarzała dziewczyna, wbijając w uchodźczynię błagalne spojrzenie. – Tutaj zginę, a za murami czeka może lepszy los... choćby ciężka, niewdzięczna praca na ziemiach jakiegoś Saadyjczyka.

Szlachcianka. Gdyby nie zdradzała jej staranna dykcja, zrobiłyby to drobne, miękkie dłonie z paznokciami barwionymi rudawą gliną i tatuaż na podbródku.

Aite jedną ręką trzymała się kraty, drugą otwierając torebkę przy pasku. Błysnęło złoto, kamień wyłuskany z pierścionka, a między nimi bryłka czegoś ciemnobordowego, jak bezkształtny ciemny bursztyn.

– Odwdzięczę się. – Obróciła bryłkę między palcami.

– Nie obnoś się tak z tym. – Kobieta wychyliła się jednak w jej stronę. – To będzie cię drogo kosztować – dodała po chwili, przesuważąc językiem po zębach. – I nie myśl, że cię nie rozpoznałam, Aite Selatri.

Dziewczyna cofnęła się o pół kroku, ale nie opuściła oczu.

– Ile? Trzy? Pięć?

Zniszczona twarz kobiety wykrzywiła się w uśmiechu.

– Czy cokolwiek ci zostało w tych twoich cienkich żyłach?

Mówili: nie pozwól boskiej krwi spłynąć z powrotem do ziemi. Ale to było dawno temu, nie ma już tamtych świętości. Teraz Aite równie dobrze mogła uczynić ze swojego źródła walutę.

– Ile? – nie ustępowała.

– Pięć.

Dokonały transakcji szybko, by żaden ze strażników nie zauważył. Aite była jednak pewna, że nie umknęły ich uwadze, ale gdyby ci chcieli śledzić cały nielegalny handel odbywający się pod bramą, pochód wysiedleńców nigdy by nie ruszył.

Aite chciała też wierzyć, że może to ludzki odruch. Czuła na sobie wzrok jednego z żołnierzy. Z jego twarzy biło obrzydzenie – do siebie samego. Chłopak nie był już bardzo młody, jego policzek szpeciła pamiątka z walk o miasto. Mało co mogło go zaskoczyć. Jednak przeglądał podstawione mu dokumenty, wypuszczał na zewnątrz

kolejne rodziny z taką miną, jakby chciał zapytać: co ja tu właściwie robię?

To nie walka. Wysiedlamy cywilów.

Dokąd? Nikt nie wie.

Po co? By rozrzedzić przeklętą, magiczną krew.

Aite podała kobiecie kryształki krwi. Jednym płynnym ruchem przytrzymała nadgarstek obcej.

– Obiecałaś – powiedziała.

Kobieta szarpnęła się, ale Aite nie rozluźniła uścisku.

– Otwórz bramę.

– Przestań!

– I nie krzycz – syknęła Aite. Poczowała mrowienie, gdy jej źródło popłynęło za bramę, zagęściło się wokół dłoni uciekiniarki. Chwilę później rozległ się suchy trzask w powietrzu. Bariera zadziałała. Kobieta zaklęła i wyrwała rękę.

– Puste nieba!

Popatrzyła ponad ramieniem Aite na strażę zmierzające już w ich stronę i odskoczyła w tył. Na odchodne rzuciła:

– A ten twój zbrylonny jad zachowam sobie. Za fatygę. Powinnaś mi być wdzięczna, że nie polecałam z tym do Saadyjczyków.

Aite westchnęła głęboko. Nigdy wcześniej nie zrobiła niczego podobnego: nie sięgnęła do swojego źródła, by kogoś zmusić. Być może to było okrutne, ale w coraz biedniejszym, nękanym głodem mieście miała nikłe szanse na przetrwanie. Zaim i Idarit mogli dbać o Aite, ale podczas pobytu w prowizorycznym więzieniu wyłoniła się nowa część jej umysłu, lodowata i ostra jak nóż, dyktująca, co należy zrobić, by przetrwać.

Teraz Aite przypomniała sobie o posągu.

\*\*\*

– Musisz to zrobić – powiedziała nowa lodowata Aite swojemu odbiciu.

Druga Aite skrzywiła się do niej z lustra, które było najzwyczajszą metalową taflą: nie kłębiły się w nim żadne cienie.

Dziewczyna westchnęła, po raz ostatni poprawiła chustę i wyszła.

Im bliżej było do posągu, tym wolniejsze stały się jej kroki. Gdy dotarła do skraju placu, zatrzymała się zupełnie. Zewsząd otaczał ją mur, czuła barierę jak dreszcz, który nie mijał nigdy do końca.

Przed sobą widziała tył statui: płaszcz spływający z naramienników aż do ziemi i kaptur zsunięty z kształtnej głowy, którą oplatały grube warkocze. Posąg miał wyciągniętą ku górze rękę, w której dzierżył nagi miecz.

Czubki palców, zamkniętych wokół znajomego ostrza, nie straciły jeszcze żółtawego odcienia ludzkiej skóry.

Aite próbowała zmusić się do wykonania ruchu, choć jej nogi zdały się wrośnięte w ziemię. Z oddechem wyrwał jej się szloch. Nie dbała już o to, że ktoś na pewno zwrócił na nią uwagę. Otarła oczy wierzchem dłoni i podeszła bliżej.

Powinna być szczęśliwa, pomyślała Aite. W końcu jest tak, jak chciała. Nic nie zburzy jej pozy. Żaden wiatr nie poruszy kamieniejącymi połami płaszcza. Serce już dawno temu miała z kamienia, teraz tylko do serca dołączy cała reszta.

Selatri już w większości zamieniła się w kamień. Skąła objęła nogi i brzuch, sięgnęła po skryte za napierśnikiem miękkie ciało. Zamknęła w sobie ramiona i dłonie: prawica już nigdy nie wypuści miecza.

Co ona chce przez to powiedzieć? Aite wzruszyła ramionami.

Na początku Selatri wołała ją. „Powiedźcie mojej córce, że muszę z nią pomówić”. Aite odsyłała posłańców, ignorowała nawet zatroskanego Zaima.

Teraz musiała to przyznać sama przed sobą – chciała zranić Selatri. Tylko tyle mogła zrobić, bo generał, złośliwie chyba, zabezpieczyła się nawet w obliczu swojej kary. Co więcej można odebrać kobiecie zmuszonej do tego, by samą siebie zamieniła w posąg?

Jej matka, zawsze o krok przed innymi, grająca w swoją własną grę. Pewnie nawet teraz była z siebie dumna.

A potem było już zbyt późno, by tu przychodzić. Żal osłabł, na jego miejscu pojawiła się tęsknota, ale Aite nie potrafiłaby wytłumaczyć – ani sobie, ani matce – dlaczego nie zjawiała się wcześniej. Łatwiej było już po prostu nie przychodzić.

Teraz był ostatni moment, by to zmienić.

A Aite potrzebowała pomocy.

Podeszła do posągu. Jej matka zamieniała się w pirynt – w szarym jesiennym świetle jego połysk niemal natychmiast matowieł. U jej stóp kamień zaczął już czernieć, a odbłaski złota ustąpiły miejsca dziwnym, przydymionym fioletem. Po ostrzu skamieniałego miecza

splywały czerwonaawe zacieki. Skała kończyła się tuż pod podbródkiem kobiety, obejmując jej potylicę, zagarniając warkocze. Nawet oczy Selatri przybrały tę zestałą barwę i poruszały się leniwie pod znieruchomiałymi powiekami.

Jeszcze kilka dni i kamień zamknie się wokół Selatri. Aite próbowała nie myśleć o tym, co się wtedy stanie. Miała cichą nadzieję, że matka zużyje na to resztki swojej magii i że kara się skończy. Ale Aite pamiętała też szepczące ściany pałacu, które mogły zamknąć w sobie budowniczych na zawsze, zatrzymać w półśnie i momencie związania.

– Przyszłam do ciebie – powiedziała cicho, dotykając chłodnego policzka matki. Oczy Selatri przesunęły się na nią, choć Aite nie miała pewności, czy generał jeszcze widzi. – Wołałaś mnie? – spróbowała po chwili, gdy nie dostała żadnej odpowiedzi.

Selatri z trudem rozchyliła wargi.

– Córeczko.

Aite już nie czuła się niczyją córeczką, niczym kwiatkiem hodowanym do określonej roli. Mimo wszystko próbowała docenić ten gest. Wiedziała, że będzie tęsknić za głosem matki, nieważne, ile razy Selatri ją oszukała.

– Jestem tutaj. – Obwiodła palcem tatuaż na podbródku kobiety. Granatowy atrament w skórze stał się niemal nieodróżnialny od skały.

Selatri znów milczała. Cisza przedłużała się. Aite zaczęła rozglądać się na boki: zaraz ktoś zacznie podsłuchiwać, jeśli jeszcze tego nie robił. Nie łudziła się, że Saadyjczycy ufali jej choć trochę. Przełkując dumę, powiedziała:

– Chcę uciec. Potrzebuję twojej pomocy.

Znów cisza. Aite miała ochotę bić pięściami i rozkruszyć kamień. Nie po to, by uwolnić swoją matkę, ale narosła w niej gorycz, gorzkie przekonanie, że to nie może się tak skończyć. Nie w ten sposób, nie tak wcześnie. Jeszcze nie teraz.

– Ty na pewno wiesz – szepnęła do matki. – Powiedz mi coś, co pomoże mi uciec.

Ciemne oczy Selatri przesunęły się jak we śnie. Prośba zamarła na wargach Aite.

Oddech posągu był świszczący, suchy, jak wiatr prześlizgujący się przez skalną wyrwę.

– Twój król żyje.

Początkowo Aite wydało się, że się przesłyszała. Że tak bardzo chciała usłyszeć te słowa, że wplotła je w oddech matki. Ale nie.

– On żyje – powtarzała Selatri, przez chwilę patrząc wprost na córkę.

Aite cofnęła się od posagu. Zakręciło jej się w głowie. Nie spodziewała się, że usłyszysz swoje najskrytsze marzenie – którego trzymała się tak szaleńczo, że nie chciała go wypowiedzieć, by go nie roztrzaskać – z ust matki. Wygłoszone nie jako życzenie, ale jako prawdę. Fakt.

Selatri by jej nie okłamała. Nie teraz.

Posąg, w którym zostało już tak niewiele z osobowości jej matki, znów wodził po okolicy błędnym spojrzeniem. Do Aite zaczęła już się zbliżać dwójka strażników. Dziewczyna odwróciła się od nich, nim zdążyli się odezwać, i odeszła szybko. Jej żołądek wciąż był ściśnięty z głodu, ale nowe poczucie lekkości nie miało z tym nic wspólnego. Jej serce śpiewało. Król żyje! Teraz musi tylko go odnaleźć.

Ostatni raz obejrzała się na posąg i zdała sobie sprawę jeszcze z czegoś. Choć jej matka także znajdowała się wewnątrz bariery, wciąż zamieniała się w kamień. Starej magii nie wytłumiono. Pałac, choć otoczony barierą, wciąż był po stronie Rasenów.

\*\*\*

W nocy Aite nie mogła zasnąć. Po słowach Selatri tęsknota za Velsuną przybrała nową formę: o ile wcześniej była odległym, ciemnym bólem, tak teraz zdawała się płonąć w jej piersi żywym ogniem.

Zaczynała planować. Wiedziała, że będzie musiała uspić czujność nowego dworu, nowego porządku. Zaim wciąż się o nią troszczył, czasem podsuwał jej jakieś jabłko, którego nie przewidywały racje pokarmowe, ale zawsze było w tych gestach coś protekcyjnego, jakby miał do czynienia z dzieckiem w ciele dorosłej. Idarit już dawno przestała z nią rozmawiać, choć nie spuszczała Rasenki z oka.

Aite musiała przyznać, że to bezpieczniejsze; niech uważają ją za dziecko.

Próbowała myśleć jak Selatri, ważyć swoje atuty. Raz po raz pytała siebie, co byłaby w stanie poświęcić. Spodziewała się, że chwila nieuwagi Saadyjczyków nie będzie tania.

\*\*\*

Fakt, że pozwolono Aite zachować apartament w pałacu – co prawda po uprzednim obrabowaniu go – działał na jej korzyść, a także to, że z czasem stała się dla nowych władców Vann niemal przezroczy-sta. Jak dotąd nigdy nie przyłapano Aite w miejscu, w którym nie powinna być. Wciąż nie mogła czerpać ze swojego źródła. Jego cisza nieustannie ją drażniła.

Ale nie mogła pozwolić, by ta nowa złość przesłoniła jej cel.

Słuchała. I korzystała z tego, że nikt nie przypisałby jej znajomości obcego języka.

– Nie możesz – mówił Zaim, ścisząc głos.

– Owszem, mogę – wyszczała w odpowiedzi Idarit. – To ja tu jestem sędzią.

– Nie możesz – powtórzył Zaim – bo jeśli informacja o tym wyjdzie na jaw, możemy stracić to miasto. On zabił człowieka.

Idarit prychnęła.

– Zabił Rasena.

– Jeśli widzisz różnicę, powinnaś chyba rozważyć emeryturę.

– Saada czy Rasenna – powiedziała Idarit ledwo słyszalnym głosem, oddalając się korytarzem – różnica jest taka, że znajdujemy się w ich mieście.

– Nie mogę tego zataić, Idarit. Zapłacę za to głową.

Idarit wymownie milczała.

– To twoja wina! Ty do tego doprowadziłaś! – wybuchnął Zaim, wbiegając na schody. Reszta rozmowy utonęła w echu kroków.

Aite wiedziała, że pokój między Dłońmi jest czymś kruchym – sama instytucja zakładała napięcie, konflikt, dążenie ku lepszemu i porównywanie się z tym drugim. Ale teraz coś się zmieniło. Coś pękło.

Żaden saadyjski urzędnik nie mógł być gotów na obciążenie, jakie przyniosło zarządzanie miastem Rasenów. Vann było pierwsze: stało się punktem zaczepienia Saadyjczyków w obcym kraju, pierwszym zwycięstwem i dowodem na to, że można pokonać nawet naród magów. Saada traktowała jednak to zwycięstwo z dużą ostrożnością, wysyłając jako namiestnika kogoś, kogo kariera w stolicy wisiała na włosku. Dla starzejącego się dyplomaty Vann mogło stać się ostatnią szansą – ale było raczej, jak szeptano, miejscem zsyłki. Idarit pośpiesznie awansowano po tym, jak strzeliła do Velsuny. Zaim wydał się idealistą, ale i tego Aite nie była całkowicie pewna.

Bez wahania zdecydowała: weźmie stronę Zaima, bo jego pozycji więcej teraz zagrażało. Kasser mógłby nawet odczytać jej wsparcie jako wyraz wdzięczności za wszystkie jego drobne akty pomocy.

Okazja nadarzyła się kilka dni później, gdy Zaim przyniósł koszyk daktyli. Aite podziękowała i schowała owoce do szafki.

Zaim wciąż stał w drzwiach.

– Min Aite... – zaczął, używając oficjalnej formy.

Posłała mu przelotny, smutny uśmiech. Spodziewała się już. Cierpliwość Saadyjczyków dobiegała końca.

– Pozwól sobie pomóc – kontynuował. – Nie potrzebujemy wiele. Próbujemy tylko zrozumieć...

– Dlaczego Vann było niezdobyte? – odpowiedziała słabym głosem.

Zaim wzdrygnął się na dźwięk ostatniego słowa, ale przytaknął ruchem głowy.

Aite wstała od stołu.

– Chodź za mną.

Zaim trochę się ociągał, bądź co bądź szedł za wiedźmą – i nawet jeśli Aite nic by mu nie zrobiła, nawet jeśli byli wewnątrz barier, samo jej towarzystwo wystarczyło, by wzbudzić instynktowne podejrzania. Jednak ostatecznie poszedł z nią do zrujnowanego wewnętrznego pałacu.

Odłamki topazu, które Aite już dawno wypuściła z myśli, posprzątało – lub raczej rozkradziono. Znikło wszystko, co dało się zabrać lub zedrzeć ze ścian. Ale zostało ciche, znajome pulsowanie źródła. Dziewczyna westchnęła, gładząc kamień ręką.

– Kiedyś słyszałam szepty budowniczych zakłète w kamieniu – powiedziała. Zaim spiął ramiona, ale słuchał uważnie. – Ich życzenia, gdy przetwarzali skałę.

– Potrafiłaś rozróżnić poszczególne słowa?

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Niezupełnie. Nie zawsze przynajmniej. Ale tam, gdzie te życzenia są najbardziej precyzyjne, najbardziej skoncentrowane...

*Wasza bariera jest przy nich niczym.*

Zobaczyła, jak jego oczy otwierają się szeroko.

– Na przykład jakie? – zapytał. – Myślałem, że to serce pałacu jest najbardziej... gęste... od magii.



Słumiła nowy ogieniek zazdrości. Zaim traktował ją jak głupią panienkę. *Teraz ci to przeszkadza?* – odezwał się w jej głowie głos lodowatej, ostrej Aite. *Pozwól mu tak myśleć.*

Kasser odczytał jej milczenie jako wahanie.

– Czy to... czy zapytałem o coś, co dotyczyło ciebie i króla?

Dla zachowania pozorów otarła oczy wierzchem dłoni.

– Tak. Ale... Chodź. Chcę ci pokazać, że potrafimy też tworzyć piękno.

Z dłonią opartą na rękojeści miecza Zaim poszedł za nią. Aite rozpałała lampy jednym niedbałym gestem; Saadyjczyk wzdrgnął się, ale to przecież zrobiłaby lekkomyślna szlachcianka.

Otworzyła ścianę. Tego pomieszczenia Saadyjczycy nie mogli znaleźć; wejście słuchało się krwi. Aite była tu wcześniej raz, z królem. Ale wtedy nie wiedziała, na co patrzy, Velsuna zaś nie czuł potrzeby, by jej to objaśniać.

Teraz wiedziała. I wiedziała też, że skoro mogła tu wejść Selatri, to i jej się uda.

– Gliptoteka – powiedziała, wprowadzając go do przestronnego korytarza.

Zaim słumił okrzyk. Miękki blask wyłonił z półmroku sylwetki. Rzeźby tak realistyczne, że wydawały się żywymi ludźmi zakłętymi w kamień, jak Selatri. Ku nim wychylały się złote dłonie. Refleksy światła w obsydianowych oczach były nie do odróżnienia od błysków w oczach żywych. Zaim wyraźnie wstrzymywał oddech, spodziewając się, że czekający tu Rasenowie zaraz się poruszą i rzuca się na obcego.

– Rodzina Velsuny – wyjaśniła Aite, przechadzając się między posągami.

– Myślałem, że wy...

– Że nie uwieczniamy naszych zmarłych? Faktycznie, zazwyczaj tego nie robimy. Ale ci tutaj to nie tylko podobizny, stworzone zresztą przeważnie za życia modeli... – Zatrzymała się przed centralnym posągiem. *Tutaj.* Było tu wcześniej. Widziała je. Popatrzyła głęboko w obsydianowe oczy nestora rodu, splatającego przed sobą dłonie, jakby ujmował powietrze. – Mówią, że pilnowali Vann.

Zaim zadrżał. Spojrzała na niego wyczekująco.

– Rzeczywiście, piękne. Ale... nie powinniśmy tu być...

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Też to czuła, choć dużo słabiej. Nie byli mile widziani w tym sanktuarium. W drodze powrotnej próbowała uspokoić łomot serca. Nie miała pewności, że Zaim połknął haczyk. Czy nie wystraszyła go zanadto? Czy wręcz przeciwnie – uznał, że pokazała mu sekret Vann?

Tyle ryzykowała. Wszystko dla słów Selatri, które równie dobrze mogły okazać się bredzeniem kobiety zamienianej żywcem w kamień. Jej ludzka część musiała umierać z pragnienia i głodu. Selatri mogła powiedzieć jej cokolwiek. Mogła przeprosić. Z jakiegoś powodu chciała jednak mówić o Velsunie.

\*\*\*

Zaim pojawił się u jej drzwi ponownie kilka dni później. Bawił się sznurkami przy mankiecie swojej tuniki, nie patrząc na dziewczynę. Jeszcze ktoś pomyśli, że znalazłam nowego adoratora, pomyślała kwaśno.

– To, co mi pokazałaś, Aite. – powiedział.

– Tak? – Poczowała gęsią skórę.

– Okłamałaś mnie.

Otworzyła usta, by powiedzieć, że niezupełnie, ale zaraz je zamknęła. Dla Saadyjczyków zawilosci genealogii Rasenów były nie tyle niepojęte, co nieistotne – pozostawali na nie niewrażliwi. Nie czuli ich, nie widzieli.

– Można tak powiedzieć – przyznała z ociąganiem.

– Co to było? Co to było, Aite? – powtórzył, gdy nie odpowiedziała.

– Strażnicy miasta – powiedziała powoli. – Tak, jak ci powiedziałam. Serce Vann. Trzymał je pierwszy król. Kiedyś. Jak długo pozostało w jego rękach, miasto było niezdobyte.

– Gdzie jest teraz?

W oczach Zaima zalśniło coś nowego: chciwość. Mimo swej miłej natury wciąż był wiernym żołnierzem Saady. Nie mógł przeoczyć klucza, który mógł otworzyć mu pozostałe państwa-miasta magów.

Na to Aite mogła mu odpowiedzieć.

– Widziałeś je. W ręce Selatri.

W ostatniej chwili zapanował nad twarzą. Udała, że nie dostrzegła, jak zagryzł zęby, jak zadrżały mu nozdrza.

– Ostrze – podjął po chwili. – Wy nie zabijacie. Dlaczego więc?

– Widziałeś, jak Selatri je trzyma. Symbol poświęcenia. Mówią, że w tym mieczu jest prawdziwe serce pierwszego króla. Poprosił swoich braci, by przekuli je w miecz.

Zaim głośno wciągnął powietrze.

– Wydawało mi się tam, że je słyszę – przyznał po chwili. – Serce? Cienie? – Popatrzył na Aite pytająco.

Drgnęła. Nie było tego po nim widać, nie czuła jego źródła, ale przecież mógł mieć w sobie trochę krwi Rasenów. Istnieli wszak Rasenowie mieszkający w Saadzie, pogranicze pełne było ludzi wodzących się z obu narodów. Zaim mógł do nich należeć.

– To możliwe – przyznała.

– Idarit też je słyszała.

Aite skrzywiła się. Ze wszystkich ludzi w najeźdźczej armii, dlaczego akurat Idarit miała mieć wśród swoich przodków kogoś z Rasenny?

– Zaprowadziłeś ją tam? – zapytała, maskując oburzenie.

– Nie, nie tam. Słyszała je... gdzie indziej. W... korytarzach. Pod miastem. Pod zamkiem.

Pod Aite niemal ugięły się nogi.

– Pod miastem? – powtórzyła jak echo.

– Tak. – Zaim machnął ręką, nie patrząc na nią.

– Może... może mi je pokażesz? Jeśli coś się tam załęgło...

– Co mogło się tam załęgnać? – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Jesteśmy trochę przesądni wobec was, to wszystko. Nie przejmuj się tym.

– Ale jeśli mogłabym to zobaczyć...

– Nie ma potrzeby – powtórzył stanowczo. – Nie zauracaj sobie tym głowy.

Źródło Aite mogło być stłamszone przez barierę, ale wrzało od wściekłości. Gdyby Zaim je słyszał, nigdy by nie uwierzył w jej słowa.

– Dobrze – powiedziała potulnie, opuszczając głowę.

\*\*\*

Posąg zamknął w sobie Selatri w ciemny chłodny dzień, tuż po tym, gdy z nieba zniknął rój Łez. Sama generał odeszła w absolutnej ciszy, ale chwilę później zatrzęsło się miasto. Serce Vann przestało istnieć; Selatri zdusiła je, zamieniła zaklęcie w kamień.

Wśród łoskotu kruszących się skał, Aite pożegnała matkę. W naprędce stworzonym ołtarzu, choć była to praktyka zakazana przez nowe władze miasta, zostawiła dla niej ofiarę. I zabrała się do pracy, wiedząc, że to jedyna szansa, by zejść do podziemi pałacu, w chaosie spowodowanym przez trzęsienie ziemi.

\*\*\*

Mury i domy Vann wyrosły z przetworzenia stóp gór. Pod miastem zaś krył się labirynt grot i jaskiń, pamiątka pośpiesznie i niedbale dodawanych dzielnic i budynków. Część z nich zawałiła się, gdy serce Vann przestało bić. Aite zagryzła wargi, krocząc po splekanych podłogach. Nie mogła się teraz zatrzymać.

Teraz wiedziała już, czemu wcześniej nie usłyszała źródła Velsuny. W najstarszej części miasta było zbyt wiele innych głosów. Słyszała życzenia, które stanowiły fundament Vann. Jak Zaim parę dni wcześniej, mimowolnie wstrzymywała oddech.

Przemknęła obok kilkorga Saadyjczyków, opatrujących raną towarzyszkę, i ruszyła korytarzami opustoszałego zamku. Niżej i niżej, misterne dekoracje ustępowały miejsca wzmocnieniom ze zwyczajnego drewna i cegły, te zaś przechodziły w pokryty siatką pęknięć kamień w najstarszej części zamku. Przed Aite otworzył się pozbawiony ozdób tunel. Jej źródło zaśpiewało. Tu bariera nie sięgała – o ile cokolwiek z niej przetrwało po trzęsieniu ziemi. Jednak jej twórcy i tak nie mogli się równać z budowniczymi miasta. Z królami-magami. Z Velsuną.

Aite rozłożyła ręce, kształtując kulę światła. Gdy przesunęła ją pod niski sufit, zauważyła ślady sadzy: Saadyjczycy byli tu przed nią. Niedawno. Szła dalej.

W pewnym momencie zamiast gładkiego tunelu miała przed sobą poszarpaną skałę: stalagmity i skalne zacieki, między którymi szukała ścieżki. Jej kula światła błędziła wśród skalnych załomów, niemal doprowadzając do utraty równowagi. Aite chwyciła się mokrej skały, zaciskała zęby i szła dalej.

Skalna szczelina otworzyła się w jaskinię rozmiarów komnaty, rozjaśnioną blaskiem ognia. Aite przylgnęła do kamiennego słupa. U wylotu jaskini siedzieli dwaj strażnicy. Mieli puste twarze, które natychmiast przypomniały jej historie o chirurgach w saadyjskiej armii, ale nie miała czasu zastanawiać się, czy zrobiono coś z głowami

strażników. Za nimi dostrzegła skalną płytę, wbite w kamień żelazne uchwyty, łańcuchy i... Puste nieba, teraz nie miała wątpliwości, wśród szmeru życzeń i źródeł wyłowiła to jedno, niemożliwe do zapomnienia źródło Velsuny, znajome jak jej własny puls – Velsuna, jej Velsuna, jak ktokolwiek śmiał stanąć między nimi?

Zatrzęsa się z obrzydzenia, gdy zrozumiała, co właśnie zamierza zrobić. Wyciągnęła przed siebie ręce. Wyobraziła sobie, że obejmuje palcami gardła strażników. Zaciśnęła mocno dłoń. Bardzo starała się nic nie słyszeć.

Rozluźniła palce dopiero w chwili, gdy jaskinię wypełniła świdrująca, upiorna cisza.

Velsuna zaczął się śmiać.

– Aite, czy to ty? Aite! – Przerwał, rozkaszła się. Przełknął z trudem. – Aite! Chodź do mnie.

Pobiegła ku królowi. Velsunę spętano, ale od razu stało się jasne, że to nie kajdany go więżą. Jego pierś wciąż przebijała strzała Idarit. Król był bledszy, wychudzony, ale jego oczy płonęły znajomym blaskiem. Uśmiechał się do Aite spękanymi, zakrwawionymi wargami.

Nie ufając swojemu głosowi, pochyliła się, by go pocałować.

– Aite – powtórzył.

Pogładziła go po policzku i zaczęła oglądać jego ranę. Velsuna musiał zacząć przetwarzać własne tkanki, walcząc z ostrzem. Serce wciąż biło, tchawica przebudowała się wokół grotu. Palce Aite zawisły nad czubkiem ostrza.

Velsuna przyglądał się jej ruchom.

– Ta suka nie zdołała mnie zabić – powiedział z wyraźną satysfakcją. – A tak się starała.

– Może dam radę to wyjąć... – Aite zatoczyła rękami koło nad jego ciałem. Zacerpnęła ze źródła. Było słabe, ale i zadanie nie wymagało wiele; nic poza precyzją.

– Zostaw, Aite. – Potrząsnął głową. Jego włosy, zmatowiałe i splecione, przylgnęły do kamiennej płyty.

– Ale...

Nie śmiała wyrazić na głos swojego lęku: tego, że prędzej czy później Saadyjczycy wymyślą, jak zabić króla. Albo że Velsuna straci kontrolę nad źródłem, a moment, gdy nie będzie się przeciwstawiał strzale, wystarczy, by ta go zabiła. Samo podtrzymywanie swojego życia przez długie tygodnie musiało być nieludzkim wysiłkiem.

Uśmiechnął się do niej z czułością.

– Poradzę sobie z tym. – Wziął długi, świszczący oddech. – Dużo większym problemem są Saadyjczycy w mieście.

– Szpieguję ich – powiedziała szybko. Wcześniej nigdy nie myślała w ten sposób o tym, co robi, ale teraz słowo pojawiło się w jej głowie, adekwatne i oczywiste. – Zaim, kasser na nowo powstałym dworze...

Velsuna potrząsała głową, uciszając ją.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, ale szkoda twojego czasu na tego urzędnika. Mówimy o czymś dużo większym.

Powstrzymała falę zawodu. Czy Velsuna zawsze ją tak zbywał?

– O wszystkich Saadyjczykach w Vann – kontynuował. – Chcę odzyskać to miasto.

Nie rozumiał. Wciąż nie rozumiał.

– To nic nie da. Przyjdą kolejni. Nie ma już serca Vann. Nic nie ochroni miasta. Granica się przesunęła. Teraz Vann należy do Saady. – Wiedziała, że mówi prawdę. Bolesną, ale niepodważalną. – Wiem, co zrobimy. Uwolnię cię. Uciekniemy.

Velsuna przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– Zamkniemy miasto na nowo.

Aite pobladła.

– Moje serce będzie sercem Vann. – W oczach Velsuny odbijały się lata doświadczenia, wszystko, co widział. Błysk wody w głębokiej studni.

– Nie!

– Posłuchaj mnie, Aite.

– Nie. – Przygryzła wargę. Dopiero co odzyskała Velsunę. – Nie, nie, nie...

– Ja tu zostanę – obiecał jej szybko. – Nigdzie nie pójdę.

Schowała twarz w dłoniach.

– Aite, słuchaj mnie! Nie zostawię cię!

– Zatem jak chcesz to zrobić? Będziesz żył wiecznie?!

– Nie bądź śmieszna – powiedział ostro, ale Aite cofnęła się od kamienia.

Wieczność była przywilejem bogów. Nawet źródło magów kiedyś musiało ucichnąć. Velsuna od lat oszukiwał śmierć – Aite wiedziała o tym. Jednak wciąż był człowiekiem. Nie symbolem, nie bóstwem. Żywą, czującą, myślącą osobą, którą Aite mogła zrozumieć.

Wróciły do niej wszystkie chwile, w których kochanek wydawał jej się dziwny, obcy. Słowa i gesty, które zrzucała na różnicę wieku między nimi. Ta przepaść miała się pogłębiać i oddzielać Velsunę od wszystkich ludzi. Lata by upływały, a on by trwał i – co by się stało z jego umysłem?

– Kochana, posłuchaj. Chcę tego. Wiem. – Przesunął językiem po spieczonych wargach. – To może się wydawać... wielkie. Obezwładniające. Poświęcenie wszystkich lat swojego przyszłego, nieskończonego życia...

Mówił do niej znajomym, kojącym głosem, ale Aite zaczynała rozumieć.

– Nie – odpowiedziała powoli. – To nie będzie dla ciebie żadne poświęcenie.

Velsuna urwał, zaskoczony.

– Tego właśnie chcesz. Przyznaj to.

– Kochana, to, że nie burzę się na taki los...

– I co będziesz robił? Jak będziesz bronił miasta? Będziesz w ogóle jeszcze wiedział, co jest dobre dla mieszkańców Vann?

*I gdzie się znalazłeś, skoro tego właśnie chcesz?*

Zadrzała. Znów usłyszała w sobie głos tej drugiej, zimnej Aite.

Być może Selatri nie zdradziła miasta. Poddała je, by nie upadło w rękach maga, który postanowił stać się bóstwem.

Ta awantura w pałacu; Selatri na pewno nie chciała, by uwięziono Velsunę pod miastem.

Zabrała ze sobą serce miasta, by przynajmniej spowołnić Velsunę. Sama wybrała swoją karę, dając mieszkańcom miasta sygnał: dołączą do ich opiekunów. A potem powiedziała Aite o królu, licząc, że ta go odszuka i...

I dokończy dzieła.

Aite otarła oczy. Nie miała wiele czasu. Zapewne ktoś jej już szukał.

– Dobrze – szepnęła. – Co mam zrobić?

Velsuna uśmiechnął się do niej. Ciepło, serdecznie, jak dawniej. Schwyciła jego dłoń.

– To nie będzie łatwe – zaczął – ale wierzę w ciebie, Aite. Widziałem, co zrobiłaś z tymi strażnikami. Wiem, że masz dość siły. Serce miasta potrzebuje ofiary.

Pokiwała głową.

– Potrafiłabyś spalić dla mnie Vann?

Vann, wytworzone ze skały. Pomyślała szybko o nowszych elementach konstrukcyjnych, o dodanych później łątach, o meblach, zbieranych na zimę zapasach... Vann zapłonęłoby jak pochodnia.

– Tyle osób zginie...

– Nie ty. – Zacisnął palce wokół jej drobnej dłoni.

– Ale nie tylko Saadyjczycy.

– Wiem. Ale to wciąż...

– ...mniejsze zło? – użyła określenia Selatri.

– Tak. – Przymknął oczy. – Mniejsze zło. Dzięki temu uratujemy Vann. Zrobisz to? Uratujemy Vann?

Wyswobodziła swoją rękę z jego uścisku.

– Tak. – Przełknęła ślinę. – Uratuję Vann.

Schwyciła drzewce strzały i wyszarpnęła ją z rany.

Velsuna zawył i wyprężył się w kajdanach. Z jego piersi bryzgnęła świeża, gorąca krew. Źródło załomotało Aite w uszach. Król-mag jęczał, próbując zasklepić ranę, ale z każdym jego oddechem źródło opuszczało go.

Aite zacisnęła palce wokół jego dłoni. Paznokcie Velsuny rozorały jej skórę, gdy miotał się w uścisku. Jeszcze miał siłę wrzeszczeć, próbował użyć resztek swojego źródła, by przekląć ją i całą jej rodzinę. Aite odpychała jego zakłęcia, wciąż oszołomiona – jaki król domagałby się całopalnej ofiary w postaci swoich poddanych?

Gdy Velsuna opadł na kamień, Aite otarła mu twarz i zamknęła powieki. Jej tunika lepiała się od królewskiej krwi.

My, Rasenowie, nie mordujemy.

Ale właśnie dzięki morderstwu uratowała całe miasto.

Zadrzała. Gdyby nie zareagowała teraz, Velsuna znalazłby kogoś innego – jakiegoś strażnika, którego żadne okaleczenie nie uratowałyby przed podszeptem źródła. Mógłby nawet sądzić, że działa z własnej woli, że oczyszcza miasto z magów.

Najbardziej na świecie Aite chciała opaść na posadzkę i tu zostać, zamienić się w posąg jak przodkowie Velsuny i jej matka. Ale musiała jeszcze uratować siebie.

Oczyściła tunikę i ruszyła w drogę powrotną, mając przed sobą słabnącą kulę światła. Surowa skała przemieniała się w tunel, tunel – w korytarz.

U jego wylotu czekała Idarit.



Aite zachłysnęła się, ściągnęła źródło ku sobie. Jednak isbet nie wyglądała, jakby zamierzała zaatakować. Podpierała dłonie na biodrach.

– Ja.. – Aite powstrzymała szloch. Nie teraz. Teraz musiała być dzielna. – Zabiłam króla.

Idarit uniosła brwi, ale nie wydawała się tak zaskoczona.

– Nic ci nie zrobił? – zapytała tylko.

Aite potrząsnęła głową.

Isbet wyciągnęła ku niej rękę.

– Nigdy nie przestanę być ci wdzięczna, ale teraz musisz uciekać. Jest taka wieś na pograniczu, może trzy godziny drogi na północ stąd. Tam cię przyjmą.

– Stamtąd pochodzisz? – zgadła Aite, przypominając sobie o szcążkowym źródle Idarit. Najeźdźczyńni nie skomentowała.

– Nie masz dużo czasu, żeby się spakować – powiedziała zamiast tego. – Weź tylko te przedmioty, które będą ci absolutnie niezbędne. Za pół godziny widzimy się przy stajni.

Aite zawahała się.

– Idarit... a Zaim? Co mu powiesz?

Przez twarz isbet przemknął cień.

– Nie musi wiedzieć o wszystkim.

– A jeśli się dowie?

– To będę liczyć się z konsekwencjami. – To nie twoja sprawa, mówiło jej spojrzenie. – Nie trać czasu.

Nie traciła czasu.

Tego samego wieczoru opuściła Vann, zostawiając za sobą łagodne światła miasta i dwa ognie: płomień Niegasnącego, przywieziony przez Saadyjczyków z ich świątyni, oraz stos pogrzebowy Velsuny. Król naprawdę nie żył; oczyszczającego ognia nie dało się oszukać.

*Posąg mojej matki zamilkł, ale ja jeszcze mogę mówić – pocieszała się. Moje źródło jeszcze bije. Odchodzię. Ocaleję.*

*Teraz to ja jestem sercem Vann.*

**Krystyna Chodorowska** – urodzona podczas nowiu po śnieżnym księżycu. Z zawodu data scientist, w tygodniu lingwista multiklasujący na informatyka, w weekendy przywódczyni barbarzyńskiego klanu (bez multiklasowania). Interesuje się zagadnieniami sztucznej inteligencji, zwłaszcza technikami przetwarzania języka, laureatka głównej nagrody w konkursie SemEval-2016 za program Ensemble. Tłumaczyła m.in. George’a Martina („Dziki karty”), Chinę Mieville’a („Kraken”, „Ambasadoria”), Petera Hamiltona („Upadek smoka”) i Grega Egana („Chwyć mnie”). Nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za opowiadanie „Kre(jz)olka”.

Krystyna Chodorowska  
**WARUNEK POCZĄTKOWY**



To było prawdziwe objawienie. Zrozumiałem to za drugim razem.

Prawdopodobnie zdarzyło się to w trasie, w drodze na jakiś koncert, więc za bardzo się spieszyłem. Zatankowałem benzynę, potem machnąłem kartą, zwalniając przy czytniku, żeby sygnał się odczytał. Zaczekałem już tylko na potwierdzenie, nie patrząc na ekran, ale pewnie jeszcze przez chwilę widziałem jakąś postać, twarz, włosy. Coś musiałem zapamiętać, skoro za drugim razem przystanąłem przy ekranie z uniesioną ręką i pomyślałem: już to kiedyś widziałem.

\*\*\*

Awatar sprzedawczyni na stacji samoobsługowej ma proste włosy ściągnięte z tyłu, skórzaną kurtkę na zatraski i czapkę z logo firmy. Cała jej postać jest gładka, jednolita, uporządkowana.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

U dołu wciąż widać cztery przyciski: „Płatność: nr 4”, „Sklep”, „Łazienka”, „Pomoc”. Gdy wybieram drugi, ekran pokazuje wnętrze sklepu jak na tradycyjnej stacji, gdzie wszystko ciągnie się w równoległych rzędach. Po lewej stronie chłodziarka, napoje w kolorowych puszkach, przekąski, pośrodku kosmetyki i zabawki, po prawej smary, oleje, części zamienne. Przesuwając rękę po ekranie, wchodzę w pierwszy rząd po lewej, rozkładając palce przechodzę dalej, stukam palcem w sok, który wyskakuje ze stojaka i zawisa pośrodku ekranu. Zatwierdzam dotknięciem i przechodzę dalej do chłodziarki, wyciągam wodę z lodówki. Wracam do ekranu głównego – gdybym wcisnął „Łazienkę”, otwarłyby się drzwi w blaszanym module przylegającym do automatu sklepowego (choć dopiero po dokonaniu płatności). Gdy dotykam przycisku „Koniec”, na ekranie znów pojawia się twarz asyentki.

– Pięćdziesiąt litrów i zakupy. Proszę zbliżyć kartę do czytnika.

– Mówi tak, jakbyśmy widywali się tu kilka razy w tygodniu i byli ze sobą po imieniu. U dołu wyświetla się kwota, w rogu migocze „Pomoc”, gdybym potrzebował jej w zbliżaniu karty do czytnika.

– Dziękujemy. Do zobaczenia.

Nie wiem, skąd bierze się to wrażenie, a jednak to oczywiste: sprzedawczyni nie recytuje wgranych formułek. Patrzy mi w oczy i gdybym

nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że naprawdę mnie widzi. Jej postać nie jest całkowicie realistyczna, nie próbowano odtwarzać prawdziwej faktury ludzkiej cery – chociaż ma parę pieprzyków – dodać jej zmarszczek ani przebarwień. Twarz jest gładka, włosy zbyt schludnie ułożone, kilka kosmyków wymknęło się spod gumki, ale pozostałe tkwią na miejscu, czarna skóra kurtki zaokrąglą się wraz z ramieniem, bez załamań. We wnętrzu dystrybutora rozlega się stukot, stopniowo wędrujący w moją stronę, i w podajniku lądują oba napoje.

Przez chwilę się zastanawiam.

– Proszę gumę do żucia – mówię szybko, niewyraźnie.

Dziewczyna znów pojawia się na ekranie. Tym razem patrzy na mnie zdziwiona, brwi ma lekko uniesione.

– Słucham?

– Gumę do żucia.

Sklep sam otwiera przede mną wirtualne drzwi, umieszczając mnie przy właściwej półce.

Dotykam nadgarstka, zataczam kółka, aż trafiam na skrót uruchamiający moduł speech-to-speech w telefonie.

– Prognoza pogody – mówię do własnej ręki, głośnik powtarza to samo po francusku.

– *La température était de 16 degrés Celsius* – odpowiada asystentka – a w ciągu nocy obniży się do pięciu stopni. Ciśnienie to 1025 (domyślam się jednostki). Holandia Północna znajduje się pod wpływem wyżu, ale znad Atlantyku postępuje (jakaś fraza) z mało aktywnym (chyba frontem) chłodnym. Prognoza nie przewiduje deszczu jeszcze przez jakieś czterdzieści godzin.

Brzmi jak najnowszy komentarz synoptyka, takich komunikatów nie da się przygotować wcześniej. Wygląda jak bardzo zaawansowana synteza mowy, a dopasowanie do ruchu warg jest idealne.

Kilka minut później wracam do vana, niosąc dwie butelki i narecze drobiazgow: krakersy, gumę do żucia, płyn do spryskiwaczy. Nadia nie zdjęła słuchawek, ale teraz siedzi z zamkniętymi oczami, postukując palcami o kolano. Nie wiem, czego słucha – na pewno niczego, co nagraliśmy sami – ale wiem, że spokojnie mogę jej przerwać. Klepię ją po ramieniu.

– Jak poszedł egzamin?

Wymuje z ucha jedną słuchawkę i już wiem, że to Emily. Jej gitarowe solo jest piekielnie charakterystyczne. Podobno nagrała je

w dwóch podejściach, ale ma taki ładunek emocji, że za każdym razem rozdrapuje mi mózg; zawsze, gdy je słyszę, mam ochotę przystanąć, wsłuchać się i po prostu uczyć. Nadia pije podaną wodę.

– Możliwe, że zawałiłam pytanie o największe kontrowersje współczesnej sztuki konceptualnej. W sumie co ja mogę o tym wiedzieć?

- Zależy, kogo spytać. Kiedy wyniki?
- Za dwie godziny. Po co żeś tyle tego kupił?
- Chciałem wypróbować interfejs.
- Zmienimy się za kółkiem?
- Jasne.

Nadia przesuwa się ponad dźwignią skrzyni biegów. Zajmuję miejsce, wciąż wygrzane i wgniecione jej pośladkami, i znów włączam podcast.

– *Leaves Have Eyes* to brawurowo nagrany album, doskonale wpisuje się w wielki powrót albumów koncepcyjnych na scenę undergroundową – zachwyca się prowadzący. – Utwory mogą być słuchane w dowolnej konfiguracji, układając się nie tyle w konkretną historię, ile w sekwencję wrażeń...

Słucham z roztargnieniem. To chyba nasza najlepsza recenzja, jaką do tej pory znalazłem, ale jakoś nie mogę się skupić, bo interfejs do obsługi stacji nie daje mi spokoju. Właściwie cała transakcja mogłaby się odbyć na samym tekście i dotykaniu palcem – byłoby nawet szybciej, obecność dziewczyny w skórzanej kurtce jest tu zbędna, a jednak po coś tam ją tam umieszczono. Patrząc na przesuwaną się za oknami płaskie pola, zielone i pełne wiatraków. Mógłbym zamknąć oczy i wciąż ją widzieć. Nawet jako wspomnienie ten plastikowy bot robi wrażenie sympatycznego i pełnego życia, jakbym właśnie poznał kogoś, kogo chciałbym jeszcze kiedyś spotkać.

– ...poprzez energetyczne kawałki w rodzaju *Copyrightera*, aż po prawdziwy majstersztyk, *Flower Mother*, utwór neoprogresywny, freefolkowy i rockowy jednocześnie.

Jak się tworzy takie wrażenie? Jakie sztuczki sprawiają, że coś wydaje się żywe i rozumne? Bot wygląda realistycznie, to prawda, ale przecież to zaledwie kilka ruchów, kilka grymasów puszczonej w pętlę, a czasem dowiązanych do konkretnych sytuacji, jak wtedy, gdy uniosła brwi.

– ...wokalistów, z których każdy zdaje się reprezentować inny typ muzyki; rywalizują ze sobą zarówno wokalnie, jak i w warstwie tekstowej. Meister, znany z tego, że śpiewa czysto i przeważnie o miłości, potrafi wydobyć dźwięki tak niskie, że praktycznie niesłyszalne, bluesmanka pije w barze, można tylko żałować, że jej rola ogranicza się do...

Na szybkie mówienie zareagowała inaczej niż na zwroty wypowiedziane w innym języku, więc musiała odróżniać języki od siebie. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem bota, który w kontaktach z użytkownikami okazywałby zdziwienie czy zakłopotanie.

Od początku było widać, że to nie może być po prostu nagranie posklejane z różnych kawałków, ale scena z prognozą pogody przekonanałaby mnie o tym ostatecznie. Animacja wariacyjna, myślę. Pętla Sugiyamy, patent sprzed kilku lat, moduł współpracujący z menedżerem dialogowym, wzbogacający interfejs klienta o drobne reakcje emocjonalne.

W sumie prosty pomysł. Łatwo do wdrożenia, jeśli ma się odpowiedniego specjalistę. Każdy mógłby to zrobić.

\*\*\*

Budzę się tuż przed Amsterdamem z obolałą szyją (Nadia jest niższa, dmuchana poduszka zagłówka była ustawiona dla niej) i zirytowany. Nadia oczywiście zdała egzamin – zna się trochę na wzorcach i wie, jak działają algorytmy oceniające te zadania. Używa właściwych słów i potrafi budować długie zdania, które formalnie odpowiadają konstrukcji logicznego wywodu, nawet jeśli treściowo są bez sensu.

Słońce już zaszło, gwiazdy są niewyraźne i rozmazane przez miejskie zanieczyszczenia. Na ciemnym tle widać ruchomy billboard, mieniający się barwami; modelki wkładają na siebie kolejne ubrania i tańczą rozpromienione w nieskończonej pętli. Reklamują miejscowe centrum handlowe.

Dziewczyna ze stacji benzynowej w niczym ich nie przypomina. To nie jest pętla Sugiyamy, myślę, zirytowany na siebie, że tak łatwo ją zlekceważyłem. Żeby uzyskać wrażenie naturalności, oprócz samych śladów emocji musiały tam być logiczne przejścia pomiędzy nimi, czyli prawdopodobnie całkiem skomplikowany graf. Obiecuję sobie, że następnym razem zatrzymam się na tej samej stacji i sprawdzę to dokładnie.

\*\*\*

Umówiliśmy się w Café Sound Garden na Marnixstraat – redaktorka bardzo chciała być pomocna i powtarzała, że przecież możemy zrobić wywiad przez sieć, ale ja naprawdę musiałem gdzieś wyjść.

Aaltje Brouwer ma paznokcie koloru marchewki, ręcznie dziergany szalik i redaguje *Dans Zing Zug*, jeden z najbardziej wpływowych zinów muzycznych w Beneluksie. Wyjmuje z torby kilka papierowych egzemplarzy kolekcjonerskich, które zawsze nosi przy sobie. Wygląda zdecydowanie oldskulowo, duże arkusze taniego papieru i ręcznie rysowane czarno-białe grafiki.

– Zawsze wydawało mi się, że w papierowych zinach jest coś romantycznego – wyznaje, jakby trochę speszona. – Interaktywność to podstawa przekazu: kiedyś nie wyobrażałam sobie, że mogłabym przeczytać recenzję nowego singla i nie móc napisać pod nią, że się zgadzam albo nie zgadzam, ale z drugiej strony chciałam też, żeby muzyka znów stała się namacalna. Głupio to brzmi, prawda? Brakowało mi czegoś, co mogłabym postawić na półce albo potrzymać w rękach.

Przesuwam palcami po strunach, podczas gdy Aaltje zakłada słuchawkę i konfiguruje swój telefon. Spod przymrużonych powiek śledzę ludzi przy sąsiednich stolikach i widzę, że magia działa. Już zdali sobie sprawę, że gram teraz tylko dla nich – nie dla milionów użytkowników ślizgających się po sieci, ale dla tych kilkunastu osób, które przypadkiem usiadły obok, żeby wypić kawę. Przekaz na żywo jest potężny; jako dzieciak zobaczyłem kilka zespołów w akcji, załapałem się na koncert Biohazard i widziałem, co potrafili zrobić z tłumem, jak działała świadomość, że nasi idole mówią prosto do nas. Gdyby jeszcze tej nocy kazali nam iść i spalić ratusz, to byśmy poszli i spalili.

Aaltje włącza nagrywanie.

\*\*\*

– Dream Sequencer od początku swojego istnienia trzyma się z daleka od wielkich wytwórni, a jednak wasze koncerty często wyprzedają się do ostatniego miejsca. W czym tkwi sekret?

Kładę rękę na strunach, żeby je wyciszyć.

– Skorzystaliśmy z powracającej mody na niepowtarzalność i improwizację. – Często zadają mi to pytanie. – Zasada jest taka, że



zawsze publikuję wcześniej listę wokalistów, z którymi współpracowałem przy nagraniu, i zaznaczam, kto z nich pojawi się na którym koncercie, ale nigdy nie zdradzam z wyprzedzeniem, na czym sam będę grał, żeby był ten element niespodzianki. Czasem, jeśli źle się czuję, zdarza mi się zagrać dwa razy pod rząd na tym samym, ale to wyjątki. Staram się tego nie robić.

Już od dawna było jasne, że najwięcej zarobić można na koncertach, aż w końcu zespoły zaczęły spędzać w trasie wieczność. Stąd szybko wzięło się pytanie, jak najlepiej zautomatyzować te imprezy, żeby dało się ich przeprowadzić jak najwięcej.

– Zaczęło się właściwie już w 2012 roku, kiedy Tupac Shakur zaśpiewał na festiwalu Coachella – opowiadam dalej – a przecież nie żył już wtedy od piętnastu lat. Właściwie nie był to jeszcze hologram, tylko trzy wiązki obrazu, jeden na drugim, odbijane od nachylonej tafli szkła na ziemi i wyświetlane na ekranie mylarowym. Ale właśnie wtedy przemysł muzyczny przekonał się w pełni, jaki efekt to może dać, jeśli zostanie zastosowane umiejętnie. W końcu doszło do tego, że znany zespół wchodzi na scenę w jakimś dużym mieście, na stadionie albo w sali widowiskowej, z dobrym nagłośnieniem, a w tym samym czasie w mniejszych miastach na kilkunastu scenach odpalał się sprzęt do holo. Wszystko, co robią muzycy, jest rejestrowane i streamowane w czasie rzeczywistym. My poszliśmy w odwrotnym kierunku. Stawiając na unikalność żywego występu, przywracamy artystom ich należne miejsce.

– To właśnie największa wartość tradycyjnych koncertów. Bezpośrednie przeżycie niepowtarzalnego wydarzenia – przytakuje Aaltje. Podoba mi się to wyrażenie i postanawiam je ukraść. – Możesz powiedzieć, skąd wzięłeś pomysł na taką formułę?

– Z jednej rozmowy z ojcem. Gdy miałem czternaście lat, spytałem go, jakie zespoły najbardziej chciałby zobaczyć na żywo. Powiedział mi, że są dwa takie, ale to absolutnie niewykonalne. Oczywiście zapytałem, które. Najpierw wymienił Pink Floyd.

Aaltje kiwa głową, zadowolona, pewnie obstawiła dobrze. Przy tym pierwszym ludzie zwykle zgadują, chyba że pomyślą o Beatlesach.

- A ten drugi?
- Ayreon.

\*\*\*

Jorgen nosi torbę z plecionki i niebieską wiatrówkę, nigdy w życiu nie trzymał w rękach żadnego nośnika muzyki i w ogóle za tym nie tęskni. W zamyśleniu postukuje palcem w rondo kapelusza; w jego oczach nie ma tego błysku, który natychmiast pojawił się u Aaltje. Może dlatego, że nie jest Holendrem, a może nie lubi staroci.

– Możesz opisać, na czym polegała trudność?

– Ayreon to był projekt bardzo rozbudowany muzycznie – *The Final Experiment* miał trzynastu wokalistów i siedem instrumentów, *Into the Electric Castle* – ośmiu wokalistów i jedenaście instrumentów. W studiu wszystko jest do zrobienia, ale jak pomieścić to wszystko na jednej scenie? Żeby było jeszcze trudniej, Arjen Lucassen, który był twórcą projektu, sam śpiewał niektóre partie i grał na różnych instrumentach. Na płycie *The Dream Sequencer* była to nawet większość – gitara akustyczna, elektryczna, bas, syntezator, klawisze, organy Hammonda i nie pamiętam dobrze, co jeszcze.

Tak naprawdę pamiętam, to już wszystko, ale nie chcę wyjść na fana z obsesją.

– W pierwszej chwili uznałem, że to naprawdę niemożliwe, żeby odtworzyć to na żywo w takiej wersji, jak brzmiało oryginalnie, ale potem zacząłem się zastanawiać.

– I co się okazało?

Że mój ojciec nie miał racji.

Trochę później, gdy miałem jakieś szesnaście lat, żyłem i oddychałem piosenkami Ayreona, przekonałem się, że mogli i wystawiali to na żywo. Nie było trzynastu wokalistów i skład instrumentalistów wyglądał też inaczej, ale nazywało się to „Ayreon” i brzmiało w sumie całkiem podobnie.

– Zakładając, że chcielibyśmy zrobić odwzorowanie jeden do jednego, tak żeby Arjen Lucassen sam grał na każdym swoim instrumencie, nawet za tamtych czasów mojego ojca dałoby się to jakoś rozwiązać. Choćby nagrać wszystkie ścieżki osobno, potem ustawić ekrany projekcyjne, na każdym wyświetlić inne nagranie artysty, puścić dźwięk z playbacku i gotowe. W *Into the Electric Castle* można by ustawić rusztowanie i wkomponować projekcje wykonawców w jakieś ponure zamczysko, no odjazd. Technicznie proste, ale podskórnie czułem, że to się nie może sprzedać.

– Czemu?

– Rutyna by to zabiła. Cały koncert z playbacku? Litości, można zostać w domu i usłyszeć to samo. Każdy koncert na żywo jest inny, na swój sposób niepowtarzalny, nawet jeśli zespół trzyma się scenariusza. W kontakcie z żywą osobą jest coś magicznego; ta świadomość, że twój ulubiony artysta jest tuż-tuż, o kilka kroków dalej, że w realu robi to samo, co tak dobrze znasz – tego nie da się niczym zastąpić.

Aaltje w tym momencie pokiwałały głową. Jorgen spogląda spod opadającej grzywki, mierzy mnie porozumiewawczym spojrzeniem, jakbyśmy obaj zgadzali się, że byłem wtedy młody i miałem dziwne wyobrażenia.

– Jak uniknąć rutyny w takim przedstawieniu? Kombinowałem dalej. Można by nagrać kilka różnych wersji tego samego występu i co wieczór wybierać któryś losowo. Bardzo trudno byłoby podmieniać ścieżki poszczególnych instrumentów bez modyfikowania całej aranżacji. Uznałem, że to wymagałoby czegoś o możliwościach zbliżonych do ludzkiego mózgu... i właściwie to był przełom. Nagle zapytałem sam siebie: a właściwie co by było, gdyby zamiast jednego z ekranów holograficznych i nagranej gotowej ścieżki znalazł się tam żywy człowiek, który potrafiłby nie tylko dopasować się do nagrania, ale i zaimprovizować coś na bieżąco? Na początek pomyślałem tylko o jednym muzyku, ale potem fantazja mnie poniosła. Właściwie dlaczego ten człowiek nie miałby za każdym razem grać na innym instrumencie? Wtedy chyba po raz pierwszy wiedziałem, co chcę robić, kiedy dorosnę.

\*\*\*

– Formuła występów *half-live* przynosi wam niesłabnącą popularność, chociaż niektórzy krytycy nazywają was mistrzami jednej sztuczki. Co ty na to?

– Że nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.

– Możesz rozwinąć?

Jeszcze kilka tygodni temu odpowiedziałbym natychmiast. Teraz mam przed oczami czujne spojrzenie, drobne skrzywienia warg i kreski w kącikach oczu, które pojawiają się i znikają.

– Na razie to tajemnica.

– W występach na żywo wykorzystujecie materiał stworzony z trójwymiarowych nagrań i wielokanałowego dźwięku. Opowiedz

coś o waszej technice pracy. – Dmitri nie jest zainteresowany powracającą modą na improwizację ani syntezą tradycji z nowoczesnością, najbardziej zajmuje go specyfikacja.

– Zaczynam od nagrania podstawowej ścieżki. Coś z mocną sekcją rytmiczną, która później posłuży mi do odmierzania odcinków czasu przy obróbce wizualnej.

– Nie używasz kodów czasowych?

– Tylko do synchronizacji obrazów. Każde nagranie zaczynam od klaśnięcia w dłoń, rejestrowanego przez wszystkie urządzenia. Potem osobno zeruję wszystko do klaśnięcia i to zwykle wystarcza, żeby wyrównać nagrania do tego samego punktu początkowego. Z filmami jest prościej, bo ten sam człowiek filmowany z trzech różnych punktów na wszystkich nagraniach prawdopodobnie będzie robił to samo w tym samym momencie, ale dla ścieżek audio wykonywanych na różnych instrumentach to się nie sprawdza. Nigdy nie jest tak, że wszystkie mają tę samą długość, że zawsze będę grał tak samo i nigdzie nie przeciągnę czegoś o sekundę. Nawet przy dobrze zsynchronizowanych obrazach dwie pary mikrofonów stereo mogą stworzyć dziwne echa, jeśli jeden stoi trochę dalej od drugiego. Dlatego tutaj wracam do klasycznych metod: patrzę na wykresy i dopasowuję do siebie charakterystyczne punkty.

– Czym to robisz?

– Używam Align.

– A żeby dopasować dźwięk do obrazu?

– Oczu.

Dmitri chyba nie dowierza.

– I nic więcej?

– Wystarczy, trzeba tylko umieć patrzeć. Korzystam ze wszystkich charakterystycznych elementów, jakie pojawiają się w nagraniu. Kawałki instrumentalne są trudniejsze, bo przy partiach śpiewanych mogę porównywać z tekstem. Na przykład przy głosce „p” usta otwierają się gwałtownie i kształt fali dźwiękowej na wykresie wskazuje wtedy zwiększenie głośności. „B” i „m” są gorsze, bo struny głosowe zaczynają wibrować już przy otwartych ustach, ale pomagają w orientacji. Po tych kilku latach potrafię już czytać holonikom z ruchu warg.

– Holonikom?

– Tak je nazywamy. Hologramy Nicka.

\*\*\*

W drodze do Brukseli specjalnie zatrzymuję się na stacji tej samej sieci. Tym razem wybieram inne języki i znów patrzę na usta asystentki. Staram się wyłowić w jej głosie jakiegokolwiek obce nuty, dziwne naleciałości. Z pomocą zegarka przechodzę na francuski, potem na niemiecki i hiszpański, już tylko po to, żeby posłuchać. Nie mogę ocenić, czy mówi poprawnie, ale przy każdym z nich ruchy warg są dopasowane do dźwięków, w każdym jej głos brzmi tak samo pewnie i to ciągle jest ten sam głos.

– Prosiłem o prognozę dla Brugii, nie Brukseli! – Specjalnie podnoszę głos, jakbym się zniecierpliwił. Patrzę na jej twarz.

Mruga. Bardzo szybko, dwa razy. Widzę to wyraźnie.

– Przepraszam, źle zrozumiałam. Prognoza dla Brugii...

Na stronach EsseOil nie wymieniono nazwy studia, które ją zaprojektowało. Zastanawiam się, czy może to być dostosowany bot ze stocka wzbogacony kilkoma modułami, kilkunastoma kliknięciami albo kilkoma setkami linii. Może być, ale coś we mnie protestuje przeciwko tej odpowiedzi i nie jest to fachowiec od interaktywnej rozrywki, tylko jej odbiorca, który jakoś nie może się pogodzić z tym, że jego przecucia, podstawowe odruchy mogłyby go tak zmylić.

Algorytm Lewiatana, myślę. Właścicielem patentu jest firma Leviathan Entertainment, ale idea nawiązuje do wielomianów Lagrange'a, pozwalających przybliżyć dowolną funkcję ciągłą na przedziale domkniętym. Z jego pomocą można wyliczyć maksymalne przybliżenie, które determinuje działanie programu emulującego zachowania rzeczywistej osoby. Grafy przepływu danych, o wiele bardziej skomplikowane niż pętla Sugiyamy, klasa patentu też wyższa.

Ktoś tam był, myślę i jest to poczucie graniczące z pewnością. Gesty Dziewczyny wydają się zbyt żywe, zbyt realne, by uzyskać je prostym przesunięciem wektorów na siatce. Na początku musiał być ktoś, na kim to wszystko oparli, a skoro tak – tu włącza się racjonalny umysł, który tak często już po fakcie dostarcza uzasadnienie dla odruchowych sądów – to doklejanie ich do gotowego bota nie miałyby sensu, już lepiej było napisać wszystko od początku. Gdzieś na świecie istnieje prawdziwa Dziewczyna, której ten model jest tylko przybliżeniem, a ja muszę ją teraz ją znaleźć, bo jeśli ją zobaczę, może zdołam zrozumieć, jak wyglądała droga od jednego do drugiego.

\*\*\*

Po kilku dniach Aaltje przesyła mi wywiad do autoryzacji. Jest mi winna przysługę, bo oprócz wywiadu sprezentowałem jej pierwszy album Lucassena na winylu (czerwony krążek, wydanie kolekcjonerskie z 2016 roku, ale wygląda na trzydzieści lat starsze), więc obiecuje popytać o tę kampanię. Korporacyjny biznes reklamowy to nie jej specjalność, ale jej praca wymaga dużo kontaktów z ludźmi, więc Aaltje zna ludzi.

Dzieli swoje mieszkanie w dzielnicy łącińskiej z Grietą, która zanim poznała Aaltje, pracowała w agencji reklamowej, a teraz od pół roku rysuje crowdfundowane komiksy o fetyszach. Teoretycznie miała się zajmować architekturą informacji, ale za research odpowiadała wiecznie rotująca grupa słabo opłacanych stażystów, więc Grieta często robiła jedno i drugie.

– To zeszłoroczna kampania – pisze, gdy Aaltje zaprasza nas do wspólnej rozmowy. – EsseOil próbowało zatrzeć złe wrażenie po tym skandalu z wydobyciem ropy w Delcie Nigru. Najpierw zainwestowali w energię odnawialną – stanowiska dla pojazdów elektrycznych na stacjach, kolektory deszczówki i panele słoneczne – ale przy okazji zadbali też o PR. Rozumiesz, taki element ocieplenia wizerunku, żeby kontakt z klientem zrobił się bardziej osobisty. To miał być prosty, bezpretensjonalny asystent, taka dziewczyna z sąsiedztwa. Startowaliśmy do tego, ale nie wyszło, zlecili to agencji Razorfish. Mam gdzieś namiary na szefową działu strategii.

\*\*\*

Szefowa strategii Trinika Kumalo nosi duże pomarańczowe okulary, ubrana jest w jedwabną bluzkę i luźne szare spodnie. Zamawia Apricot Flip w wysokiej szklance.

– Nasz projekt musiał naprawdę przyciągnąć pana uwagę – upija łyk, napój zostawia smugę na ciemnej skórze – skoro zdołał nas pan wyśledzić.

– Jak widać, zajmuję się czymś podobnym.

Wystrój baru, w którym umówiliśmy się na spotkanie, przywozdi na myśl modne lokale z lat zerowych – surowe ściany, ciężkie drewniane blaty, lniane obrusy, niedopasowane krzesła. Musi być popularnym miejscem spotkań biznesowych, bo na każdym stoliku zamontowany jest duży składany ekran z obracającym stojakiem, na

który można streamować zawartość przenośnego urządzenia. Przez ekran przepływają slajdy z naszych koncertów.

– Bardzo spodobał mi się efekt, jaki zdołali państwo osiągnąć w postaci tej asystentki. Szczerze przyznam, że upokorzyła mnie trochę; jej postać wydaje się bardziej żywa niż moje własne nagrania.

– W czym możemy panu pomóc?

– Jak pani widzi, w swoich występach korzystamy z gotowych ścieżek audio i wideo. Obecnie zastanawiam się nad tym, jak moglibyśmy zwiększyć wrażenie realizmu, i jeden z pomysłów to zastąpienie nagrań animacją z elementem drzewka decyzyjnego, gdzie w odpowiednich momentach modele muzyków wykonywałyby jedną z kilku możliwych czynności. Państwa prace okazały się dla nas bardzo inspirujące.

Nie jestem pewien, czy rzeczywiście byłbym gotów to zaproponować i wynająć agencję do ulepszenia naszego występu, wiem tylko, że koniecznie muszę się dowiedzieć, jak oni to robią. Za to Kumalo natychmiast zadecydowała, że podoba jej się ten pomysł. Razorfish specjalizuje się w obsłudze korporacyjnych gigantów – firmy energetyczne, konsultingowe i banki, wszystko solidni, wyważeni klienci, wymagający grzecznych, zachowawczych kampanii, niczego, co już z daleka krzyczałoby, że jest barwne, twórcze i sexy. A Trinika Kumalo – widać to po drinku, po kolorowych okularach – bardzo chce być twórcza i sexy. Jej zdaniem dodanie do portfolio współpracy z awangardowym muzykiem, nawet nieco niszowym, może wyjść firmie wyłącznie na dobre. Teraz ma minę kota, który dobrał się do dzbanka z mlekiem, biała mgiełka tylko potęguje to wrażenie.

– Właśnie taki był nasz cel. Przy zachowaniu wszystkich zalet samoobsługowych stacji postanowiliśmy wzbogacić proces transakcyjny o wrażenie kontaktu z żywym człowiekiem – wyjaśnia. – Uśmiech sprzedawcy oglądanego na żywo powoduje pobudzenie ośrodka nagrody w mózgu znacznie skuteczniej niż w przypadku nagrania.

– Zawsze mówiłem, że w kontakcie z żywym wykonawcą jest coś magicznego, a teraz widzę, że ma to naukową podbudowę.

Strateżka uśmiecha się i ściera biały wąsik.

– Od początku byliście zdecydowani na użycie bota-kobiety?

– Oczywiście. Niezależnie od targetu, badania na wszystkich grupach konsumenckich dowodzą, że uśmiechnięte kobiety budzą największe zaufanie.

– Jak wybraliście modelkę?

– Na castingu. Zdjęcia wyselekcjonowanych kandydatek przeanalizowaliśmy z pomocą programu do identyfikacji twarzy, decydując się na osobę o najbardziej regularnych rysach, której twarz została jednocześnie najwyżej oceniona w badaniach na reprezentatywnej próbie respondentów. Obecnie prowadzimy badania nad możliwością identyfikacji barwy skóry użytkownika, by wyświetlić modelkę o analogicznym wyglądzie – niestety, jak dotąd zawodność tej metody jest zbyt wysoka. Odczyt za bardzo zależy od aktualnego oświetlenia, a oświetlenie od pory dnia i warunków pogodowych. Chcemy stworzyć modele, z którymi nasi klienci będą czuli się swobodniej.

– Kto wykonał bota według waszych wskazówek? Czy to projekt wewnętrzny?

– Powierziliśmy to zadanie firmie Graphic Description. – Najwyraźniej te dane nie są zastrzeżone.

Na zakończenie autoryzujemy jednorazowe połączenie i wymieniamy elektroniczne wizytówki. Obiecuję się odezwać i płacę za jej drinka.

\*\*\*

Jeśli za długo zwlekam z podjęciem następnej czynności, Dziewczyna zakłada ręce na piersiach i czeka. Rozgląda się. Odgarnia włosy, chowając je pod czapkę. W pewnym momencie sięga za ekran, gdzie otwiera lodówkę – przez chwilę widzę krawędź drzwi-czek. Butelka coca-coli jest idealnie schłodzona i pokryta mgiełką kropel, dziewczyna pije z zamkniętymi oczami. Odrzuca mnie nachalność tej reklamy, ale i tak nie mogę oderwać wzroku, bo właśnie zyskałem dostęp do krótkiej sceny, której normalnie bym nie obejrzał. W swojej pracy nauczyłem się doceniać, jak wiele może dawać element niespodzianki.

Wciąż mam problem, jak to postrzegać. Z jednej strony dziewczyna jest nierzeczywista i odrealniona, ale każdy fragment jej ciała żyje, jest pełna drobnych gestów, ruchów, które łączą się ze sobą w tysiące kombinacji, daleko przerastających moje wysiłki włożone w to,



by koncert złożony z samych nagrań i jednego żywego człowieka nadal można było nazwać koncertem na żywo. Wydaje się ostentacyjnie sztuczna, ale przy tym niezłomna. Jest sztuczna i dumna, jakby nie zamierzała nikogo przepraszać.

\*\*\*

Jansey Rahal z firmy Graphic Description jest zajęтым człowiekiem i może się ze mną spotkać tylko podczas przerwy na lunch w swoim biurowcu w Zuisad z rzędami okien przypominającymi łodygi bambusa. W końcu zgadza się na wideokonferencję.

– Program sterujący zachowaniem asystenta korzysta z danych dostarczanych przez kilka kamer zamontowanych na krawędzi ekranu – wyjaśnia. – Być może zauważył pan, że asystentka zawsze patrzy prosto na pana? System rozpoznania twarzy analizuje odczyt z kamery i identyfikuje w obrazie twarz klienta, by asystent mógł podążyć za nią oczami. Oczywiście działa to w obie strony – system eyetrackingu odczytuje z obrazu położenie źrenic, tym samym sprawdzając, czy klient też patrzy na asystentkę. Asystentka jest w stanie określić, czy klient utrzymuje z nią kontakt wzrokowy, i w zależności od tego przechodzi w tryb gotowości albo oczekiwania, tym samym potęgując wrażenie naturalności.

– A co z opracowaniem dźwiękowym?

– Głos został dostarczony przez profesjonalne lektorki, które następnie zmodyfikowaliśmy, by nadać im jednakowe brzmienie dla wszystkich języków. Nagrywanie materiału wizualnego było nadzorowane przez specjalistę do spraw mowy ciała i trenerkę głosu władającą angielskim, francuskim, niderlandzkim i niemieckim – w niektórych przypadkach musieliśmy wykorzystać jej mimikę i nanieść na gotowe nagranie.

– Czy funkcjonalność bota jest aktualizowana na bieżąco?

– Oczywiście. Nieustannie wzbogacamy bazę wiedzy, by umożliwić asystentce odpowiedzi na pytania z różnych dziedzin, przede wszystkim z wiedzy ogólnej przydatnej podczas podróży po okolicy. Analizujemy też ścieżki decyzyjne realizowane podczas użytkowania i przypadki korzystania z przycisku pomocy. W przyszłości jeśli ktoś będzie miał problemy z obsługą urządzenia, system będzie mógł sam to wykryć i zidentyfikować, co konkretnie sprawia użytkownikowi trudność, tak by Susan mogła nim odpowiednio pokierować.

- Susan?
- Musieliśmy ją jakoś nazywać.

\*\*\*

Tym razem nie bawię się interfejsem, po prostu stoję przed ekranem i przesuwam się na różne strony. W prawo, w lewo, cofam się, pochodzę, i patrzę, jak elektroniczne oczy wodzą za mną spojrzeniem. Nie potrafię przed nią uciec, ona sama też przyciąga wzrok, nawet gdy stoi beczynnienie. Nie zakłada rąk na piersi nie robi teatralnych gestów, a jednak coś w jej postaci zdradza oczekiwanie. Kołysze się, rozgląda się, oddycha, mruga, jej oczy wędrują, mam wrażenie, że przez materiał koszulki widać puls serca. To nie ma sensu. U żywego człowieka tego nie widać.

– Co tam tak długo robisz? – Nie dostrzegam, kiedy Nadia wysiada z samochodu i staje mi za plecami. – Na co patrzysz?

– To niesamowite – przyznaję się, wskazując ręką. Susan od razu rejestruje, że o niej mowa, bo przestaje przenosić ciężar na jedną nogę i prostuje plecy. – Jak żywa. Chciałbym, żebyśmy kiedyś byli w stanie zrobić coś podobnego.

Nadia przekrzywia głowę.

– To? Przecież to plastikowa lala.

– Nic podobnego! – protestuję i sam jestem zaskoczony, jak żywotowo to brzmi. – Przyjrzyj się uważnie. Wszystko tkwi w szczegółach.

Nadia staje przed ekranem, przez chwilę wyglądają jak dzieci pojedynkujące się na spojrzenia.

– Jakich szczegółach?

– Kolejnych przybliżeniach. Metoda Eulera.

Nadia przenosi spojrzenie na mnie. Jest tak ciężkie, że ktoś, kto nie znałby jej dobrze, pewnie by się cofnął.

– To tak jak z liczeniem pochodnych – brnę dalej. – Zakładasz, że na dostatecznie małym odcinku funkcja będzie się zmieniać prawie liniowo. Musisz tylko sensownie dobrać te punkty, bo jeśli będą leżeć za daleko, twój wynik może nie mieć nic wspólnego z zachowaniem funkcji. Algorytm, który za tym stoi, próbuje przybliżać zachowanie człowieka, którego modeluje, i też wybiera sobie odpowiednie punkty. Tyle że to nie jest takie proste, bo nie wystarczy raz dobrać sobie jednostki i odmierzać dalej w regularnych odstępach. To jest algorytm adaptacyjny, czyli taki, który zależy od poprzednich wyników. Trzeba

próbować sprytnie, brać pod uwagę jak najwięcej punktów charakterystycznych, czyli w tym przypadku takich sygnałów, które można zobaczyć, ponieważ... – Przerynam, żeby ułożyć myśli. Chyba po raz pierwszy sformułowałem to tak precyzyjnie. – Nie wszystkie odcinki są jednakowo ważne. Dopóki komunikacja nie zachodzi, można sobie poradzić nawet prostą animacją, ale jeśli już się zacznie, zwłaszcza gdy pojawiają się problemy albo emocje, ona musi zacząć liczyć jak szalona. Jeśli nie weźmie pod uwagę jakichś ważnych miejsc w funkcji, jeśli nie zapewni ciągłości tego przybliżenia, to wyjdzie nienaturalny efekt. My widzielibyśmy to jako przeskoki albo huśtawki nastrojów, albo drgnięcia w twarzy czy dziwne grymasy, może nawet nie umielibyśmy tego opisać, ale nasz mózg dostrzegłby w tym coś niepokojącego. Nie widzimy nic takiego, co tylko świadczy o tym, jaka to dobra robota. A z drugiej strony – przypominam sobie rozmowę z Janseym Rahalem – system musi ciągle monitorować nasze reakcje, inaczej może zacząć przybliżać niewłaściwą funkcję. W końcu emuluje osobę w sytuacji komunikacyjnej, a każda taka sytuacja może mieć nieskończenie wiele wariantów. Może pasować do scenariusza, który ona zna, a może nie. Ta funkcja nie istnieje, ona dopiero się rysuje.

– Bierze pod uwagę nasze reakcje?

– Tak. To daje wrażenie naturalności.

– Jak to robi?

– Jeszcze nie wiem. Emocje nie zawsze daje się rozpoznawać, bo wiele grymasów albo gestów za bardzo przypomina inne albo wynika z czegoś totalnie losowego. Ale weź choćby taką prostą rzecz: ona zawsze na ciebie patrzy.

– Zawsze? A zrobimy eksperyment.

Nadia staje koło mnie, wskazuje ręką przed siebie.

– Ty idź tam, ja tam. Na mój znak. Gotów? Raz, dwa, trzy.

Stawiamy pierwszy krok, tak dobrze zsynchronizowani, jak tylko się da przy takiej metodzie. Nie oglądam się, ale mógłbym przysiąc, że czuję na sobie wzrok Susan.

– Widzisz? – W głosie Nadii pobrzmiwa nuta triumfu. – Patrzyła na ciebie, bo masz bliżej do tej kamery – wskazuje ręką ze swojego miejsca – niż ja do tamtej, więc bliższy obiekt został potraktowany priorytetowo. Ta technika też ma swoje ograniczenia. – Dla podkreślenia wydmuchuje gumowy balonik, który pęka z trzaskiem. – Chodźmy już.

Wsiadam do samochodu za nią, nie wspominając o jednej oczywistej rzeczy: człowiek w takiej sytuacji też nie zdołałby spojrzeć w oba miejsca naraz.

\*\*\*

Nadia miała rację.

Dochodzę do tego dopiero po jakimś czasie. Ludzie są ciekawscy z natury; człowiek może nie spojrzeć w dwa miejsca naraz, ale przynajmniej spojrzeć kolejno w oba.

\*\*\*

Roosje Rikhart, trenerka głosu, ma bardzo dopracowany profil branżowy. Nie podaje żadnych szczegółów, ale na jej osi czasu pojawia się współpraca z Graphic Description w momencie mniej więcej odpowiadającym okresowi, gdy firma wraz z agencją Razorfish pracowała nad ocieplaniem wizerunku energetycznego giganta. Bez problemu umawia się ze mną w barze Rain za dwa dni, gdy akurat będziemy w pobliżu.

Kostki projekcyjne to genialne urządzenia, ale problem z nimi polega na tym, że kiedy padają, to padają całkowicie. Po pewnym koncercie, gdy jedna przestała działać w środku występu, i to praktycznie bez ostrzeżenia, Nadia nabrała zwyczaju odpalania ich codziennie wieczorem, już po dojechaniu na miejsce. Ustawia je w rzędzie i uruchamia po kolei na kilka minut, obserwując w skupieniu, żeby zobaczyć, czy obraz nie ma żadnych zakłóceń. Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście coś daje – mam wrażenie, że to bardziej rytuał magiczny, dający jej spokój ducha, pomagający uwierzyć, że zrobiła wszystko, co mogła.

Wychodzę, żeby się ogolić i wziąć przed spotkaniem prysznic w dworcowej łazience, a kiedy wracam, atmosfera szamańskiej magii tylko się wzmacnia, bo Nadia wciąż siedzi na podłodze, wpatrzona w jedną kostkę jak w transie, odtwarzając to samo nagranie, te same kilka minut, czwarta minuta *My House on Mars*, raz za razem, w pętli.

– Zamigotało – stwierdza kategorycznie.

W okolicy nie ma serwisu elektronicznego, który pracowałby w takich godzinach. Mieliśmy jeszcze jedną kostkę w rezerwie, ale perspektywa pozostania zupełnie bez zapasu trochę wytrąca nas z równowagi.

– Pomóż mi – mówi Nadia. Wymawia to jak prośbę, ale dobrze wiem, że nią nie jest, jeśli odmówię, nie da mi później żyć. Podnosi się z trudem, musi oprzeć się o łóżko, bo nogi ma całkiem zdrętwiałe, najwyraźniej cały czas spędziła w takiej pozycji. – Siedz tu i patrz. Będę zmieniać parametry i zobaczymy, czy przy którymś ustawieniu pojawiają się zakłócenia. Daj mi znać.

Właściwie wciąż pamiętam, że jestem umówiony za godzinę. Mógłbym zaproponować, żeby sfilmowała to sobie kamerą, ale nawet ja wiem, że byłby to bardzo kiepski zamiennik ludzkiego oka, a Nadia jest profesjonalistką. W kwestii pracy mam do niej najgłębsze zaufanie od dawna, jeszcze zanim Dominik Latkiewicz przemienił się w Nicka Latke; od czasu koncertu, który zagrałem jeszcze z Nightcore w domu kultury w Zabrze. Przydzielono nam wtedy akustyka, który, sądząc z obserwacji, był głuchy, ślepy i najprawdopodobniej pozbawiony rąk. Przez pół godziny basista dawał mu rozpaczliwe sygnały, by wyśrodkował bas, wokalista tylko przewracał oczami, a skrzypaczka udawała, że wiesza się na własnych włosach, aż w pewnej chwili zobaczyłem, że przez salę przepycha się potargana głowa i znika w budce akustyka. Do dzisiaj nie wiem, co Nadia mu zrobiła – prawdopodobnie zmasakrowała słownictwem – ale już za chwilę odkryłem, że kable nie trzeszczą, mikrofon skrzypaczki ożył, a gra basisty nie przypomina charczenia silnika na mrozie, w każdym razie nie bardziej niż zazwyczaj.

Patrzę na trójwymiarowy plakat z napisem „*The Dream Sequencer, half-live in Groningen*”, na Silje Allman w neogotyckiej sukni.

Wiem, że naprawdę nie powinienem się brać za robotę w momencie, gdy zostało mi jakieś trzydzieści minut do wyjścia. Powinienem wiedzieć, jak to się skończy: że oboje będziemy nad tym siedzieć, aż problem się rozwiąże albo wyczerpiemy wszystkie pomysły. Kiedy wreszcie kończymy oglądać kostkę – tym razem wygrywa opcja druga, nie znajdujemy absolutnie nic podejrzanego w projektorze ani w samej kostce – jest już o wiele za późno.

Nadia ryzykuje wjechanie półciężarówką w wąskie uliczki i zostawia mnie praktycznie na progu klubu, ale i tak wszystko na nic. Barman, wysoki Hiszpan w cienkiej koszuli, przez dłuższą chwilę spogląda na wizytówkę Roosje Rikhart i stwierdza, że rzeczywiście, przy stoliku pod oknem przez jakiś czas siedziała podobna kobieta, ale już sobie poszła. Gdy wychodzę, okazuje się, że Nadia też zdążyła

odjechać na parking. Po kilku krokach kropla deszczu spada mi na rękę, druga na policzek.

\*\*\*

Tej nocy śni mi się Susan.

Leżę w białej kapsule, słyszę szum sali koncertowej – klasyczne otwarcie, ale przecież na koncertach to nie ja kładę się w zbiorniku, powinienem teraz grać. Czekam na głos Nadii oznajmiający uruchomienie sekwencera snów, ale zamiast niej słyszę głos Susan, pytający, czy może mi w czymś pomóc. Rozglądam się wokół i próbuję kontynuować występ zgodnie ze scenariuszem, ale zamiast fiołki z zielonym płynem na przezroczystym stelażu stoi butelka płynu do spryskiwaczy.

Z kostki rozwija się hologram – nie, nie teraz, nie teraz, taniec to dopiero *Lady in the Water* – chcę to jakoś przerwać, krzyknąć do Nadii, żeby przestała, ale nie mogę nawet wydobyć głosu i w panice zastanawiam się, jak teraz będę śpiewać. Susan idzie pewnym krokiem poprzez scenę, w skórzanej kurtce narzuconej na srebrną suknię zbliża się do kapsuły i wspina się do środka, podkasuje suknię aż po uda, by ukłęknać, pochyla się, aż czuje zapach smaru, dusznego potu i skóry. Bierze moją twarz w dłonie, ręce ma silne, pokryte odciśkami na kostkach, jak u mechaników samochodowych. Smakuje jak napój energetyczny, guma do żucia i odświeżacz do ust.

\*\*\*

Wyszukiwanie w grafice pod kątem zdjęć zrobionych na stacji, a nawet screenów ze strony EsseOil nie daje żadnych sensownych wyników (Jansey Rahal nie chciał podać nazwiska modelki – dane zostały zastrzeżone przez firmę Razorfish). Nie musi to oznaczać, że właściwych obrazów nie ma – mogą istnieć, mogą nawet leżeć w łatwo dostępnym miejscu, po prostu algorytmy do wyszukiwania grafik prześlizgują się nad nimi, nie punktując ich wystarczająco wysoko.

Powoli zaczyna to przerastać moje możliwości, a wtedy w desperacji wyszukuję w książce adresowej odpowiedni kontakt. Właściwie kończą mi się już przysługi, na które mogę się powołać, więc tym razem odzywam się do człowieka, który może się na to zgodzić zwyyczajnie po starej znajomości. Gdy odchodziłem z Nightcore, żeby

zacząć występować solo, jako jedyny życzył mi dobrze, poza tym w jego pojęciu to może być po prostu dobra zabawa.

Darek jest mistrzem danych – jak tłumaczył mi kiedyś, to nazywa stanowiska, nie żaden ego trip, że tak to się nazywa po polsku – i wszystko, co go otacza, to dla niego przede wszystkim zbiór symboli. Od razu odrzuca moją hipotezę, że problemem może być nadmierne wygładzenie naturalnej twarzy.

– To nie powinno mieć znaczenia – oznajmia kategorycznie. Sięga poza ekran i widzę, że wciąż pije colę light, najchętniej ciepłą i odgazowaną. Potrząsa butelką przed odkręceniem. – Twarz rozpoznaje się po charakterystycznych punktach, jak rozmieszczenie oczu, rozmiar nosa, kształt szczęki. Normalizujesz bazę twarzy, a potem porównuje tylko te elementy, które najbardziej się od siebie różnią. Nasz problem pewnie leży gdzie indziej: większość algorytmów do rozpoznawania obrazów bardzo pomaga sobie metadanymi z tekstów, które występują w sąsiedztwie tych obrazków. Jeśli okaże się, że ta pani nie ma w sieci wystarczająco dużo zdjęć podpisanych własnym nazwiskiem, to jej znalezienie właśnie zrobiło się ciutkę trudniejsze.

Pytam go, czy ma jakiś pomysł. Wcale nie jestem zaskoczony, że ma.

– Złożę własną bazę dla określonej domeny – przede wszystkim zdjęcia botów i ludzi powiązanych z nimi w kontekście pracy. Agencje, które zatrudniają ludzi do modelowania, często korzystają z usług raz sprawdzonych osób. Przy mniejszej bazie masz większe prawdopodobieństwo trafnego dopasowania, a jeśli w metadanych obrazka, który system uzna za odpowiadający twoim zdjęciom, znajdzie się ciąg znaków, który będzie przypominać imię i nazwisko, to będę o tym wiedział.

– Można tak zrobić? – upewniam się.

Obraz znika, a wizytówka migocze i ciemnieje, tym razem na dłużej. Darek nie odpowiada i jak go znam, pewnie już nad tym pracuje.

\*\*\*

Próba dźwięku przed kolejnym koncertem to koszmar akustyka, jestem rozkojarzony i długo nie mogę się zdecydować, na czym chciałbym grać. Wypróbowuję kilka instrumentów, aż w końcu nadchodzi ta faza, gdy rozważam perkusję, chociaż mamy w tym secie jeden kawałek, przy którym zdecydowanie nie powinienem

tam siedzieć. Przychodzi mi do głowy jeszcze jedno wyjście: pomiędzy kawałkami mógłbym szybko włączyć kostkę perkusyjną pod werblem, na jedną piosenkę przejść na bas, a później wrócić na perkusję. Efektowny numer, ale potrzebna jest idealna synchronizacja. Muszę to obgadać z Nadią.

\*\*\*

Zaczynamy koncert od bardzo klasycznego otwarcia, coveru, który dołączyliśmy do swojej pierwszej płyty. Staję z boku, w cieniu, gdy na scenie zapala się hologram sugerujący jakieś futurystyczne wnętrze. Zrobiliśmy je z kilku charakterystycznych gadżetów: splecione kable, przezroczyste stojaki i podłużna kapsuła.

– Włączono system sekwencera snów – oznajmia metaliczny głos, jakby przemówił komputer pokładowy statku kosmicznego ze starych filmów. Holonik – ubrany w srebrzysty kombinezon, a także – układa się w zbiorniku, mości się w nim ostrożnie, co chwila zmieniając pozycję, jakby nie był pewien, co ma zrobić z łokciami.

– Witamy. – Tym razem kobiecy głos, ludzki, ale sztucznie pogodny, w jakiś sposób bardziej maszynowy niż ludzki. Nadia nie umie śpiewać, to był jedyny sposób, żeby umieścić ją na albumie. – Wybrano program sekwencyjny. Proszę położyć się w zbiorniku energetycznym i przytknąć elektrody do skroni, a następnie wypić płyn z naczynia przy lewym terminalu.

Holonik posłusznie wykonuje jej polecenia, wpinając kable do gniazd umieszczonych w czaszce. Aparatura posykuje, fiolka bulgocze z głośników.

– Załadowano program – potwierdza komputer. – Uruchamiam protokół preinkarnacji.

– Proszę wsłuchać się w dźwięk muzyki – dodaje uspokajająco Nadia.

Holonik w stroju człowieka z przyszłości rozjarza się i znika w błysku światła. Zapada ciemność, a potem miejsce, w którym się znajdował, otaczają rozbłyskujące po kolei lampy, podobne do neonów, pełne rozjarzonego gazu. Nigdy nie widziałem na mieście żadnych neonów, ale zawsze myślałem, że mógłby je polubić, tak jak lubię albumy koncepcyjne i papierowe fanzyny.

Stopniowo przechodzimy przez kolejne kawałki, powoli przygotowując mój wielki numer. Jeszcze nim złapię ostatni akord piosenki,



Nadia wygasi światła na scenie i pozwolimy muzyce rozpląnąć się w mroku. Stopą wysuwam zza werbla podłączoną kostkę, na której Nadia za chwilę odpali holonika-perkusistę. Gdy zapłoną hologramy, będę stał pośród nich, spoglądając w stronę holonika-gitarzysty, jakbym czekał na sygnał, a potem, kiedy w trzeciej minucie rozpocznie epicką solówkę, będę zerkał na niego cynicznie, ciągnąc spokojnie swoją linię. Coś takiego jestem w stanie zrobić wyłącznie na żywo – skonstruowanie holonika-basisty, który spoglądałby na gitarzystę z odpowiednim, kpiącym dystansem jest moim niespełnionym marzeniem.

Jesteśmy w połowie *Cold Fusion*, gdy w słuchawce słyszę zaniepokojony głos.

– Nick, twoja kostka jest włączona? Nie odbieram sygnału.

Zerkam w dół na podłogę, gdzie płonie dioda kontrolna.

– Tak, przełączona na *stand-by*. – Sygnał z mikrofonu jest podawany prosto do analizatora mowy w jej laptopie, pytanie wyświetla się w postaci tekstu praktycznie w tej samej chwili, dzięki czemu mogę rozmawiać z nią nawet podczas grania.

– Odpalam diagnostykę. – Domyślam się, że w ciszy przebiega palcami po przyciskach, wpatruje się w wykresy. – Program nie rozpoznaje stanu gotowości.

Przełykam ślinę.

– Może przez ten skok napięcia przy ostatnim przełączeniu.

– To ta kostka, którą ostatnio sprawdzaliśmy?

– Nie, zapasowa. Ale z tej samej partii.

Przełykam ślinę, czując, jak po gardle przesuwa mi się coś zimnego.

– Co teraz?

– Projektor uważa, że jest wyłączona. Nie podaje na nią obrazu.

– Zrób ręczny *override*.

– Okej, patrz, co się dzieje.

W skupieniu wpatruję się w kostkę, ale nad jej powierzchnią nie zapala się nasz zwykły obrazek testowy, niebieska sfera ułożona par-kietażem Penrose'a.

– Jak to tam wygląda?

– U mnie nic. Zrób coś, na litość, zaraz będzie Allman!

Cisza. Na chwilę zaciskam powieki, ręce powtarzają wyćwiczone ruchy.

– Nie zrobimy tego kawałka z holonikiem na basie. Tam musi być człowiek.

– Zagramy inny kawałek.

– Ten był w programie.

– To będą mieć niespodziankę.

Zapada ciężka cisza, czuję, że każdy zagrany takt przybliży mnie do katastrofy. Zostało nam muzyki jeszcze na dwie i pół minuty.

– Wiesz, że możemy zrobić jeszcze jedno.

– Nie.

– Rozmawialiśmy o tym kiedyś.

– Nick, to nie jest dobry pomysł.

– To świetny pomysł!

Gitara jest gotowa i nastrojona, podłączona i leży z tyłu, wystarczy tylko podnieść.

– To się nie może udać.

– Mamy gotową linię, muzyka idzie z playbacku. Nie musisz nawet grać, przebieraj tylko palcami.

– To będzie tandetnie wyglądać.

– To studenckie miasteczko. Nikt nic nie zauważy, i tak wszyscy upaleni.

Przez chwilę odpowiada mi tylko milczenie. A potem, chociaż nic na to nie wskazuje, odczuwam jakąś zmianę w tej ciszy i nie jestem zaskoczony, bo Nadia jeszcze nigdy nie cofnęła się przed wyzwaniem.

– Allman pójdzie ostatnia – słyszę w końcu. – Muszę mieć chwilę.

– Zuch dziewczynka.

Odgrywam ostatnie akordy, patrząc, jak Nadia prawie biegiem przechodzi przez salę, tak szybko, jak tylko daje radę przepychać się między ludźmi, a tłum opływa ją i zamyka się za plecami. Prześlizguje się pomiędzy kostkami, teraz jeszcze ciemnymi. Gdy hologramy zapalają się z powrotem, stoi już na miejscu kostki basowej, widzę, jak zaciska palce na gryfie, a potem zmusza się, żeby je rozewrzeć.

Jako pierwsze wchodzi klawisze, dołączam do nich, za chwilę dochodzi mocniejsza sekcja rytmiczna. Nadia porzuciła swoje królestwo, teraz nikt nas nie uratuje, nikt nic nie poprawi. Będzie dokładnie, jak jest teraz, jako przy konsolocie, tak i na scenie, ale ona zna ten kawałek na pamięć i wiedziała, co zrobić, żeby było dobrze. Łapie pierwsze akordy, a do mnie już przy pierwszym dociera, co

jeszcze zrobiła tuż przed odejściem od stanowiska oprócz ustawienia wszystkiego tak, żeby było dobrze.

Wyłączyła ścieżkę basów.

*To będzie tandetnie wyglądać.*

Teraz gra całkiem sama. Nikt jej nie pomoże, nikt nic nie poprawi, wszystko będzie, jak jest.

Chętnie uściskałbym ją, gdybyśmy akurat nie stali na scenie z instrumentami w rękach i gdyby nagle nie oblał mnie zimny pot.

\*\*\*

Allman wykwita ze swojej kostki jak kwiat; jej nogi, łądogę kwiatu, opina przezroczysta suknia, u góry dopasowana, w dołu szeroka i rozlana jak woda. Materiał przecina sieć haftów iskrzących się pryzmatami, ozdobne ścięgi oplatają barki, wiją się w dół po rękach, wypełzają pomiędzy palce. Brzeg sukni przechodzi w tren z błękitnych ptasich piór, ciągnący się połyskliwą wstęgą. Z odsłuchów wydobywa się metaliczny brzęk elektryka i powolne zawodzenie syntezatora.

Nadia wchodzi w swoją – moją – rolę i to jest prawdziwy test. Nie jestem pewien, ale mógłbym przysiąc, że naśladuje moją manierę. Spokojnie odgrywa swoją linię, czasem zerkając na holonika-solistę, wybija rytm silniejszą stopą, a potem rusza naprzód, po łuku; powoli okrąży hologram Allman. Nie jest idealnie, zaczyna się cofać trochę za późno, gdy hologram wokalistki zdążył już odwrócić się w jej stronę, ale nie szkodzi – wygląda, jakby zareagowała na jej zainteresowanie. Mija chwila i teraz obie poruszają się w pięknej synchronizacji, Nadia na chwilę przerywa grę, wyciąga rękę, aż ich palce się stykają, a wtedy zamyka w ręce dłoń piosenkarki – ostrożnie, nie do końca, żeby nie przeszła na wylot. Czujnik podczerwieni rejestruje zakłócenie wyświetlanych przez projektor obrazów, wtedy uruchamia się polecenie dostosowania obrazu. Dzięki temu trudno przełożyć przez holo rękę na wylot, ale i tak trzeba uważać. Przyłapuję się na tym, że wstrzymuję oddech, patrzę, jak Nadia drobnymi, oszczędnymi ruchami tańczy na scenie, okrążając kobietę w pierzastej sukni. Postać wokalistki jest krystaliczna i lśniąca, świadomie renderowana na wzór tanich hologramów. Najlepsze – moje – wyglądają na prawdziwe.

Gdy postać Allman osuwa się na ziemię, Nadia odsuwa na bok gitarę i kłeka, jakby podtrzymywała ją rękami, trzyma dłoń o milimetry od holograficznych włosów. Holonik-solista wydobywa ostatnie

akordy. Reflektory oświetlają Nadię, gasną, a potem, gdy znów błyskają, klęczy już na scenie sama. Zostaje mi jeszcze krótka chwila, by poczuć atak paniki, od którego prawie brak mi tchu, a potem w tej ciemności – gdy Nadia prawdopodobnie rzuciła już gitarę na ziemię i teraz biegnie przez salę zająć swoje miejsce – powoli, niemal rozrywając salę, wybucha aplauz, jakiego nie słyszałem chyba jeszcze nigdy.

Uderzam werbel, a potem improwizuję krótkie, dzikie solo.

– Na gitarze akustycznej Nick Latke! – wołam. Gitarzysta kłania się posłusznie, jakby w odpowiedzi na mój gest, każda sekunda jest tutaj wyliczona. – Klawisze, Nick Latke. – Holonik wygrywa kilka energicznych taktów, potrząsając grzywą włosów, to dla mnie bardzo charakterystyczne. – Gitara elektryczna, jak się zapewne domyśliliście, Nick Latke. Na bębnach, jedyny w swoim rodzaju Nick Latke. Gitara basowa... – urywam. – Tak, Nick Latke, ale kogo obchodzi ten palant. – Sala odpowiada wyciem. Wskazuję pałką na stanowisko akustyka.

– Dzisiaj, specjalnie dla was, mój genialny akustyk, najlepsza siostra, o jakiej mógłbym marzyć, najciężej pracująca basistka w show biznesie, wielkie brawa – Nadia Latke!

Publiczność nie tylko klaszcze, ludzie wstają z miejsc, płyta unosi się i faluje. Niektórzy rzucają w powietrze plastikowe kubki, resztki alkoholu spadają jak deszcz. Stoją za daleko, czuję z tego najwyżej lekką wilgoć, ale i tak cała skóra mrowi, jakbym pływał w szampanie. Cofam się i daję Nadii znak ręką. Bisujemy, tym razem bez basu.

– Dziękujemy! – powtarzam. – Jeśli ktoś miałby ochotę otrzymać autograf naszej nowej basistki, zapraszamy po koncercie! Ale nie proście o numer telefonu. Chyba że... – urywam, jakbym się namyślał – Chyba że jesteście Emily z Emily and the Ramens.

– I jej basistą! – krztusi się śmiechem Nadia.

– I jej basistą – potwierdzam z powagą. – Dobranoc! Dziękujemy!

W końcu wycofuję się za scenę, Nadia też znika fanom z pola widzenia, zapalają się światła, z głośników zaczyna płynąć elektryczny jazz-pop. Widownia wciąż skanduje, gdy obsługa wchodzi na scenę, by zwinąć sprzęt.

\*\*\*

Dopiero za sceną wyciągam telefon. Nie patrzyłem na niego już od paru godzin, przez całe podłączenie, konfigurację, próbę i występy, ale teraz mam ochotę się pochwalić.

Nie sądziłem, że po tym, co właśnie zobaczyłem, cokolwiek może poprawić mi nastrój, a jednak wiadomość od Darka daje radę. Znajduję ją na samym dole listy. Jest krótka, tylko odnośnik i trzy zdania:

*Mireille Clares. napisałem, że chcesz pogadać o pracy. powiedziała, że ten koncert to w sumie niedaleko. nie musisz dziękować, tequila zrobi to lepiej. lubię złotą.*

\*\*\*

Siedzi na wysokim stołku przy długim półokrągłym barze, gdzie część fanów zbiera się na afterparty. Przeróbki rysów twarzy faktycznie były spore, może na tyle duże, żeby zmylić systemy przeszukiwania grafiki, ale ludzki mózg wciąż jest bez porównania lepszy w rozpoznawaniu wzorców. Tuż po wejściu komunikuje mi wyraźnie, że na końcu baru siedzi Susan.

Nie Susan, poprawiam się po chwili. Nie Dziewczyna. Mireille.

Ma na sobie czarną zwiewną sukienkę z kwiecistym nadrukiem i szerokimi rękawami i wygląda, jakby nawet na wysokim barowym stołku było jej całkowicie wygodnie, jakby w każdej chwili mogła się zwinąć w kłębek. Na czarnym blacie przeciętym białym paskiem stoi szklanka z pienistym koktajlem, ozdobiona plasterkiem owocu.

– Cześć. Jestem Nick. Przepraszam za kolegę. To było nietaktowne.

– Nie chciałeś się spotkać? – To nie jest głos, który znam. Dźwięczą w nim znajome nuty, ale jednak różni się na tyle, że zdaje się jeszcze bardziej obcy, niż gdyby był całkowicie inny.

– Chciałem. Bardzo chcę. Ale wolałbym ci to zaproponować sam.

– Aha, rozumiem. Jestem Mireille. – Dziewczyna, Mireille, odpręża się wyraźnie. Wyciąga rękę, a potem znów przysiadła na krześle. – Dobry koncert?

– Trochę się porobiło, ale daliśmy radę. A ty jak sądzisz?

– Nie widziałam, spóźniłam się za bardzo. Posiedziałam sobie w barze. Ale ludzie wyglądali na zadowolonych. Dobrze znasz to miasto?

– Pierwszy raz tu gramy.

– Naprawdę? W takim razie muszę ci mnóstwo pokazać! – Mireille zrywa się z błyskiem w oku i szybko dopija swojego drinka. – Właściwie chciałam powiedzieć, że znam je tylko troszeczkę, ale zobaczysz, w nocy wygląda wspaniale!

Chyba zbyt długo się gapię, bo Mireille w końcu pociąga mnie za rękę i prowadzi naprzód, do drzwi, a potem na dwór, w holograficzną głębię miasta, pomiędzy ceglane mury i światła, i drzwi do pubów, z których bije ciepło i dźwięk perkusji,

\*\*\*

Spacerujemy długo pomiędzy tłumami ludzi wylewającymi się z barów i biurami, w których światła palą się do późna. Czasem rozmawiamy, czasem żartujemy, uskakujemy przed jadącymi zewsząd rowerami, Mireille pokazuje różne budynki – Rijksuniversiteit, biblioteka – a czasem po prostu idziemy wzdłuż rzeki w całkowitej ciszy. Raz czy drugi zatrzymujemy się gdzieś na chwilę – zamawiam piwo, Mireille wybiera drinki o dziwnych nazwach.

Zauważam to prawie natychmiast.

Mireille cała zrobiona jest z wzorców, wszystko jest u niej bardziej. Kiedy się śmieje, odrzuca głowę w tył, a jednocześnie zgina się w pasie i podrywa rękę do ust, jakby próbowała je zasłonić. Wszystko robi całym ciałem. Jej gesty i charakterystyczne ruchy, te drobne rzeczy, które umysł rozpoznaje jako jedną emocję, wszystkie reakcje, które wzięte razem, zsumowane ze sobą, dają wrażenie realnej osoby, są u niej jak pogrubione flamastrem. Jest jak zbiór rozjarzonych punktów, rozbłyskujących i gasnących różnymi kolorami, aż w końcu, przy dłuższym wpatrywaniu, daje się dostrzec zarys sylwetki w ciemności. Jakby same prosiły, by je zauważyć, połączyć, policzyć wyniki.

– Ta asystentka na stacjach EsseOil – po jakimś czasie poruszam najciekawszy temat – jest niesamowita.

– Dzięki! – Mireille próbuje drinka o nazwie Doktor Zombie ze śliwowicą paschalną w składzie, krztusi się i wybucha śmiechem. Nie chce go dokończyć, prosi o białe wino z bitter lemon.

– Nie wiesz, z czego korzystali, żeby przerobić nagrania na model? Algorytm Lewiatana?

– Nie mam pojęcia. – Mireille znów się śmieje. – Ja tylko dawałam się filmować i przeczytałam kwestie. Coś z tym potem zrobili.

Darek zidentyfikował ją po zdjęciu, gdzie pojawiła się jako twarz w tle, w kampanii reklamowej jakiegoś funduszu ultrafast trading. Mireille sama jest szybka, i to na wiele różnych sposobów: szybko mówi, szybko gestykuluje i kiedy czegoś chce, nie zastanawia się długo.

Na parkingu niedaleko sali koncertowej, teraz prawie pustym, wciąż stoi samochód, którym przyjechała – czarne porsche, elektryczna hybryda. Gdy jeździ się czymś takim, właściwie cała Holandia jest niedaleko.

Nigdy wcześniej nie siedziałem w porsche. Jest straszliwie ciasne, ale Mireille robi niewiarygodne rzeczy – jej ciało składa się w kształty, których nawet sobie nie wyobrażałem, jak jej język przy dźwiękach obcych słów.

Jest ciemno i gdyby ktoś nas rozpoznał, byłby pewnie mały skandal. Prawie widzę artykuły w plotkarskich serwisach i minę Nadii, widzę to wyraźnie i nic mnie to nie obchodzi, liczą się tylko wrażenia, ciche pomruki przy uchu, jedna ręka na szyi, druga niżej, ubrania pocierające o siebie, jej sukienka wokół pasa, szybko, zachłannie, bardziej niż zwykle, szybciej, mocniej, wyraźniej, aż mam wrażenie, że w końcu coś się stanie, że przeciążone nerwy się przepalą, że mózg mi zawrze i kiedy mnie znajdą, ręce nadal będą mi drżeć, i w ogóle mi to nie przeszkadza.

Mireille jest szybka, ale nawet ona potrzebuje dobrych kilku minut, żeby się pozbierać. Przez chwilę po prostu leży na mnie, miękka i przytulna, jak latająca wiewiórka okryta płaszczem skóry. Starannie ułożona fryzura rozpadła się na kosmyki, sukienkę wciąż ma zadartą do pasa. Podejrzewam, że nie wyglądam dużo lepiej, bo gdy Mireille podnosi głowę, kąciki ust podskakują jej lekko, jakby próbowała nie zachichotać.

- Dobrze było.
- Mmm.
- Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

Przeczesa mi włosy palcami.

– Jest taki fajny klub na Peperstraat, wiesz? Następnym razem możemy tam iść i się pobawić, myślę, że by ci się spodobał. Mają genialne drinki i ciekawy klimat... taki jakby perwersyjny i brzydki, ale w dobrym stylu. Trudno opisać, trzeba zobaczyć samemu. To miejsce z klasą, ale bez szaleństw. Jak włożysz garnitur, będzie dobrze.

Gładzę jej ramię, ale teraz zatrzymuję się na chwilę.

– Nie mam garnituru.

Jej uśmiech znika. Widzę, że szuka słów, jeszcze nie ułożyła tego w głowie, racjonalna część mózgu zastanawia się, jak mi to przekazać, ale reszta, ta emocjonalna część, która odpowiada u ludzi za większość decyzji, już wie. Jeśli nie mam garnituru, to znaczy, że go nie potrzebuję, a jeśli go nie potrzebuję, to znaczy, że w ogóle nie bywam w takich miejscach, gdzie on jest potrzebny, czyli tam gdzie ona bywa cały czas. Nie jestem tym, za kogo mnie uznała, i teraz jest zaskoczona, rozczarowana i trochę oszukana i potrafi to skondensować w jednym krótkim słowie.

– Aha.

Mirreile Clares cała składa się z wzorców, a ten rozpoznaję bez problemu.

\*\*\*

Przez jakiś czas włóczę się po ulicach, a potem po parku, pomiędzy szerokimi trawnikami i plamami kałuż. Przesypiam może z godzinę na ławce, na szczęście nikt nie próbuje mnie okraść. Wracając, wstępuję do baru kanapkowego, wypijam za gorącą kawę, zginiatam kubek w origami, ciskam do kosza, a potem uznaję, że dałem już wystarczająco dużo czasu Nadii i każdemu, kogo postanowiła sobie dziś zaprosić. Tęsknota za własnym łóżkiem zaczyna być silniejsza niż niechęć do wpadnięcia na zaspokojonych i zadowolonych z życia ludzi, chociaż znając siebie, wiem, że na pewno się nie położę. Wywalę towarzystwo z łóżek, jeśli jeszcze w nich są, będę uprzykrzał życie wszystkim wokół, powtarzał, że trzeba się spieszyć, a na koniec uprę się, by prowadzić, właśnie dlatego, że nie powinienem. Łapię poranny autobus z powrotem na parking. Siadam przy oknie i czuję się, jakbym w ogóle nie ruszał się z miejsca i to miasto przeprogramowywało się dookoła.

\*\*\*

Na podłodze walają się zrzucone w pośpiechu ubrania: bojówki i bambusowe koszulki, w materacu mojego łóżka widać odcisk czegoś ciężkiego, jakby niedawno ktoś w nim leżał, na pewno nie byłem to ja i raczej nie Nadia. W jej własnym łóżku widzę wystające spod kołdry blade ramiona wytatuowane w spiralne fraktale, po chwili dostrzegam też rozczochraną głowę przytuloną do miejsca,



gdzie zaczynają się wzory. Po kuchni krząta się jakiś wysoki brodac. Odwraca się na chwilę i zaraz wraca do przerwanej czynności, jakby w ogóle nie interesowała go moja reakcja.

– Demir – mruzczy.

Przez chwilę mam szczerą nadzieję, że Silje Allman z plakatu ożyje i kopnie go w zęby.

– Nick – odpowiadam złym głosem. – Mam nadzieję, że dobrze ci się spało w moim łóżku, Demirze?

Brodacz wbija do miski resztę jajek, które znalazł w lodówce, po czym wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że przecież nikt inny go nie używał. Najwyraźniej jednak ma też zdolności dyplomatyczne, bo zauważa:

– Już jest wolne.

– Dzięki. Słuchaj, ja nikogo nie wyrzucam, ale gramy dzisiaj koncert w innym mieście, musimy wyjechać natychmiast i, jakbyście nie wiedzieli, mamy zepsutą kostkę – syczę przez zęby, siadając przy stole. Chowam twarz w dłoniach i obiecuję sobie, że tylko chwilę odetchnę, a potem pogonię to towarzystwo do diabła, gdy coś małego i ciepłego opiera mi się o łokieć. Demir najwyraźniej wygrzebał z szafki miedziany tygielek, który Nadia kupiła pół roku wcześniej, ale chyba nigdy nie wykorzystwała. Upijam łyk i niechętnie przyznaję, że akcje intruza właśnie poszły lekko w górę.

– Czemu jest taka słodka? – Dobrze smakuje, ale wciąż mam ochotę się do czegoś przyczepić.

– Bo to kawa po turecku.

– Demir...? – Od strony łóżka dobiega głos, który rozpoznaję, chociaż jest stłumiony i niewyraźny. Spod patchworkowej kołdry wynurza się kobieta, potargana i z zapuchniętymi powiekami. Ostrożnie wysuwa ramię spod głowy Nadii, jakby nie chciała jej przeszkadzać. – Co tam? Zrobiłeś nam kawę? A śniadanko?

– *Krijg de pleuris, Emily.*

– Emily? – Odstawiam filiżankę i upewniam się jeszcze raz, bo jeszcze w to nie wierzę, niby wiem, co krzyczałem wczoraj ze sceny, ale serio, jakie są na to szanse? – *Emily and the Ramens?*

– Już nie. – Wokalistka wskazuje podbródkiem na swojego kolegę. – Teraz nazywamy się *Indiscriminate Acts of Kindness*.

Moja mina musi być niczym w porównaniu z tą, którą Nadia zrobiła wczoraj wieczorem, ale pewnie też jest niezła. Legendarna

artystka, ikoniczna i garażowa jednocześnie, dziewczyna z całą masą problemów i gitarą elektryczną, dziewczyna, która zrozumiała, dlaczego w pewnym momencie rap na dobre zastąpił rock jako głos ulicy, i wiedziała, że musi te swoje problemy sprzedać albo zginąć, ta Emily siedzi u nas przy stole w szortach i pogniecionej koszulce i domaga się śniadania.

– Co tu robicie?

Tym razem nie miało wyjść opryskliwie, ale wyszło.

– Jestem wielką fanką waszych coverów – odpowiada Emily, zupełnie niezrażona. Siada na łóżku, opuszcza nogi na podłogę. – Wychowałam się na Ayreonie. A to, co zrobiliście wczoraj wieczorem? Moim zdaniem ustaliliście nowe standardy tego, co to znaczy interaktywny występ.

Wyciąga rękę po kubek. Demir, który wcześniej wbił do miski wszystkie pozostałe jajka, przez chwilę merda w niej widelcem, wtyka w nią palec i oblizuje. Dosypuje więcej chili i sięga po curry.

– Człowieku, zwariowałaś? – protestuje Emily. Prawa dłoń Demira wyraża podziękowanie za konstruktywną krytykę.

Z tyłu za plecami Emily Nadia unosi się na łokciach i wypęła spod kołdry. Jej włosy wyglądają, jakby wetknęła palec do kontaktu, do tego pociera dłonią kark, przez co unoszą się jeszcze bardziej.

– Hej, Nick. Jak poszło wczoraj?

– Co jak poszło?

– Poszedłeś rozmawiać z tą modelką, nie? O tym bocie, który cię tak zaciekawił. I co? Udało się odkryć ich sekret?

Nie chcę o tym rozmawiać, nie teraz, nie tutaj. Emily ma spojrze nie drapieżnego ptaka, głodne i czujne, widać to nawet teraz, gdy siedzi odprężona na łóżku. Wszyscy troje patrzą teraz na mnie i nie mam wyjścia, muszę coś odpowiedzieć.

Co się właściwie stało? Myślałem, że dokonał się przełom, że sprawdzony przepis istnieje, że alchemia działa i ołów da się zamienić w złoto, że iluzja żywego występu jest na wyciągnięcie ręki. A jednak przełomu nie było, w każdym razie nie dokonał się tutaj. Nie ma uniwersalnej metody, tylko zbiegi okoliczności i dobre dane, z niskim wskaźnikiem uwarunkowania i z małym błędem względnym.

Mój projekt umarł dziś w nocy, gdzieś po drodze między włączoną po parku a jazdą autobusem. Sam nigdy nie osiągnę takiego

efektu, nie zrozumieć dokładnie, jak działa, bo nie mam skąd wziąć takich danych, a to pewne jak diabli, że nie będę ich brał od Mireille Clares.

– Ona nic o tym nie wie – mówię krótko. – Ale moim zdaniem? Nie było sekretów. Znaleźli osobę, która wyjątkowo dobrze nadawała się do wymodelowania. Żadnych sztuczek, żadnych naukowych teorii. Nie musieli kombinować, wystarczy, że umieli patrzeć. Po prostu głupie szczęście.

Nadia kiwa głową, jakby nigdy nie miała za dużo wiary w te poszukiwania.

– Emily ma dzisiaj wolne – mówi po chwili. – Powiedziała, że jeśli nie zdołamy naprawić kostki, mogą gościnnie zagrać z nami jakiś numer. A jeśli naprawimy, to też mogą. Pytała, czy jesteśmy zainteresowani.

Zanim zdążę jakoś zareagować na tę niewiarygodnie hojną ofertę, Demir stawia przed nami patelnię. Emily natychmiast zabiera się do jedzenia, Nadia najpierw sięga po swoją kawę. Obraca językiem w ustach i przymyka powieki.

– Łał – mówi, a potem dopija w milczeniu, póki z filiżanki nie zniknie ostatnia kropla. Odstawia puste naczynie i otwiera oczy, spoglądając na Demira. – No... to było coś. Nie wiedziałam, że kawa może śpiewać. Ale ta umiała. Śpiewała mi w ustach.

Emily śmieje się całym ciałem.

**Agnieszka Zapart** – rocznik '85. Mieszka w Żorach, ukochanym mieście swojego urodzenia. Z wykształcenia psycholożka, z zawodu psychoterapeutka Gestalt, praktykująca w swoim prywatnym gabinecie. Od trzynastego roku życia pisała głównie dzienniki, będące sposobem na uporządkowanie myśli i emocji. Prozę zaczęła tworzyć w 2015 roku, gdy dołączyła do sekcji. Fantastykę czytuje jako przeciwwagę dla literatury fachowej. Wielbicielka Neila Gaimana i Doroty Terakowskiej. Praktykuje jogę tak często, jak tylko może, uwielbia chodzić po górach, rysować i patrzeć w nocne niebo.

Agnieszka Zapart  
**WYLICZANKA**



– Co to jest, mój drogi?

Nagle otwierające się okno trąca plecak. Pokój wypełnia łoskot dużego formatu uderzającego o podłogę i szelest kartek, a potem przeciąg unosi drobno zapisane fiszki jak mewy. W zasadzie nie zwróciłabym uwagi na zawartość szkolnej torby Tomka, gdyby spośród mnogości elektroniki, którą dawno przestałam rozumieć, nie wysunęła się książka. Taka prawdziwa, papierowa, jakie czytało się za moich czasów. Coś, czego wieki już nie widziałam.

– Ojej! – Tomek jeszcze dobrze nie rozsiadł się przy stoliku, a już musi się zrywać, by łapać fruujące arkusze.

Wciskam guzik, okno zamyka się, a notatkowe mewy przestają uciekać chłopcu z rąk. Trzynastolatek zbiera je z podłogi niedużego pokoiku z pietyzmem archeologa wyciągającego z grobowca kolejne skarby. Nie dziwię mu się. Teraz publikacje wydane na papierze najczęściej kupić można tylko w antykwiariatach albo specjalistycznych sklepach dla ekscentrycznych bibliofilów. Ciekawe, czym też taki starość skusił mojego wnuka.

– Mogę zerknąć, co to takiego?

– Takie tam. – Przez moment mam wrażenie, że pod burzą opadających na twarz blond włosów wykwita rumieniec wstydu, ale chłopak szybko pokrywa go nonszalanckim wyrazem twarzy, dodając: – Babcia, wiesz, że cię uwielbiam, ale tego to akurat nie zrozumiesz.

– Mój drogi, ta rzecz jest pewnie tak stara, jak ja, jesteś pewien, że to ja jej nie zrozumiem? – droczę się, pewna, że i tak mi wyjaśni.

Tak się też dzieje. Tomek – przepraszam, Tomasz, jak uparcie chce, by do niego mówić, odkąd zaczął dojrzewać – siada na zdezelowanym krześle przy metalowym stoliczku. Wyglądza kwiecisty obrus i przesuwa zdjęcie – jedyne rzeczy, które dodają przytulności bezosobowemu, ciasnemu pokojowi w domu starców. Wolumin o rozmemłanych przez czas rogach delikatnie ląduje na stole, a ja, siadając z cichym skrzypnięciem na łóżku obok, czytam tytuł „Neuroshima”. Z okładki patrzy na mnie oko płonącego miasta.

– Co to jest?

– Podręcznik do gry.

– Mogę zobaczyć?

Okładka miękko uklada się dłoniach, budząc tkliwość i nostalgię. Zetlały zapach farby drukarskiej i kurzu wielu bibliotek wywabia z pamięci wspomnienia młodych lat. Łapię się na tym, że wzdycham,

a Tomasz przygląda mi się uważnie spod zmierzwionych włosów. Błękitne oczy błyszczą radością.

– Wiedziałem, że ty mnie zrozumiesz – mówi cicho, a gdy patrzę na niego pytająco, kończy z dumą: – e-booka może mieć każdy, a to jest prawdziwy biały kruk. Wszyscy prowadzą gry częściowo interaktywnie, przez tablety, ale mnie to strasznie rozprasza. Mając podręcznik, mogę prowadzić grę tak oldskulowo, skupiając się na opowieści i wciągając w nią innych.

– No dobrze, ale co to za gra?

– To RPG, taka gra wyobraźni w wymyślonym świecie. W tym wypadku akcja toczy się w Stanach Zjednoczonych po apokalipsie i buncie maszyn.

– Taki „Terminator”? – dopytuję, a Tomasz patrzy na mnie z ukosa.

– Babciu, to chyba już był staroć, jak ty byłaś dzieckiem?

– Tak, chyba tak. – Zażenowanie lekko piecze policzki, a ja ubolewam nad sobą w duchu, bo mimo doskonałej świadomości swojego wieku nie lubię, kiedy mi się go przypomina. – Przepraszam, mów dalej.

– No więc – podejmuje, szukając wygodniejszej pozycji na zdezelowanym krześle – uczestnicy muszą znać ten świat, wiedzieć, jak wygląda i jakie zasady w nim obowiązują. Na tej podstawie wymyślają sobie postacie, ich cechy, umiejętności, wygląd i zawód. – Uśmiecham się, słysząc, jak jego głos nabrzmiewa pasją, a młodzieńcza klatka piersiowa faluje przyspieszonym oddechem. – W „Neuroshimie” może to być mściwy łowca maszyn, specjalistka od tresury zmutowanych zwierząt, renegat przemierzający kraj w poszukiwaniu przygód albo cwaniaczek, który kompletnie nic nie potrafi, za to ma masę znajomości. To jest drużyna. A ja jestem Mistrzem Gry, który wymyśla wszystko inne. Miejsce akcji, czas, postacie dodatkowe. Ja im wymyślam świat, a oni w nim się bawią...

Ostatnie zdanie uderza mnie jak kamień rzucony w jezioro. Niby nic się nie stało i chwilowe zmarszczki niepokoju już się wygładzają, by zniknąć na peryferiach ciała, ale skalny odłamek wciąż opada. Wolno i zdecydowanie sunie przez toń umysłu, by w końcu dotknąć dna, podnosząc muł pamięci. Zmętniała woda ciemnieje na chwilę, niosąc ku powierzchni coraz bardziej klarowne, przerażające wspomnienie. Sztywnieję. Tomasz milknie i przygląda mi się coraz bardziej okrągłymi oczami.

– Babciu, dobrze się czujesz?

– Tak – kłamię, czując, jak w każdej komórce mojego ciała wyje syrena alarmowa.

– Jesteś pewna? Cała zbladłaś.

– Tomaszu, może to dziwnie zabrzmiało, ale czy zaczynając tę grę, wygłaszacie wszyscy jakąś formułę, kwestię... Wyliczankę?

– Nie. A po co mielibyśmy to robić?

Strach w oczach wnuka zmienia się w tę charakterystyczną podejrzliwość młodych ludzi, gdy zaczynają wątpić w sprawność umysłu starszych. Każdego innego dnia zbyłabym to spojrzenie uśmiechem, dziś jednak mnie irytuje. Irytuje i przeraża, bo wspomnienie, nie bez powodu upchnięte do tej pory w czeluściach podświadomości, jest teraz tak samo wyraźne, co nieprawdopodobne, że sama już nie wiem, czy nie wariuję.

– Pytałam poważnie. Na pewno nie?

– Na pewno – głos wnuka miękko wyściela troska. – Babciu, wszystko w porządku? Czemu to takie ważne?

Pytanie zawisa beczelnie w powietrzu jak papierosowy dym w miejscu, gdzie nie wolno palić. Wstaję z łóżka i sztywnymi, kwadratowymi ruchami kogoś ustrząśniętego wyciągam z szafki pod zlewem dwa samogrzrejne kubki. Tania pstrokaczna, ale chcę zaparzyć herbaty i odwlec moment odpowiedzi. Woda szumi, wypełniając naczynia, a ja spoglądam na Tomasza. Zakłopotany ucieka wzrokiem do otwartej książki. Pewnie myśli, że dziwaczej. Zaraz poszuka jakiejś wymówki, by stąd wyjść, i nie zobaczę go przez długie, samotne tygodnie niezbędne, by czas naoliwił ten zgrzyt w naszej relacji, a niezręczna atmosfera wywietrzała. Nie chcę tego, ale boję się też szczerzej odpowiedzi. Czy zrozumie? Czy uwierzy? Czy nie jest za młody na takie rzeczy? Czy w ogóle powinien to wiedzieć? To przecież też historia jego pradziadków. Gdy podnosi głowę i wraz z nerwowym odgarnięciem jasnej grzywy już otwiera usta, uprzedzam go:

– Opowiem ci. – Decyzja zapada. Nic porozumienia usnuta między nami jest dla mnie zbyt cenna, by sprawdzać teraz, na ile jest mocna. Najwyżej mi nie uwierzy. – Zrobię tylko herbaty.

Torebki herbaty o nazwie „Bożonarodzeniowa” lądują w kubkach, a w powietrzu wraz z parą wodną unosi się zapach piernika, imbiru i pomarańczy.

– Ładnie pachnie – stwierdza Tomasz niepewnie, patrząc, jak siadam na łóżku tuż obok.

– Oj, tak...



\*\*\*

Załęże w Katowicach zawsze najbardziej śmierdzi latem. Duszne powietrze, ciężkie gorącą wilgocia, ma jakąś magiczną moc intensyfikowania zapachów. Wraz z pierwszym porannym oddechem jeszcze bardziej wyraźnie niż zwykle uderza mnie woń papierosowego dymu, który wniknął w tkankę mieszkania, nadając rzeczom siwą, gryzącą naturę. Jeśli zapach papierosów jest duszą mojego domu, to porozstawiane wszędzie kubki po kawie są jego ciałem. Kiedy wsączany w powietrze, zwykle cierpki, aromat pleśniejących fusów zyskuje łagodzącą go słodką nutę, wtedy wiem, że są wakacje.

Zaciągając się tą osobliwą mieszanką, przeskakuję z piżamy w ukochaną żółtą sukienkę, na której stokrotki walczą o lepsze z niespranymi plamami z ziemi, lodów i krwi. Pomna wczorajszej awantury, wkładam klapki już w pokoju, by nie pokaleczyć stóp o rozsypane po dywanie okruszki butelek. Matka chrapie na wersalce, w bogacając aromat mieszkania o siarczane wyziewy, a z telewizora krzyczy gniewny, czerwony napis: „Opłać zaległy abonament”. To dlatego się wczoraj pokłócili, przebiega mi przez myśl, gdy wchodzę do kuchni. W lodówce nie znajduję nic poza własnymi fantazjami o Kinder Pingui, które uśmiechnięta kobieta wyciąga dla swoich dzieci, albo o wszystkich półkach po brzegi zastawionych puszkami coca-coli.

– Adusia – niski, chrapliwy głos ojca przywołuje mnie do rzeczywistości.

Przemykam przez salon i, znów wdzięczna sobie, że przezornie włożyłam buty, wchodzę w morze porozrzuconego wszędzie złomu, który wypełnia pokój mojego ojca, bo „Przecież wszystko się może przydać albo dać naprawić”.

– Przepraszam, kochanie, że znowu musiałaś tego słuchać. – Krępy, mały człowiek, którego kocham najbardziej na świecie, podnosi się ze zdezelowanego tapczanu. Z przepoconej pościeli wypadają na wyszlizgane linoleum małe śrubki i kuleczki od łożysk. – Masz. – Wręcza mi dziesięciozłotowy banknot, a ja czuję, jak oczy mi okrągłają ze zdziwienia. – Udało mi się wczoraj sprzedać kilka rzeczy. Kup sobie coś na śniadanie, a ja zrobię większe zakupy później.

Uradowana i prawie bogata wybiegam z mieszkania. Chłód i półmrok osiadły w zakamarkach poniszczonych desek na schodach czy w pęknięciach ścian jest tylko zdradliwym preludium do wyjścia na gorące podwórko, gdzie razi pełnia lata.

Mieszkam na Wyplera. Ulica, pokręcona jak losy jej mieszkańców, koślawi się we wszystkich kierunkach, tworząc kwartał, w którym zamyka się cały mój świat. Pociemniałe od czasu i brudnego śląskiego powietrza ceglane familoki stoją ciasno przytulone do siebie, jakby chciały się nawzajem ochronić prze zawaleniem. Budynki patrzą na żwirowe podwórko starymi drewnianymi oknami, z których część jest powybijana, część zasłaniają dykty albo gazety, a resztę z rzadka zdobią sprane firanki albo pelargonie, jak u mnie. Tata kocha kwiaty. Niemal każdy mur otaczających plac familoków mniej więcej do wysokości dwóch metrów nad ziemią upstrzony jest koślawymi napisami: „Polska krule”, „Układ won!” czy „GKS for lajf”. W tej powodzi bazgrołów rozmywa się też, napisane zbyt wodnistą białą farbą: „Balcerowicz musi odejść”. Jedyną utwardzoną spękanym betonem częścią podwórka jest droga prowadząca do stojących w cieniu roślých topoli, śmietników i trzepaka.

Trzepak, niemal całkowicie otoczony kępą krzaków forsycji, które oddzielają go od śmietników i wścibskiego wzroku dorosłych, to nasze ulubione miejsce.

Ubity żwir chrzęści pod stopami, gdy wypadam z klatki. Zaraz, niczym pole siłowe, przyciąga moją uwagę pełen pretensji skrzek sąsiadki z parteru:

– Witkówna, małpico jedna, zaś leziesz niszczyć ta klopsztnaga?

Kolejny urokliwy detal naszej dzielnicy – poduszkowce. Seniorki załęskich rodów, wsparte na wysyciełanych poduszkami parapetach, wysiadują jaja wścibstwa i plotkarstwa, obserwując bacznie całą okolicę.

– Paskudnico, do ciebie godom! Pirońska motyka, jak matka łożyrok, co ino by haje robiła. Zara tam po was przyda, chacharstwo jedne!

Nawet się nie odwracam. Nasłuchałam się w życiu tylu obelg, że zdążyły oblepić skórę, wrosnąć w nią i stwardnieć, tworząc taką skorupę, że kolejne już tylko po mnie spływają. Poza tym codzienna rutyna tych gróźb w pewien przewrotny sposób mnie uspokaja. Potwierdza, że wszystko jest w porządku. Nic się nie zmieniło i dalej można spokojnie chodzić wydeptanymi ścieżkami. Moja wiedzie między przekwitłe krzaki forsycji, zza których słyszę melodyjny głos Marka:

– Francuz? Serio?! – Wysoki dziewięćolatek noszący plecak, którego nie ściąga chyba nawet do spania, stoi oparty o mocowanie trzepaka.

– No co, co!? Patrz, jaki wyzgerny. – Zofka macha mu gniewnie przed nosem idealnie rozplaszczonym, cienkim jak żyłotka kluczem francuskim. Jej długie blond włosy przypominają splątaną końską grzywę, którą co chwilę odgarnia z twarzy.

– Och, nie no, świetny. Jestem pod wrażeniem pomysłu. – Marek całkiem dobrze pokrywa fascynację sarkazmem. Nikt poza mną nie ma pojęcia, że nie ma znaczenia, czym Zofka mu wygraża, byleby to robiła.

– Przeca ty wymyśliłeś, żeby żelastwo na glajzy kłaść i patrzeć, jak je pociąg bigluje – wtrąca się Ulka, przypominająca w tej chwili bezgębnego nietoperza albo harpię. Wisi do góry nogami na niższej rurze trzepaka. Nos i usta odciskają się pod czerwoną błoną koszulki, która opada jej na twarz, a spod materiału wypływają kasztanowe fale włosów, sięgające aż po spękania betonu.

– No dobra. – Marek wywraca zielonym oczami. – Ale to były monety albo kamienie, a nie zestaw narzędziowy. Śrubokręt też dałaś pod żelazko relacji Częstochowa-Gliwice? – zwraca się z szero-kim uśmiechem do Zofki.

Ula wybucha śmiechem, a Zofka, warcząc coś pod nosem, sięga do torby. Miniatura worka żeglarskiego chrzęści metalicznie, a po chwili w dłoni dziewczyny błyskają idealnie płaskie nożyczki.

– Szraubincjer nie wyszedł tak szykownie, jak to – mówi z dumą.

Już otwieram usta, by zarządzić wyzerkę na swój koszt, gdy z krzaków wyłania się Tymek. Drobnny rudy chłopiec podchodzi do nas i w cieniu topoli robi się jakby ciemniej. Cichnie perlisty śmiech i ciernista kłótnia. Powietrze tężeje, a wszelki ruch zamiera na te kilka sekund potrzebnych, by ocenić czerwono-fioletową śliwę pod okiem chłopca, poszarpaną pizamę i lejące się ruchy kogoś, kto ledwo trzyma się na nogach.

\*\*\*

– *Fajne miałaś dzieciństwo, nie powiem.*

*Słowa, w zamiarze ironiczne, pobrzmiwają fałszywą nutą lęku i zakłopotania. Jednocześnie jasne czoło chłopaka chmurzy się, a błyskawica zmartwienia przecina je w poprzek zmarszczką. Widzę to i wiem, że czas wyrzeźbi ten nawyk w głęboką bruzdę. Wnuk martwi się w ten sam sposób, co ja. Znowu się waham. Czy na pewno chcę mu opowiadać tę historię? Nawet jeśli ma ją potraktować*

*jak opowieść pomyłonej staruszki. Niby teraz dzieciaki z Internetu wiedzą już wszystko. Ale to było moje życie, a nie news na portalu plotkarskim, suto doprawiony pikantnymi zdjęciami.*

*– Nieważne – próbuję się wycofać. – Opowiedz mi lepiej o tych swoich grach i tej książce.*

*– No coś ty, babciu! Przepraszam. – Przypada do mnie, a policzki mu czerwienieją ze wstydu. – Przepraszam. Wyrwało mi się, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, bo ta historia jest... No, brzmi jak z jakiegoś koszmaru. Ale mów dalej, proszę.*

\*\*\*

Marek biegnie do domu po jakieś świeże ciuchy, ja – do spożywczaaka po śniadanie, a Ulka z Zofką prowadzą Tymka w nasze najsekretniejsze miejsce. Kupuję dużą colę i worek drożdżówek w maleńkim sklepie na skrzyżowaniu Gliwickiej i Wyplera. Wręczam sprzedawczyni dziesięć złotych, a pulchne palce, zdobne w długie tipsy i mnogość odpustowych pierścionków, mną banknot, jakby kobieta wątpiła w jego realność. W końcu dostaję resztę i wracam, zgarniając po drodze Tobiasza – niskiego, pyzatego chłopca, który jest mistrzem w robieniu balonów z gumy do żucia.

– Gramy – rzucam w pędzie, mijając jego klatkę.

Słyszę za sobą pęknięcie balonu, ciche przekleństwa i ciężkie kroki próbującego mnie dogonić kolegi. Zrównujemy się dopiero przy płocie. Tobiasz ściąga z policzków resztki gumy. Falista blacha skrzypi metalicznie, gdy odginamy ją, tworząc niewielką szparę, przez którą Tobiasz z ledwością się przeciska. To jest przejście do innego świata. Za pordzewiałym płotem, tuż na skraju osiedla, stoi opuszczony dom. Ceglany parterowy budynek, wsparty o nasyp kolejowy, wyrasta z wysokich traw jak chatka krasnoludków. Śpi w cieniu wysokich drzew, pod miękką kołdrą mchu na dziurawym dachu. Koślawiąca się przez wybite okno brzoza także wygląda, jakby drzemała, pół kładąc się na parapecie, a pół sięgając ku niebu. Gdy wchodzimy do środka, uderza nas przyjemny zapach chłodu i leśnej wilgoci.

W lekkim półmroku siniak na wychudłej twarzy Tymka wygląda jak ziejąca ciemnością dziura w czaszce. Makabryczne złudzenie mija jednak szybko, gdy podchodzę bliżej i wręczam wszystkim śniadanie. Siedzimy na koślawych krzesłach i zdezelowanej kanapie, z której przy każdym ruchu unosi się zapach piżma i mokrej sierści.

Za stół służy nam wielka drewniana skrzynia, w której w czasie wojny przewożono amunicję. Z boku widnieje nawet, mocno już wytarty, napis: LUFTWAFFEN – MUNITION.

Syk otwieranej co rusz coli i mięsisty dźwięk przeżuwania wypełniają ciszę naszej kryjówki. Nikt o nic nie pyta. Nigdy. To, co robią nasi rodzice, nie jest tajemnicą nawet dla mniej bystrych mieszkańców Załęża. Choć Tymek, przyznam, ma pod tym względem najgorzej. Wszyscy wiele razy widzieliśmy, jak do Erdsenów przyjeżdżała policja, by uspokoić awanturującego się ojczyma. Po każdej takiej interwencji matka Tymka jeszcze przez parę dni klnie i złorzeczy wszystkim sąsiadom, wyzywając ich od kapusiów i donosicieli.

Długo i zapamiętałe żuję ostatni kęs, chcąc jak najdłużej delectować się drożdżówką. Jagodowy sok rozpląwa się balsamicznie na języku, a drobinki cukru i pestek skrzypią między zębami. Gdy słodko-kwaśny posmak jest już tylko wspomnieniem, zwracam się do Tymka:

– To co? Ciągniesz piratów z Karaibów Marka, dwór króla Artura Ulki czy moje statki kosmiczne? A może wymyślasz coś swojego?

W piwnych oczach chłopca zapala się światełko, nikle jak samotna świeczka na cmentarzu, a jednocześnie na tyle wyraźne, by wygonić mrok z jego twarzy. Kąciki ust, zaciśniętych dotąd w wąską kreskę, zaczynają nieśmiało unosić się w uśmiechu. Tymek patrzy na nas w poszukiwaniu ostatecznego potwierdzenia, a gdy napotyka pełne napięcia radosne wyczekiwanie, rozpromienia się zupełnie i zaczyna mówić:

– Już nas nikt nie goni, ale mroczy się coraz bardziej. Wieje tak, że deszcz pada prawie w poprzek. Żagle furgają, wszystkie linki do klarowania pozrywane. Maszt skrzypi i wygląda, jakby zaraz miał się obalić. Woda przelewa się przez pokład, a fale ryczą jak żule pod monopolowym. Ster nie daje się utrzymać w rękach. Statek płynie prosto na skały, które wyglądają jak paszcza na okładce kasety „Szczęki”. Nagle słyszycie trzask. Pokład pęka i statek zaczyna powoli rozpadać się na pół. Co robicie?

– „Skały! Skały, panie kapitanie!”, drę się na całe gardło. Pizga. Liny się rwą, jak schodzę z bocianiego. Widzę, że maszt się ledwo trzyma. Boję się i próbuję zeskoczyć na pokład. Znowu krzyczę: „Skały, kapitanie!” – podejmuje opowieść Ulka.

– Dostaję bzika! Lecę pod pokład i próbuję wyciągać tyle złota ze skrzynek, ile mieści mi się w kabzach. – Zofka rzuca się po kanapie, naśladując ruch wypychania kieszeni.

– Krzyczę za Zofką: „Zwariowałaś? Zostaw to! Wracaj! Cholera!”. Nurkuję pod pokład, widzę, że połowa skrzynek już pływa w wodzie. Łapię Zofkę i zaczynam targać ją z powrotem na pokład.

Marek z Zofką zaczynają się przepychać, chichocząc, a kana- pa skarży się, skrzypiąc przy każdym gwałtowniejszym podskoku. Nagle Tobiasz wstaje i podniesionym głosem komenderuje:

– „Do luftu z tym! Uciekomy! Uciekomy ze szifu!”.

– „Tak jest, panie kapitanie!” Puszczam ster i zbiegam na niższy pokład do szalup. – Kucam przy najbliższym krześle i udaję rozplątanie linek. – „Łodzie ratunkowe gotowe!”.

– „Gzujemy stąd!”, rycza na cały regulator, a gdy widza, że Marek targa Zofkę, to łapię dziouche za fraki i wylczemy ją ku łodziom! – krzyczy Tobiasz.

– Statek pęka na dwie części. Burza szaleje na całego, woda pie- ni się jak kibel myty Domestosem. Wszystko tonie – oznajmia nam Tymek ze stoickim spokojem, który tylko potęguje napięcie.

W ciepłym półmroku widzę, jak knykie bieleją mi od zaciskania palców na krawędzi krzesła. Obok mnie Marek z Tobiaszem trzy- mają szarpiającą się Zofkę. Krzyki i złorzeczenia udającej szaleństwo dziewczynki odbijają się od zmurszałych ścian, a Tymek, wstając, wskazuje dwa nieduże okna w jednej ze ścian. Przepalony letnim słońcem błękit podgląda naszą zabawę przez rzęsy porastającej spę- kany parapet trawy. W kontraście do ciemnego betonu okna przy- wodzą na myśl dwoje błyszczących, niebieskich oczu.

– Nagle z morza wyłania się łoszkliwy biały wieloryb. Ślipia mu świecą jak głodnemu psu, gdy widzi futer. Otwiera paszczę i połyka was razem z łajbą – kończy Tymek i udając wieloryba, obejmuje nas rękami z sykiem i mlaskaniem.

\*\*\*

– *Babciu, to wyście grali w prawdziwego rolpleja, tylko że... – Opalizujące oczy Tomasza żarzą się niczym węgle w piecu kaflowym. Widzę, jak iskra początkowej fascynacji wraz z pełniejszym zrozumieniem naszej zabawy przeradza się w płomień przeraże- nia. – Tylko że wy graliście, by zapomnieć o tym wszystkim... – koń- czy prawie szeptem.*

– *Tego się nie dało zapomnieć. – Wyciągam poduszkę spod koł- dry i włożywszy ją pod plecy, opieram się o ścianę.*

Zmieniona rano, zdezynfekowana pościel prawie skrzypi, gdy szukam wygodnej pozycji. Wychylona do tyłu, zamykam oczy, a pod powiekami wyświetla mi się kronika filmowa mojego dzieciństwa. Kiepsko zmontowane – czasem zbyt głośne i jaskrawe, czasem rozmyte, niejasne – luźno ze sobą powiązane sceny przechodzą płynnie jedna w drugą. Kiczowate dzieło szalonego reżysera niezmiennie budzi we mnie mieszaninę złości, nostalgii i litości nad samą sobą. Słyszę, jak wnuk wierci się nerwowo na krześle.

– Chodziło o to, by choć na chwilę było inaczej. – Spoglądam znowu na Tomasza. – Tworzyliśmy sobie światy, w których wszystko było tak, jak chcieliśmy. Bawiliśmy się w różne dziwne i szalone rzeczy, ale nigdy nikomu nie działała się krzywda... – zawieszam głos – do czasu.

– Do czasu? Przecież nie mogła was już spotkać większa krzywda niż to, od czego uciekaliście.

– Ano, jednak mogła.

\*\*\*

Do naszej dzielnicy przychodzą różne osoby. Panie z opieki społecznej – matrony wielkie jak okręty, falujące spódnicami po naszych domach. Kuratorka, tak chuda i wysuszona, że prawie było słycać papierowy szelest łokcia, gdy unosiła dłoń do okularów, by surowym spojrzeniem besztac dorosłych. Wszystkie dokładały wszelkich starań, by resocjalizować „tę społeczną hołotę, pijaków bez perspektyw, damskich bokserów, prostytutki czy wulgarną gówniarzę” – jak syczały cicho między sobą, sądząc, że nikt nie słucha. My najbardziej zawsze wyczekiwaliśmy aniołków.

Tego popołudnia też tak jest. Mimo późnej godziny upał sący się z nieba złocistym miodem, sprawiając, że rzeczywistość lepi się i spowalnia. Ulka, Zofka i ja leżymy na trawie nieruchomo, jak owad zamknięte w bursztynie. Energii starcza nam zaledwie na komentowanie kształtu obłoków, które z rzadka przepływają po lekko żółcącym się już niebie. Zamykam oczy, łapiąc pod powieki powidoki chmur. Otwieram, znów zamykam, mrugam i przyglądam się, jak kłębiasty flesz błyska nagle w zapadającej czerni. Jakby z daleka, choć chłopaki siedzą całkiem blisko nas, dobiega mnie zawzięta dyskusja nad grą w szkata. Czas zwolnił do tego stopnia, że gdybym miała jeszcze zegarek z komunii, nie zdziwiłoby mnie, że sekundnik

płynie po tarczy jak łódka w czasie flauty. Ciągając się beztrąsko karmelkową czasoprzestrzeń zmraża nagły szelest forsycji. Zrywamy się z trawy; gra w karty ustaje, a pod trzepak podchodzi dziewczyna o delikatnych rysach i speszonym spojrzeniu, niosąca pod pachą jaskrawokwiecistą dużą torbę.

– Dzień dobry, Ewelina powiedziała mi, że tu was znajdzie.

Jej głos przywodzi na myśl szum fal, a błękitne oczy w oprawie piaskowych włosów potęgują skojarzenia z morzem. Wygląda zjawiskowo. Widząc, że gapimy się na nią wszyscy na poły urzeczeni, na poły zaskoczeni, oblewa się lekkim rumieńcem.

– To mój pierwszy raz. Mam ją zastąpić.

– Anioł? – pyta niepewnie Marek, chowając karty do plecaka.

– Nie, skąd. – Morze w jej głosie faluje zakłopotaniem, które jednak szybko ustępuje, kiedy zaczyna rozumieć, co mamy na myśli. – To znaczy tak. Jestem wolontariuszką z Domu Aniołów Stróżów i zastępuję Ewelinę.

– A co się stało Ewelinie?

– Wiele jej nie będzie?

– To się nom podarzyło! A jak mosz na imię?

Atmosfera pod trzepakiem rozluźnia się. Dziewczyna siada na trawie, a my zamykamy ją w ciasnym kręgu zainteresowania. Początkowa trema znika, zastąpiona przez łagodność i spokój. Jak piec kaflowy zimą, przyciąga nas swym ciepłem tak, że przyjmujemy ją bez zbędnych zastrzeżeń czy zwykłej nieufności.

– Ewelina wyjechała na wakacje i wróci za dwa tygodnie. Ja natomiast nazywam się Felicja i...

– Fela! Jak moja oma! – wykrzykuje Tobiasz, a widząc zaskoczone spojrzenie Felicji, dodaje speszony – No co? Opa tak na nią godał.

– Nie o to chodzi... Nie rozumiem, co mówisz.

Fascynuje mnie morski ton jej głosu, lekko spieniony, przepraszający. Szybko wyjaśniam, że Tobiaszowi chodzi o dziadków i zaraz zadaję kolejne pytanie, by zasłuchać się w odpowiedź.

– A co będziesz z nami robić?

– Ewelina mówiła, że lubicie grać w gry fabularne, to znaczy takie, w których opowiada się historie, i pomyślałam, że to się wam spodoba. – Z kwiecistej torby wyłania się kolorowy karton z napisem: „Magia i Miecz.”

– Ale klawe!



- Co to?
- Planszówka?
- A jak w to się gra?
- Ło boziu, wiała tu tego je!/? Kaj mamy w to groć?
- No właśnie, gdzie my w to zagramy?

Felicja wkłada z powrotem wszystkie elementy gry do kartonu, a my patrzymy po sobie. W natychmiastowej, bezgłośnej wymianie spojrzeń zapada decyzja i w chwilę później idziemy już z Felicją przez podwórko. Wypatruję wścibskiego wzroku poduszkowców; szczęśliwie większość okien, mimo iż otwarta na oścież, jest pusta. Rozgrzany żwir chrzęści pod naszymi stopami, by ucichnąć przy płocie z falistej blachy. Pomagamy dziewczynie przedostać się na drugą stronę. Przesuwamy skrzynię po amunicji bliżej wejścia, by było lepiej widać planszę i karty. Zasady gry są nieco skomplikowane, ale Felicja wyjaśnia je cierpliwie w trakcie rozgrywki i po chwili wszyscy już zapamiętujemy się w zabawie.

Popołudnie niepostrzeżenie przechodzi w wieczór, dokuczliwy upał ustępuje. Niebo, początkowo miodowożółte, potem płomiennie pomarańczowe, ostatecznie powleka się radosnymi odcieniami różu i fioleto. Słońce broczy czerwienią, barwiąc skłębione na zachodzie chmury miedzianymi refleksami. Po trzech godzinach gry Marek, z niewielką pomocą Felicji, zdobywa w końcu Koronę Władzy.

- Ale fajoska gra! – wzdycha Ulka.
- Dyć! Ino trza mieć do tego grajflka – zgadza się Tobiasz.
- A wy w co tutaj gracie? – pyta mnie Felicja, gdy razem z Zofką pomagamy jej zapakować cały zestaw z powrotem do pudełka.

Sztywniejemy. Atmosfera nagle gęstnieje, ścięta wstydem i lękiem. Pytanie wisi w powietrzu niechciane, choć przewidywalne jak żółty smog zimą. Czas liczy się w przyspieszonych uderzeniach serca i gorączkowych rozważaniach, ile można tej dziewczynie powiedzieć.

– Światy sobie wymyślamy – odpowiadam w końcu. – Każdy ma jakiś swój, opowiada o nim pozostałym, a oni wymyślają, co w tym świecie robią.

- O! Chyba znam tę grę. – Uśmiecha się Felicja.
- Taaak? – Zofka patrzy na nią z ukosa, a przeciągnięte niechcący „A” brzmi jak wyrzut.
- No jasne! Kiedy grałam w takie gry, zawsze zaczynaliśmy od wyliczanki.

– To takie gry mają wyliczanki? – podejmuję nieco bardziej kpiąco, niżbym chciała, a pogodna do tej pory twarz Felicji poważnieje i chmurzy się.

– Myślicie, że ja nie wiem, jak to jest? – Morski głos jest cichy i złowrogi, jak zapowiedź zbliżającego się sztormu. – Jako dziecko mieszkałam na Bałutach w Łodzi. Osiedle chyba jeszcze gorsze niż to. Teraz studiuję psychologię w Katowicach i w ogóle jakoś sobie radzę, ale nie zawsze tak było... – przerywa w pół zdania, obdarzając nas smutnym spojrzeniem. – W każdym razie wiem, że jest wiele powodów, by stworzyć sobie zmyślonych przyjaciół albo alternatywne światy.

Chwila ciąży mi na barkach przez kilka sekund, po czym wrażenie rozmywa się i znika w nabierającym wieczornej lekkości powietrzu. Felicja uśmiecha się nieznacznie, a wielka, kwiecista torba szeleści, połykając grę.

– To jak idzie ten wierszyk do tej gry? – zagaduje Ulka.

– „Tewel, orbis, sekai, ao, gdyby fatum krzywdzić miało, my się na to nie zgadzamy! Sami własny los stwarzamy! Dunia, mundo, raz i dwa, dzisiaj los wymyślam ja”.

– Akuratne – podsumowuje smutno Tobiasz.

– Kiedy powiecie go wszyscy razem, a ostatni wers tylko ta osoba, która opowiada tego dnia historię, macie prawdziwą moc stwarzania światów. – Felicja mruga do nas porozumiewawczo, wychodząc z naszej chatki. – Muszę już iść, bo robi się późno, ale jutro znowu do was przyjdę.

– Super!

– Klawo!

– A o kerej bydziesz?

– Przyniesiesz jeszcze jakieś gry?

– Całkiem niewykluczone. Dziękuję wam za miłe popołudnie i do zobaczenia. – Przyjemny szum morza zlewa się ze skrzypnięciem falistej blachy i już jej nie ma.

– Hej! Czeka! – krzyczę, orientując się, że spod skrzyni wystaje jedna z kart do gry.

– Daj spokój, jutro jej oddasz – uśmiecha się Ulka, gdy chowam kartę do kieszeni. – Tyle tego w tej grze, że cud, że tylko jedna się zawieruszyła.

\*\*\*

Budzę się rano i przez pierwsze kilka sekund jeszcze nie całkiem przytomnie zastanawiam się, która jest godzina. Pęknięta tarcza budzika, tulonego przez wyliniałego królika z pluszu, pokazuje dziewiątą czterdzieści siedem. Deszczowa ciemność za oknem zdaje się temu przeczyć. Brunatne chmury zawisły nad Załężem tak nisko, że ich ciężkie, kłębiaste brzuchy niemal zahaczają o korony najwyższych topoli. Szybko przebiegam przez mieszkanie, odnotowując, że taty już nie ma, a mamy jeszcze. Są za to pachnące bułki świeżo z piekarni i nutella. Tata wie, że uwielbiam nutellę, a już bardzo dawno jej u nas nie było. Z wysmarowaną grubo kanapką wybiegam na podwórko. Nie pada, ale mokry plac wygląda, jakby deszcz wymył z niego wszelkie życie. Szare familoki odbijają w rozległych kałużach swoje posępne twarze i tylko rynny szumią cichym staccato spływającej z dachów wody. Zaskakuje mnie, że mimo tej apokaliptycznej aury jest całkiem ciepło. Gałęzie forsycji moczą mi sukienkę, gdy przeciskam się pod trzepak, a zawiesina deszczowych kropeł nasycza się świeżym zapachem wilgotnych liści. Pod trzepakiem stoi Zofka. Wielka kałuża odbija drobną, kurczącą się w sobie sylwetkę, wymiętą sukienkę, opadające na czoło, rozczochrane włosy oraz puste, nieobecne oczy dziewczynki. Już mam coś powiedzieć, gdy to dostrzegam. Cienka, niemal niewidoczna strużka sączy się po nodze Zofki, barwiąc spękany beton na czerwono. O nic nie muszę więcej pytać. Już wiem, że rodzinę Zofki znowu odwiedził jej nastoletni kuzyn.

\*\*\*

– Babciu, czy ten kuzyn...

– Tak. – *Ostrze odpowiedzi tnie powietrze mocniej, niżbym tego chciała.*

*Ciężkie jak ółw milczenie zestala atmosferę. Tomasz przez chwilę prawie nie oddycha, a niebieskie oczy okrągłej z przerażenia, gdy wyobraźnia raczy go jedynie słusznym scenariuszem. Wygląda teraz jak mały chłopiec, który przypadkiem trafił na wykład do patologa sądowego. Patrzę na niego z mieszaniną współczucia i ulgi. Cieszę się, że jemu już dane zostało zupełnie inne dzieciństwo, chociaż szklany klosz miłości mojej córki oszczędził mu też choćby wilków*

*albo czarownic w starym dobrym stylu braci Grimm. Mój kochany wnuk nie oswoił tego, że życie bywa niezwykle okrutne.*

\*\*\*

Zebranie reszty zajmuje zaledwie kilka uderzeń serca i po chwili już wszyscy biegniemy przez mokry plac, przeskakując kałuże i ślizgając się na trawie, by zasiąść w naszej chatce. Gdy sadzamy Zofkę na kanapie, zapach piżma i mokrej sierści wydaje mi się jeszcze bardziej intensywny niż zazwyczaj. Marek niezdarnie próbuje ją przytulić, ale ona sztywnieje tylko i jeszcze bardziej zapada się w sobie. Tobiasz otwiera termos i już po chwili wędrujący z rąk do rąk kubek znaczy swą drogę białą smużką pary o zapachu pomarańczy.

– Zofka, chcesz grać w ogóle? Bo wiesz, może nie... – Zakłopotana Ulka nerwowo przekłada kubek z ręki do ręki, a ręce jej drżą tak, że trochę herbaty rozlewa się na drewnianą skrzynię. – Może to gupie tak fulać teraz?

Na dźwięk tych słów Zofka znowu sztywnieje, ale tym razem czujnie i z napięciem, jak zwierzę gotowe do skoku. Pod skórą przepływają fale napinanych mięśni, palce zwierają się w pięść, czerwień ust znika, zamieniona w płaską kreskę, a oczy dziewczynki błyszczą gorączkowo.

– Nie! Nie będziemy ino fulać! Jaka to była ta wyliczanka, co Felicja godała? – mówi z determinacją.

– Chcesz się bawić, że naprawdę wymyślamy światy? – Tymek spogląda na Zofkę niepewnie.

– No ja! Przeca Felicja gadała, że tak można. – Ulka podchwytuje rozbawiona. – Pierwej trza wyliczankę powiedzieć.

– Będziemy mogli sobie wymyślić wszystko i nie tylko tutaj. – Marek wskazuje na drzwi, przez które, ponad falistą blachą płotu, podglądają nas ponure budynki z Wyplera. – Możemy to przenieść też tam!

– Ja! Wymyślimy sobie wszystko nowe, na placu i w chałpie! – Rozpromienia się Zofka.

– Ada, godej ta wyliczanka. – Tobiasz patrzy na mnie, stukając się w czoło, a ja wiem, że wbrew pozorom jest to gest pełen uznania. – Tyś je taki besserwisser, to pamiętosz, pra?

Ukłucia intensywnie wbijanych we mnie spojrzeń pięciu par oczu są odczuwalne niemal tak prawdziwie, jak narastające podniecenie,

które drży tuż pod powierzchnią skóry. Wizja mocy stwarzania prawdziwych światów wlewa się w nas radością i fascynacją. Przytaczam wyliczankę, bo faktycznie jakoś zapadła mi w pamięć. Kiedy recytujemy ją wszyscy razem, udaje mi się nawet przez chwilę zapomnieć, że to tylko zabawa. Zofka kończy wyliczankę słowami „Dunia, mundo, raz i dwa, dzisiaj los wymyślam ja” – i zaczynamy tworzyć rzeczywistość alternatywną dla tej, w której przyszło nam żyć na co dzień. Oczywiście pierwszą rzeczą, jaka się w niej wydarza, jest zapełnienie się mieszkań zabawkami, komputerami do gier czy deskorolkami; w szafach lądują nowiutkie sukienki i stroje sportowe, a do lodówek trafiają lody, czekolada i coca-cola; a potem, żeby nikt nam nie przeszkadzał się tym cieszyć, znikają nasi rodzice. Chatkę kilkakrotnie moczy deszcz, coraz intensywniej i głośniejszy wygrażając światu grzmotami, a my, całkowicie zatopieni w zabawie, prawie nie zauważamy upływu czasu i zmian pogody.

– Szkoda, że to wszystko nie jest prawdziwe – kwituje kończącą się grę Marek.

– Ja – wzdycha Tobiasz.

– Ja to bych czasem chcioła, żeby naszych rodziców naprawdy nie było. – Rozpromieniona zabawą twarz Zofki znowu się chmurzy powagą i bólem.

– Czasem? – pyta sarkastycznie Tymek.

– Czasem bardzo... – zamyśla się Zofka, po czym dodaje zawzięcie:  
– Poszliby se kajś i nie wracali. I ten pulok też!

Ostatnie słowa rozdziera ogłuszający huk grzmotu, a potem dźwięki i obrazy przyspieszają, zlewając się ze sobą jak w zwiastunie filmu katastroficznego. Terkot zwałanego drzewa, łoskot pękającego betonu, zgrzyt wyginanych zbrojeń, rumor walących się kamieni, wrzaski przerażenia, a potem cisza. Unosząca się w powietrzu wraz z pyłem i kroplami deszczu, przesywająca i ostateczna cisza.

W ustach czuję jak metaliczny posmak krwi miesza się z kwaśnością deszczu. Mija dłuższa chwila, nim odzyskuję słuch i zaczyna do mnie docierać miarowe staccato kropel rozbryzgujących się o zwały gruzu i bolesne pojękiwania pozostałych. Ciągłe zmrożona szokiem, otwieram nieśmiało oczy. Ostrość widzenia powoli wraca, a pierwszym, co dostrzegam, jest wyrwa w suficie naszej chatki, nad którą rozpina się bury całun burzowych chmur. Powoli rozglądam się dookoła, czując, jakby z każdym ruchem głowy po wewnętrznej stronie

mojej czaszki turlały się kolczaste, ołowiane kule. Widzę zarysy czterech sylwetek wydobywających się spod gruzu. Gdy wstaję, czuję, że moją lewą rękę rozpala pieczenie. Gdyby nie ten ból, miałabym wrażenie, że to sen, bo kontury rzeczywistości zdają się zakrzywiać, rozmywać, nie do końca do siebie pasować, jak na kubistycznym obrazie. Wszystko momentalnie nabiera klarowności, gdy rzeczywistość rozpruwa przeraźliwy wrzask Marka:

– Zofka! Zofka! Boże Świąty! Zofka... – Samogłoski odbijają się żalonym echem od przemokniętych familoków.

Spoglądam w jego stronę – i w jednej sekundzie wszystkie komórki mojego ciała jeżą się w przerażeniu, a żołądek opada pod ciężarem wielkiej lodowatej kuli. Zaraz potem uderza mnie gorąco, szaleńczo pompowana krew szumi w uszach, a myśli mkną w szalonej, jazgotliwej gonitwie. Marek kłęczy przy zwałach betonu i powyginanych pod dziwaczными kątami drutów, spomiędzy których sterczy pień zwałonej topoli. Słyszę przejmujący jęk i widzę, jak moim przyjacielem wstrząsają spazmy, a grube krople łez kapią na wystającą spod kamieni rękę Zofki.

\*\*\*

*Tomasz patrzy na mnie oniemiały. Jego twarz przypomina upiorną maskę z teatru kabuki. Dwa wielkie kamienie czarnych oczu zatopione w zbielątej ze strachu masie. Efekt znika, gdy w końcu się odzywa:*

– Mieliście po dziewięć lat.

– Tak – odpowiadam smutno. – Jakimś cudem nikomu poza Zofką nic poważniejszego się nie stało.

– Ale Zofka...

– Nie było co zbierać. Tak powiedziała Anna, najstarsza siostra Zofki, która wezwała wtedy policję, wszystkie inne służby i zajmowała się tym koszmarem przez kolejne dwa dni.

– Siostra? A czemu nie rodzice? – oburza się Tomasz. – Chyba nie byli aż tak pijani albo, no nie wiem, naćpani czy coś, żeby nie ogarnąć śmierci własnego dziecka?!

Teraz to ja czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, żołądek faluje tą charakterystyczną pulsacją wzmagającej się tremy, a dłonie zaczynają lekko drżeć. Żeby zyskać na czasie, sączę kolejny łyk herbaty, pozwalając, aby zimny płyn powoli, cieką strużką o ledwie już wyczuwalnym smaku pomarańczy przesączał się do mojego gardła. Gram na czas, ale Tomasz domaga się odpowiedzi.

– Powiedz mi, co się stało z jej rodzicami?

– Zniknęli – mówię, a właściwie wyduszam z siebie te słowa, jak wyznanie zatajonego przed laty grzechu. – Wszyscy nasi rodzice zniknęli.

– Jak to? Gdzie? Czemu? I nikt się zorientował?

Wzdycham, jeszcze głębiej zapadając się w poduszkę. Siła uchodzi z wiotczących mięśni i niemal czuję, jak przygniata mnie ciężar wspomnień z tamtych absurdalnych, tragicznych dni. W końcu opowiadam Tomaszowi o aferze, jaką wywołała śmierć Zofki w połączeniu ze zniknięciem jej rodziców. Media trąbiły o tragedii, nieodpowiedzialności, dziedziczeniu patologii, niedofinansowaniu opieki społecznej. Wszczęto poszukiwania rodziców ofiary, najprawdopodobniej oddających się intoksykacji alkoholowej w bliżej nieokreślonym miejscu. Szukano winnych zaniedbań, krzyczano o biedzie, uzależnieniach i bezmyślności. Początkowo w całym tym zgietku nikt się nie zorientował, że piątka innych dzieci biega samopas. Zawsze tak było; a że z całej naszej paczki tylko Tobiasz miał młodsze rodzeństwo, to ukrywanie faktu zniknięcia też naszych rodziców nie nastęczało wielkiego problemu.

– No ale czemu nikomu nie chcieliście się przyznać?

– Bo chcieliśmy to jakoś naprawić.

\*\*\*

Trzyletni Antek, zawzięcie machając pogrzebaczem, próbuje wygonić spod obdrapanej komody karalucha. Pięcioletnia Hela bawi się drewnianymi klockami na klepisku, które wyziera spod naderwanego linoleum. Pochrapywanie babci Feli zlewa się z miarowym skrzypieniem bujanego fotela, na którym siedzi. Dom Tobiasza sprawia wrażenie, jakby tragiczne wydarzenia ostatnich dni nie zdążyły się jeszcze zaktualizować w tej czasoprzestrzeni. Gołe cegły drapią mnie w plecy, gdy opierając się o ścianę w kuchni, patrzę na domowników w dużym pokoju. Ten widok przynosi kojącą iluzję spokoju; budzi nieokreśloną nadzieję, że może wszystko jeszcze da się odmienić.

– Czemu to teraz nie działa? – Marek, niemal przezroczyście ze zmęczenia, siedzi wciśnięty między starą „Franię” a kuchenkę. – Przecież dobrze powtarzaliśmy wyliczankę. Dobrze, nie? – Patrzy na mnie wodnistymi oczami.

– Tak, dobrze – wzdycham zrezygnowana. – Ile już razy próbowaliśmy? Dalej nic się nie dzieje?

– A może nie godajmy lepiej – wtrąca się Ulka, siedząc w przejściu do dużego pokoju z głową opartą o framugę i zamkniętymi oczami. – Co, jeśli znowu coś się stanie?

– Taa, a stało się? – irytuje się Tymek – Powtarzamy ten wierszyk i całą scenę jak zacięto kasetą w starym walkmanie, i co? I nic!

On z kolei siedzi na kuchennym blacie i majta nogami, uderzając piętami o niedomykające się, pokryte odłóżającą żółtą farbą drzewiczki.

– Godom wam, że to bez fakt, że ni ma Zofki. – Tobiasz, raz po raz nerwowo strzelając gumą do zucia, zaparza herbaty. Dwie torebki sagi, jedna w każdej ręce, wędrują między pięcioma kubkami, znacząc wrzątek czerwieni wielowocowej esencji. – Ni mo dziouchy, to nie działo.

Początkowa panika i przejście ustępują miejsca apatii. Obklepieni ciężkim marazmem prawie nie opuszczamy mieszkania Tobiasza. Do swoich wracamy tylko po jedzenie, ubrania i pieniądze – jeśli ktoś gdzieś jakieś znajdzie – a potem umykamy czym prędzej, by nie zmiażdżyło nas brzemień pełnej wyrzutu pustki i ciszy. Wracamy do zwyczajności zakonserwowanej w głębokich zmarszczkach babci Feli, której zdaje się w ogóle nie przeszkadzać, że od trzech dni opowiada bajki na dobranoc nie trójce, ale siódemce dzieci.

– A może byśmy jej poszukali? – mówi Ulka, zerkając na nas niepewnie.

– Kogo? Zofki? – Tymek patrzy na nią jak na wariatkę.

– Felicji – wzdycha Ulka.

– A co nam to da? – pyta Marek, a jego oczy znowu zaczynają nabiegać łzami.

– Ja! Mosh rech! – ożywia się Tobiasz, który właśnie podaje wszystkim kubki. – To boł jej ajnfal. Trza znaleźć ta hekxa i niech to naprawio!

– To jest myśl.

– Tak!

– Dobry pomysł. Teraz ty jesteś besserwisser.

Chwilę później wychodzimy na zalany słońcem plac. Silny wiatr przegania śmieci z miejsca na miejsce i przynosi ulgę w upale. Ktoś trzepie dywan na naszym trzepaku – niby to oczywiste, ale w tym momencie ten zwykły widok wywiera na mnie uderzające wrażenie. Zupełnie jakby ktoś umył ręce w chrzcielnicy. Czym prędzej zostawiamy za sobą



ten świętokradczy obrazek i biegniemy między familokami w kierunku Gliwickiej, a stamtąd kierujemy się w stronę centrum. Przeskakując nad wyrwami w pamiętającej PRL betonowej kostce, docieramy do końca ulicy. Tuż przed wielkim skrzyżowaniem, gdzie nawet w środku letniego dnia samochody tłoczą w oparach śmierdzących spalin, stoi niczym nie wyróżniająca się ceglana kamienica. Brzydka, obskurna, z wymalowanymi na fasadzie wulgarnymi napisami. To jednak tylko pozory, bo zaraz po przekroczeniu bramy wita nas zadbane podwórko, gdzie kwitnące pnącza zdobią mury na przemian z kolorowymi muralami. Dom Aniołów Stróżów – miejsce, gdzie obcy ludzie z jakichś nie do końca jasnych dla mnie przyczyn organizują darmowe zabawy i zajęcia dla takich dzieciaków jak my. Wypchnięta przez pozostałych, podchodzę do niskiej rudowłosej wolontariuszki, która wraz z grupą dzieciaków maluje coś na wielkich płachtach brystolu rozłożonych na podwórku.

– Hej! Chcecie się przyłączyć? Zaraz znajdziemy wam dodatkowy brystol – zagaduje ruda, już sięgając po wielką belę papieru.

– Nie, nie. My tylko szukamy Felicji – odpowiadam szybko.

– Felicji?

– Niska blondynka, niebieskie oczy, bardzo ładna.

– Szcześciara. – Wolontariuszka uśmiecha się szeroko, a w jej piegowatych policzkach pojawiają się małe dołeczki. – Dziś ma dyżur w świetlicy. Musicie iść do środka, na piętro.

Wchodzimy do kamienicy. Zapach gulaszu z kaszą i kiszonych ogórków zaplata na nas swoje macki, zapraszając do jadalni. Z żalem mijamy pomieszczenie, w którym grupka dzieciaków pałaszuje obiad, i wspinamy się po wyslizganych stopniach na piętro. Na schodach i w korytarzu wiszą dziecięce malunki i wyklejanki, a także cytaty z jakiegoś Korczaka, które brzmią jak absurd. W świetlicy, schowanej przed słonecznym żarem w półmroku czerwonych zasłon, wita nas chłopak o ruchach i aparycji uroczego patyczaka.

– Cześć wam! Skąd jesteście? Chcecie zagrać? – Usta rozciągają mu się w sympatycznym uśmiechu, gdy wskazuje na toczącą się w głębi świetlicy zajadłą partię chińczyka.

– Szukamy Felicji – wyjaśnia Tobiasz. – Tako pikno frela, co przylazła do nos na Wyplera. Tyż pograć.

– Felicja? Taka blondynka? – Tym razem uśmiech chłopaka jest jakby bardziej rozmarzony. – Tak. Dziś pomaga w kuchni.

Nie wiedząc, czy cieszyć się, czy martwić, zbiegamy na dół, do jadalni. Podchodzę do okienka, z którego, jak przypuszczam, wydawane są posiłki.

– Halol! Przepraszam! Jest tam może Felicja? – wołam w głąb kuchni skapaną w odcieniach dającej pozory sterylności szpitalnej zieleni.

Okno zasłania gruba kobieta w brudnym fartuchu; jej pucołowata twarz jest ciepła i zaciekawiona.

– Felicja? – pyta jedwabistym głosem, który nijak nie pasuje do jej tuszy. – Nie ma tu takiej.

– Na pewno? – Czuję, jak krew mi tężeje, a w brzuchu pojawia się nieprzyjemne, gorące łaskotanie. – Powiedziano nam, że dziś ma dyżur w kuchni.

– A jeszcze wcześniej, że na świetlicy – wtrąca się Marek. – Musimy ją znaleźć!

– Kochani – kobieta wychyla się przez wąskie okienko, w którym wygląda niczym Kubuś Puchatek zaklinowany w norze Królika – tych wolontariuszy przewija się tutaj taka masa, że trudno byłoby wszystkich spamiętać. Może idźcie do kierownika.

Chwilę później, stłoczeni w gabinecie nie większym od schowka na szczotki i równie zagraconym, patrzemy wyczekująco na brodatego mężczyznę. Kierownik drapie się po siwiejącej szczecinie, a uważne spojrzenie sugeruje, iż zastanawia się, czy nie stroimy sobie z niego żartów. W końcu jednak odpowiada z poważną miną:

– Nie kojarzę takiej wolontariuszki.

– Niech pan nie godo. – Tobiaszowi łamie się głos. – Przeca żeśmy ją widzieli na własne ślipia!

– Mówiła, że zastępuje Ewelinę, która przychodziła do nas na Wyplera – podejmuję równie zdesperowana. – Podobno Ewelina jest na wakacjach.

– To prawda, ale nikt jej nie zastępuje na waszej ulicy przez ten czas.

\*\*\*

– *Fajne to opowiadanie – uśmiecha się Tomasz. – Mogłabyś być GM-em.*

– *Stucham? – Moje oczy rozszerzają się gwałtownie w odruchu zaskoczenia, gdy widzę rozpromienioną twarz wnuka.*

– *No chyba nie sądziłaś, że ci w to uwierzę. – Przygląda mi się z miną kogoś wielce z siebie zadowolonego. – Wkręciłem się, nie powiem, i hej, wyliczanka z mocą zmieniania rzeczywistości, świetny pomysł!*

Szok przez chwilę pulsuje w ciele napięciem, serce na moment przyspiesza, przez sekundę robi się cieplej, a potem wszystko wraca do normy. Z chłodnym spokojem obserwuję, jak Tomasz myje kubki po herbacie, następnie pakuje książkę z napisem „Neuroshima” do plecaka i zakładając go, podchodzi do mnie, by się pożegnać.

– Czyli mi nie wierzysz?

– Jasne, że nie. – Pochyla się, by mnie objąć, a jego bujna czupryna łaskocze mnie w nos.

– To dobrze – rzucam z uśmiechem, nim zdąży zniknąć w drzwiach pokoju.

Drzwi zamykają się z cichym trzaskiem, a ja podchodzę do okna. Lato. Pensjonariusze domu starców siedzą na ławeczkach rozstawionych wokół skwerku przed budynkiem. Wielkie topole okrywają ich cieniem, gdy rozmawiają, czytają albo grają w szachy z robotami do towarzystwa. Po chwili widzę, jak Tomasz wybiega na skwerek, odwraca się jeszcze na chwilę, by mi pomachać, po czym znika wśród krętych alejek parku. Fenomen. Jestem jedyną, którą jeszcze odwiedzają żywi ludzie; tacy, którym naprawdę można coś opowiedzieć. Na tę myśl wypełnia mnie osobliwa mieszanka ulgi i rozczarowania. Spokój lekkości w głowie i ciężar smutku w piersi przepoławiają ciało w okolicy obojczyków. Uczucie jest nie do zniesienia, napawa strachem, jakbym miała się zaraz rozpaść, bo sama czasem nie wiem, w co wierzyć. Przez moment myślę, że może Tomasz ma rację, że to fajna historia. Przez sekundę pojawia się nadzieja, że będę mogła w końcu wydłubać spod mostka ten uwierający kamień żalu, wstydu i poczucia winy, że nie umieliśmy lepiej radzić sobie z rzeczywistością. Podchodzę do łóżka i z trzaskiem w starych kolanach kłękam na podłodze. Sięgam pod spód, by wydobyć zakurzoną plastikową walizkę, w której zamyka się cały mój świat. Zamek błyskawiczny jest lekko przerdzewiały, ale da się otworzyć. Wyciągam książki, pamiątki i wyblakłe zdjęcia, aż zgrabiące palce natrafiają na kolejny zamek na dnie walizki. Ustępuję dużo łatwiej niż pierwszy, a pod materiałem udaje mi się wymacać niewielki kartonik. Porozklejane, zaokrąglone od częstego obracania w dłoniach brzegi są jak piętno, które na grubym papierze odcisnęło czas. Wyciągam wyblakłą kartę do gry, z której patrzy niska blondynka o niebieskich oczach, trzymająca między dłońmi złotą kulę czaru, a wyblakły napis nad postacią głosi: WRÓŻKA.

**Benjamin Rosenbaum** - amerykański autor opowiadań SF i fantasy. Jego teksty były nominowane do Hugo, Nebuli (za opowiadanie „Przyjmujący Nowe”), Theodore Sturgeon Award, World Fantasy Award i BSFA Award. Z wykształcenia jest informatykiem, projektował oprogramowanie dla amerykańskiego rządu. Jest jednym z założycieli Digital Addiction (firmy, która stworzyła grę online Sanctum). Obecnie mieszka w Waszyngtonie z żoną i dwójką dzieci.

# Benjamin Rosenbaum

## POMARAŃCZA

*Przełożyła Magdalena Grajcar*

**P**omarańcza władała światem.

Taka tymczasowa abdykacja Niebiańskiej Opatrzności, z przekazaniem wszystkiego zwykłej pomarańczy była wielce nieoczekiwana.

Pomarańcza w gaju na Florydzie z pokorą przyjęła ten zaszczyt. Inne pomarańcze, ptaki i mężczyźni na traktorach zapłakali ze szczęścia. Silniki traktorów wywarkowały dziękczynne pieśni.

Piloci samolotów przelatujących ponad gajem zataczali nad nim kręgi.

– Pod nami znajduje się gaj, gdzie na zwykłej gałęzi rośnie pomarańcza, która włada światem – mówili pasażerom. Ci milkli z szacunkiem.

Gubernator Florydy ogłosił świętem każdy dzień. W letnie popołudnie Dalajlama przychodził do gaju i siadał przy pomarańczy, by rozmawiać o życiu.

Gdy nadszedł czas, by pomarańcza została zerwana, żaden z sezonowych pracowników nie chciał tego zrobić. Ogłosili strajk. Zarządcy szlochali. Inne pomarańcze przysięgały, że zgorzknieją. Ale pomarańcza, która władała światem, rzekła:

– Nie, przyjaciele. Nadszedł czas.

Wreszcie przyprowadzono człowieka z Chicago, o sercu tak szumnym i zimnym jak jezioro Michigan zimową porą. Odstawił on walizkę, wspiął się na drabinę i zerwał pomarańczę. Ptaki zamilkły, chmury rozwiały się. Pomarańcza podziękowała człowiekowi z Chicago.

Mówiono, że kiedy pomarańcza przeszła przez krajowy system przetwarzania i dystrybucji produktów rolnych, pewne maszyny zmieniły się w złoto, pewni kierowcy ciężarówek doznali objawienia, a starzejący się kierownicy wiejskich sklepików dzwonili do córek-lesbijek, z którymi zerwali kontakt i wszyscy wszystko sobie wybaczeni.

Trzy dni temu kupiłem pomarańczę, która władała światem, za trzydzieści dziewięć centów w markecie Safeway, i przez trzy dni leżała w moim koszu owoców i była mi nauczycielką.

– Już czas – powiedziała mi dziś, więc ją zjadłem.

Teraz znowu zostaliśmy sami.

# NA ZAKOŃCZENIE

Wydawaliśmy kiedyś jako klub kwartalnik o nazwie NOL – Nieoficjalny Obiekt Literacki – który jednak drukowaliśmy w bardzo ograniczonym nakładzie i który nie wychodził poza ŚKF. Po jednym ze spotkań sekcji literackiej zaczęliśmy dyskutować nad zmianą tego formatu – a może by tak wyjść do ludzi i pokazać się szerszej publiczności jako sekcja, a nie jako pojedynczy autorzy (jeśli czytacie po kolei, to mieliście okazję dowiedzieć się ze wstępu Ani Kańtoch, że spora część z nas publikowała już w wielu różnych miejscach). Nie bez znaczenia pozostaje tutaj również fakt, że łatwiej walczyć z pisarską niemocą i lenistwem, mając przed sobą deadline na konkurs. Co może wydać się ciekawe (a może nie, niemniej nie zdarza się to często) ustaliliśmy, że teksty wybierzemy wspólnie. Najpierw wysłamy je anonimowo na nasze forum, a następnie przyznamy punktację. Zgłoszono trzydzieści jeden tekstów, z czego ostatecznie do antologii trafiło dwanaście najwyżej punktowanych.

Nie ma wśród nich tekstów naszych najbardziej rozpoznawalnych autorów, czyli Ani Kańtoch i Miśka Cholewy – z powodu różnych zobowiązań nie zdążyli ze zgłoszeniem tekstów na konkurs (podkreślam – nie chodzi o automatyczne włączenie do antologii, a o zgłoszenia na konkurs), niemniej od nich pragnę rozpocząć listę podziękowań – czy może raczej zwykłego uznania i udokumentowania zasług osób, których praca i wysiłek doprowadziły do wydania trzymanej przez Was w rękach (oglądanej na czytnikach) antologii.

I tak Ania Kańtoch niestrudzenie koordynuje wszelkie klubowo-literackie projekty, nieodmiennie umniejszając przy tym swoje zasługi. Michał Cholewa wziął na siebie zliczanie głosów. Wszystkim członkom sekcji należą się brawa za zaangażowanie, zgłaszanie tekstów i głosowanie. Autorzy, którzy nie trafili do antologii, muszą raczej założyć, że matematyk dobrze wszystko policzył, a pretensje (jeśli muszą) mogą mieć jedynie do innych autorów za wysoki poziom, do siebie zaś za zbyt niski poziom swoich tekstów i niewystarczające

daniny ze słodyczy na spotkaniach sekcji. Zapraszamy do udziału w przyszłym roku.

Nie chcę w tym miejscu dublować nazwisk ze stopki redakcyjnej, ale warto w dwóch zdaniach podziękować za redakcję i korektę Ani Askaldowicz, Ani Kańtoch, Ali Tempłowicz (również za ilustracje do opowiadań!) i Spike'owi. Gabrysia Palicka pośród miliona innych projektów znalazła czas i chęć na wykonanie okładki, a Michał Dagajew gotowe teksty poskładał i połamał.

Ze swojej strony pragnę podziękować Benjaminowi Rosenbaumowi za udostępnienie uprzednio opublikowanych w *Creatio Fantastica* tekstów, które okazały się bardzo tematycznie adekwatne do naszej antologii. Dziękuję również wszystkim ludziom z CF, którzy owe teksty przejrzeni, poprawili i ogólnie przyczynili się do ich polskiej premiery: Izie Budzyńskiej, Izie Osiały oraz Alicji Podkalickiej.

Magda „Serathe” Grajcar teksty Rosenbauma przetłumaczyła i zajęła się uaktualnianiem informacji o antologii na naszej stronie oraz w mediach społecznościowych, jak też dzielnie (i z sukcesem) walczyła z wszelkimi piętzącymi się problemami natury informatycznej. Bez Kasi Rupiewicz nie powstałaby tak czytelna strona sekcji. Agnieszka Zapart na bieżąco ogarniała różne sprawy – co choć może ciężkie jest do sprecyzowania, to jednak niezbędne do doprowadzenia jakiegokolwiek projektu do szczęśliwego końca. Dzięki wspólnym wysiłkom Ani „Siem” Hrycyszyn, Ani Kańtoch, Ali Tempłowicz oraz moim patronują nam: *Creatio Fantastica*, *Esensja*, *Katedra*, *Literka*, *Polacy Nie Gęsi*, *Smokopolitan* i *Szortal*.

Należy również bezwstydnie podkreślić, że antologię sponsoruje Zarząd Śląskiego Klubu Fantastyki.

I ja dołożyłem swoją cegiełkę, gdyż to zaproponowany przeze mnie tytuł „Zabawa w Boga” zyskał aprobatę pozostałych członków sekcji. Jak widać, wszyscy zainteresowani siedzą w niej po uszy. A ponieważ fantastyka próżni nie znosi, na przyszły rok planujemy już kolejny zbiorek, zatytułowany tym razem „Skafander i melonik”. Dziękuję, że byliście z nami i zapraszam za rok.